



Wielką przyjemność sprawiła mi każda strona tej zabawnej, wzruszającej, prawdziwej powieści o radzeniu sobie ze złożonymi problemami życia rodzinnego i zawodowego. Zachwycająca lektura!

LIANE MORIARTY

Nowy rozdział

Elisabeth Egan

Prószyński i S-ka

Nowy rozdział

Elisabeth Egan

Przełożyła
Alina Siewior-Kuś

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału

A WINDOW OPENS

Copyright © 2015 by Elisabeth Egan

All rights reserved

First Simon & Schuster hardcover edition August 2015

Cytat z Little Gidding z cyklu

Cztery kwartety autorstwa T.S. Eliota.

Copyright © renewed 1970 by Esme Valerie Eliot.

Reprinted by permission of

Houghton Mifflin Harcourt Publishing Company.

All rights reserved.

Goldilocks and the Three Dinosaurs

© 2012 by Mo Willems.

Used with permission as printed

by HarperCollins Publishers.

Projekt okładki

Joanna Strękowska

Zdjęcie na okładce

© elenaleonova/Getty Images

Redaktor prowadzący

Joanna Maciuk

Redakcja

Anna Mirkowska

Korekta

Sylwia Kozak-Śmiech

Zofia Firek

ISBN 978-83-8097-558-3

Warszawa 2016

Wydawca

Prószyński Media Sp. z o.o.

02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28

www.proszynski.pl

Dla Ethana, Louisy, Simona i Frances,

moich światełek na końcu tunelu Lincolna

Nie ustaniemy w poszukiwaniach,

A kresem wszelkich naszych poszukiwań

Będzie dojście do punktu wyjścia

I poznanie go, po raz pierwszy

T.S. ELIOT, *LITTLE GIDDING*

(PRZEŁ. K. BOCZKOWSKI)

*A morał jest taki: jeśli kiedykolwiek
znajdziesz się w niewłaściwej opowieści,
wyjdź z niej.*

MO WILLEMS, GOLDBLOCKS
AND THE THREE DINOSAURS

Wywlekam spod łóżka walizkę i zaczynam się pakować.

Cykl o Ramonie wędruje do elastycznej kieszeni przeznaczonej na skarpetki i bieliznę, książki Nancy Drew ustawiam na dnie w proste wieże. Dokoła nich utykam *Anastazję Krupnik*, *Pippi Pończoszkę*, *Emilkę ze Srebrnego Nowiu*, *Harriet-szpiega*, *Betsy*, *Tacy i Tiba*, *Niepowtarzalną rodzinę*.

Kiedy walizka jest pełna, siadam na wieku i zamykam podwójne zamki, różowe płótno wybrzusza się od nadmiaru zawartości. Łapię za żółte rączki walizki i ciągnę ją korytarzem do pokoju brata, który układa ostatnią ściankę kostki Rubika.

Will zamyka drzwi kopnięciem i tym swoim nowym niskim głosem mówi:

– Spadaj, Alice.

Z wysiłkiem targam walizkę na parter i idę do kuchni, gdzie mama rozmawia przez telefon; słuchawkę ma wetkniętą między ucho a ramię, oliwkowy sznur owinięty w talii.

Wychodzę do ogrodu za domem.

Tata z głową otoczoną chmurą fajkowego dymu siedzi w słońcu na leżaku i czyta. Na mój widok odkłada fajkę i Eda McBaina, zdejmując nogi z leżaka i gestem pokazuje, żebym rozłożyła ofertę.

– Kłaniam się szanownej pani księgarce. Co mamy dzisiaj na liście lektur?

Wyjmuję książki, jedną po drugiej, pokazując je w sposób podpatrzony u Vanny White z *Koła fortuny*. Wyjaśniam zamysł serii „Wybierz sobie przygodę” i czytam krótki wiersz z *Gdzie kończy się chodnik*.

Pykając z fajki, tata słucha uważnie, jakbym nie wygłaszała każdego ze sloganów reklamowych po raz co najmniej dziesiąty z rzędu. Kiedy kończę, z teatralną przesadą ogląda książki, chwilę zatrzymuje się nad zniszczonymi grzbietami, odwraca, żeby przeczytać opis na tylnej okładce. Ja drapię bąble po użądleniach komarów, próbuję zapleść włosy w warkocz francuski i zastanawiam się, którzy z moich przyjaciół będą dzisiaj po południu na pływalni. W głowie trochę mi się kręci od histerycznego grania cykad.

W końcu tata mówi:

– Wezmę Browna. Czy może pani polecić dobrą książkę dla mojej żony? – Oboje spoglądamy na kuchenne okno i widzimy, że mama nadal gada przez telefon, najprawdopodobniej wyrzekając na plagę atari.

– No tak. Ile jestem pani winien?

– Dolara.

Tata wyławia z kieszeni garść ćwierćdolarówek i mówi:

– Zostaw to sobie na czarną godzinę.

Ja jednak na pływalni funduję sobie dwadzieścia arbuzowych cukierków Jolly Rancher. Później, kiedy grill stygnie po kolacji, wracam do ogrodu za domem po książki, które kupił tata, żeby w przyszłym tygodniu znowu mu je sprzedać.

Rola księgarki miała dwa skutki: usta pełne dziurawych zębów oraz głębokie docenienie ciężaru książki i obietnicy, którą daje. Z czasem się nauczyłam, że to pierwsze jest niewielką ceną za drugie.

WIOSNA

Styczeń i luty to dla mnie tylko zmrożone przystawki przed daniem głównym, które łąduje na stole w marcu, kiedy w końcu można wychodzić na spacer z psem w puchowej kamizelce. To wtedy zabieram się do spełniania corocznych postanowień: stać się bardziej elastyczną we wszystkich znaczeniach tego słowa, przestać warczeć na rodzinę, wrzucać wreszcie monety do parkometru, wyjmować wilgotne pranie z pralki, zanim zapleśnieje, dzwonić do mamy, mniej plotkować. Przez niecałą dekadę od moich trzydziestych urodzin ta lista pozostaje niezmienna.

W ten pamiętny słoneczny i dosyć ciepły dzień, po aerobiku na rowerze treningowym, jechałam do domu, marząc o botkach ze skóry, które widziałam w witrynie sklepu niedaleko mojego biura. Do połowy łydki, prawie eleganckie, nadające się do pracy, z podeszwą odpowiednią do biegania po alejkach Whole Foods, sklepów ze zdrową żywnością. Może w jakimś sensie się z nimi identyfikowałam, w końcu ten opis pasuje też do mnie.

Kiedy stanęłam na czerwonym świetle przed liceum, na ekranie mojej komórki pojawiło się zdjęcie Nicholasa. Fotkę zrobiłam trzy lata temu na drewnianych ławkach w YMCA, gdzie nasz syn Oliver miał trening koszykówki. Uśmiechał się do mojego wówczas nowego iPhone'a, na piersiach położył sobie broszurowe wydanie powieści *Cut* George'a Pelecanosa, nasze córki Margot i Georgie z obu stron całowały go w policzki.

– Hej, co jest? Jadę z zajęć Ellie. Od kiedy to *Stairway to Heaven* kwalifikuje się jako piosenka treningowa?

Cisza po drugiej stronie. Na poboczu zobaczyłam kępę białych krokusów dzielnie podnoszących główki.

– Nicholas? Jesteś tam?

– Tak, jestem.

Znowu cisza.

– Nicholas? Dobrze się czujesz?

– Tak, tylko...

Cisza.

Obserwowałam grupę licealistów deptających krokusy martensami i sportowymi butami różnych marek. Zapaliło się zielone światło.

– Tylko co?

– Posłuchaj, Al, wolałbym nie prowadzić tej rozmowy przez zestaw głośnomówiący. Możesz zadzwonić, jak będziesz w domu?

Poczułam gulę w gardle. Kiedy ktoś w taki sposób zaczyna mówić

o rozmowie, od razu wiadomo, że nie będzie przyjemnie.

– Nicholas, co się dzieje?

– Nie mogę... Wiesz co? – W tle usłyszałam hałas, jakby ogromny stos papierów spadł na podłogę. – Wracam do domu. Wsiadam do pociągu o jedenastej dwadzieścia siedem. Do zobaczenia. – W jego głosie było napięcie, jakby ktoś trzymał go za kark.

– Czekaaj, nie rozłączaj się.

Rozłączył się.

Nagle zrobiło mi się zimno w ubraniu wilgotnym od potu. Z roztargnieniem jechałam Park Street, mijając kościół, synagogę, dom pogrzebowy i wdzięczną wiktoriańską willę z wieżyczkami, której nie udało się nam wylicytować, kiedy zaczęliśmy się rozglądać za domem w Filament.

W głowie roilo mi się od możliwości: rodzice Nicholasa, moi rodzice, jego zdrowie, romans, przeniesienie. Czy istnieje choć cień szansy, że ta pilna rozmowa będzie dotyczyła czegoś dobrego? Niespodziewanego przypływu gotówki?

Co jest tak ważne, że Nicholas musi przyjechać do domu, żeby osobiście mi o tym powiedzieć? Przez te siedem lat, odkąd mieszkamy w New Jersey, rzadko wracał przed zmrokiem, nawet latem, i w ciągu dnia komunikowaliśmy się przez pośredniczkę, jego sekretarkę Gladys, królową świata bingo w Stuyvesant Town.

Zadzwoiłam do Nicholasa, kiedy tylko zaparkowałam na podjeździe naszego niebieskiego domu w stylu kolonialnym. Sygnał ustąpił miejsca poczcie głosowej i nagle zakręciło mi się w głowie, bo oczami wyobraźni zobaczyłam to stare zdjęcie przyciśnięte do mojego ucha. Córki od tego czasu urosły i się zmieniły, na okrągłej buzi Margot zastygł permanentny dąs dziewczynki wchodzącej w nastoletniość, dziecięce nóżki Gerogie utraciły sprężystość pałeczek perkusyjnych. Ale najbardziej wstrząsnęły mną czarne jak sadza włosy Nicholasa. Wtedy były o wiele gęstsze i o wiele mniej siwe. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni widziałam go z książką, a co dopiero tak odprężonego.

Niedługo miałam się dowiedzieć, dlaczego tak było.

Przez następną godzinę naprawiałam szkody poczynione przez codzienny cyklon w postaci naszych dzieci jedzących śniadanie, ubierających się i rzekomo sprzątających swoje pokoje, co w rzeczywistości polegało na wpychaniu skarpetek, ręczników i klocków lego pod łóżka. Skorupki jajek w młynku do odpadków, płatki Leapin' Lemurs na szufelce, ubrania przymierzone przez Margot i wyrzucone prosto do kosza na pranie, chociaż wiem, że ich nie nosiła. Wypełniłam formularze na zdjęcia klasowe – czy już nie zapłaciłam za serię marnych fotek na tle atrapy biblioteki? – i zadzwoniłam, żeby odnowić receptę na

prozac dla psa. „Jego urodziny? Szczerze? Nie mam pojęcia... Nie jest moim synem! To mój pies!” Cornelius uniósł długą rudawą kufę i spojrzał na mnie leniwie ze swojego ulubionego zakazanego miejsca na ławie pod oknem w jadalni.

Ciągle sprawdzałam telefon, licząc na wiadomość od Nicholasa, ale odezwał się wyłącznie mój tata. Odkąd rak zabrał mu struny głosowe, stał się zapalonym użytkownikiem wirtualnych komunikatorów. Esemesy i mejle od niego spływały przez cały dzień, były jak ciągle delikatne klepnięcia w ramię. Największa ich koncentracja przypadała na przedpołudnie, kiedy mama grała w tenisa, a on przedzierał się przez trzy dzienniki, w wersji papierowej i online równocześnie. Wiele mejli zawierało linki do jego ulubionych tematów: media społecznościowe, drużyny sportowe Hoyas, kobiety, które radzą sobie ze wszystkim.

Dzisiaj, ogarnięta złymi przeczuciami i niespokojna, ucieszyłam się z możliwości skoncentrowania się na czymś innym.

Tata: Kochana Alice, jesteś?

Ja: Jestem!

Tata: Tak się zastanawiałem: znasz się na Snapchacie?

Ja: Przykro mi, nie wiem, co to jest.

Tata: Czytałem o tym w „Wall Street Journal”. To jak Instagram, ale tymczasowe. Tylko fotki. Bez zapisywania.

Ja: Instagramu też nie zakładałam. I tak nie mam nic do ukrycia.

Tata: Mogę cię nauczyć. To rewelacyjne sposoby na utrzymywanie kontaktu z innymi.

Ja: Jestem na FB. Tylko z tym sobie radzę.

Tata: Tak, ale czemu nie masz zdjęcia profilowego?

Tata: Hej, jesteś tam?

Ja: OK. Narka. Całusy, tato.

Mieszkamy cztery domy od stacji, poszłam więc tam, kiedy usyszałam długi, niski gwizd pociągu. Minęłam szkołę Margot i Olivera, a kiedy weszłam na stromy nasyp kolejowy, Nicholas już był na peronie. Wyglądał zaskakująco swobodnie, marynarkę niósł na ramieniu jak pelerynę.

Pocałował mnie w policzek – suche cmoknięcie, którym można by podziękować za upieczenie chleba z cukinią. Pachniał pociągiem: farba drukarska, kawa, winyl. Zadrżałam pod kamizelką i mocno objęłam go za szyję.

– Co się dzieje?

Nicholas westchnął. Teraz poczułam miętową gumę do żucia i przebijający przez nią zapach... piwa? Czy to możliwe?

Pociąg wyjechał ze stacji, na peronie zostaliśmy tylko my dwoje. Mgliście sobie uświadamiałam, że za naszymi plecami na szkolnym boisku uczniowie bawią się w berka z piłką. „Zawołałem i on się ruszył!” „Nie ruszyłem się, ona mnie popchnęła!” Nicholas się pochylił, żeby postawić na ziemi skórzaną teczkę. To był prezent ode mnie na jego trzydzieste urodziny, idealne połączenie poważnej aktówki i uczniowskiego tornistra. Kiedy się wyprostował, spojrzął na mnie tymi swoimi zielonymi oczami. Wsunął dłonie we włosy, a ja pomyślałam o fotografii i serce mi się ścisnęło.

– Alice, nie przyjęli mnie jako współnika.

Na początku odczułam ulgę. Problemy w pracy to była betka w porównaniu z drugą rodziną na boku, utratą panowania nad skłonnością do hazardu czy kryzysem wieku średniego jak u męża koleżanki, który powiedział po prostu: „Dłużej nie dam rady”, po czym spakował plecak i pojechał do Hoboken.

Plecak, też coś!

A potem rozczarowanie ciężkie jak ołów opadło na mnie powoli, choć zdecydowanie, przynosząc migawki z naszej przeszłości i przyszłości. Letnie dni, kiedy na kolację jedliśmy kornwalijskie kurczaki i braliśmy udział w prywatnej, sponsorowanej przez Sutherland i Courtfield wycieczce po współczesnym skrzydle Met; wieczór, gdy nadeszła oficjalna propozycja pracy dla Nicholasa – wdrapaliśmy się wtedy po schodach przeciwpożarowych na dach naszej kamienicy i zaczęliśmy rozmawiać, oczywiście hipotetycznie, o tym, jakie imiona nadamy dzieciom; wiele poranków, kiedy się budziłam i zastawałam go pochylonego, wciąż we wczorajszym ubraniu, nad kodeksami, segregatorami i wysokimi na dwadzieścia centymetrów stosami papieru rozłożonymi na całym kuchennym stole. Nikt nie wie, jak wielki potrafi być spinacz do papieru, dopóki nie weźmie ślubu z prawnikiem.

Co dalej, jeśli nie to?

I przede wszystkim: dlaczego?

– Tak mi przykro. To jest... Naprawdę. Ale zaraz, czekaj, myślałam, że narada jest dopiero w listopadzie. Dlaczego teraz...

– Rzeczywiście jest w listopadzie. Ale miałem przeczucie...

– Miałeś przeczucie? Więc dlaczego nic nie mówiłeś?

– Alice, nie wiem, dobra? Pracuję z Winem Makepeace'em nad tym bankructwem, opowiadałem ci o bankowcach, którzy chcieli zainwestować w karaoke? No i wymknęło mu się, że nie mam co na to liczyć. Właściwie powiedział to wprost, jakby to było oczywiste. Jakby to powinno być dla mnie oczywiste.

Wyobraziłam sobie Wina w giętym czarnym fotelu z godłem Uniwersytetu Cornella, przyglądającego kępce piaskowych włosów na łysinie stale opalanej od żeglowania po zatoce Little Narragansett. A poza tym kto daje dziecku na imię

Win? Nie Winthrop, Winston, Winchester, tylko Win. Byłam dumna, że pochodzę z rodziny, w której wszyscy mężczyźni mają na imię Edward.

Wróciłam do rzeczywistości, potrząsając głową, jakbym się chciała pozbyć natrętej myśli.

– Czekaj, powiedział: „Nicholasie Bauer, nie zostaniesz naszym wspólnikiem”?

– Nie, nie w taki sposób. Popełniłem drobny błąd w podsumowaniu, dałem przecinek zamiast kropki, i on powiedział: „Bauer, spójrzmy prawdzie w oczy, nie jesteś materiałem na wspólnika firmy Sutherland i Courtfield”.

– Nie.

– Tak.

– Nicholas, czy to w ogóle jest legalne? – Złapałam go za rękę i skierowałam w stronę domu.

– Jasne, że jest. Stał sobie w tej swojej pierdolonej myśliwskiej kamizelce i mówił mi, że nie mam u nich przyszłości. Że wspólnicy podjęli decyzję w listopadzie zeszłego roku, ale dopiero w przyszłym roku zamierzali mi o tym powiedzieć...

Puste huśtawki na placu zabaw kołysały się leniwie w podmuchach wiatru na zardzewiałych łańcuchach. Na ich widok ogarnął mnie smutek. Czy Nicholas nie dość się poświęcił? Ile razy patrzyłam, jak w sobotę wiąże krawat i sznurówki eleganckich butów, po czym wsiada do pociągu? Ile wakacji zostało przerwanych pilnymi telefonami od klientów i terminami spotkań arbitralnie narzuconymi przez wspólników?

Nicholas mówił dalej, opowiadając o tym, jak podejmuje się takie decyzje, o tajemnych, drakońskich metodach wykorzystywanych przez kancelarie prawne do przekazywania informacji swoim niczego niepodejrzewającym, harującym jak woły pracownikom. Ale ja już to wszystko wiedziałam. Tata był emerytowanym wspólnikiem innej kancelarii w centrum miasta; rosłam, słuchając o osobistych dziwactwach i etyce pracy kandydatów, którzy nie całkiem spełniali wymagania. W tak zwanej klasie Nicholasa w Sutherland i Courtfield było osiemdziesięcioro pracowników aspirujących do awansu; kiedy będą brani pod uwagę do zatrudnienia na całe życie – do zamknięcia w złotej klatce – ich liczba w najlepszym razie skurczy się do pięciorga. Chociaż o tym wiedziałam, nigdy sobie nie wyobrażałam, że Nicholas znajdzie się w grupie przeznaczonej do odsiewu.

Wtedy byliśmy już w kuchni, Cornelius plątał się nam pod nogami, niespokojnie skamląc, jakby wyczuwał napięcie. Zrobiłam świeżą kawę, której żadne z nas nie wypilo. Rzadko bywaliśmy z Nicholasem sami w domu, bez dzieci, ale moje myśli nie pobiegły w kierunku zwykłym w takich sytuacjach.

Zaledwie dwa tygodnie wcześniej moi rodzice zabrali dzieci na weekend. Zanim ich samochód wyjechał z podjazdu, popędziliśmy na górę do naszego

pokoju. Nagle przed łóżkiem zmaterializowała się Georgie i ze zdumieniem zapytała:

– Zaraz, dlaczego idziecie spać?

Odkoczyliśmy od siebie. Nicholas złapał książkę leżącą na podłodze i udawał, że ją czyta. Ja utknęłam kódrę pod pachami i ujęłam córeczkę za rękę, pomniejszoną plastikowym pierścieniem ze skrzyni skarbów w gabinecie dentystycznym.

– Georgie! Tak szybko wróciłaś?

– Dziadek mnie przywiózł. Zapomniałam o Olivii. – Olivia to świnka w pasiastych rajstopach, dodatek do książki o tym samym tytule i najważniejsza postać w menażerii, z którą Georgie zasypiała. Oprócz niej był jeszcze Ciekawski George i pluszowa rybka ogońca. – Co wy wyprawiacie?

Nicholas odłożył *Magiczny domek na drzewie nr 31. Lato morskiego węża*.

– My... drzemiemy.

Georgie żuła koniec cienkiego warkoczyka, spoglądając na nas podejrzliwie orzechowymi (jak je nazywała) oczami.

– Dobra, tylko nie róbcie nic, czego ja bym nie zrobiła!

Okręciła się na pięcie i zbiegła na dół. W chwili, kiedy usłyszeliśmy trzask zamykanych frontowych drzwi, podjęliśmy na nowo to, co nam przerwała.

Teraz Nicholas opierał się o blat, z roztargnieniem zrywając przezroczystą taśmę klejącą utrzymującą szafki w całości. Kuchnia pilnie wymagała remontu, podłoga w czarno-białą szachownicę była tak porysowana, że wyglądała jak rampa wyładunkowa w sklepie spożywczym. Oszczędzaliśmy na remont.

– Ale możesz zostać w kancelarii, dopóki nie znajdziesz nowej pracy, tak?

– Nie, to kolejna sprawa.

– Co? – Wakacje, kolacje w restauracjach, kino, nowy samochód, oszczędności na college dla dzieci, emerytura, każdy najdrobniejszy element poczucia bezpieczeństwa zniknął jak ziarenka piasku przesypujące się przez sito.

– Alice, nie mogę tam zostać.

– Co to znaczy, że nie możesz?

– Och, dajże spokój. Wiesz, jak to jest. Awans albo wypad. – Ramiona Nicholasa się zgarbiły, pogładziłam go po plecach, zataczając dłonią wielkie koła, jak robiłam, kiedy któreś z dzieci zwymiotowało na podłogę w środku nocy. Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Z miną pokonanego odpiął górny guzik koszuli. – Skoro już o tym wiem, naprawdę muszę odejść. Zostanie byłoby upokarzające, jestem skazańcem idącym na egzekucję.

Wyobraziłam sobie Nicholasa w więziennym pasiaku, ze skutymi nadgarstkami i kostkami.

– Rozumiem.

– No więc sobie pomyślałem, a ta myśl nie po raz pierwszy przeszła mi przez głowę, że to może być pora na założenie własnej kancelarii. Zdobycie własnych klientów, rozegrania tego po swojemu.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Nicholas pochylił się nad zlewem, odkręcił wodę do oporu i ochlapał twarz. Potem odwrócił się do mnie z lśnącymi policzkami i połyskliwymi kroplami na brwiach. Wyglądał na zawstydzonego, a nie odświeżonego. – Alice, muszę ci powiedzieć, że na tę wiadomość zareagowałem niezbyt dobrze.

– Co to znaczy?

– To znaczy... – Nicholas otworzył lodówkę i wyjął butelkę piwa. Zdjął kapsel, ujął butelkę za szyjkę i przechylił gestem, który oznaczał zarówno „Co mam do stracenia?“, jak i „Twoje zdrowie“. W odpowiedzi uniosłam niewidzialną butelkę, chociaż wcale nie byłam w nastroju do świętowania. Nicholas niemal chorobliwie unikał alkoholu, ale nikt nie musiał mi mówić, że to nie jest jego pierwsze piwo tego przedpołudnia.

– Tak?

– Wybuchłem, kiedy Win mi powiedział, że nie zostanę ich współnikiem.

– Wybuchłeś... jak?

– Rzuciłem laptopem przez pokój. – Skrzyżował ręce i na chwilę zamknął oczy, jakby chciał zaprzeczyć realności tego, o czym mówi, a co jest przerażające i surrealistyczne. Rozgniewany Nicholas był cichym Nicholasem, składającym pranie z lodowatym spokojem albo godzinami wpatrującym się w drogę podczas jazdy samochodem. Przez wszystkie spędzone razem lata nie widziałam, żeby rzucał czymś innym niż piłka i raz, kiedy braliśmy udział w zajęciach z ceramiki, tragicznie zdeformowana misa.

– Zaraz... co?! Przepraszam. Powiedziałeś, że rzuciłeś laptopem przez pokój? – Przez głowę przemknęła mi myśl, żeby też się napić piwa, ale zmieniłam zdanie, w żadnym razie nie chciałam, żeby było ode mnie czuć alkoholem, kiedy przyjdę do szkoły. Tego rodzaju iskra mogła wywołać niekończące się plotki, których echa ciągnęłyby się za mną przez lata; obserwowałam to na przykładzie pewnej mamy, którą na targach książek dla dzieci widziano z buteleczką w torbie. To mogło być mleczko do rąk albo lakier do włosów (w końcu jesteśmy w New Jersey), ale lawina ruszyła. Nigdy nie wybrano jej do trójki klasowej.

Nicholas bawił się magnesami na lodówce, układając niewykorzystane litery alfabetu w rządki QPITZLSF.

– Tak, rzuciłem laptopem przez pokój. Ale byliśmy w sali konferencyjnej, a tam jest dużo miejsca. No i laptop był zamknięty, więc... no cóż, to pewnie sytuacji nie poprawia, ale przynajmniej się nie rozleciał.

– To już coś. – Nie było bałaganu do posprzątania, nikt nie odniósł obrażeń. Mimo to trochę kręciło mi się w głowie. Zamknęłam oczy i tak długo przyciskałam palce wskazujące do powiek, że zobaczyłam pomarańczowe wzory jak w kalejdoskopie.

– Tak, chyba tak.

– Czy... było dużo hałasu?

Nicholas wyglądał na zażenowanego.

– Tak.

– Cóż. Ale przynajmniej... nie odchodzisz po cichu?

Oboje się roześmialiśmy, choć bez przekonania. Nicholas odchylił głowę i upił wielki łyk piwa. Jego szyja wyglądała gładko i młodo; mógłby mieć dwadzieścia lat i pić natty light w redakcji pisma studenckiego.

– Glen, ten z mojej drużyny koszykarskiej, pamiętasz go?

– Tak?

– W North Caldwell ma lokal, który mogę wynająć. Myślę, że kilku klientów pójdzie za mną, i mam pomysły, jak zdobyć nowych.

– Oho, Nicholas! Naprawdę to przemyślałeś. – Ani przez sekundę w to nie wierzyłam. Moje rozmowy z Nicholasem trudno uznać za model doskonałej komunikacji, ale informujemy się na bieżąco, jeśli chodzi o ważne decyzje.

– No tak. Nie będzie mi brakowało dojazdów do pracy ani ciągłego poczucia, że jestem czymś pacholkiem. Tylko że trochę czasu trwa rozbijanie firmy. To mnie przeraża.

– Martwisz się, że spaliłeś za sobą mosty? (Naprawdę chciałam zapytać: „Nie martwisz się, że ludzie pomyślą, że ci kompletnie odbiło?”).

– Może. Tylko że te mosty donikąd nie prowadziły.

Chwilę milczeliśmy, stojąc jak postacie na planie filmowym. Wiedziałam, jak brzmi moja kwestia, i wygłosiłam ją bez wahania:

– Nicholasie, to się nam uda.

– Wiem. Jestem pewien, że dobrze na tym wyjdziemy. Tylko...

– Już jest dobrze. Nikt nie powinien zostawać w miejscu, w którym ma ochotę rzucać przedmiotami. Razem to rozwiążemy. Znajdę nową pracę. Damy radę.

Próbowałam nadać tej wypowiedzi optymistyczny wydźwięk, zapewnić, że jestem gotowa na wszystko, ale mnie sparaliżowało. Nie sądziłam, że jestem gotowa na zmianę pracy. Dzieci nadal były małe. Uwielbiałam swoją posadę na pół etatu w czasopiśmie „You”. Martwiłam się, że minie wiele lat, nim kancelaria Nicholasa zacznie działać na pełnych obrotach, i że teraz on nie znajdzie nigdzie pracy przez ten zrozumiały, choć całkiem do niego niepasujący wybuch.

Nicholas zdjął spinki do mankietów, elastyczne węzółki – miał takie we wszystkich kolorach tęczy.

- Właściwie to nie jest taki zły pomysł.
- Co mianowicie?
- Żebyś pracowała na pełny etat.

I tak po prostu karta się odwróciła. Zaczynaliśmy nowy rozdział.

Wieczorem Georgie wybrała sobie *Sylwestra i magiczny kamyk*; znam to na pamięć. Zwykle jesteśmy tylko we dwie, Oliver i Margot wolą czytać sami w swoich pokojach. Dzisiaj wieczorem jednak wylądowali na tapczanie Georgie, zanim skończyłam pierwsze zdanie: „Sylwester Duncan mieszkał z mamą i tatą przy Acorn Road w Oatsdale”.

Jeśli marzec jest głównym dniem kalendarza, to głównym dniem rodzicielstwa jest ta krótka część dnia, kiedy pudełka na drugie śniadanie są umyte, sprzeczki zawieszono i wszyscy pachną pastą do zębów. Margot się nie odsunęła, kiedy kciukiem trafiłam w dziurkę w jej brodzie, a ja się nie skrzywiłam, kiedy kościste ramię Olivera wepchnęło się boleśnie w moją śledzionę. Georgie podciągnęła kolana pod koszulą nocną z Dzwoneczkiem i cofnęła się, robiąc więcej miejsca.

Nicholas i ja jesteśmy małżeństwem od trzynastu lat. Poznaliśmy się na pierwszym roku w naszym małym artystowsko-lewicującym college'u w Vermoncie; ściślej rzecz biorąc, Nicholas był jedną z pierwszych osób, które spotkałam pierwszego dnia. Ze współlokatorką targaliśmy na czwarte piętro jej jasnoblękitny futon; na piętrze otworzyły się drzwi i wyszedł inteligentnie wyglądający chłopak w okularach w okrągłych drucianych oprawkach. Zapytał, czy potrzebujemy pomocy. Potrzebowałyśmy.

Nie chodziliśmy ze sobą – w takim sensie, w jakim ludzie chodzą ze sobą w college'u – aż do ostatniego roku. Ja byłam redaktorką gazety, Nicholas jednym z autorów. Przyszedł do redakcji pewnego wieczoru, kiedy zamykaliśmy numer (uwielbiałam zawarte w tym sformułowaniu poczucie ostateczności i wtajemniczenia), i zrobił mi awanturę o usunięcie z jego artykułu o drużynie piłkarskiej słowa „klocowaty”.

– Uznałam, że graczom się nie spodoba, że tak ich opisujesz – wyjaśniłam. – I jakie to ma znaczenie? Mogę wprowadzać tego rodzaju zmiany. Z redaktorem nie wygrasz. Przykro mi.

Nicholas przewrócił oczami.

– Niech tam. Alice, a widziałaś już *Pulp Fiction*?

W tamten piątkowy wieczór pożyczyl od współlokatora samochód, dzięki czemu mogliśmy pojechać do multipleksu w Burlington i na własne oczy obejrzeć powrót Johna Travolty na szczyty. Skończyło się na tym, że tak się zasiedzieliśmy nad kanapkami z jajkiem i szynką w knajpce U Denny'ego, że do kina nie dotarliśmy. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, ale wiem, że oboje byliśmy ubrani w zielone sztruksowe koszule na suwak. Kelnerka zapytała, czy jesteśmy bliźniętami, co wydało nam się okropnie śmieszne. Ale owszem, oboje jednakowo dziedziczymy po irlandzkich i niemieckich przodkach ciemne włosy i zielone oczy, tylko że ja mam piegi, a Nicholas dołeczki, ja się opalam, on się spieka.

W drodze powrotnej do akademika przed maskę wyskoczył nam jelen. Nicholas gwałtownie skręcił na pobocze, żeby go nie potrącić. Samochód chwilę się toczył, potem znieruchomiał. Nicholas głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Widziałaś, jaki był przerażony?

– Widziałam. – W uszach pulsowała mi krew, odbijając się echem w całej głowie. Jeleń był tak blisko, widziałam jego dzikie spojrzenie i cienkie rowki w porożu, jakby zrobione brzytwą.

Spojrzałam w okno od strony kierowcy i w świetle księżycy dostrzegłam trzy bele siana na polu. Na horyzoncie góry Adirondack wznosiły się i opadały,

wyglądały jak stojące rzędem kobiety w sukienkach bez ramiączek, obsypane gwiazdami jak brokatem.

Siedzieliśmy tak przez minutę, potem wróciliśmy na wąską smugę drogi numer 7. Milczeliśmy. Nie, wtedy nie pocałował mnie po raz pierwszy, stało się to później, w akademiku, na sofie obitej sztuczną skórą, na której oglądaliśmy *Beztrioskie lata w Ridgemont High*. Ale tamta chwila w samochodzie była początkiem czegoś, o czym wiedziałam, że jest ważne.

- Alice?
- Tak?
- Mogę cię o coś prosić?
- Jasne. – Leżeliśmy w łóżku, wpatrując się w sufit.
- Mogłabyś nikomu o tym nie mówić? To naprawdę żenujące.
- Oczywiście. Ale to się przytrafia wielu ludziom. Kancelarie prawne znane są...
- Nie, mówię poważnie. Będę potrzebował klientów i nie chcę, żeby ktoś myślał, że jestem żalonym palantem, którego wylali.
- A kto by tak pomyślał? Żartujesz? – Słowo „pominięty” błysnęło mi przed oczami jak napis w marnie przetłumaczonym filmie. Natychmiast je odepchnęłam.
- Alice, naprawdę nie żartuję. Musisz mi obiecać, że to zostanie między nami.
- Obiecuję.
- Chodzi mi zwłaszcza o twojego tatę.
- Co z nim?
- Nie chcę, żeby wiedział.
- Dobrze, Nicholasie, ale w końcu będziemy musieli mu powiedzieć.
- Wiem. Chcę tylko... przespać się z tą decyzją, zanim z nim pogadamy. Będzie wszystko wiedział najlepiej, a ja, no cóż, szczerze mówiąc, nie chcę już teraz tego słuchać.
- Okej.

Pamiętałam mojego tatę na wręczeniu dyplomów, kiedy Nicholas skończył studia prawnicze, jego kościste ciało usadowione na pluszowym krześle w Carnegie Hall. Dziekan stanowczo poprosił, by wstrzymać się z oklaskami, aż dyplom doktora praw odbierze ostatnia osoba na liście, ale widząc wchodzącego na scenę Nicholasa w błękitnej todze lśniącej w świetle reflektora, tata podniósł się z miejsca. Stał, prosty jak struna, ekstatycznie uśmiechnięty, a jedynym odgłosem mącącem ciszę był głuchy stuk zamykającego się fotela.

W głowie zaroiło mi się od ludzi, z którymi mogłabym porozmawiać w najgłębszym zaufaniu – mój brat Will, mama, moja przyjaciółka Susanna, jedna

ze współlokatorek z college'u – ale potem skupiłam się na rozważaniu własnego potencjału jako bohaterki tego rodzinnego dramatu. Będę się zmagać z losem spokojnie, z zaciśniętymi zębami i z wdziękiem. Pójdę w ślady babci, która w wieku osiemnastu lat przeprowadziła się z hrabstwa Roscommon do Bostonu, poślubiła czarusa wykonującego marną pracę, została wdową, będąc w ciąży szósty raz (z moim tatą), i sama wychowała dzieci na drugim, ostatnim piętrze kamienicy, pracując jako kucharka u eleganckiej rodziny w Winchester, a mimo to znajdowała czas na szydełkowanie narzut i obowiązki przewodniczącej sodalicii w kościele.

Do tego momentu troszeczkę się chełpiłam swoją równowagą między pracą a życiem osobistym. Kiedy inne mamy narzekały na niekończący się bieg przelajowy między domem a pracą i wszystkim, co pośrodku, ja milczałam. Zdawałam sobie sprawę, jaka ze mnie szczęściara, że mam pracę na pół etatu, którą uwielbiam. Nie należałam do osób pracujących na najwyższych obrotach, nie byłam też aktywistką Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, ale miałam wgląd w oba te światy.

W poniedziałki, środy i piątki pracowałam jako redaktorka działu literackiego w „You”; zaczęłam, kiedy Margot była malutka. Moje obowiązki polegały na czytaniu książek przysyłanych przez wydawców, wybieraniu pozycji do zrecenzowania i pisaniu recenzji. Jasne, czasopismo było skierowane do grupy, którą z Nicholasem na pół żartobliwie nazywaliśmy związkami świruszek opętanych na punkcie zdrowego stylu życia. Ale redakcję traktowałam jak rodzinę, a praca zapewniała mi stymulację intelektualną i dostęp do najnowocześniejszych butów do aerobiku na rowerze stacjonarnym w idealnych proporcjach. Najlepsze ze wszystkiego było to, że kiedy nie pilnowałam dziecięcych zabaw w domu i nie wychodziłam na kawę z koleżankami, wciąż miałam czas na rower.

We wtorki brałam na przykład wczesną zmianę sprzedaży wypieków w szkolnej sali gimnastycznej, oferowałam pełnoziarniste organiczne babeczki z jagodami obywatelom zmierzającym na pociąg o ósmej szesnastie, a następnego dnia z tymi samymi ludźmi czekałam na peronie, trampki zamieniwszy na szpilki. Przy drzwiach wyjściowych miałam dwie torby: jedną wielką od Orli Kiely, wypełnioną plastrami i czipsami Goldfish, drugą mniejszą od Furli, z maszynopisami i makietami poszczególnych stron naszego czasopisma.

Uwielbiałam popołudnia spędzane z dziećmi, chociaż kiedy powtarzałam, żeby odłożyły plastelinę, kredki, karty z baseballistami, karty z hokeistami, karty do gry Apples to Apples, w moim głosie często brzmiała piskliwa nuta. Pomimo ich ciągłych narzekań na konieczność spacerów z Corneliusem i dziwny chleb pakowany na drugie śniadanie, pomimo makaronów w setkach najróżniejszych

kształtów, przez lata zmiotanych z kuchennej podłogi, i wszystkich tych mikroskopijnych bucików dla lalek, które wyrzucałam z poczuciem winy, nic nie dawało mi większej przyjemności niż spoglądanie w lusterko wsteczne minivana na naszą trójkę: Margot w niebieskich okularach nieodmiennie zsuniętych do połowy nosa, czubek głowy Olivera pogrążonego w lekturze *Słownika paskudztw* i Georgie wystrojoną w nieprawdopodobną liczbę ozdób do włosów: wstążek na metalowych klipsach krokodylkach, kolorowych spinek, plastikowych klamerek w kształcie motyli i pudli.

Nasz dom jest tak blisko szkoły podstawowej, że widzę każde z naszej trójki w klasie odpowiadającej jego poziomowi (witaj, terapistko). Kiedy na koniec dnia otwierały się czerwone drzwi, czekałam, aż dzieci wypadną na dwór i popędzą do mnie tak szybko, jak tylko potrafi obciążony potężnym plecakiem mały człowiek. W dni bez treningu piłki nożnej, pływania albo hip-hopu każde przyprowadzało do domu kolegę i szliśmy razem przez pół przecznicy, trzymając się za ręce i tworząc łańcuszek siedmiu szczęśliwych osób.

W dni, gdy pracowałam, oboje z Nicholasem polegaliśmy na Jessie, opiekunce, którą przed siedmiu laty zatrudniliśmy z ogłoszenia na Craigslist; ona miała osiemnaście lat, a my właśnie przeprowadziliśmy się do New Jersey. Została naszą pierwszą przyjaciółką w Filament i bez dwóch zdań pozostawała najbardziej interesującą. Kiedy nie bawiła się z dziećmi ani nie woziła ich na zajęcia, była solistką w zespole Prenups, najlepszej kapeli weselnej w New Jersey. Dzięki jej rockowym wpływom Oliver potrafił wygrać na fenderze *More than Words*, zanim jeszcze nauczył się pisać swoje imię. Wszyscy troje świetnie udawali grę na gitarze.

Z kolczykiem w nosie, kwiatami wytutowanymi na całej ręce i niebieskimi pasemkami we włosach Jessie stanowi absolutne przeciwieństwo Mary Poppins, ale jest równie niewzruszona jak ona, a mnie równie łatwo zbić z tropu. Kiedy wieczorem wracam do domu, zwykle jest w kuchni, wyciąga z piekarnika lasagne, równocześnie ucząc Margot skracania ułamków i nadzorując zadanie na prace ręczne, w którego skład wchodzi Georgie, patyczki po lizakach i klej. Nie byłabym zdziwiona, gdyby Oliver stepował na suficie.

Oboje z Nicholasem wiemy, jakimi jesteśmy szczęściarzami. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Kilka dni po rewelacji Nicholasa byłam w redakcji „You”; kiedy układałam w torbie egzemplarze recenzenckie od wydawców i przygotowywałam się do biegu na pociąg o osiemnastej dziewięć, zobaczyłam, że nasza redaktorka działu artykułów, Annika, jest sama w swoim gabinecie. Postukałam w ścianę koło jej drzwi.

– Masz minutkę na rozmowę?

– Alice! Zawsze. Wchodź, siadaj. – Sprężystą, lekko umięśnioną ręką wskazała obrotowe krzesło przy biurku. Jej oczy, szeroko rozstawione jak u Jackie Kennedy, zwęziły się, kiedy zasunęłam za sobą drzwi. – O nie. To aż takie poważne? – Na jej twarzy wyraz „gotowa na nieszkodliwe plotki” ustąpił miejsca wyrazowi „przykro mi, że masz podejrzany pieprzyk”.

– Chciałam się dowiedzieć, czy przypadkiem nie znalazłby się u nas pełny etat dla mnie. Sytuacja domowa uległa zmianie, no i cóż, muszę coś z tym zrobić. W sensie finansowym. – To spontaniczne wyjaśnienie wbrew moim zamiarom zabrzmiało ponuro. Poprawiłam się na krześle zgodnie z zasadami wpajanymi naszym czytelnikom: plecy prosto, ramiona do tyłu, broda do góry. Moja wyimaginowana siostra wyrzuciła w górę pompony i zagrzała mnie do walki okrzykiem: „Stać cię na to. Do ataku, dziewczyno!”.

Annika zmarszczyła brwi, pielęgnowane tak jak moje przez stanowczą kosmetyczkę, która raz w miesiącu rozkładała w dziale fotograficznym swoje pęsety, nożyczki i pudry.

– Wszystko... w porządku?

– Tak! W absolutnym. Nicholas i ja czujemy się świetnie. Chodzi tylko o to, że... mamy problemy finansowe. Poza tym dzieci już chodzą do szkoły i wcale nie potrzebuję spędzać tyle czasu w domu. – Te słowa brzmiały dziwnie w moich ustach, „potrzebuję” tak bardzo różniło się od „chcę”. Gardło mi się ścisnęło. Mogłam sobie wyobrazić swoją minę, którą tak często widziałam u Margot: oczy szeroko otwarte, wargi zaciśnięte, nozdrza rozdęte. Determinacja z domieszką wahania.

– Okej. Rozumiem. Posłuchaj, Al, mogę popytać, ale wiesz, strony reklamowe się kurczą, książkom poświęcamy o wiele mniej miejsca niż kiedyś i nie spodziewam się, że będzie lepiej. Pewnie, że wolałabym, żeby było odwrotnie. Wiesz, jak cię lubimy i jak bardzo chcemy mieć cię u nas. – Głos Anniki zadrżał. Znamy się od lat, to w „You”, kiedy byłam w ciąży, odsłoniłam brzuch na jakimś zebraniu redakcyjnym, żeby pokazać młodszym koleżankom zwariowaną płataninę jaskrawoniebieskich żył. Granica między sprawami zawodowymi a prywatnymi zatarła się dawno temu.

– Nie przejmuj się, rozumiem. – Na ścianie za biurkiem wisiała wielka artystyczna fotografia rozbitego jajka. W szkle na żółtku widziałam swoje odbicie: zmarszczone czoło, włosy lekko skręcone, mimo że trzy razy w tygodniu je prostowałam. – Anniko, chyba muszę zacząć szukać nowej pracy.

Przez minutę siedziałyśmy w milczeniu, patrząc na siebie ponad blatem.

Annika wskazała swój gigantyczny rolodex z wizytówkami wszystkich redaktorów z Nowego Jorku, nie wspominając o celebryckich ginekologach, opiekunkach do dzieci na ostatnią chwilę, behawiorystach zwierzęcych i swatkach

z dyplomem Ivy League.

– Alice, zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Tylko powiedz słowo.

Tata: Droga Al, jesteś tam?

Ja: Tak. Siedzę w pociągu, wracam do domu.

Tata: Jak ci minął dzień? Jakies wieści?

Ja: Po staremu. A u Ciebie?

Tata: Mama i ja wybieramy się do Newark na paradę w dzień Świętego Patricka. Przyłączysz się?

Ja: Nie, dziękuję. Dudy mnie przygnębiają.

Tata: OK. Niedzielny obiad?

Ja: Pod warunkiem, że nie będzie wołowiny i kapusty.

Tata: Jagnięcina, galaretka miętowa, pudding yorkshire. Do zobaczenia!
Całuski, tata.

– Nie chodzi o to, że mnie nie lubią, ale Annika nie sądzi, żeby mogli sobie pozwolić na pełny etat. Powiedziała, że gdyby mnie interesował dział poświęcony urodzie, to może, ale poza tym... – Byliśmy z Nicholasem w piwnicy, oddzielaliśmy puste puszki po psiej karmie Happy Hips od spłaszczonych kartonów po płatkach i wiązaliśmy gazety, przygotowując się na dzień recyklingu. Niektóre pary ustalają wieczór na randki, my co tydzień urządzamy sobie spotkanie przy plastikowych koszach koło suszarki.

– A nie mogłabyś pisać o urodzie? – Zirytowała mnie spostrzegawczość Nicholasa. Czyżby jego uwagi umknęło, że ledwo się maluję, a buty poleruję częściej niż paznokcie?

– Nie, nie mogłabym pisać o urodzie. Nicholas! Ja zajmuję się literaturą. I za długo pracowałam w „You”. Nie chodzi już nawet o obecne okoliczności, po prostu pora najwyższa szukać nowej pracy.

– Możesz tak o tym nie mówić? „Obecne okoliczności”? To nie tak, że odchodzę z kancelarii, żeby prowadzić stoisko z lemoniadą. Mam plan, Alice.

– Wiem. Tylko że realizacja twojego planu trochę potrwa, a ja chcę mieć pewność, że jesteśmy... bezpieczni. – Przecięłam kciuk na krawędzi pudełka po płatkach Rice Krispies i zaraz zaczęłam gorączkowo wymachiwać ręką.

– Doceniam to, choć nie powiem, żeby jakoś szalenie spodobał mi się podtekst kryjący się w twoich słowach. To nie tak, że...

– Po prostu się martwię. Nagle zostałam żoną człowieka, który rzucił komputerem na drugi koniec pokoju, a to sprawia, że się denerwuję. Przykro mi, ale tak to wygląda.

– Alice, mówiłem ci, to się wydarzyło w sali konferencyjnej, a laptop był zamknięty. Nikomu nic się nie stało.

– Wiem, ciągle to powtarzasz, ale poważniejszą kwestią jest to, że straciłeś wiarygodność w tym segmencie prawniczej społeczności i nie wydaje mi się, żeby...

– Właśnie. Masz rację. Tak zrobiłem. Ale prawda jest taka, że nie chcę dłużej być związany z tym segmentem, a Win Makepeace akurat okazał się osobą, która zmusiła mnie do działania. Próbuję patrzeć w przyszłość. Co dalej? Niedługo się dowiem. Wygląda na to, że ty też.

Na przyjęciu z okazji czterdziestej rocznicy ślubu rodziców Nicholas jeden z przyjaciół wygłosił toast. Mówił, że nigdy by się nie spodziewał, że ich związek okaże się taki trwały. Judy i Elliott byli parą hippisów, niepoprawnych marzycieli; pobrali się dla wygłupu, ich małżeństwo jednak przetrwało, moi teściowie zamienili garbusa na buicka, a rondel do fondue na wolnowar, zostali właścicielami domu, rodzicami, partnerami biznesowymi, parafianami, mistrzami metody reiki.

Taka ewolucja mogła doprowadzić do zerwania, mówił brodac, niebezpiecznie przechylając kieliszek z martini, ale Judy i Elliott potrafili wspólnie się zmieniać, co jak głęboko wierzył, okazało się kluczem do szczęścia. I najprawdopodobniej kluczem do rozpadu jego własnego małżeństwa, ponieważ była żona nie potrafiła zmieścić w wizji ich wspólnej przyszłości jego marzenia o otwarciu przenośnego baru z sziszami.

Mowa zakończyła się niezręcznie, wszyscy go przekonywali, że oczywiście powinien wejść w branżę fajek wodnych. Ja natomiast uczepliłam się jednego godnego zapamiętania zwrotu: zmieniać się wspólnie, ramię w ramię.

Coś w tym jest. Nicholas i ja z pewnością nie zawsze pozostajemy w pełnej harmonii – on jest introwertykiem i cynikiem, ja optymistką. On uważa ludzi za winnych, dopóki nie udowodni im się niewinności, ja się zaprzyjaźniam, z kim tylko się da. Ale wspólna zmiana? W tym jesteśmy dobrzy.

Oliver, Nicholas i mój tata pograżyli się w marcowym szaleństwie, kibicując Hoyasom. Nicholas i Oliver wrzeszczeli i pohukiwali, tata natomiast okazywał entuzjazm na własny niecodzienny sposób. Ponieważ nie był w stanie nawet pisnąć bez przykładania małej pałeczki do gardła, po prostu nacisnął guzik na swojej krtani elektronicznej, a ta zaczęła bzyceć jak maszynka elektryczna. Dzieci ochrzciły to urządzenie Buzzem Astralem.

Mama i ja byłyśmy w kuchni, wycierałyśmy blaty i przygotowywałyśmy zielone cannoli na deser. (W marcu w hrabstwie Essex wszyscy są Irlandczykami,

nawet włoscy piekarze).

– Mamo, Will się odzywał?

Pokręciła głową i jej ametystowe kolczyki cichutko zadźwięczały.

– Od tygodni cisza. Wiem, że chłopcy przygotowują się do recitalu, więc pewnie wszyscy są zajęci.

Moi bratankowie to muzyczne cudowne dzieci. W ojca to oni się pod tym względem nie wdali. W ich wieku mój brat był umorusanym nicponiem, który jeździł na rowerze, grał w baseball i lubił dawać innym wciry. Jego umiejętności muzyczne ograniczały się do przeciągania struny, kiedy wiązał mnie do słupa na tyłach domu.

Mama uniosła wzrok znad zlewu.

– Jak twoim zdaniem on wygląda?

– Kto? – Oczywiście wiedziałam, że już nie rozmawiamy o Willu.

– Tata. Nie sądzisz, że jego cera ma dziwny kolor?

– Nie, mamo. Uważam, że wygląda super.

– Na pewno? Nie jest żółtawa?

– Na pewno. Wygląda dobrze.

Tak zwykle wyglądała ta wymiana zdań. Tata pozbierał się po początkowej depresji wywołanej diagnozą wraz z towarzyszącym jej leczeniem, które zupełnie zmieniło jego życie. Został zmuszony do przejścia na emeryturę – jaka korzyść z prawnika niemogącego mówić? Teraz jego dni były wypełnione pracami w ogrodzie, ćwiczeniami, gazetami, kryminałami, krzyżówkami i wnukami. Dla moich dzieci i bratanków jego głos Dartha Vadera był równocześnie przerażający i fascynujący. Ubłagali go, żeby w Halloween przyszedł do nas i otwierał drzwi przebierańcom domagającym się cukierków.

Mama nadal pełniła straż na wieży wartowniczej, nieustannie obserwując horyzont w obawie przed wrogiem. Nad wszystkim miała kontrolę: zorganizowała tacie witaminy, leki, rurki do stomii i preparaty diabetyczne. Co wieczór ładowała Buzza po swojej stronie łóżka i z samego rana kładła go na poduszce taty, tak więc odzyskiwał głos, zanim jeszcze otworzył oczy.

Zwykle byłam razem z nią, bacznie przyglądałam się tacie, szukając oznak nawrotu, ale teraz za bardzo martwiłam się o męża i dzieci. Jeśli chodzi o przyszłość, przez dwa miesiące będziemy mieli wypłatę z Sutherland i Courtfield. Później pozostanie nam polegać na oszczędnościach i moim marnym wynagrodzeniu do czasu, gdy nowa firma Nicholas'a zacznie działać na pełnych obrotach. Oczywiście nie mogłam powiedzieć o tym rodzicom, dałam słowo Nicholasowi. Presja zaczęła działać.

Do: alice.pearse@gmail.com

Od: pearseparents@gmail.com

Droga Alice,

mam nadzieję, że wybaczysz mi wścibstwo, wiem, że w poniedziałki masz sporo na głowie z pracą i dziećmi. Zupełnie nieoczekiwanie odezwał się mój stary przyjaciel John Enzo i przekazał zaskakującą nowinę, że z końcem miesiąca Nicholas odchodzi z Sutherland i Courtfield. To prawda? I zamierza otworzyć prywatną kancelarię tutaj, w New Jersey?

Alice, ChWD! (Przepraszam, właśnie się tego skrótu nauczyłem).

Ale mówiąc poważnie, mam nadzieję, że wiesz, że nie wtrącam się w życie swoich dzieci. Bardzo mi przykro, że poruszam ten temat w mejlu, ale wzięwszy pod uwagę moje ograniczenia w porozumiewaniu się, tak jest najrozsądniej.

Dlaczego nie powiedziałaś o tym mnie i mamie? Nie zapominaj, Alice, ja też pracowałem w kancelarii. Wiem, czasy były inne, ale pamiętam, jak było ciężko i jak rzadko widywałem Ciebie i Willa.

Obawiam się, że wyzwania związane z otwarciem własnej firmy okażą się jeszcze bardziej obciążające. Wybacz, że pytam bez ogródek, ale czy macie dość oszczędności, żeby wystarczało na pokrycie spłat hipoteki, dopóki pieniądze nie zaczną spływać? Czy Nicholas ma swoich klientów? Będą płacić z góry? Niewykluczone, że nawet w najlepszym układzie przez trzy–sześć miesięcy nic nie zarobi.

Zastanawiam się, czy rozważylibyście pożyczkę od nas. Na przykład moglibyśmy płacić Jessie.

Raz jeszcze przepraszam, że wtrącam się w Twoje sprawy osobiste. Szanuję Twoje decyzje i oczywiście decyzje Nicholasa.

Byłbym wdzięczny, gdybyś w wolnej chwili przesłała mi najnowsze informacje.

Całusy,

Tata

PS. Twoja mama mówi, że powinienem pilnować własnego nosa.

„Inne czasy” – ha! Kiedy mój tata był szeregowym pracownikiem kancelarii, dyktafony i teleksy były szczytem techniki. Smartfony nie istniały, nikt nie wychodził z pracy z biurem w kieszeni. Pamiętałam, jak tata pracował w salonie, używając aktówki jako prowizorycznego biurka, ale nikt się nie spodziewał, że

będzie osiągalny o trzeciej nad ranem przez mejle, komunikatory, esemesy albo FaceTime. Nigdy nie musiał stać za linią boiska podczas meczu baseballowego mojego brata, szepcząc z furią do małego metalowego prostokąta, który był jak członek rodziny. Jego dzień pracy w jakimś momencie się kończył – w przeciwieństwie do dnia pracy Nicholasa, zlewającego się z weekendami i wakacjami w zależności od kaprysów Wina Makepeace’a, który strzelał palcami w swoim weekendowym domu w Watch Hill trzy stany dalej i niweczył nasze plany.

Zaznaczyłam temat wiadomości taty – „Nowiny?” – i kliknęłam ikonę kosza w lewym górnym rogu ekranu. Technologia potrafi być taka wygodna.

Do: alice.pearse@gmail.com

Od: pearseparents@gmail.com

Droga Alice,

upewniam się, czy otrzymałaś mojego wcześniejszego mejla. Z tym nigdy nic nie wiadomo. Zauważyłem, że polubiłaś jedno ze zdjęć Willa na Facebooku, więc zakładam, że miałaś okazję się zalogować. Tak czy owak, odpowiedz, dobrze?

Całusy,

Tata

Jeśli nie odpowiem na drugiego mejla taty, mogę się spodziewać listu poleczonego. Jak wszyscy prawnicy z jego pokolenia tata bardzo poważnie traktował korespondencję.

Do: pearseparents@gmail.com

Od: alice.pearse@gmail.com

Tato,

dostałam Twoje wiadomości. Rozumiem Twoje niepokoje i zapewniam, że wszystkie te kwestie przedyskutowaliśmy z Nicholasem. Na szczęście dom nie jest wyłącznie na jego utrzymaniu, nadal będziemy mieli moją pensję, dlatego nie musimy pożyczać. (Bardzo proszę, nie poruszaj tej kwestii z Nicholasem, byłby zdruzgotany). Oczywiście jesteśmy realistami i wiemy, że trzeba będzie ograniczyć wydatki, ale zamierzam pomóc Nicholasowi w ułożeniu sobie życia zawodowego tak, żeby dało mu ono szczęście i spełnienie, a także pozwoliło spędzać więcej czasu w domu. Ludzie w naszych czasach nie zostają w tej samej pracy do końca życia – to cecha charakterystyczna dla pokolenia X. Dzięki za zainteresowanie.

Kocham cię,
Alice

Poruszyłam niebo i ziemię, jak to robimy, szukając nowej pracy. Sporządziłam listę wszystkich znajomych, którzy, moim zdaniem, mogliby pomóc, chociaż powstrzymałam się od nazwania ich „kontaktami”, bo wiele z nich to po prostu znajome, kilka razy spotkałam się z nimi na lunchu, wymienialiśmy się uwagami o książkach, mężach i sklepach, gdzie można kupić džinsy z normalnym stanem, w których nie wygląda się mamuśkowato.

Ton moich mejli był lekki: „Zaczynam się zastanawiać nad nowymi możliwościami, więc bardzo chętnie umówiłabym się na rozmowę o jakiejś fajnej pracy w [wstaw tytuł czasopisma, dziennika, nazwę wydawnictwa, strony internetowej]”. Pierwszą odpowiedź dostałam od starej przyjaciółki, która niedawno została naczelną portalu Mama.com: „Strzał w ciemno: jesteś w ciąży albo zastanawiasz się nad adopcją? Szukamy blogerki, która spodziewa się dziecka. Wynagrodzenie marne, ale możemy dorzucić darmowe produkty i książeczki dla dzieci...?”.

Znajomy z pociągu zaproponował, żebyśmy wieczorem spotkali się w trzecim wagonie i pogadali o pracy w jego firmie reklamowej. Kiedy dojechalśmy do Filament, prawie spałam.

Daleka kuzynka Nicholasa pytała, czy mam doświadczenie w pisaniu gazetek reklamowych, bo Nabisco szukało kogoś, kto zapozna klientów z nową linią energetyzujących herbatników. Nie, dziękuję.

Najbardziej interesujący trop dostałam od koleżanki z college’u. Skontaktowała mnie ze swoim kuzynem, dyrektorem dobrze znanej prywatnej szkoły. Szukał korepetytorów, którzy uczyliby kandydatów na studia pisania wypracowań. W krótkiej rozmowie telefonicznej dowiedziałam się, że mogę zarobić do trzech tysięcy dolarów od osoby. Praca wydawała się prosta, ale odbiliśmy się od ściany, kiedy streściłam ostatni list czytelniczki redagowany przeze mnie dla „You”. Była to poruszająca wypowiedź kobiety cierpiącej na trichotillomanię, chorobę polegającą na wrywaniu i zjadaniu brwi. Dyrektor odchrząknął: „No cóż, obawiam się, że tego rodzaju materiały raczej nie przypadną do gustu władzom college’ów”.

Kolejne drzwi się zamknęły.

Pewnego przedpołudnia siedziałam przy biurku w „You”, układając książki w stosy jak krupier przy stole do blackjaka: poważne powieści, zabawne powieści, dramatyczne pamiętniki, dowcipne pamiętniki, kryminały do wysłania tacie,

książki kucharskie do schowania pod biurko do czasu aukcji bożonarodzeniowych albo szkolnych, kiedy zostaną spakowane do koszyków razem z kompletem desek do krojenia. Zabijałam czas przed zebraniem, czekając na nieuchronnie lekko spóźnionego mejla od asystentki naszej naczelnej o następującej treści: „Jest gotowa. Czekaj w gabinecie”.

Nagle w mojej poczcie pojawiło się obce nazwisko. Nie było w tym nic niezwykłego, co najmniej połowę mejli dostawałam od autorów, których nie znałam, przysyłających książki albo artykuły na tematy absolutnie niemieszające się w profilu „You”: porady kosmetyczne dla starszerek, rządowe programy szpiegowskie, *Dziesięć najlepszych sposobów na uszczelnienie wanny*. Zazwyczaj nawet nie otwieram tych wiadomości, ale mejl od Genevieve Andrews zaintrygował mnie tematem: „chcesz tworzyć przyszłość księgarń?”.

Małą literą.

Hm, tak.

Kliknęłam. Przeczytałam:

Do: alice.pearse@gmail.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

Droga Alice:

mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, że tak nagle się do Ciebie odzywam. Obserwujemy się wzajemnie na Twitterze, gdzie zawsze czekam na Twoje opinie o tym, które z książkowych nowości warto przeczytać. Piszę, ponieważ rozpoczęłam pracę jako szefowa nowojorskiego oddziału Scrolla i chcę zatrudnić miłośników książek o otwartych umysłach, aby zapewnić naszym klientom niezapomniane doświadczenia czytelnicze. Jeśli chciałabyś się dowiedzieć więcej, proponuję spotkanie na kawie w Shakespeare’s Sister (oddział w SoHo) w przyszły piątek o 16.00.

Pozdrawiam,

Genevieve Andrews

Wyobraźcie sobie, że ktoś was odkrył akurat na Twitterze! Nie mogłam się doczekać, kiedy powiem o tym Nicholasowi, który uważał, że media społecznościowe to straszna strata czasu.

Powędrowałam na kolegium pełna optymizmu i dobrej woli. Podczas gdy reszta redakcji rozłożyła się wygodnie na sofach w gepardzie cętki i wesoło dyskutowała o zaletach płukania gardła olejem kokosowym przez dwadzieścia minut dziennie, ja siedziałam na podłodze i snułam marzenia o zostaniu miłośniczką książek o otwartym umyśle.

Jasne, pamiętałam Scroll, niedawno pisano o nim na pierwszej stronie „New York Timesa”. Wielki artykuł z analizą w dziale gospodarczym o gigancie handlu detalicznego MainStreet z Clevelandu, który poszerza działalność o księgarnie internetowe. Przebiegłam po nim wzrokiem, jedząc jogurt, teraz przeczytałam go uważnie, kiedy czekałam na pociąg do domu.

MainStreet to rodzinna firma należąca do braci Rockwellów, Sama i Dana, ulubieńców Wall Street z powodu niespodziewanego sukcesu ich sieci eleganckich podmiejskich centrów handlowych. Moi teściowie Judy i Elliott mieszkają pod Clevelandem koło Heritage Towne, pierwszego z kilkunastu „centrów stylu” naśladujących atmosferę dawnych sklepów z rodzinnego miasteczka, które z ich powodu przestały istnieć. Brukowane alejki z lampami gazowymi łączą restauracje Johnny Rockets z Hollisterem, punkty ładowania telefonów komórkowych mieszczą się w staroświeckich budkach telefonicznych, łatwo wpadające w ucho wykonania folkowych przebojów towarzyszą aż na sam koniec parkingu tym śmiałkom, którzy zrezygnowali z usługi podstawienia samochodu. W Heritage Towne są: siłownia, kino, sala koncertowa, ośrodek medyczny i własny sklep Whole Foods. Obok powstaje osiedle mieszkaniowe.

Według artykułu w „New York Timesie” do tego imperium dołączył trzeci brat. Pod jego egidą MainStreet otworzy w całym kraju sieć salonów Scroll, które „wymyślą księgarnie na nowo”, jak stwierdził niepodany z nazwiska rzecznik firmy. Klienci będą przeglądać e-booki na tabletach, a potem ładować pliki bezpośrednio na własne urządzenia. Plany przewidują kawiarnie serwujące kawę z certyfikatem sprawiedliwego handlu oraz przyjazne środowisko meble z surowców wtórnych.

Scroll będzie miał swoją siedzibę w Nowym Jorku, „epicentrum literackiego wszechświata”. Ofertą e-booków zajmą się najbystrzejsi, nastawieni prospołecznie kreatorzy gustów w branży, a strona Scrolla będzie połączona ze stroną MainStreet, co umożliwi klientom kupno, powiedzmy, taczki razem z poradnikiem ogrodniczym.

„Jak ujął to Cervantes, granicą jest tylko niebo” – powiedział rzecznik.

Interesujące, pomyślałam, szukając na wielkiej tablicy na Penn Station numeru peronu. Zostanie kreatorem gustów brzmiało zachęcająco. I byłam nastawiona prospołecznie – w końcu od sześciu lat z rządu współorganizuję imprezę sąsiedzką na Flower Street.

W pociągu ponownie przeczytałam mejla od Genevieve. Nie chciałam rozbudzać w sobie nadmiernych nadziei, ale przyszłość zaczynała wyglądać jaśniej. Pora była niemal zbyt dobra, żeby to wszystko mogło być prawdziwe.

Mój pierwotny plan na życie po ukończeniu college'u zakładał spędzenie lata w Vermoncie, a potem przeprowadzkę do Nowego Jorku i znalezienie pracy w wydawnictwie. Po dyplomie dzieliłam dom z siedmioma kobietami (nie dziewczynami, tę kwestię stawiałyśmy jasno). Wszystkie pracowałyśmy jako kelnerki i snułyśmy marzenia o posadzie asystentki redaktora, uwielbiałyśmy Mary Cantwell, Sylvię Plath, Joan Didion. O drugiej w nocy liczyłyśmy napiwki na kuchennym stole, planując życie w Nowym Jorku, który według nas był dziwaczną, staromodną mieszanką bitnikowskiej Greenwich Village i plastrów sera w restauracji Automat.

Tymczasem mój brat właśnie zaczął staż jako analityk w banku Lehman Brothers. W wolnym czasie, a miał go mało, jeździł na rolkach po Central Parku i podrywał laski w trakcie *happy hours*, które w South Street Seaport przypadają o zachodzie słońca. Na moim rozdaniu dyplomów wziął mnie na bok i powiedział: „Alice, wiem, że chcesz zostać poetką, ale musisz znaleźć sobie taką pracę, która da ci pieniądze. To jedyny sposób na to, żeby się dobrze bawić w Wielkim Jabłku!”. Wersja Nowego Jorku Willa była tą, której za wszelką cenę chciałam uniknąć.

Pewnego wieczoru wróciłam do domu z wizytówką sympatycznego klienta; okazał się redaktorem, którego kolega szukał asystentki. Wizytówka była wilgotna, bo spoczywała na mojej tacy podczas roznoszenia niezliczonych kolejek piwa marki Otter Creek Copper Ale, ale moje współlokatorki przekazywały ją sobie przy stole i podziwiałały.

– Alice, jesteś ustawiona. Jeśli dostaniesz tę pracę, znajdziesz się w towarzystwie literatów, a my dalej będziemy uzupełniały zapasy grzanek i zawijały sztuce w serwetki.

Pojawił się Nicholas, pachnący popcornem z kina, gdzie pracował jako operator, i ktoś podsunął mu wizytówkę.

– Popatrz, twojej dziewczynie się udało.

– Naprawdę? To super! – Uśmiechnął się, przyglądając się wizytówce. Już wtedy zwracał uwagę na drobny druk. – Dostała się do... wydawnictwa podręcznikowego?

Okej, może nie będę pracowała z Anne Taylor czy Isabel Allende. Chodzi o to, żeby przetrzeć szlak.

Wizytówka była przepustką do rozmowy, rozmowa – do propozycji pracy od wydawcy podręczników obejmującej ubezpieczenie zdrowotne i dwa razy w miesiącu pensję w wysokości sześciuset czterdziestu dziewięciu dolarów – wystarczało akurat na dwie garsonki z Label for Less, torbę ze sztucznej skóry ze

Strawberry, roczny zapas makaronu organicznego i pozbawiony okna i szafy pokój nad psim zakładem kosmetycznym Let's Pet Dog Grooming w Cobble Hill. Moje życie w Nowym Jorku oficjalnie się rozpoczęło.

Od podręczników dla inżynierów przeszłam do kalendarzy kartkowych: psy, koty, horoskopy, wersety z Biblii, samochody, wiersze układane z magnesów. W tej pracy w bolesny sposób nauczyłam się zwracania uwagi na szczegóły – gdyby nie czujne oko korektora, w kalendarzu Sagittariusza na rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty walentynki przypadłyby na piętnastego lutego – i zgromadziłam zapas hasel krzyżówkowych i bezużytecznych informacji na całe życie. Kot z dodatkowymi palcami? Polidaktyl. Planeta rządzona przez Ryby? Neptun. Pierwszy model samochodu z kompasem na desce rozdzielczej? Templar Touring Roadster.

Z kalendarzy przeniosłam się do czasopism, gdzie byłam szczęśliwa. Uwierzcie mi, dla świeżo zaręczonej dziewczyny nie ma lepszego miejsca pracy niż czasopismo dla kobiet. Ciągłe piski! Niekończące się podziwianie brylantu ze szlifem szmaragdowym! Przyjęcie z niesamowitym tortem maślanym, szampanem Veuve Clicquot i kuponem na masaż dla par w Bliss!

Nadal jednak pozostawałam na obrzeżach świata zawodowego, którego częścią miałam nadzieję się stać. Kiedy w podziemiach księgarni Coliseum Books z egzemplarzem *Dziennika Bridget Jones* w dłoni stałam w kolejce po autograf Helen Fielding, wpatrywałam się nie w tę szalenie dowcipną pisarkę, ale w stojącą po jej lewej stronie młodą kobietę w swetrze, redaktorkę. Jak to jest być osobą wybierającą książki, które czytelnicy pokochają, kupią dla swoich matek i będą długo pamiętać, tak samo jak się pamięta wyśmienity posiłek?

Nicholasa bardzo ożywił mejl od Genevieve – i rozbawił sposób, w jaki mnie znalazła.

– Może jednak Twitter nie jest całkiem bez sensu – przyznał niechętnie. – No i Scroll! To podobno ma być świetna firma.

– Mówisz tak, bo jesteś z Clevelandu.

Bracia Rockwellowie też są stamtąd. W każdym wywiadzie dla „Fortune” albo „Businessweek” rozwodzą się poetycko o jedzeniu frytek w Yours Truly na Shaker Square (nie chcecie wiedzieć) i corocznym oglądaniu *Prezentu pod choinkę*, nakręconego w dzielnicy Tremont, mimo że filmowa rodzina mieszka w północnej Indianie. Jedną kwestię bracia wygłaszają zawsze bez zmian: „Kiedy postanowiliśmy założyć naszą firmę handlową, tylko jedno miejsce wchodziło w grę: Cleveland. Dla nas tam się zaczyna MainStreet”.

– Myślisz, że dostanę zniżkę pracowniczą do wszystkich sklepów MainStreet czy tylko do Scrolla? – Jechaliśmy w górę Bloomfield Avenue do sąsiedniego

miasteczka, gdzie zamierzaliśmy obejrzeć lokal na kancelarię Nicholasa. On chciał od razu coś wynająć, ja uważałam, że dopóki firma nie okrzepnie, powinien urządzić się w piwnicy.

– Alice! Nie tak szybko. Na razie spotykasz się z tą kobietą na kawie; to znaczy jestem przekonany, że będzie chciała cię zatrudnić, ale na razie sprawa nie jest załatwiona.

– Wiem. Ciekawe, co Genevieve chce, żebym u nich robiła.

– Niedługo się dowiesz. A właśnie: chyba nie masz nic przeciwko temu, że powiedziałem twojemu tacie o tej rozmowie o pracę w Scrollu. – Nicholas skierował accorda na parking za sklepem z bajglami i meksykańską restauracją. – Jesteśmy na miejscu.

Spojrzałam na stiukową fasadę budynku będącego przeciwieństwem szklanego drapacza chmur, z którego odchodził, i położyłam mu dłoń na ramieniu.

– Poczekaj, co? Przecież przed chwilą sam stwierdziłeś, że to tylko kawa, nie rozmowa o pracę. Dlaczego wplątałeś w to mojego tatę?

Nicholas się skrzywił.

– Przepraszam, próbowałem udzielać mi rad. Zupełnie nie rozumiałem, o czym mówi, więc... tak mi się palnęło. – Przerwał, by odpiąć klucz od karabińczyka przymocowanego do szlufki. Ten widok podziałał na mnie przynębiająco, przypomniał mi o tuzinach breloków dyndających na zamkach błyskawicznych przy plecakach naszych dzieci. – A poza tym tata bardzo się ucieszył, Al! Naprawdę się ucieszył. To był dobry sposób na uniknięcie tej dziwacznej serdecznej pogawędki o mojej przyszłości.

– Tata nie jest typem od serdecznych pogawędek i dobrze o tym wiesz. On po prostu chce być na bieżąco.

– I w tym problem. Bo ja nie chcę, żeby właśnie teraz był na bieżąco, dobra?

– Mrużąc oczy, Nicholas spojrzał przez okno samochodu na witrynę meksykańskiej restauracji, gdzie dwóch mężczyzn usuwało pestki z góry owoców awokado. – Wolałbym nie wchodzić w szczegóły, dlaczego zwalniam się z Sutherland i Courtfield. Rozumiesz to, prawda?

– Jasne. Dobra. Chodźmy obejrzeć twoją nową siedzibę.

Prawdę mówiąc, miałam sporo przeciwko temu, że Nicholas wziął na swoje barki obowiązek przekazania tacie wiadomości o rozmowie z Genevieve. Przynajmniej jednak się dowiedziałam, dlaczego w porannym zalewie mejli od niego były dwa artykuły o MainStreet, jeden z „Forbesa”, drugi z „Wealth”. Nie do wiary, jacy ci bracia Rockwellowie są młodzi! W okularach marki Warby Parker i koszulach Hugo Bossa wyglądali jak chłopcy przebrani za biznesmenów.

Minęliśmy kontener na śmieci, z którego wysypywały się kartonowe opakowania, i weszliśmy przez drzwi podparte cegłą owiniętą taśmą.

– Tu potrzeba wyobraźni – wyjaśnił Nicholas. – Lokal jest zupełnie pusty,

ale ma potencjał.

Przywołałam na twarz uśmiech wyrażający wsparcie i ruszyłam na obchód nowego biura. Płytki podłogowe były poplamione, szafki na dokumenty wyglądały, jakby uratowano je z planu filmu *Od dziewiątej do piątej* z lat osiemdziesiątych, ale światło było dobre, a widok na drapacze chmur bezkonkurencyjny, mimo że sprawiały one wrażenie niewiarygodnie odległych.

Nadal zaskakiwało mnie, że mieszkam na tym brzegu Hudsonu. Dla mnie, wychowanej w New Jersey, Nowy Jork był prawdziwą północą, miejscem, którego się wypatruje z najwyższego punktu w mieście. Dla pochodzącego z Clevelandu Nicholasa to miasto było trochę jak kraina Oz. Kiedy pierwszy raz jechał metrem, kupił dodatkowy żeton i posłał mamie.

Właściwie nie tęskniłam za metropolią, ale kręciło mi się w głowie na myśl o drodze, którą przeszłam: po college'u mieszkałam w East Village i spędzałam czas w restauracji Veselka, potem byłam mamą z przedmieścia z torbami Gourmet Garage wiszącymi na uchwycie dziecięcego wózka, a teraz dojeżdżałam z Filament i w centrum radziłam sobie z tłumami. Niezależnie od tego, jak pewnie zmierzałam do redakcji przy Times Square, zawsze zaczepiał mnie przedstawiciel Big Apple Bus Tours, proponując zniżkę:

– Polecam bilet całonocny! Obejmuje Cloisters, Statuę Wolności...

– Ja tutaj mieszkam – odpowiadałam, mijając go władcym krokiem Anny Wintour, o ile Anna Wintour nosi płaszcz przeciwdeszczowy ze Strawberry.

Pewnego wieczoru rok po naszym ślubie spotkałam się z Nicholasem po pracy w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej na letniej imprezie dla pracowników jego kancelarii. Szefowie różnych grup wygłaszali mowy, serwowano drinki o znaczących nazwach w rodzaju „biegły sądowy” i „ślepa sprawiedliwość”. Rzeźba lodowa do nalewania alkoholu była większa niż całe nasze mieszkanie.

Nicholas przepychał się do baru, a ja podeszłam do trzech mężczyzn w surduty w stylu Nehru, którzy wyglądali dostatecznie przyjaźnie.

– Dzień dobry, jestem Alice Pearse, żona Nicholasa Bauera.

Wyraźnie się zdziwili, to rzecz dość częsta u pracowników Sutherland i Courtfield, kiedy mają do czynienia z żoną, która nie przyjęła nazwiska męża. Jeden odpowiedział:

– Dzień dobry. Potrzebuje pani serwetki?

– Nie, dziękuję, wszystko mam. Więc... jesteście panowie z działu upadłości?

– Nie, jesteśmy z firmy cateringowej.

– Och. Bardzo mi się podobają panów surduty.

Nagle poczułam na ramieniu bardzo silną dłoń. Okręciłam się na pięcie

i zobaczyłam Wina Makepeace'a, szefa działu upadłości, górującego nade mną z miną wyrażającą samozadowolenie.

– Alice, czy to ty? Pozwólmy, żeby ci dzentelmeni wrócili do kanapek. Chodź, poznaj moją żonę Lucinę. Właśnie przeszła na dietę South Beach, więc na pewno będziecie miały wiele do obgadania.

Win poprowadził mnie w kierunku kruchej blondynki z nienaturalnie gładką cerą i puszystymi włosami, a ja pomachałam palcami do tamtych trzech. W odpowiedzi współczująco się uśmiechnęli. Przypuszczalnie prawnicze życie zbijało ich z tropu tak samo jak mnie.

Nicholas i ja wyszliśmy jako ostatni. Stopy potwornie mnie bolały, usiedliśmy więc na schodach biblioteki między marmurowymi lwami, Cierpliwością i Męstwem. Nicholas wciąż się zaśmiewał z mojej gafy.

– Skąd niby miałam wiedzieć? To byli najsympatyczniejsi ludzie w całej sali!

– Właśnie, i to powinno od razu ci uświadomić, że nie są z Sutherland i Courtfield!

Oparci wygodnie o siebie, rozkoszowaliśmy się ciepłym wiatrem i nieoczekiwaną chwilą spokoju na Piątej Alei. Przez cienki materiał spódnicy czułam chłód schodów. Obserwowałam ulicznych sprzedawców cicho pchających swoje zamknięte kramy w kierunku Dziesiątej Alei, później przeniosłam wzrok na eleganckie łuki na szczycie Chrysler Building.

– Nicholas, wiesz, że cię uwielbiam, prawda?

Najpierw był zaskoczony, potem zadowolony.

– Alice, ja też cię uwielbiam.

– Świetnie. Skoro to sobie wyjaśniliśmy, muszę ci coś powiedzieć.

– Naprawdę? – Spojrzał na mnie i na jego twarzy zamiast odprężenia i zadowolenia w ułamku sekundy pojawiły się czujność i ekstaza. – No nie. Jesteś?

– Jestem!

– Na pewno?

– Na pewno. Zrobiłam sobie test. A właściwie dwa.

– Teraz?

– Pomyślałam: po co czekać?

– Zaraz, chcesz powiedzieć, że zrobiłaś test ciąży w środku imprezy powitalnej dla letnich stażystów?

– Uznałam, że biblioteka to równie dobre miejsce jak każde inne.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Kochaliśmy Corneliusa, którego wspólnie zaadoptowaliśmy, dlatego podjęliśmy błyskawiczną decyzję o powiększeniu rodziny. Sądziliśmy, że rodzicielstwo nie może się jakoś szczególnie różnić od opieki nad psem. Nie muszę wyjaśniać, ile razy od tamtego czasu dziwiliśmy się własnej naiwności.

– Och, Alice. – Nicholas wtulił twarz w moje ramię. Przez minutę wydawało mi się, że płacze, dopiero później uświadomiłam sobie, że dygocze, z podniecenia, pomyślałam, a może ze strachu. – Dziecko! Będziemy mieli malutkiego nowojorczyka!

Wyobraziłam sobie kilkulatka z okrągłym brzuszkiem w gumowcach żabkach, kręcącego się w błękitnej poświacie pod wielorybem w Muzeum Historii Naturalnej.

To był kolejny początek, najlepszy. Zakochanie się i pobranie były niczym w porównaniu z Margot.

Kiedy Margot miała pięć lat, a Oliver trzy, przenieśliśmy się z dwupokojowego mieszkania do Filament. Chcieliśmy mieć więcej przestrzeni, a przy opłatach za przedszkole i ratach kredytów studenckich Nicholasa coraz trudniej nam było regulować rachunki. Wydawało się, że warto zapłacić cenę w postaci codziennych dojazdów za ganek i ogrodzone podwórko dla Corneliusa, nawet poznaczone korzeniami derenia, które korzystanie z wodnej zjeżdżalni Slip’N’Slide zamieniły w igranie ze śmiercią.

Ale tym, co ostatecznie mnie przekonało do naszego rozpadającego się domu, była bliskość księgarni Niebieska Sowa. Kiedy po raz pierwszy tam poszliśmy, stanęłam w drzwiach i powiodłam wzrokiem po krokwiach pod sufitem, autografach miejscowych pisarzy na ścianach, po stołach, na których wznosiły się stosy nie tylko bestsellerów, ale też albumów o sztuce, książek podróżniczych i kucharskich, tomików wierszy. Cała ściana była poświęcona wydawnictwom dotyczącym New Jersey: restauracje, latarnie morskie, wesołe miasteczka, rezerwat Pine Barrens, autostrada Garden State Parkway, wybrzeże. Znalazłam tam nawet biografię Thomasa Edisona dla dzieci i kartonową książeczkę o pomidorach z Jersey. Przypomniałam sobie, jak mama opowiadała o swoim oszołomieniu na widok rozet w katedrze w Chartres. Dokładnie to samo poczułam, kiedy po raz pierwszy przestąpiłam próg Niebieskiej Sowy.

Tamtego dnia kupiłam książkę o pomidorach, nową *Nutshell Library* (nasza została doszczętnie zżuta przez ludzi i psa) oraz dwa egzemplarze *Goldilocks and Three Dinosaurs* Mo Willemsa – jeden do naszego nowego domu, drugi dla moich rodziców.

Rudowłosa kobieta za kasą powiedziała:

– Nigdy za dużo Mo Willemsa. „Jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w niewłaściwej opowieści, wyjdź z niej”. W tej książce tak mówi, prawda?

– Tak! To jedna z moich ulubionych. Pewnie się pani domyśla.

Z księgarni poszliśmy z Nicholasem na inspekcję domu; usłyszeliśmy wszelkiego rodzaju ponure ostrzeżenia o szkodach wyrządzanych przez termity

i wilgoci w piwnicy. Wziąwszy pod uwagę, jak niewielka odległość dzieliła te problemy od księgarni, nic nie było mnie w stanie skłonić do targowania się o cenę wyjściową.

Rudowłosą w Niebieskiej Sowie była Susanna, chociaż tak naprawdę poznałam ją dopiero rok później, po narodzinach Georgie. Do tego czasu już się przyzwyczaiłam do rytmu życia na przedmieściach i byłam wdzięczna za luksusy takie jak wskakiwanie do samochodu po wyjściu z kina w mroźny wieczór albo popijanie sauvignon blanc na ganku, podczas gdy dzieci krążą po sąsiednich podwórkach. Nadal tęskniłam za miejskimi placami zabaw, bo nawiązywanie przyjaźni w Filament przypominało nieco umawianie się na przypadkowe randki – miało się nadzieję, że osoba, z którą się umówiło, zadzwoni, ale równie dobrze mogła się nie odezwać. Mamy były sympatyczne, chętnie się dzieliły zbiorami ze swoich spółdzielczych farm i namiętnie sprawdzały elektryków, ale żadna z tych znajomości się nie rozwinęła. Bałam się, że będę musiała urządzać proszoną kolację, żeby znaleźć bratnią duszę.

A potem podczas zajęć muzycznych rozległ się alarm pożarowy i na parkingu przed YMCA wpadłam na Susannę. Zamiast czekać na zielone światło i wrócić na miejsce w sali gimnastycznej, wybrałyśmy ten sam moment, żeby uciec przed hordą znudzonych niemowląt i wyczerpanych dorosłych potrząsających plastikowymi marakasami.

– W życiu tu nie wrócę – mruknęłam do Susanny, która dołączyła do mnie, jakby wyczuwając bratniego mola książkowego.

– Ja też nie. To moje trzecie dziecko! Nie mam czasu bawić się bongosami. – Była o głowę wyższa ode mnie i chodziła z gracją kobiety, która wychowała się koło drążka w sali tanecznej. Trzymała Violet bez wysiłku, jak bardzo lekką torbę z zakupami. Violet z policzkiem opartym na ramieniu mamy popatrzyła na Georgie w wózku i wymieniła z nią bezzębny uśmiech.

Dość szybko wszystkie cztery umościłyśmy się wygodnie w boksie restauracji. Niemowlęta wierciły się na krzeselkach, miażdżąc herbatniki na proch, a my rozmawiałyśmy przy pierwszej z setek filiżanek kawy (czarna dla mnie, z mlekiem i dwiema kostkami cukru dla niej), wypijanych w naszych kuchniach, na zebraniach Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, na ławkach podczas treningów pływackich starszych córek. Violet i Georgie rosły razem: najpierw przypinałyśmy je obok siebie w fotelikach, później stawiały pierwsze kroki w salach zabaw, gdzie kłóciły się jak przekupki o zabawki, zastawy do herbaty, miniroboty Hexbug i o to, która z nich będzie mamą.

W tym samym czasie Susanna i ja poznawałyśmy wzajemnie swoje dzieje: opowiadałyśmy o chłopakach w czasach college’u, zwierzętach z dzieciństwa,

metodach wychowawczych stosowanych przez naszych rodziców. Wiedziałam, że w ostatniej klasie liceum Susanna dochodziła do siebie po operacji skoliozy i że jej rodzice powiedzieli dzieciom o rozwodzie w drodze do domu z parku rozrywki Rye Playland. Nasi mężowie co roku jesienią jeżdżą na biwak, nasze dzieci są przyszywanymi kuzynami. Kiedy u Paula, męża Susanny, zdiagnozowano mięsaka tkanki miękkiej, zorganizowałam dostawy jedzenia i pilnowałam, żeby ich dzieci miały codziennie co robić po szkole. Pewnego dnia czteroletni Judd powiedział: „Proszę, zawieź nas dzisiaj do domu. Rak nie jest zaraźliwy”.

Miesiąc po ostatniej terapii onkolog stwierdził, że Paul jest czysty, i Susanna urządziła przyjęcie w Niebieskiej Sowie, żeby to uczcić. Oboje z szerokimi uśmiechami krążyli wśród ucieszonych przyjaciół i sąsiadów, a dzieci zapewniały podkład muzyczny, z całej siły waląc w ksylofon w dziale dziecięcym w głębi księgarni. My z Nicholasem roznosiliśmy kawałki pizzy ze Star Tavern i plastikowe kubki z szampanem. Chwytałam przy tym urywki rozmów: „Paul dobrze wygląda, Susanna jest taka silna. Ta rodzina wróciła z piekła, niech Bóg ją błogosławi”. Niemal się rozplakałam, kiedy ojciec Paula przerwał w pół zdania, ujął twarz syna i mocno ucałował go w oba policzki. „Mój synek” – powiedział.

Tłum się rozproszył i zabraliśmy dzieci. Ze swoimi ciemnymi włosami i jasną cerą wszyscy troje przypominali mi postacie z baśni, nieco eteryczne, choć na tyle sprytnie, żeby przechytryć czarownicę (mnie).

Dwoje młodszych nieśliśmy na rękach, Margot sennie snuła się za nami.

– Mamusiu, myślisz, że Olivia Kidney i Zużka D. Zołzik są, no, najlepszymi przyjaciółkami?

W ciemności uśmiechnęłam się do Nicholasasa. Mówiła o bohaterkach książek.

– Jestem przekonana, że tak.

Byłyśmy obie z Susanną w Ray's Luncheonette, przytulnej kawiarni, w której lądowały wszystkie mamy po aerobiku na rowerze stacjonarnym, po ćwiczeniach przy drążku baletowym, po jodze bikram, po hip-hopie. Osiemdziesiąt procent obecnych tu kobiet miało na sobie dresy Lululemon. Jeśli odsiałam szczękane kubków i sztuców, słyszałam fragmenty znajomych rozmów o hydraulikach, wynajmie domków na plaży, pomysłach na skłonienie niechętnych do czytania, wskazówkach, jak przygotować homeopatyczne remedium na brodawki.

Planowałyśmy następne spotkanie klubu książki Bez Winy. Była to sezonowa impreza, którą wspólnie organizowałyśmy. Zapraszałyśmy na wieczór przyjaciół do Niebieskiej Sowy, gdzie za niewielką opłatą mieli nieograniczony dostęp do wina, upust na wszystkie zakupy i rekomendacje przyszłych lektur.

Odpowiadał mi ten rodzaj klubu książki: wymienialiśmy się propozycjami, ale pomijaliśmy tę część, kiedy trzeba wydawać okrzyki podziwu na widok cudownego noża do smarowania sera, prezentu dla gospodyni.

Susanna otworzyła swój starannie prowadzony kalendarz i wzięła do ręki pióro kulkowe.

– Więc tak. Chciałam urządzać burzę mózgów. Co myślisz o loterii z główną nagrodą w postaci torby plażowej pełnej książek o lecie? Możemy dorzucić okulary przeciwsłoneczne, krem do opalania i tak dalej?

– Super. Jedna torba z książkami dla dzieci, druga dla dorosłych? I chciałabym coś zrobić na Dzień Ojca... Może kwiz o bliskim ci mężczyźnie, dzięki któremu się dowiesz, czy powinnaś mu kupić thriller, czy raczej powieść Dave'a Eggersa?

– Świetnie, świetnie. – Susanna gorączkowo notowała. – Wygłosisz tym razem mowę powitalną? Jesteś w tym o wiele lepsza niż ja.

Uśmiechnęłam się. Susanna jest doświadczoną bizneswoman i wie, jak wyswatać klienta, który nie ma pojęcia, co kupić, ze stołem pełnym książek, ale jeśli ją postawić w pokoju pełnym ludzi, staje się znowu, jak kiedyś, onieśmiałą uczoną. Może dlatego, że ja bardziej nadaję na falach jej klientów, nigdy nie tracę z oczu tego, że większość pań z klubu Bez Winy przychodzi z powodu wina, a nie po dogłębną analizę kształtowania kariery Soni Sotomayor przez jej mentorów.

– A wspominałam, że idę na rozmowę o pracę? – Próbowałam zachować lekki ton. Oczywiście wiedziałam, że o niczym takim nie mówiłam Susannie.

Podniosła wzrok i na środku jej czoła zaczęła się tworzyć zmarszczka.

– Co? Zaraz, dlaczego?

Chociaż często poruszałyśmy najbardziej intymne tematy, od seksu do pojawiającego się czasami ambiwalentnego stosunku do macierzyństwa, rzadko rozmawiałyśmy o moim życiu zawodowym. Łączyła nas Niebieska Sowa – jej powołanie, moje hobby – i nie wiedzieć czemu „You” w porównaniu z tym wydawało się mało ważne. Może wyczuwałam pogardę Susanny dla prasy kobiecej, a może byłam odrobinę za bardzo zadowolona z pracy na pół etatu w świecie otoczonym niejakim blichtrzem. Ona jako właścicielka małej firmy nigdy nie ma chwili odpoczynku. Skrzywiłam się, przypominając sobie, jak odebrałam od niej dzieci po szalonej jednodniowej wyprawie do Waszyngtonu, gdzie pojechałam przeprowadzić wywiad z Jill Biden na ostatnią stronę „You”. Kiedy wyraźnie wyczerpana Susanna, w okularach do czytania i wystrzępionej bluzie, otworzyła drzwi, huknęłam: „Frisbee z Białego Domu dla wszystkich!”. Na nieszczęście to, którym rzuciłam przez salon, strąciło z kominka menorę.

Teraz czułam się fatalnie, nie mogąc zdradzić jej prawdziwych powodów odejścia z „You”. Obiecałam jednak Nicholasowi dyskrecję i wiedziałam, że w sytuacji odwrotnej on moją prośbę by uszanował. Nie mogłam zawieść jego

zaufania.

– Wiesz, jestem gotowa na tę zmianę. I pojawiła się świetna oferta. Na pewno słyszałaś o Scrollu.

Susanna wolno odłożyła widelec na talerz, na którym stygł kawałek omletu ze szpinakiem i fetą.

– Chyba żartujesz.

– Nie, mówię poważnie. Skontaktowali się ze mną, spotykam się z nimi w przyszłym tygodniu.

– Alice, nie niższysz się do tego.

– Susanno, przestań! Ja się tylko z nimi spotykam, nie wstępuję do sekty!

Usiadła prosto. Przelotnie wyobraziłam sobie nas jako dwunastolatki w gimnazjalnej stołówce: Susanna w gorsecie z powodu skoliozy, ja w okularach jak denka od butelek. To pozostaje w nas na zawsze, prawda?

– Alice, kurwa, kpisz sobie ze mnie? – Mówiła z naciskiem, przytrzymywane opaską rude włosy falowały. – Co się z tobą dzieje?

Kelnerka podeszła, żeby dolać nam kawy, i teatralnie się wycofała, jakby trafiła na niewidzialne pole siłowe. Dziwny ruch, pomyślałam; kiedy ja byłam kelnerką, nigdy nie miałam dość klientów, którzy kłócili się przy moich stolikach.

– No nie, poważnie. Naprawdę pracowałabyś dla firmy, która będzie gwoździem do trumny Niebieskiej Sowy? Możesz się pożegnać z prawdziwymi księgarniami. – Susanna wzięła nóż i zaczęła gwałtownie rozsmarowywać fioletową galaretkę na toście wieloziarnistym. Z podziwem patrzyłam, jak wyciska ją z plastikowej torebki co do kropli.

– Susanno, dramatyzujesz. Szczerze mówiąc, myślałam, że będziesz zachwycona Scrolllem. Im więcej ludzi czytających, tym więcej sprzedanych książek. Przyływ znoś zielizny wszystkie łodzie, no nie?

Po prawdzie strasznie się bałam tej rozmowy z Susanną, chociaż wzięwszy pod uwagę moją sytuację finansową w bliskiej przyszłości, poczułam też ukłucie irytacji, w końcu ona otworzyła swoją księgarnię dzięki sporej sumie od dziadka. Spadek po moich dziadkach składał się z pierścionka Claddagh i medalionu ze śladami zębów z tyłu.

– Niezupełnie. Mam po dziurki w nosie ludzi wykorzystujących moją księgarnię jako salon wystawowy i kupujących książki w pieprzonym internecie za połowę ceny. Scroll ułatwi im dobijanie tych idiotycznych targów osobiście. To strasznie wkurzające.

Susanna jest zaprzysięgłą tradycjonalistką, ma smartfona tylko dlatego, że dostała go za darmo, kiedy padła jej stara komórka. A na stronie internetowej Niebieskiej Sowy widnieje wyłącznie adres, nic więcej.

– Możemy trochę ciszej? Przydałoby mi się więcej kawy, a kelnerka nie wróci, dopóki nie zmienimy tematu na dyżury w podwożeniu dzieci. –

Uśmiechnęłam się z nadzieją i wzięłam głęboki wdech. – Susanno, przykro mi. Kobieta ze Scrolla przysłała mi mejla i mało rozsądnie byłoby nie spotkać się z nią.

Przerwałyśmy, z szacunkiem kiwając głowami mamie sześciorga maluchów, która weszła do kawiarni. Zajęła trzecie miejsce w swojej grupie wiekowej w zawodach Ironman i z sukcesem prowadziła firmę cateringową No Small Affair. Wszyscy podejrzewają, że jest na metamfetaminie, ale mimo to zasługuje na poważanie.

– Poważnie, Scroll ot, tak do ciebie napisał? Skąd w ogóle wiedzieli, kim jesteś?

Zignorowałam podtekst pytania.

– Ta kobieta obserwuje mnie na Twitterze.

Susanna roześmiała się gardłowo. Zwykle uwielbiam jej śmiech, ale teraz mnie drażnił.

– Znaleźli cię na Twitterze? O tak, to wygląda na poważny sposób rekrutacji pracowników. Może powinnam szukać sprzedawców na Pinterescie. Cholera. Tylko pomyśl o wszystkich pieniądzach, które zmarnowałam na ogłoszenia w „Filament Illuminator”!

Teraz też ze wszystkich sił nad sobą zapanowałam i przeczekałam jej wybuch, choć wydał mi się cokolwiek niegrzeczny. Poczułam, jak w gardle wzbiera mi płacz.

– Jejku, Susanno, miałam nadzieję, że okażesz więcej entuzjazmu, a przynajmniej będziesz uprzejmiejsza, ale dobra, przeczynałam, że nie. Rozumiem. Dlatego ci powiem o prawdziwym powodzie, dla którego szukam nowej pracy...

I opowiedziałam jej o wszystkim. Czy było inne wyjście? Susanna jest porywcza, mówi prosto z mostu, co myśli, ale jest też moją najbardziej zaufaną powierniczką i nie mogłam mieć przed nią tajemnic, zwłaszcza że Nicholas w końcu powie wszystkim, dlaczego otworzył własną kancelarię. Paul, mąż Susanny, prawdopodobnie usłyszy o tym jako jeden z pierwszych. A poza tym potrzebowałam własnej grupy wsparcia, prawda?

Skończyłam tak:

– Oczywiście nie trzeba dodawać, że propozycja Scrolla może mnie nie zainteresować albo ja nie zainteresuję ich, i cała ta rozmowa okaże się rozmową o niczym, z wyjątkiem tego, że szukam nowej pracy.

Susanna odcięła koniec omletu i zsunęła na mój talerz.

– Dobra, rozumiem. Zjedz to, będziesz potrzebowała energii. I cokolwiek to warte, teraz twoja kolej na odebranie starszych dziewczynek z pływalni.

Chociaż ze spotkaniem z Genevieve wiązałam wielkie nadzieje, sprawdzenie

innych możliwości wydawało mi się oznaką rozsądku. Na MediaBistro zauważyłam ogłoszenie o pracy dla redaktora popularnonaukowej literatury politycznej w Plum Books, małym wydawnictwie w Soho. Przesłałam swój życiorys bezpośrednio do firmy, mimo że moje doświadczenia polityczne ograniczały się do pełnienia funkcji przewodniczącej samorządu w siódmej klasie.

Tak łatwo było się starać o pracę w sieci! Kiedy ostatnio wysyłałam życiorys, trzeba było kupić pudełko specjalnego papieru i pilnować, żeby kwalifikacje zostały wydrukowane ze znakiem wodnym po właściwej stronie.

Zaskoczyło mnie, że odpowiedź dostałam natychmiast. Umówiliśmy się na następny dzień. W głowie tańczyły mi wizje lunchów w restauracji Dean i DeLuca. Wyobrażałam sobie regularne wizyty w księgarni Scholastic. Widziałam siebie kroczącą po brukowanych ulicach z maszynopisami pod pachą.

W chwili, gdy stanęłam przed Plum Books, wiedziałam, że ta fantazja się nie urzeczywistni. Tak się złożyło, że siedziba wydawnictwa przy Prince Street sąsiadowała z gabinetem ginekologa-położnika, do którego przed laty chodziłam, i już to było dziwne. Potem uchyliły się drzwi i zobaczyłam mężczyznę wyglądającego jak Fidel Castro w młodości. Miał nierówną brodę i cienkie cygaro zatknięte za ucho. Był ubrany w obcisłą czarną koszulkę z sylwetką psa i napisem „Psy przeciwko Mittowi”².

– Dzień dobry, pan na pewno jest Gus. Jestem Alice. – Wyciągnęłam do niego rękę.

– Wiiiitam. Oho. No dobrze. Zapraszam.

Gus otworzył drzwi, odsłaniając loft pomalowany na odblaskowy pomarańczowy z szerokimi rurami wijącymi się po metalowym suficie. Każdą powierzchnię zdobiły naklejki: „Przyjaciele nie pozwalają przyjaciołom głosować na republikanów”, „Więcej drzew, mniej Busha”³, „Kapitalista padlinożerca”. Bolesnie zdawałam sobie sprawę ze swojej spódnicy z fałszywego tweedu z Ann Taylor Loft i za dużych kolczyków z perłami. Dlaczego nie włożyłam czegoś bardziej prowokującego? Czułam się jak Nancy Reagan.

Gus przedstawił mnie swoim towarzyszom, którzy rozwalali się na poduchach, pijąc kawę z kubków oklejonych kolejnymi sloganami („Nigdy więcej bomby atomowej”, „Myśl globalnie, działaj lokalnie”). Zająłam miejsce pomiędzy nimi i spędziłam następne pół godziny, skarżąc się w duchu na największą lukę pokoleniową, z jaką się w życiu spotkałam. Kiedy wspomniałam o swoim nastoletnim podziwieniu do Geraldine Ferraro, Gus zmarszczył czoło.

Jego zastępca uśmiechnął się lekceważąco pod hipsterskim wąsikiem.

– Ma pani na myśli Gennifer Flowers?

– Nie, chodzi mi o Geraldine Ferraro. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym startowała z Walterem Mondale’em...

Jasny gwint.

Oczywiście. Ci chłopcy urodzili się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Geraldine Ferraro była dla nich równie nieistotna jak Spiro T. Agnew dla mnie – a może nawet bardziej, bo wyborów nie wygrała.

Kiedy się rozstawaliśmy, Gus powiedział uprzejmie:

– Świetna z pani kobieta. Życzę szczęścia w poszukiwaniu właściwej pracy.

1 Wielkie Jabłko – jedno ze zwyczajowych określeń Nowego Jorku (przyp. red.).

2 Mitt Romney – republikański kandydat na prezydenta z 2012 roku, który woził swojego psa na dachu samochodu (przyp. tłum.).

3 Gra słów: Bush, nazwisko amerykańskich prezydentów republikańskich, oznacza dosłownie „krzewy” (przyp. tłum.).

Na dzień, w którym umówiłam się na kawę z Genevieve, zarezerwowaliśmy też bilety na występ Blue Man Group, pojechaliśmy więc do miasta z dziećmi i jakimś cudem znaleźliśmy miejsce do zaparkowania dokładnie przed Shakespeare's Sister. Plan polegał na tym, że reszta rodziny zje wczesną kolację w Time Cafe, a po mojej rozmowie spotkamy się wszyscy w teatrze. Oczywiście Nicholas miał się dowiedzieć, że Time Cafe już nie istnieje; jak wiele restauracji, które lubiliśmy pod koniec lat dziewięćdziesiątych, została zastąpiona przez francuskie bistro specjalizujące się w omułkach z frytkami.

Genevieve nie prosiła o przywiezienie życiorysu, ale na wszelki wypadek włożyłam go do skórzanej teczki z mosiężnymi okuciami i wzięłam ze sobą. Nie licząc tego staroświeckiego akcesorium – w przypadku szukających pracy to jak talizman na szczęście z ukrytym napisem WYTRWAŁOŚĆ – w torebce miałam tylko woreczek z ryżowymi ciastkami Veggy Booty.

W restauracji prawie nikogo nie było, dlatego bez problemu zauważyłam Genevieve.

Sprawdziłam dokładnie jej strony na Tumblrze i Pinterście, przeczytałam wpisy z dwóch lat i przeprowadziłam staranne śledztwo przez Google, zarówno w wyszukiwarce graficznej, jak i tekstowej, używając różnych kombinacji jej nazwiska z pytajnikami i bez. Dowiedziałam się, że pracuje jako wolontariuszka w schronisku dla zwierząt Badass Brooklyn, ukończyła college Carleton i jest żoną człowieka imieniem Lance, autora bloga o ogrodnictwie hydroponicznym. Najwyraźniej uwielbiała cytaty, zwłaszcza jeden, Johna F. Kennedy'ego, bo umieściła go w dwóch miejscach. „Zmiana jest prawem życia. A ci, którzy patrzą wyłącznie w przeszłość albo terażniejszość, z całą pewnością przegapią przyszłość”.

Siedziała plecami do drzwi przy stoliku dla dwóch osób, dlatego częścią mojego pierwszego związanego z nią wrażenia było oparcie krzesła w kształcie serca. Kiedy podeszłam do niej z pozorowaną ostrożnością, bo przecież wiedziałam, że jestem we właściwym miejscu, uniosła palec do warg i uśmiechnęła się – z zamkniętymi ustami, nie pokazując zębów. Uśmiech wywołał właściwy skutek. Rozmawiała przez telefon.

Zdjęłam płaszcz i przewiesiłam przez oparcie swojego krzesła, uważając przy tym, by oszczędzić jej widoku podartej satynowej podszewki. Usiadłam. Genevieve wykonała uniwersalny ruch oznaczający „już kończę”. Jej brązowe oczy wpatrywały się w jakieś miejsce ponad moją głowę, co sprawiło, że zaczęłam się martwić o odrosty, które potraktowałam farbą, korzystając z lusterka wstecznego

minivana. Czyżby moje włosy wyglądały jak zbity w grudki tusz do rzes? Błagam, nie.

– Więc do poniedziałku wycofamy to z sieci, potem wrócimy... Dobrze... Dobrze... Załatwione.

Nie pożegnała się – ale z tego zdałam sobie sprawę później, kiedy relacjonowałam to spotkanie Nicholasowi i wspólnie je analizowaliśmy. W tamtej chwili zaskoczył mnie głęboki tembr głosu, który zupełnie nie pasował do jej postury duszka z bajek. Miała fryzurę jak Mia Farrow w *Dziecku Rosemary*, tylko że jej włosy były jasnobrązowe, nie blond. Na zdjęciach wychodziła jako zwiewna i słodka. W prawdziwym życiu była atrakcyjna i wypełniona siłą, jak kompaktowy samochód z imponującym zrywem – ludzki odpowiednik fiata. Emanowała energią.

– Alice. Tyle wspaniałych rzeczy o tobie słyszałam. – Genevieve znowu się uśmiechnęła, tym razem naprawdę. Słyszała tyle wspaniałych rzeczy... Od kogo? Spojrzała znacząco na moją idiotyczną teczkę. – Dzisiaj chodzi o to, żebyśmy się poznały, spróbuję ustalić, czy będziesz pasowała do Scrolla. Później możemy przejść na kolejne etapy. Zgoda?

– Oczywiście.

– Więc zamówmy coś do picia i przejdźmy do rzeczy, co ty na to?

Poweselałam, bo myślałam, że zrezygnujemy z kawy na rzecz wina, ale w oszałamiającym tempie zmaterializował się kelner i Genevieve zamówiła zwykłą herbatę miętową. Pochyliłam się, żeby przestudiować menu na stojaku z reklamą piwa Rolling Rock, i wybrałam egzotycznie brzmiącą japońską zieloną herbatę hojicha.

Zostałyśmy we dwie. Uśmiechnęła się, otworzyła szeroko oczy i uniosła ręce gestem oznaczającym „Od czego zacząć?”. Gest był uroczy, bo przecież się nie znałyśmy, i nagle nie miałam zielonego pojęcia, co powiedzieć.

– Alice, jak lubisz czytać?

– Och, no tak. Uwielbiam czytać! To moje absolutnie ulubione zajęcie. Ja...

Genevieve zmrużyła lekko oczy i twarz jej złagodniała. Zauważyłam, że na szyi ma małą złotą etkę na delikatnym łańcuszku.

– Chodzi mi o to, czy korzystasz z e-czytnika, czy...? – Pochyliła się lekko, jakby moją odpowiedź chciała złapać w dłonie.

– Oczywiście. Mam kindle'a, pierwsza generacja. Czytam egzemplarze korektorskie, maszynopisy, książki w twardych oprawkach, generalnie wszystko, co wpadnie mi w ręce.

– Więc jesteś agnostyczką.

– Prawdę mówiąc, wychowałam się w katolickiej rodzinie i choć odeszłam daleko od stada, to nadal uważam się za istotę duchową, jeśli tak to można nazwać.

– (Dlaczego pyta o religię? Czy to w ogóle zgodne z prawem?)

– Dobrze wiedzieć. Ale miałam na myśli, że do nośnika nie podchodzisz ortodoksyjnie, tylko przeskakujesz tam i z powrotem między e-czytnikiem a książkami opartymi na węglu.

Książki oparte na węglu?

– Przepraszam, tak. Rzeczywiście przeskakuję. Ciągłe to robię. – O Boże, przestań się zachowywać jak wariatka. Oddychaj, Alice. Myśl jak pewna siebie, twardo stąpająca po ziemi bizneswoman.

Przyszedł kelner i postawił na naszym stoliku dwa kubki, ja tymczasem dokładałam starań, aby pójść za swoim wewnętrznym głosem, który zwykle jest rozsądniejszy od prawdziwego. (I lubi się rządzić). Restauracja zaczęła się zapełniać i kelner szybko zajął się innymi klientami, choć Genevieve zdążyła jeszcze energicznie powiedzieć:

– Proszę o rachunek, kiedy znajdzie pan chwilę.

Spojrzałam do swojego kubka i niepokój wywołany widocznym pośpiechem Genevieve przeniosłam na to, co zobaczyłam. W brudnej wodzie pływała wielka włochata kulka rozwijających się brązowych liści, związanych luźnym włóknem, które wyglądało jak cieliste rajstopy. Nie miałam pojęcia, jak sobie poradzić z tym nieapetycznym elementem: popijać dokoła niego? Wyjąć go i wyrzucić? Ale gdzie? Nigdzie w zasięgu wzroku nie było spodka, serwetka całkiem by się rozmoczyła, a co więcej, taka operacja wymagałaby dwóch łyżeczek. Podjęłam błyskawiczną decyzję, że zostawię kulkę w kubku. Kiedyś przełknęłam kawałek domowej kaszanki roboty mojego wujka Irlandczyka, na pewno dzielnie dotrę do dna tego kubka.

Pierwszy łyk był najgorszy, mokre wodorosty ocierały się o czubek mojego nosa. Herbata smakowała ziemią z lekką nutą tabasco.

Genevieve poruszała swoją schludną torebką mięty na sznurku, z namysłem obserwując, jak z trudem przełykam.

– Masz awanturniczą żyłkę. To mi się podoba – powiedziała.

Jej wotum zaufania otuliło mnie jak magiczne zaklęcie, sprawiło, że moje ramiona się rozluźniły, a zdolność do inteligentnej rozmowy uwolniła z kolczastego kłębowiska nerwów. Rzeczywiście mam awanturniczą żyłkę, choć od lat nie trafiła mi się okazja do wykorzystania jej w działaniu.

Kiedy skończyłyśmy – kubek był pusty, wątpliwości zostały wyjaśnione, nad Soho zapadała noc – Genevieve uściśniła moją dłoń (stanowczy ruch w dół, rozluźnienie uścisku) i po prostu oznajmiła:

– Będziemy w kontakcie.

Na występie Blue Man Group siedzieliśmy tak blisko sceny, że musieliśmy włożyć peleryny, żeby osłonić nasze ubrania przed farbą i płatkami śniadaniowymi

rzucanymi na widownię przez milczące, a mimo to dziwnie spokojne gwiazdy przedstawienia. Z sufitu zwisały trzy gigantyczne iPady z trzema różnymi rodzajami wiadomości – tekst, numery i symbole, klipy wideo – przewijającymi się po ich wielkich jak w kinie ekranach z prędkością światła. Kiedy zerknęłam na dzieci, zobaczyłam, że oczy biegają im we wszystkich kierunkach, próbując przyjąć ten wizualny atak. Ogarnęło mnie zniechęcenie.

– No i jak poszło? Jak myślisz?

Nicholas prowadził, byliśmy w połowie drogi przez tunel Lincolna, a naszych troje pasażerów już uderzyło w kimono na tylnym siedzeniu.

Takie chwile w rodzicielstwie należą do moich ulubionych: jestem z dziećmi, ale mi nie przerywają.

– Trudno powiedzieć. Nie potrafię stwierdzić, czy jej się spodobałam, czy nie. Zadała mi mnóstwo pytań. Myślę, że jest naprawdę bystra.

– Mówiła dokładnie, co miałabyś u nich robić?

– Właściwie nie. Wspomniała, że szukają menedżerów zawartości, ale nie jestem pewna, czy akurat mnie przewiduje na to stanowisko. – Spojrzałam na Nicholasa, który w tej samej chwili spojrzał na mnie.

– Kto to jest menedżer zawartości?

– Nie mam pojęcia! – Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Kiedy się obejrzałam, żeby sprawdzić, czy wszyscy śpią, Oliver opierał głowę na ramieniu Margot. Wszyscy mieli zaróżowione policzki.

– Nie zapytałaś?

– Nie, było mi strasznie głupio.

– Głupio? Alice.

– Wiem. To słabe. W każdym razie głównie mówiła o tym, jakiego typu ludzi chce zatrudnić. Powiedziała, że zależy jej na takich, co wprowadzają zmiany.

– Wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Ja akurat raczej dbam o istniejący stan rzeczy, niż szukam nowatorskich rozwiązań. – Dziwne, nie? Ale wiesz co? Byłoby zabawnie wziąć w coś udział od początku. Ile już lat patrzę na zbliżającą się śmierć czasopism?

– Z czym się rozstałyście?

– Powiedziała, że się zastanowi, czy będę dobrze pasowała do Scrolla. Jeśli uzna, że tak, zaczną mnie zapraszać na spotkania.

– I to ci odpowiada?

– Wiesz co? Tak. Chyba będziemy musieli poczekać i zobaczyć, jak to się rozwinie, ale się do tego zapaliłam. Liczę, że będę miała okazję dowiedzieć się więcej.

Jak się okazało, Genevieve przysłała wiadomość o wpół do siódmej

następnego dnia, czyli w sobotę. Chciała, żebym w przyszły piątek przysłała na zebranie zespołu.

Tata: Droga Alice, jak poszło?

Ja: Dobrze. Idę na spotkanie zespołu.

Tata: Świetnie. Czy praca zapowiada się na interesującą i satysfakcjonującą?

Ja: Zapowiada się na pracę, a ja jej potrzebuję.

Tata: Owszem, rozumiem. Ale miło jest mieć z niej trochę satysfakcji.

Ja: Tato, już czytałam *W jakim kolorze jest twój spadochron*. Teraz potrzebny mi dalszy ciąg: *Spadochron twojego męża jest zepsuty*. Żartuję, ale...

Tata: Życie jest długie. Wszystko się ułoży. Pamiętaj, wychowałem Cię, żebyś przynosiła do domu bekon!

Ja: Ha.

Tata: Mama i ja idziemy na *Don Giovanniego*. Muszę kończyć. Całusy, tata.

Nicholas i ja mieliśmy po dwadzieścia sześć lat, kiedy urodziła się Margot. Jako pierwsi z naszej paczki zostaliśmy rodzicami – była to sprawa do tego stopnia niezwykła, że kiedy powiedzieliśmy przyjacielom o ciąży, wielu się zastanawiało, czy zamierzam urodzić. Jak wielu przyszyłych rodziców ogarnęło nas podniecenie, ale zachowaliśmy też czujność, bo nie mieliśmy zielonego pojęcia, co nas czeka. Fantazjowaliśmy o noszeniu niemowlęcia w słomianym koszyku i stawianiu go na restauracyjnych stolikach obok butelek wina i świeczek.

Wkroczyłam na inną drogę niż wszyscy, których znałam. Moje koleżanki zdawały na studia magisterskie, otwierały swoje firmy, pisały blogi i do późna siedziały w knajpach z tymi samymi ludźmi, z którymi w ciągu dnia w pracy rzucały piłką do przenośnego kosza. Mój brat wykonał zdumiewającą woltę: zrezygnował z posady w Lehman Brothers i przeprowadził się na Hurricane Island w Maine, gdzie został przewodnikiem po terenach dzikich w Outward Bound. Pora nie była najlepsza – tata brał pierwszą chemię – ale myślę, że wszyscy się cieszyliśmy, że Will zostawił za sobą czasy, kiedy zachowywał się jak rozhukany studenciak. Niemal nie potrafiłam połączyć faceta wychylającego kolejki w Stuff Yer Face w Nowym Brunszwiku z człowiekiem przysyłającym długie listy na papierze z odzysku poznaczonym kawałkami gałązek i liści. „Wielka Al, nie uwierzysz, ale uczę się żyć tylko z tym, co mieści się w czólnie. Piękno natury budzi pokorę, nigdy dotąd nie czułem się tak bardzo u siebie. A czytałaś Thoreau? Naprawdę warto zajrzeć do tego mądrali”.

W sierpniu dwa tysiące pierwszego roku my też się przenieśliśmy: do większego mieszkania w Battery Park City, bliżej kancelarii. Wtedy Margot miała już cztery miesiące, a ja byłam mamą na tyle długo, żeby wiedzieć, że stoliki restauracyjne to czysta fantazja. Czas kąpieli był nową porą na koktajle – z butelkami Avent zamiast „Cosmopolitan”. Uwielbialiśmy jednak oglądać zachód słońca za Statuą Wolności i statki wycieczkowe ukradkiem wpływające do portu o świcie. Wieczorami spacerowaliśmy po esplanadzie koło Winter Garden, gdzie na niskim ogrodzeniu wykuto wersy Walta Whitmana: „Miasto wysokich fasad z marmuru i żelaza! Dumne, namiętne miasto – mężne, szalone, lekkomyślne miasto!”⁴.

Rankiem jedenastego września dwa tysiące pierwszego roku byłam w naszym mieszkaniu cztery przecznice na południe od World Trade Center i zmieniałam Margot pieluszkę, kiedy uderzył pierwszy samolot. Usłyszałam huk i wyjrzałam przez okno, spodziewając się zobaczyć wypadek samochodowy przy wjeździe do tunelu Brooklyn Battery. Zamiast tego w powietrzu latały gołębie.

Dopiero gdy włożyłam okulary, uświadomiłam sobie, że to nie gołębie, tylko papiery. Czyżby konfetti z parady na cześć Yankees?5

Nicholas szedł do Citibanku w pierwszej wieży; biegiem wrócił do domu, kiedy na chodniku pod stopami poczuł wstrząs po upadku pierwszego samolotu. Zamknął drzwi naszej sypialni, z której było widać wieże, odkręcił kurek przy wannie i nad zlewem, po czym zaczął napełniać wodą garnki i ustawiać je na kuchence.

– Co ty wyprawiasz? – Wybuchnęłam śmiechem.

– Alice, mówię ci, to nie był mały samolot. Boję się, że na dłużej tu utkniemy.

Ta wymiana zdań idealnie odzwierciedla dynamikę panującą między nami w tamtym czasie i przez wiele kolejnych lat. Role odwróciły się dopiero niedawno – po Sutherland i Courtfield to ja ciągle się martwiłam.

Uderzył drugi samolot, pierwsza wieża upadła. Zbiegliśmy na dół do holu w nadziei, że schronimy się w piwnicy. Piwnicy nie było. Portier moczył ręczniki i zarzucał je na głowy rozhisteryzowanych lokatorów, żebyśmy nie wdychali trującego szarego pyłu, wdzierającego się przez szczeliny we frontowych drzwiach. Ktoś przykrył ręcznikiem główkę Margot.

– Niech pani stąd wyniesie dziecko!

– Łapy precz od mojej córki – syknęłam głosem, którego nigdy u siebie nie słyszałam.

Wróciliśmy do naszego mieszkania na trzecim piętrze z nieznanymi, zapewniając ich, że w razie potrzeby spokojnie możemy wyskoczyć z okna, chociaż do ziemi było dwanaście metrów. Kiedy runęła druga wieża, siedziałam na podłodze w salonie i trzymałam za rękę kobietę, której nigdy wcześniej nie widziałam, a ponownie miałam ją zobaczyć dopiero pięć lat później, gdy w godzinie szczytu wpadliśmy na siebie na Penn Station i momentalnie zalałyśmy się łzami.

Od college'u nie byłam w kościele, teraz jednak cicho szeptałam *Zdrowaś Mario* w miękkie włoski Margot. Nicholas krążył po pokoju, raz po raz zatrzymując się przy oknie, chociaż nic nie mógł zobaczyć, za piętnaście jedenasta przed południem świat był mroczny w każdym sensie tego słowa. Myślałam, że umrzemy.

Zastanawiałam się, czy właśnie tak codziennie czuje się tata.

A potem ciche pukanie do drzwi, wolontariusz Czerwonego Krzyża ostrzega nas przed groźbą zamachu bombowego w Battery Park i rozdziela białe maski, w tym jedną dziecięcą, która zakrywa całą buzię Margot, wreszcie ewakuacja łodzią policyjną. Jakiś mężczyzna kręcił głową, patrząc na oddalające się, zasnuwane dymami miasto, i mówił do swojego nastoletniego syna: „Nie wiem. Po prostu nie wiem”.

Spędziliśmy dzień w wojskowej kantynie w Jersey City. Inni ewakuowani nieśli obrazy, albumy ślubne, klatki z ptakami, pudełka z biżuterią. Jedna kobieta miała na nogach rękawice kuchenne. Nie umknęła naszej uwagi bliskość Ellis Island. Ani strach na twarzy młodego żołnierza w pełnym mundurze polowym, uzbrojonego w karabin maszynowy – w tamtych czasach widok niezwykle – i warczącego: „Nie zadawać pytań! Dla naszego kraju nadeszła godzina próby! Jesteśmy w stanie najwyższej gotowości!”.

Ciągle się rozglądałam za kamerami filmowymi. Ten facet z charakterystycznymi brwiami... czy to nie Oliver Stone?

Kiedy w końcu dotarliśmy do domu moich rodziców, tata spotkał się z nami w kuchni – stojący po raz pierwszy od operacji i płaczący po raz pierwszy, odkąd sięgałam pamięcią.

– Tato, widziałeś wcześniej coś takiego?

Dorastał w czasach ćwiczeń bombowych, zamachów, zamieszek, gazów łzawiących, powszechnej służby wojskowej. Teraz był łysy i nie dość silny, żeby się nauczyć korzystania z krtani elektronicznej. Kiedy jednak bezgłośnie wymówił jedno słowo – „nigdy” – zrozumiałam.

– Mieliśmy dzisiaj ćwiczenia na wypadek strzelaniny. – Margot wygłosiła to oświadczenie obojętnie, kiedy spryskiwałam jej włosy sprayem No More Tangles.

– Naprawdę? Ojej. – Zadrzałam na myśl o głosie dyrektora dudniącym z megafonów: „Uwaga. Zamachowiec w szkole. Uwaga. Zamachowiec w szkole”.

W ciepłe dni, gdy okna były otwarte, z ganku słyszałam nakazane przez państwo zawiadomienie.

– Ehm... a gdzie się ukrywacie?

– W tym roku w szatni. Na podłodze jest taśma. Jeśli za nią wyjdiesz, źli faceci zobaczą cię z drzwi.

– Aha. Rozumiem.

– Potem mieliśmy lody na patyku na urodziny Masona. Limonkowe.

– Mniam.

Kiedy Margot pobiegła umyć zęby, zaczęłam się martwić dojazdami do miasta pięć dni w tygodniu. A jeśli coś się stanie i będę musiała dostać się do domu?

Jeszcze nawet nie dostałam tej pracy, a już się dręczyłam, czy ją przyjąć.

Mimo to w tyle głowy tliło się też podniecenie. Dam radę. Jestem gotowa rozwinąć skrzydła. To była szansa na zrobienie czegoś nowego, zaangażowanie się w tworzenie czegoś od podstaw dziesięć lat po tym, jak moi przyjaciele zaryzykowali i przyjęli oferty od Kozmo.com, Pets.com i Drugstore.com. W tamtych czasach zbyt byłam zajęta rodzeniem dzieci i wizytami u lekarza, żeby

wziąć pod uwagę wchodzenie w kolejne niepewne sytuacje, nawet jeśli wiązały się z tym dodatkowe pieniądze na zakup akcji.

Jasne, z niepokojem myślałam o tym, w co się ubrać na rozmowę o pracę. Susanna, napojona kawą, wyciągnęła się na moim łóżku i oparła plecami o zagłówek z Ikei, gdy ja prezentowałam różne kreacje: prosta spódnica z bluzką (za bardzo w stylu Virginii Woolf), kwiecista sukienka i rajstopy (za bardzo w stylu Louisy May Alcott), czerwona sukienka ze słodką falbanką w pasie (za bardzo w stylu Belle Watling).

Stałam przed szafą w koszulce z Niebieskiej Sowy, w rozpaczy rozkładając ręce.

– No nie, Susanno. Zupełnie nie wiem, co zrobić. Masz coś, co mogłabym pożyczyć?

– Jasne, jeśli chcesz włożyć dres albo jakiś worek. – Obie się roześmiałyśmy, Susanna kupuje większość swoich ubrań w Whole Foods. – Ale poważnie, Al, powinnaś się ubrać na zielono. Wysłać subtelny sygnał o szmalu, przecież w ostatecznym rozrachunku to jest celem działania Scrolla.

– Możemy to zostawić? To nie są ludzie z centrum handlowego, tylko ludzie od książek. To czytelnicy, a nie liczykropy.

– Czyżby? Uwierzę, kiedy zobaczę to na własne oczy. Coś kombinują, mówię ci.

– Susanno! To może być moja wielka szansa. Jesteś mi potrzebna jako sojuszniczka.

W końcu wybrałyśmy czarne spodnie i szary kaszmirowy sweter z szerokim zamkiem błyskawicznym na plecach. Susanna radziła, by uzupełnić ten zestaw czarnymi baletkami, ale je wykluczyłam – za bardzo w stylu Holly Golightly – i zastąpiłam krótkimi botkami. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że Susanna próbuje osłabić moje szanse.

– Tutaj, w Scrollu, jesteśmy bardzo szybcy, dlatego zamierzamy zlecić ci wiele zadań i przekonamy się, jak sobie poradzisz. Nie wątpię, że bardzo dobrze – powiedziała Genevieve. Pobieżnie przejrzała mój życiorys i omówiła plan na dzień, składający się z następujących zaraz po sobie osobistych spotkań z dwoma menedżerami zawartości, analitykiem i marketingowcem oraz rozmów telefonicznych z kontrolerem jakości i kierownikiem magazynu w Clevelandzie.

– Och, jestem szybka – zapewniłam. Pomyślałam o czasach, gdy byłam kelnerką, o tym, jak nauczyłam się nosić sześć talerzy naraz, po trzy na każdej ręce. O grymaśnych klientach, którzy się skarżyli, że w fajitas jest za dużo pieprzu,

o jednym marudnym gościu, który nawet się nie uśmiechnął, kiedy przez przypadek podałam mu surowego homara ze szczypcami związanymi granatową taśmą elastyczną.

– Po spotkaniu z analitykiem wrócisz od razu do mojego gabinetu, podpiszesz dokumenty, a potem zaprowadzę cię do części tylko dla pracowników, gdzie załatwisz rozmowy telefoniczne. W porządku?

– Super. – Martwiłam się jednak o drobny druk w dokumentach. Od czasu wielkiego przekrętu Columbia House Music Club w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku odnosiłam się nieufnie do konieczności złożenia podpisu na kropkowanej linii. (Jasne, nie byłam jedyną piętnastolatką, która uwierzyła, że dostanie jedenaście kaset w niesamowicie niskiej cenie jednego pensa).

Niepokoiliłam się też, czy odnajdę drogę powrotną do gabinetu Genevieve. Trzydziesta siódma kondygnacja szklanego śródmiejskiego drapacza chmur była labiryntem całym w bieli: dywany, krzesła, ściany, rolety, podłogi. Koło wind znajdowało się ledwo widoczne na białej ścianie logo firmy – wąski zwój kojarzący się z dyplomem college’u, unoszący się nad pustym biurkiem recepcjonisty i metalowym kubkiem nieskazitelnie białych długopisów. Ciągle sprawdzałam, czy moje buty nie zostawiają śladów błota albo czegoś gorszego.

Spotkania osobiste okazały się zarówno oszałamiające, jak i olśniewające.

Analityczka Rashida omówiła przykazania zwycięzców – inspirację i reguły postępowania dla wszystkich pracowników MainStreet. Powiedziała mi, że każdemu, z kim będę rozmawiała, przydzielono inne przykazanie, od „Zwycięzcy zawsze mają rację” (ZZMR) przez „Zawsze podejmuj działanie” (ZPD) do „Zaskocz i uciesz swojego klienta” (ZUSK). Pytania zostały przygotowane tak, aby sprawdzić, jak bardzo wzięłam sobie do serca każde z przykazań. Na koniec tego dnia spotkań, zwanego łańcuchem, wszyscy moi rozmówcy odbędą naradę, na której porównają uwagi, a następnie zagłosują za mną albo przeciwko mnie. Jeśli choć jedna osoba się sprzeciwi, nie zaproponują mi miejsca w zespole.

Przeżyciem surrealistycznym była próba przedstawienia stosowanych biznesowych przykładów własnego zachowania w roli negocjatora, zamykającego sprawę, wykonawcy i doświadczonego analityka danych. Mój umysł jak bumerang odbijał się od doskonałej tresury psów (niezbyt wiele sukcesów) i wychowywania dzieci. Na przykład kiedy Oliver był dzikim kilkulatkiem, nazywaliśmy go z Nicholasem terrorystą – bo „nie negocjuje się z terrorystami”. Kiedy z kolei myślałam o danych, to nie w odniesieniu do Excela, którego nigdy nie używałam, ale do bilansów z gabinetu pediatry albo wydruku, na którym ortodonta etap po etapie pokazywał mi, jak wyprostuje zęby Margot.

– Naszą misją jest wynalezienie czytania na nowo, tak jak Starbucks na nowo wynalazł kawę – powiedział marketingowiec, którego imienia nie

dosłyszałam. Caleb? Ethan? Tak czy owak, był dwudziestoparoletnim brodaczem, sobowtórem każdego innego brodacza mijanego przeze mnie w minimalistycznym holu. – Stargetowaliśmy rodzaje przeżyć, które nasi klienci będą najbardziej sobie cenić, i zapewnimy je im wraz z wysokimi upustami, zaletami członkostwa i spokojnym, niczym niezakłóconym czasem na skrzyżowaniu przeszłości i przyszłości.

Westchnęłam nabożnie; od słów „spokojny” i „niezakłócony” zakręciło mi się w głowie. Potem pochyliłam się do przodu na krzesło – pasie białej skóry zamocowanym na zimnej metalowej ramie.

– Możesz powiedzieć o tym coś więcej? O zaletach członkostwa i tej części o skrzyżowaniu...

Marketingowiec kiwnął głową ze zrozumieniem.

– Oczywiście, tak się w to zaangażowaliśmy, że zapominamy, że nasz proces myślowy jeszcze nie jest powszechny. Zauważ, powiedziałem „jeszcze”. Dobra, więc po pierwsze, tworzymy model członkostwa dla bywalców. Stała opłata miesięczna zapewni ci cztery tytuły, które sama wybierzesz, jeden tytuł wybrany przez nas dla ciebie z serii Scroll Originals oraz nieograniczony dostęp do obszaru DSL.

– DSL? – Ogromnie żałowałam, że nie dosłyszałam jego imienia.

– Alice, uwielbiam twoją dociekliwość. – Marketingowiec rozpiął mankiety kowbojskiej dżinsowej koszuli i podwinął je dokładnie jak lekarz szorujący się przed operacją. Jego ręce były szczupłe i eleganckie jak bezwłose koty. – DSL to długa spokojna lektura. W tych miejscach będą skórzane fotele zarezerwowane dla naszych najpoważniejszych czytelników. Mówimy o obsłudze kelnerskiej, masażu stóp, darmowych biscotti, tacach na filiżanki z minipłytami utrzymującymi temperaturę kawy... a, no i żelkach w nieograniczonych ilościach. Badania rynkowe pokazują, że żelki Haribo to słodczyce najczęściej konsumowane przez zapalonych czytelników.

Całkiem oszołomiona, energicznie pokiwałam głową.

– W trakcie podróży spędzasz czas w Virgin Atlantic Clubhouse, prawda?

– Oczywiście. – W rzeczywistości nigdy tego nie robiłam, jestem urodzoną pasażerką drugiej klasy.

– W takim razie poznałaś model DSL. Chcemy przenieść to doświadczenie do naszych salonów literackich.

– Ojej. Brzmi wspaniale. – Naprawdę brzmiało. Jak superksięgarnie Barnes a i Noble’a w najlepszych czasach, ale lepiej. Same żelki wystarczyły za powód, żeby się starać o tę pracę. – Ile będzie wynosiła miesięczna opłata członkowska?

Jego szczęki nieznacznie się zacisnęły.

– Na razie nie jesteśmy w stanie mówić o cenach.

– Jasne, w porządku, po prostu byłam ciekawa. Poczekaj, możemy na chwilę

się cofnąć?

Przyjaźnie skinął głową. (Seth? Keith? Wiedziałałam, że to było jakieś delikatne imię, tak samo nazywał się dzieciak, którego mój brat pobił w szkole podstawowej, kiedy jeszcze nazywano go Billym).

– Oczywiście. W jakiej sprawie mogę cię oświecić?

– Możesz wyjaśnić tę część o skrzyżowaniu przeszłości i...

– Przyszłości. Cholerka, no pewnie. Jako miłośnika książek od urodzenia strasznie mnie to kręci. Naszym podstawowym celem jest przyszłość czytania, e-booki, postęp i tak dalej. Ale w Scrollu czujemy, jak istotne jest zapewnienie czytelnikom najważniejszych pozycji z wielkiej tradycji literackiej. Dlatego nasze salony będą także oferowały, a jakże!, pierwsze wydania książek opartych na węglu. *Grona gniewu*, *Buszujący w zbożu*, cokolwiek zechcesz. Te książki będą dostępne w sprzedaży.

Marketingowiec potarł kciukiem o palec wskazujący i wielki, bezgłośnie wymawiając „kasa, kasa, kasa”. Wyrzuciłam z głowy triumfujący uśmiešek Susanny.

– Może cię zainteresuje – ciągnął na głos – że nowo zatrudnieni mają prawo do pierwszego wydania książki, którą sami wybiorą. Po przyjęciu oferty podasz swój wymarzony tytuł, będzie czekał na ciebie na twoim biurku w pierwszym dniu pracy.

– Ojej – powiedziałam. Nagle mój egzemplarz *Prochów Angeli* z autografem przestał mi się wydawać tak pociągający jak dotąd. – Co ty wybrałaś?

– Słucham?

– Jaki był twój wymarzony tytuł?

– A, mój. *A Fan's Notes* Fredericka Exleya. Znasz to?

– Jasne. Nie czytałam, ale mój mąż...

– Taa, to niesamowite. I powiem ci otwarcie, że chciałbym wydać okrzyk na twoją cześć za podniesienie poprzeczki.

– Podniesienie poprzeczki?

– Tak mówimy, kiedy potencjalny pracownik przechodzi na następny poziom. Podobało mi się, jak przyznałaś, że nie czytałaś Exleya. Mnóstwo osób na twoim miejscu próbowałoby zamydlić mi oczy i opowiadać brednie. Świetna robota.

Genevieve przesunęła po biurku kartkę.

– Zanim przejdziemy do drugiej części dnia, będę potrzebowała twojego podpisu. To, co zobaczymy, jest absolutnie poufne, nie możesz opowiadać o tym nikomu, nie wyłączając rodziny.

Włoski na karku stanęły mi dęba. Miałam wrażenie, że biorę udział

w odcinku *Prawa i porządku* i zaraz zobaczę zabezpieczone taśmą miejsce zbrodni. Mimo to podpisałam umowę o zachowaniu poufności, nie czytając ani słowa.

– Oczywiście. Ani pary z ust. – Wykonałam gest, jakbym zamykała woreczek strunowy, chociaż doskonale wiedziałam, że w drodze do domu zadzwonię do Nicholasa albo Willa i wygadam wszystkie poufne informacje.

– Pomyślałam, że najpierw może docenisz to, co tutaj mam...

Kiedy podniosłam wzrok, Genevieve odmykała szafkę nad biurkiem. Włożyła lateksowe rękawiczki i zaczęła wyciągać książki z półki.

– Od czego tu zacząć... *Kiedy umieram* Faulknera, *Moja Antonia* Carter. Wspominałaś chyba, że jesteś wielbicielką Harper Lee? Popatrz na to.

O niczym takim nie wspominałam, ale oczywiście Scout Finch i ja znamy się od dawna, ta pozycja zajmowała główne miejsce w mojej walizce, zanim porzuciłam zabawę w księgarkę dla jazdy konnej. A teraz nagle trzymałam w dłoniach *Zabić drozda*: brązowa obwoluta, „Harper Lee” wytłoczone zielonymi literami na grzbiecie. Książka była zabezpieczona folią, założyłam jednak, że to pierwsze wydanie.

– To był mój wymarzony tytuł – powiedziała Genevieve, obserwując mnie z radością dziecka dzielącego się ukochaną zabawką z nowym przyjacielem.

– To niesamowite. Jak się czułaś, czytając ją?

– Słucham?

– No wiesz, ja mogłam się cieszyć tą powieścią tylko w miękkiej oprawie. Czy nie było wspaniałym przeżyciem ponowne czytanie jej w takiej postaci, w jakiej prawdopodobnie czytała ją Harper Lee, kiedy dostała własne egzemplarze?

Genevieve zmarszczyła brwi w czarującym geście zdziwienia.

– Uwierzysz, że nawet nie zdjęłam folii? Chyba muszę wpisać to na moją listę rzeczy do zrobienia w najbliższym czasie. – Łagodnie odebrała mi książkę, postawiła na półce i zamknęła szafkę maleńkim srebrnym kluczem.

Przez minutę siedzieliśmy w milczeniu. Gabinet Genevieve był spokojny, oszczędny w wystroju – i oczywiście biały. Bez stosów papieru, splątanych kabli czy kremów do rąk. Tak bardzo się różnił od hałaśliwego ula „You”, gdzie w lekturze ciągle przeszkadzała mi redaktorka działu urody, szukająca chętnych do wypróbowania tuszu do rzęs, albo Reggie, facet od poczty, umieszczający kolejne pudło książek na podłodze mojego boksu. Pomyślałam, że mogę się do tego przyzwyczaić. To jak praca w spa!

Genevieve i ja uśmiechnęłyśmy się do siebie. Spotkanie miało atmosferę udanej pierwszej randki. Podobała mi się jej pewność i oszczędne używanie słów. Podobało mi się, że sprawiała wrażenie, jakby mnie polubiła. Poczułam przyływ ambicji i gotowości działania. Chcę tego, pomyślałam. Chciałam mieć własny schludny biały gabinet i właściwą fryzurę. Szansa na wprowadzenie książek w dwudziesty pierwszy wiek – to była tylko wisienka na bardzo apetycznym torcie.

– Alice, zanim przejdiesz do ostatnich ogniw łańcucha, chciałam z tobą porozmawiać o tym, jak wyobrażamy sobie twoją rolę. Ponieważ ze swoimi kwalifikacjami ty naturalnie prowadzisz rozmowę o pracę w takim samym stopniu jak my. – Genevieve odgarnęła kosmyk włosów z czoła i otworzyła pojedynczą brązową teczkę na biurku.

Czekałam. Co mogłam powiedzieć? Że rozpaczliwie potrzebuję tej pracy i zabiłabym, żeby brać udział w czymś tak rewelacyjnym?

Genevieve odchrząknęła.

– Widzę cię w hybrydowej roli kreatora gustów i księgarza, oczywiście, w tym się mieści wkład w Scroll Originals. Myślę też, że możesz świetnie pasować do roli znanej w firmie jako Scroll Crier.

Zaciekawiona przekrzywiłam głowę.

– Widzisz – ciągnęła Genevieve – szukamy kogoś, kto będzie pośredniczył między nami a środowiskiem wydawców. Jak możesz sobie wyobrazić, nasza koncepcja Scrolla spotkała się z ciepłym przyjęciem, kto nie chce więcej księgarń, racja? Zależy nam jednak na pracowniku, który dopilnuje, żeby te środowiska były na bieżąco ze zmianami naszej misji. Jak to widzisz?

– Chodzi ci o informowanie wydawców o tym, co dzieje się z naszymi planami?

– Właśnie. Potrzebujemy kogoś w rodzaju ambasadora.

– To wygląda na zajęcie akurat dla mnie.

Genevieve się uśmiechnęła.

– Przekonasz się, że w MainStreet czy w Scrollu nic nie jest wyryte w kamieniu. Jesteśmy ekspertami od działania płynnego, co może być zarówno inspirujące, jak i frustrujące. Nie będę kłamała.

– Rozumiem. Pamiętaj, Genevieve, pracowałam w czasopiśmie. W ciągu ostatnich pięciu lat trzykrotnie wypuszczaliśmy nową wersję „You” i za każdym razem redaktorzy musieli opracować nową szatę graficzną i przesłanie. To mnie w tej pracy naprawdę porywało.

Genevieve patrzyła na mnie przez długą chwilę, potem skinęła głową.

– W takim razie w porządku. Mam dobre przecucia co do ciebie, Alice Pearse.

– Ja też mam dobre przecucia co do ciebie, Genevieve Edwards. To znaczy Andrews! – odparłam niezręcznie i zaraz się wzdrygnęłam. Jak mogłam pomylić jej nazwisko?!

Gestem dała mi znać, żebym za nią poszła. Białym korytarzem doszliśmy do drzwi z tabliczką „Wstęp wyłącznie dla upoważnionych gości”. Zatrzymała się z dłonią na metalowej gałce.

– Teraz tak. To nasza symulacja salonu Scrolla i stąd przeprowadzisz rozmowy telefoniczne. Zanim jednak to nastąpi, muszę podkreślić znaczenie

klauzuli poufności, którą przed chwilą podpisałaś. Te pomieszczenia są absolutnie tajne, przeznaczone wyłącznie dla oczu naszych pracowników powyżej poziomu piątego i najlepszych kandydatów.

Kiwnęłam głową, unosząc dwa palce.

– Słowo skautki.

Najlepsi kandydaci? Praca rzeczywiście była w moim zasięgu – całkiem niepojęty uśmiech losu.

Za drzwiami znajdował się okrągły pokój pomalowany na ciepły kolor kwiatów jaskra. Podłoga była wyłożona szerokimi i ciemnymi deskami, wysoki sufit tworzył jasnoniebieską kopułę. Weszłyśmy i Genevieve dłonią wskazała długi rząd skórzanych foteli, z których każdy wyposażono w giętą lampę do czytania z abażurem w innym odcieniu. Wybrałam czerwony, usiadłam i zdziwiłam się, kiedy z dołu wystrzelił miękki podnózek.

Genevieve zachichotała.

– Tak, nie wyglądają na rozkładane, ale przekonaliśmy się, że czytelnikom zależy na samopoczuciu, które wywołują tego rodzaju fotele. Rockwellowie zamówili je specjalnie dla Scrolla, chodzi o stworzenie atmosfery łączącej modną bibliotekę i dom, choć z nutą dekadencją.

– „Dekadencji” to właściwe słowo. Oho. To miejsce jest jak prywatna sala filmowa w *Domach za milion*.

– Masz rację. Uwielbiam ten program! – Roześmiałyśmy się. Oparłam się pokusie zapytania, czy ogląda też *Kawalera do wzięcia*. Nie czułam się już jak na udanej pierwszej randce, to zaczynało przypominać miłość od pierwszego wejrzenia.

Genevieve mówiła dalej:

– Alice, przynieść ci coś ciepłego do picia, zanim zadzwonisz do Clevelandu? Jeszcze nie zatrudniliśmy baristów, ale mogę zrobić kawę w ekspresie do parzenia na zimno. Dysponujemy urządzeniem do palenia, więc wiemy, że nasze ziarna były traktowane po ludzku.

– Jasne, chętnie się napiję. I na pewno nie mogę zrobić jej sama?

– Proszę. – Genevieve położyła mi dłonie na ramionach i posadziła w fotelu, po czym podeszła do dębowego blatu sąsiadującego ze szklaną witryną pełną rożków, babeczek i magdalenek. – Opowiedzieć ci o naszych wypiekach przyjaznych środowisku? Dopracowujemy menu bezglutenowe, pozbawione pszenicy i nabiału. To jedna z zalet tej pracy, masz okazję skosztować wszystkiego.

– Dzięki, wyglądają apetycznie, ale nie jestem głodna. Nie mogę się napatrzeć na te półki! – Przez połowę obwodu pokoju półki sięgały od podłogi do kopuły, dębowe, łagodnie zaokrąglone, z przesuwaną drabiną łączącą dolną półkę z górną.

– Widowiskowe, co? – Genevieve chwyciła masywny kubek i gestem dała

znać, żebym się okręciła na krześle. – Nie przegap ekranów po drugiej stronie pokoju. Łapiesz? Przeszłość spotyka się z przyszłością. Keith na pewno powiedział ci o naszym programie Scroll First. Ustawimy książki na półkach, wystarczy, że okręcisz się na fotelu i zamówisz e-book na swoje urządzenie. Mleko? Cukier?

Keith! Więc tak miał na imię. Rzeczywiście, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku Will wpadł w poważne kłopoty, kiedy stłukł kolegę o tym imieniu w grze w kwadraty.

– Czarną, proszę. Ho, ho. Podoba mi się pomysł połączenia e-booków z prawdziwymi... to znaczy książkami opartymi na węglu. Stare z nowym. To bardzo...

– Spójne?

– Właśnie.

– Spójność to jedna z naszych najważniejszych zasad. Widzisz, Alice, doskonale do nas pasujesz.

Zaraz po zakończeniu ostatniej rozmowy zadzwoniłam do Nicholasa z lobby modnego hotelu tuż za rogiem. Miałam czterdzieści pięć minut do następnego pociągu do Filament i byłam bardziej niż szczęśliwa, że mogę wygodnie się usadowić na rdzawoczerwonej sofie z wielkim kielichem białego wina. Chociaż przez cały dzień prawie się nie ruszałam, czułam się obolała i znużona jak w katatonii. Wystarczyło mi jednak sił, by zauważyć, że jestem jedyną osobą w zasięgu wzroku, która nie ma na głowie wełnianej czapeczki i jest od stóp do głów odziana w garderobę z katalogu Bodena.

– No i?

– Jestem wypluta. Twarz mnie boli od mówienia. Ale... Nicholas! Kocham Genevieve. I powinieneś zobaczyć to miejsce.

– Biura są ładne?

– Olśniewające. Po prostu... niewiarygodnie surowe, ale w bardzo elegancki sposób. Genevieve pokazała mi, jak będą wyglądały księgarnie, jak najpiękniejsza biblioteka, jaką w życiu widziałeś, z regałami po jednej stronie i nowoczesnymi płaskimi ekranami po drugiej.

– Fiu, fiu. Kiedy startują?

– Ha. Nie tak szybko. Nicholasiu, jedna rzecz, o której nie wspomniano w „New York Timesie”: poza e-bookami sprzedają pierwsze wydania i można wykupić kartę członkowską do sali z płytkami podgrzewającymi kawę i książkami dostępnymi jedynie w Scrollu. Mówię ci, to niesamowite... – W tle usłyszałam cichy syk i szcęk. – Nicholasiu, jesteś tam?

– Jestem. Przepraszam, otwierałem piwo. No, no, zdrowie, Alice, to brzmi super! Spodobałaś się im?

- Zaraz, jesteś w biurze?
- Nie, wróciłem wcześniej i odesłałem Jessie do domu. Spędzam czas z dziećmi.
- Aha, dobra. A która tak w ogóle jest godzina?
- Nie mam pojęcia. Koło wpół do piątej?
- Ha, w twojej pracy pora koktajlowa zaczyna się wcześniej. A, jedna dziwna rzecz: wcale nie pojawił się temat dzieci.
- Jasne, że nie! Złamałoby prawo, pytając, czy masz dzieci, a czemu ty miałabyś sama z siebie dzielić się takimi informacjami? To bez znaczenia.
- Bez znaczenia? Cóż. Dzieci to... moje życie, tak bym to ujęła. Moja najlepsza praca.
- Nicholas się roześmiał – ciepło, ale się roześmiał.
- Odpręż się. Zobaczymy, co będzie dalej.

Do wszystkich, którzy ze mną rozmawiali, napisałam podziękowania na skandalicznie drogich kremowych kartach z wydrukowanymi zabawnymi okularami. Uznałam, że zachowują właściwą równowagę między modnym, intelektualnym i nowoczesnym.

Oliver przystanął przy stole w jadalni z piłką pod pachą. Przyjrzał się przezroczystemu pudełku z kartami (otworzyć je było trudniej, niż zdjąć opakowanie z płyty CD) i zapytał:

- Mamo, piszesz list do naszego lekarza od oczu?
- Lekarza od oczu? Nie! Piszę do ludzi, których spotkałam w trakcie rozmowy o pracę.
- Noszą okulary?
- Niektórzy.
- Powiedziałaś im, że dzieci mówiły do ciebie „czworooka mamó”?
- Nie. Nie rozmawialiśmy o moim wzroku.
- Dlaczego nie?
- Po prostu nie.
- Mamo, możemy dostać xboxa?
- Nie.
- Dlaczego nie? Wszyscy oprócz nas mają xboxy.
- Bo w tym domu się czyta.
- Ale mamó...
- Oliver! Proszę, idź porzucić frisbee biednemu Corneliusowi, nie był na dworze od rana.

Ten temat pojawiał się w naszych rozmowach nie po raz pierwszy. Jeden z kolegów Olivera na urodziny dostał xboxa i od tego czasu mój syn zaczął

lobbować na rzecz Kinect Sports, FIFA, Sonic Generations i Kinectimals. Ta ostatnia gra, zapewnił mnie, jest „w sam raz” dla Georgie.

– Tam są zwierzęta, mammo! I można dostać Harry’ego Pottera na xboxa! Te gry są edukacyjne!

Entuzjazm Olivera do konsoli odpowiadał mojej niechęci do niej. Już i tak miałam dość problemów z kontrolą korzystania z telewizji i komputera, które szybowało w górę w weekendowe poranki, kiedy oboje z Nicholasem za wszelką cenę chcieliśmy pospać. Tak czy owak, dlaczego Oliver nie może wyjść na dwór zagrać w prawdziwą koszykówkę albo wyprowadzić naszego prawdziwego psa na prawdziwy spacer? A co do Harry’ego Pottera, jego miejsce jest w książce. Koniec.

4 Walt Whitman, *Miasto okrętów*, przeł. Andrzej Szuba, [w:] tegoż, *Pieśń o sobie*, wyb. Andrzej Szuba, Kraków 1992.

5 W Nowym Jorku (a także w innych miastach w Stanach Zjednoczonych) z okazji ważnych wydarzeń, m.in. sportowych, tradycyjnie odbywają się parady z konfetti (przyp. red.).

Kiedy czas, który pozostał Nicholasowi w kancelarii, skurczył się do sześciu tygodni, mój mąż zaczął przywozić worki i pudła z biura w centrum. Wyznaczyliśmy ką w piwnicy na przechowanie rzeczy przeznaczonych do nowego biura: teczki, notatniki, zszywacz, oprawny rysunek przedstawiający nowojorską bibliotekę.

Mniej ważne przedmioty nigdy nie trafiły do piwnicy, wchłonął je chaos wiecznie panujący w naszym domu. W pokoju zabaw pomiędzy plastikowymi miskami i przyborami w miniaturowej kuchni Georgie odkryłam nieznanego toster. Po dokładniejszym śledztwie uświadomiłam sobie, że to prezent od GE, przysłany Nicholasowi przez bankowców inwestycyjnych po zakończeniu szczególnie trudnej transakcji. Cały szwadron takich prezentów stał na parapecie jego gabinetu przy Park Avenue, wszystkie upamiętniały to, co było istotą konkretnej transakcji: model betoniarki, szkło powiększające, fiolka z tabletkami. Każdy oznaczał całe miesiące, kiedy Nicholas jadł kolacje w sali konferencyjnej, a Gladys w popłochu kupowała mu świeże koszule w sklepie Charles Tyrwhitt za rogiem.

Czy on naprawdę miał zamiar zostawić dziesięć ostatnich lat życia, nie oglądając się za siebie?

Pewnego wieczoru, kiedy wspólnie sortowaliśmy śmieci w piwnicy, przekonałam się, że pojemnik ze szkłem jest dla mnie za ciężki.

– Ja go wezmę – powiedział Nicholas, wciągając bluzę drużyny hokejowej Red Raider z liceum. – Możesz przytrzymać drzwi?

Kiedy mnie mijał, niosąc w wyciągniętych rękach wielki stos brązowych butelek i samotny słoik po majonezie Hellmans, zapytałam:

– Myślisz, że pijemy więcej niż dawniej?

– Nie, dlaczego?

Nicholas dotarł do krawężnika, z wdziękiem omijając obręcze hula-hoop, żabią laskę i dwie piłki do piłki nożnej. Jedna była zwiotczała, drugą, nadal okrągłą, kopnął do bramki Olivera i głosem sprawozdawcy sportowego zawołał:

– Gol!

Puściłam drzwi, w myślach notując, że trzeba kupić majonez.

Zadzwoiła mama. Zadzwoił Will. Pora, w której się odezwali, świadczyła, że najpierw skonsultowali się ze sobą i postanowili mnie pokrzepić motywującymi pogadankami.

„Dobre rzeczy zdarzają się tym, którzy czekają” – to było motto mamy. Jeśli

nie dostanę tej pracy, przeprowadzimy rozmowę pod tytułem: „Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu”, jeśli dostanę, tematem będzie: „Ciężka praca i wytrwałość zawsze są nagradzane”.

Mama jest przewodniczką w Muzeum Thomasa Edisona w West Orange. Dwa dni w tygodniu oprowadza szkoły i seniorów po świeżo odnowionym laboratorium Edisona, gdzie można zobaczyć małą pryczę, na której sypiał, dzięki czemu nie musiał wracać do domu, gdzie głowę zawracałoby mu ośmioro dzieci. Oprócz tego w muzeum są lalki z woskowymi buziami śpiewające *Mary Had a Little Lamb* oraz wyłożone papą studio Black Mary, w którym Edison kręcił wczesne nieme filmy, takie jak *Wielki napad na pociąg*.

Will i ja dorastaliśmy otoczeni pamiątkami po Edisonie. Nad krucyfiksem w moim nadal nietkniętym pokoju dziecięcym były przypięte słowa wielkiego wynalazcy, wyszyte krzyżykami przez jedną z ciotek: „Największą słabością jest rezygnacja”. Po wewnętrznej stronie drzwi szafy wisiało zaś zdjęcie Rivera Phoenixa, dawno temu wycięte z „Tiger Beat” i po dwudziestu latach od śmierci aktora wciąż przyklejone poźółkłą taśmą.

Brat wyraził się bardziej rzeczowo:

– Posłuchaj, Alice, jeśli dostaniesz tę robotę, to super, jeśli nie, nadal możesz pomagać kobietom w osiągnięciu życiowego celu w postaci płaskiego brzucha.

Will zawsze złośliwie odnosił się do mojej pracy w „You”, pewnie dlatego, że jego żona Mary jest obdarzona idealną figurą i nie ma czasu na fanaberie w rodzaju czytania rzeczy, które zaraz się wyrzuca. Prenumeruje czasopisma z przypisami, a nie z paskami perfumowanymi. Mary jest okulistką, Will właścicielem Boy Portage, szkoły kajakowania na wyspie Bailey w Maine, gdzie mieszkają z moimi dwoma uroczymi bratankami komponującymi muzykę i nieprzejawiającymi najmniejszych skłonności do brutalnego zachowania, tak charakterystycznego dla ich ojca w dzieciństwie.

Chociaż przeguby ciągle miałam czerwone od „pokrzywek” Willa, chociaż zniszczył moją ulubioną lalkę, tatuując na niej logo Metsów niezmywalnym tuszem, jako dzieci byliśmy ze sobą zżyci. Teraz wzajemnie się szanujemy. Czasami się zastanawiam, co się stało z facetem fundującym kolejki tequili dla wszystkich w Dive Bar na Broadwayu w moje dwudzieste drugie urodziny. Traper, który go zastąpił, jest taki poważny, że staram się przy nim uważać na słownictwo.

– Jejku, Will, dzięki, że we mnie wierzysz.

– A co twoja przyjaciółka z księgarni myśli o Scrollu? Że odrobina zdrowej rywalizacji nie zaszkodzi?

– Will? Nie bądź fiutem.

– Alice, i po co ten wulgarny język?

(Widzicie?)

– Mniejsza z tym. Co planujecie na weekend?

Will i dzieci wybierali się powiosłować w zatoce Casco, a Mary miała nieodpłatny dyżur w mobilnej przychodni okulistycznej w biednej dzielnicy Portlandu. My całą rodziną mieliśmy zamiar obejrzeć *Loraxa* w centrum handlowym Willowbrook, a na deser pójść do Cinnabon. Powiedziałam Willowi, że bierzemy udział w biegu na pięć kilometrów, którego celem jest zebranie pieniędzy na program walki z analfabetyzmem w Newark; w rzeczywistości wpłaciłam tylko datek na sąsiada, w dodatku niezbyt szczodry.

Ja: Odrzucili moją visę na stacji benzynowej. Zapłaciłam gotówką, ale o co tu chodzi?

Nicholas: O nic złego. Opłaciłem z niej rzeczy do biura i podejrzewam, że suma była na tyle wysoka, żeby wywołać alarm. Zaraz się tym zajmę.

Ja: Myślałam, że wynajmujesz umeblowane biuro.

Nicholas: Bo wynajmuję! Chodzi o drobiazgi. Krzesło marki Aeron – dostałem świetną cenę na eBayu. I wydałem sporo na barek na kółkach, bo chcę nadać temu miejscu atmosferę z *Mad Men*.

Ja: Aha. Szkoda, że nie skonsultowałeś ze mną tych zakupów. Zaraz do Ciebie zadzwonię.

W czwartkowe popołudnie podwiozłam Margot na lekcję rysunku i wracałam do domu, kiedy na wyświetlaczu telefonu pojawił się numer z kierunkowym z Clevelandu. Tak się złożyło, że na kilka dni odwiedzili nas Judy i Elliott. Wiedziałam, że są na drugim końcu Filament, odbierają Olivera od kolegi. Założyłam, że zabłądzili, więc zjechałam swoją hondą odyssey (osiemnaście uchwytów na kubki, żadnych zabaw na tylnych siedzeniach) na pobocze Essex Avenue i odebrałam.

Cornelius siedział obok mnie i dyszał, język wisiał mu z pyska.

– Hej, co się stało?

– Halo, czy mogę rozmawiać z panią Alice Pearse, zamieszkałą przy Flower Street czternaście w Filament w stanie New Jersey?

– Ojej! Ehm, tak, to ja.

– Alice, nazywam się Chris Pawlowski i jestem rekruterem w MainStreet. Masz wolną chwilę?

– Oczywiście. – Dyszenie Corneliusa zmieniło się w gardłowe postękiwanie, złapałam go więc za obrozę i wypchnęłam na tylne siedzenie.

– Z przyjemnością przekazuję ci propozycję objęcia funkcji – nastąpiła krótka cisza, wypełniona szelestem przerzucanych papierów – menedżera zwartości ukośnik pośrednika branżowego. Wynagrodzenie odpowiednie do doświadczenia.

Podczas gdy Chris paplał, ja gorączkowo gryzmołałam notatki na odwrocie rachunku z Exxon długopisem, który znalazłam na podłodze samochodu: plany inwestycyjne (akcje!), bonusy powitalne (dwa!), data rozpoczęcia pracy (od zaraz), urlop (dziesięć dni – poważnie? Przez cały rok?).

– Chris, dziękuję! Taka jestem szczęśliwa! Poprawiłeś mi humor na cały weekend. – Oto ja, w spodniach Gap Body i fioletowej bluzie Under Armour, otrzymująca propozycję pracy ze znakiem przestankowym w nazwie posady. Udało mi się.

– Wiesz, łamię protokół, mówiąc ci o tym, ale ustawiłem cholernie wysokie wymagania dla kandydatów na to stanowisko i Genevieve wszystkich na razie odrzuciła. – Chris zniżył głos. – Alice, zauroczyłaś absolutnie każdego. Pokochali cię.

– Dziękuję, Chris. To bardzo miło z twojej strony. Będzie w porządku, jeśli odezwę się w poniedziałek? Chciałabym w weekend zastanowić się... nad wszystkim. – W gruncie rzeczy nie było nad czym się zastanawiać, ale wyczuwałam, że w Scrollu szanują energiczne negocjacje i nie chciałam ich zawieść.

Nadeszła pora, by Alice Pearse zaczęła działać. Przypomniałam sobie, jak tata i Will kibicowali baseballiście Ronowi Darlingowi, kiedy miał rzucić piłkę na Shea Stadium:

– No, dalej, dalej, zamach!
Ja już podnosiłam rękę.

W salonie nalałam wina Judy i Elliottowi, po czym gestem dałam znać Nicholasowi, żeby poszedł do kuchni.

– Dostałam pracę! – szepnęłam. W jego oczach zapalił się płomyk, kiedy pokazałam mu liczby na odwrocie rachunku.

– Alice, mówisz poważnie? To spora suma.

– Jasne, że tak! Aż mnie nosi, nie mogę w to uwierzyć!

Objął mnie i podniósł; gdybyśmy byli gwiazdami sitcomu, skończylibyśmy wdzięcznym obrotem. My jednak wpadliśmy na lodówkę.

– Nicholas, damy radę! Moja praca utrzyma nas na powierzchni.

Nicholas sprawiał wrażenie zbitego z tropu, nawet lekko urażonego.

– Oczywiście, że damy radę. Wcale się o to nie martwię. A dlaczego ty tak bardzo się tym przejmujesz?

– Nie wiem, może dlatego, że szafki w naszej kuchni odpadają od ścian, czesne w college'ach jest wysokie i chcielibyśmy kupować jogurty od małych wytwórców w Whole Foods? Mówię poważnie, dlaczego ty się nie martwisz?

– Zapomnij o tym, powinniśmy świętować. Tak, przed nami lata chude, choć

dzięki Scrollowi nie tak bardzo. Jestem z ciebie dumny.

Pochylił się i pocałował mnie – to był długi, nieśpieszny pocałunek. Margot weszła do kuchni, mruknęła „fuj”, po czym okręciła się na pięcie i wyszła.

Ja: Tato, DOSTAŁAM PRACĘ!

Tata: Moja córeczka. LOL.

Ja: Zaraz, dlaczego się ze mnie śmiejesz?

Tata: Nie śmieję się.

Ja: LOL oznacza „laughing out loud”, śmiać się głośno.

Tata: Och. Dla mnie to znaczy „lots of love”, wiele miłości.

Siedząc na ganku, zauważyłam Olliego stojącego obok ławki po drugiej stronie ulicy, na końcu szkolnego trawnika najbardziej oddalonego od naszego domu.

Teraz, kiedy Oliver i Margot byli w drugiej i piątej klasie, ustaliłam, że będą się spotykali przy ławce i wracali do domu razem. Inni rodzice zareagowali podniesionymi brwiami, chociaż podkreślałam, że nasz dom od szkoły dzieli dosłownie rzut kamieniem, a nad przejściem przez ulicę czuwa ochroniarz, który w poprzednim życiu mógł być bramkarzem. Mimo to dyrektorka zażądała oświadczenia zwalniającego szkołę od odpowiedzialności.

W dni, kiedy pracowałam, Jessie nadal chodziła po dzieci. Mówiła, że ma nadzieję rzucić okiem na celebrytę Filament, meteorologa, który czasami odbierał ze szkoły swoje córki. Zapytałam, czy jej zdaniem Margot i Oliver są jeszcze za mali na powroty bez opieki, na co Jessie odparła pogodnie:

– Nie moja sprawa! Ty jesteś ich matką.
(Oczywiście oznaczało to łagodne „tak”).

W ten konkretny piątek byłam w domu sama i czekałam na Margot i Olliego. Georgie z przedszkola poszła do koleżanki. Ostatnio Margot coraz więcej czasu zabierało dotarcie do brata, Oliver stał więc koło ławki, lekko zgarbiony, z dłońmi wepchniętymi w kieszenie za małej granatowej wiatrówki. Nawet z odległości przecznicy po jego wąskich plecach widziałam, że wygląda na pokonanego i wyczerpanego. Potrzebował wizyty u fryzjera. W myślach zanotowałam, żeby wcześniej położyć go do łóżka.

Czy poszłam i przeprowadziłam go przez ulicę? Nie. Wróciłam do domu po puszkę napoju przekonana, że Margot w końcu się pojawi i przyprowadzi brata.

W poniedziałek, spędziwszy przedpołudnie z Margot na dniu otwartym w gimnazjum, usiadłam przy stole jadalnym i zadzwoniłam do Genevieve. Chris mi powiedział, że tę konkretną kwestię muszę przedyskutować z członkami swojego zespołu, zaraz więc napisałam sobie przemowę i przećwiczyłam ją z zaufanymi doradcami. Powiedziałam:

– Wasza oferta jest niesamowicie szczodra. Bardzo mi się spodobała. Ale mam jeden problem logistyczny, który chciałam przedstawić.

– Jasne, dawaj! – W słuchawce zawibrował radosny głos Genevieve.

– Chodzi o to, że w piątki chciałabym pracować z domu. – Prośba była wyrażona wprost, pozbawiona ozdobników, ale oparłam się chęci jej wyjaśniania

czy ubarwiania. Zamiast tego narysowałam małe pytajniki na okładce podręcznika do wiedzy o społeczeństwie, przez co później Margot dostała punkty ujemne za niszczenie szkolnej własności.

Genevieve odparła, że rozumie, ale „musi zbadać grunt”.

Kiedy nazajutrz jechałam pociągiem do miasta, Genevieve odzwoniła. Pędziliśmy przez Secaucus, mijając Meadowlands i widok na autostradę, który zyskał sławę dzięki czołówce *Rodziny Soprano*. Za sekundę wjedziemy do tunelu pod Hudsonem i stracę zasięg.

– Alice? Przekazaliśmy twoją prośbę do Clevelandu. Niestety, nie odpowiedzieli pozytywnie. U nich praca faktycznie wymaga siedzenia na tyłku w biurze, ale my oczywiście jesteśmy ich filią, więc możemy być elastyczni w zależności od potrzeb. – Nastąpiła przerwa. Gnałszy przez stację Secaucus, gdzie tory były tak nisko, że mogłam dostrzec kostki pasażerów czekających na inny pociąg. – Zróbmy tak: będziesz w biurze pięć dni, ale możesz pracować z domu, jeśli zajdzie taka potrzeba. Pod warunkiem, że będę wiedziała, gdzie cię znaleźć.

Pasażer obok poprawił się na siedzeniu, szturchając mnie łokciem w bok. Skrzywiłam się.

– Dziękuję, że próbowałaś coś zdziałać. Zapomniałam też zapytać: jest jakiś margines, jeśli chodzi o urlop? Dziesięć dni to... marnie, wybacz, że tak mówię.

– Podziwiam twoją szczerość. Miałam te same zastrzeżenia, zanim przyjąłam tę pracę, i z przykrością informuję, że polityka urlopową nie podlega zmianom. W MainStreet zarząd i menedżerowie mają takie same warunki jak sprzedawcy. Kierownictwo nie jest uprzywilejowane.

Przełknęłam rozczarowanie i skupiłam się na nieznanym doznaniu: właśnie uznano mnie za członka kierownictwa.

– W takim razie, Genevieve, z przyjemnością przyjmuję tę pracę.

– Bajecznie! Witaj w zespole. Poczekasz moment?

Usłyszałam odgłos wciskanego klawisza, ale telefon nie został wyciszony, co pewnie było zamiarem Genevieve. Usłyszałam więc, jak krzyczy głośno i wyraźnie:

– Alice Pearse się zgadza! Powiedz Chrisowi, żeby się wstrzymał ze złożeniem propozycji lasce od kartek z życzeniami!

Laska od kartek z życzeniami? Ona też była kreatorką gustów?

– Alice? Już jestem. Odezwij się, kiedy zrezygnujesz z poprzedniej pracy, i omówimy daty i całą resztę pozytywnych aspektów. A na razie strasznie się cieszę, że będę miała okazję z tobą pracować. – Sposób, w jaki wymówiła „strasznie”, przypomniał mi Susannę; zastanawiałam się, czy Genevieve i ja też okazemy się bratnimi duszami.

– Dziękuję. Czuję to samo. – Mój współpasażer zaczynał się irytować

i mrużyć coś pod nosem o ludziach, którym się wydaje, że są tacy ważni.

Genevieve jednak nie skończyła.

– Zanim się pożegnamy, mam do ciebie jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Alice Pearse, jaka jest twoja wymarzona książka?

Uśmiechnęłam się do okna. To było łatwe pytanie.

– Bardzo bym się ucieszyła z *Własnego pokoju*.

– Uważaj sprawę za załatwioną.

Rozłączyliśmy się.

Pomyślałam o linijce, która w moim starym wydaniu Penguina w miękkiej okładce była podkreślona i otoczona kółkiem: „Piękno świata ukazuje podwójne – rozweselające i zasmucające – oblicze, wprawiając nas w serdeczną rozterkę”⁶. Te słowa dobrze określały to, co czułam w stosunku do nowej pracy: nie posiadałam się z radości i strasznie się bałam.

Potem skoncentrowałam się na mantrze z mniej skomplikowanej książki: „Myślę, że potrafię, myślę, że potrafię, myślę, że potrafię”.

Klub książki Bez Winy rozchodził się po wieczorze hulank w Niebieskiej Sowie. Opróżniliśmy prawie dwie skrzynki wina, a ze stołów zniknęły ułożone wcześniej książki w twardych oprawach. Półki z książkami kucharskimi wyglądały jak szczerbate usta, dział pamiętników był tak splądrowany, że współczułam pracownikom, którzy rano będą musieli go uzupełniać.

Kiedy krzątałam się po sali, sprząając puste kubki i serwetki, łapałam urywki rozmów: „Jeśli kochasz Anne Rivers Siddons, to musisz przeczytać Elin Hilderbrand”. „Nie, Jonathan Tropper. Uwierz mi, jest o wiele zabawniejszy od Jonathana Franzena”.

Susanna i ja ruszyliśmy na zaplecze księgarni po kartony i torby dla przyjaciół, którzy musieli w coś zapakować swoje łupy, żeby móc je zanieść do domu. Zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła policzek do mojego ramienia.

– Kolejny udany wieczór. Kochana, co ja bym bez ciebie zrobiła?

Wciągnęłam w płuca znajomy aromat goździków i szamponu, po czym ostrożnie postawiłam na podłodze pudło ze Scholastic z czerwonymi literami.

– Susanno, muszę ci coś powiedzieć.

– Boże, nie mów, że przenosisz Margot do Piranii. – To była drużyna pływacka konkurująca z Panterami, a właśnie do tej niepokonanej sztafety pływackiej należały Margot i Audrey, starsza córka Susanny. Żartowaliśmy, że długoletnia przyjaźń naszych rodzin zacznie wzbudzać zainteresowanie, kiedy obie panienki wystartują na igrzyskach olimpijskich.

– Nie, to nie to. Sprawa jest odrobinę poważniejsza.

Susanna zaczęła kręcić ruchomą nóżką plastikowego kieliszka do wina. Bałam się, że wychłapie zawartość na ładny, spiralny stos *Małych cudów*.

– Przyjęłam pracę w Scrollu.

Nie musiałam nic więcej dodawać. Byłam winna Susannie szczerłość, a nie przeprosiny.

Powiodła orzechowymi oczami po półkach od podłogi do sufitu, potem przeniosła wzrok na niebieską sowę z jasnego drewna w podłodze z kafelków. W zasięgu wzroku nie miałam obrotowego fotela, ale to nadal był mój ideał księgarni i Susanna o tym wiedziała. Musiała wiedzieć.

– Dziękuję, że mi mówisz, Al. Rozumiesz moje obawy, prawda?

– Rozumiem.

– Wiem, że musisz to zrobić ze względu na rodzinę, ale będziesz pracowała dla mojego wielkiego konkurenta.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Susanno...

– Ci ludzie mogą doprowadzić do mojego bankructwa.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby kiedykolwiek...

– Wiesz co, Alice? To tylko praca. My jesteśmy ważniejsze. – Chwyciła mnie za rękę, a ja się nie wrywałam, chociaż mój pierścionek zaręczynowy się przekręcił i wbił boleśnie w bok małego palca.

Nawet z czającym się na horyzoncie dramatycznym spadkiem pensji Nicholasa byłam cokolwiek oszołomiona swoim nowym wynagrodzeniem.

Pewnego dnia rano zajęłam się garścią opłat za letnie obozy: dwa tygodnie nauki aktorstwa: 650 dolarów, tydzień lacrosse'a: 280 dolarów, dwa tygodnie projektowania mody: 900 dolarów bez maszyny do szycia.

– Lepiej niech będzie następną Glorią Vanderbilt, jak to skończy – burczał Nicholas. Gloria Vanderbilt? I to on kpił sobie ze mnie, kiedy zaproponowałam Oliverowi Mary Lou Retton jako temat wypracowania na miesiąc historii kobiet (#stuckinthe80s).

Wybrałam w butiku dwie letnie sukienki, ażurową bluzkę i krótki sweterek. Kupiłam też żółtą torbę z perforowanej skóry i złote baletki. Dwie inne klientki podziwiałały ten model. Jedna powiedziała:

– Fatalnie, nie miałabym gdzie w nich chodzić.

Ja miałam.

Spojrzałam na siebie w lustrze, sprytnie przechylnym tak, że wyszczuplało o kilka centymetrów talię mieszkanki Filament w średnim wieku. Nawet mimo łaskawości lustra nadal byłam grubsza, niżbym chciała, a moje włosy miały rdzawy odcień, który obwieszczał: „Nie przejdę łagodnie w siwiznę”. Poza tym jednak podobało mi się to, co zobaczyłam. Przynajmniej moje kostki wciąż wyglądały

dobrze.

Przysięgam, że nigdy więcej nie włożę chodaków.

Kiedy tata zabrał mnie do Howard Savings Bank, żeby otworzyć mi pierwsze w życiu konto, dziwiłam się, jak łatwo było zarobić na czek z wypłatą, który deponowaliśmy:

– Musiałam tylko tam siedzieć!

Miałam piętnaście lat, byłam ratowniczką zadurzoną w chłopaku pracującym w barze szybkiej obsługi. Lato układało się przyjemnie, w głowie mi się nie mieściło, że płacą mi za picie zimnych napojów i uczenie smarkaczy, jak robić balony z gumy do żucia.

Tata poprosił kasjera o spieniężenie czeku, po czym podał mi gruby plik banknotów.

– Tak się czujesz, trzymając w ręku czterysta siedemdziesiąt dwa dolary. Miłe, nie?

Wzruszyłam ramionami.

– Chyba tak.

– Mój pierwszy czek z wypłatą w firmie Howarda Johnsona wynosił o wiele mniej, tyle ci powiem. – Był dumny. Nawet przez nowe ray bany, których nie zdjęłam w banku, widziałam bijący od niego blask. Oddał pieniądze kasjerowi. – Cała suma idzie na rachunek oszczędnościowy.

Do dzisiaj pamiętam chłodny plik banknotów w mojej dłoni.

Tydzień przed moim pierwszym dniem w Scrollu dałam Jessie wolne i zabrałam dzieci do sklepu o nazwie Błoto To My. Miały pomalować pojemnik na długopisy na moje nowe biurko, ale przedsięwzięcie od razu zamieniło się w katastrofę. Jak się okazało, Georgie wcale nie chciała malować pojemnika, tylko maleńkiego ceramicznego psa za dziewiętnaście dolarów dziewięćdziesiąt dziewięć centów. („Może być bliźniakiem Corneliusa!”) Margot wołała stawić czoło tacy, na której zmieściłby się indyk (albo dwa) na Święto Dziękczynienia, a Oliver głośno ubolewał, że nie jest na zjeżdżalni na placu zabaw po drugiej stronie ulicy.

Przez zaciśnięte zęby syknęłam:

– Hej, przyszliśmy pomalować pojemnik na długopisy. – O mało nie powiedziałam „pierdolony pojemnik”. Wybrałam taki, który mi się podobał, i energicznie postawiłam na stole, podczas gdy zszokowana, przesadnie miła sprzedawczyni pokazała nam, jak przetrzeć go gąbką przed nałożeniem farby.

Czy to możliwe, że jestem pierwszą w dziejach zrządzającą mamą, która maluje z dziećmi wyroby ceramiczne?

Kiedy dzieci z wielką starannością zaczęły malować granatowe i żółte pasy (mój wybór), po raz milionowy z rzędu pomyślałam, jak bardzo są podobne do Nicholasa. Ja chlapnęłam farbą i miałabym to z głowy. One były dokładne i ciche, skupione na aktualnym zajęciu tak długo, że w moim umyśle zaczęły się rodzić wątpliwości.

Dlaczego decyduję się na pracę dokładnie wtedy, gdy moje dzieci osiągnęły wiek, na który czekałam od ich niemowlęstwa? Miały odpowiednio jedenaście, osiem i pięć lat. Mogłam zabrać je ze sobą wszędzie i miały interesujące rzeczy do powiedzenia. Potrafiły same zapełnić sobie czas, co oznaczało, że nie musiałam już brać udziału w zabawach i przebierankach ani udawać, że lubię puzzle.

Więc po co to robię?

Dla pieniędzy, oto powód. I dla szansy rozwinięcia skrzydeł w sposób, który był poza moim zasięgiem, odkąd dzieci się urodziły. Czy proszę o zbyt wiele?

W chwili gdy w oczach zaczęły mi wzbierać łzy, Oliver złapał Georgie za rękę i powiedział:

– Nie tak, głupia. Wszystko psujesz!

– Oliver, ona może robić tak, jak się jej podoba. To twoja część wygląda brzydko. – Margot zawsze staje w obronie Georgie, zwłaszcza jeśli przy okazji może zdenerwować Olivera.

– Właśnie, nie jesteś szefem, Ollie. Robię, jak chcę.

Oliver wybuchnął płaczem. Jest spokojnym, dzielnym chłopcem, nie przywykłam do widoku wielkich łez toczących się po jego piegowatych policzkach. Nie wydawał żadnych odgłosów, tylko zwiesił głowę, a ramiona dygotały mu od szlochów.

Pogładziłam go delikatnie po plecach, zataczając dłonią małe kółka pod kapturem jego bluzy.

– Ciii, wszystko w porządku, Ollie. Świetnie sobie poradziłeś. Pomyślę o was za każdym razem, kiedy będę sięgała po długopis!

Usiłowałam nadać głosowi uspokajające, a potem optymistyczne brzmienie, ale z trudem udało mi się cokolwiek wykrztusić.

W drodze do domu włączyłam stację Z-100 i otworzyłam okna ku zachwytemu dzieci. Podczas gdy Margot, Oliver i Georgie wykrzykiwali nazwy tańców – *The sprinkler! The typewriter! The shopping cart!* – ja płakałam cicho na wietrze, samotna na przednim siedzeniu. Ciągle myślałam o Oliverze czekającym wtedy przy ławce.

6 Virginia Woolf, *Własny pokój*, przeł. Ewa Krasieńska, Warszawa 2002.

Rano w pierwszy dzień w Scrollu komórka była pełna esemesów od zaprzyjaźnionych mam życzących mi szczęścia. Smarowały moje dzieci kremem do opalania, ja bywałam na przyjęciach urodzinowych ich dzieci, znały wszystkie wzloty i upadki mojego małżeństwa z niekończących się analiz na brzegu basenu i przy kawie, kiedy odbierałyśmy dzieci od siebie.

„Jesteśmy z ciebie dumne” – napisała Susanna. „Kibicujemy z tej strony rzeki!”

Kiedy wychodziłam na dworzec, Nicholas stał przy blacie w kuchni; przed sobą miał sześć kromek chleba i przygotowywał kanapki do szkoły z serdeczną starannością, której nigdy nie potrafiłam włożyć w równie niewdzięczne zajęcie. Spojrzał na mnie bardzo poważnie i powiedział:

– Dasz radę.

Do otwarcia jego kancelarii pozostało niewiele czasu, odparłam więc:

– Ty też.

Cornelius czekał na mnie w progu z czerwoną smyczą w pysku. Wyglądziłam zmarszczki od troski na jego miękkim czole.

– Przepraszam, kolego.

Spodziewałam się, że to wyjście będzie gorzko-słodkie, zamiast tego jednak czułam uniesienie, mijając samochody czyhające na miejsce przed szkołą. Zanim skręciłam za róg, obejrzałam się na dom i w oknie holu zobaczyłam całą trójkę swoich dzieci. Georgie rozplaszczyła nos na szybie, Margot najwyraźniej obejmowała oboje rodzeństwa. Ten rzadki moment siostrzano-braterskiej solidarności mógł być złudzeniem.

Posłałam im całusa i przyspieszyłam, żeby włączyć się w strumień ludzi biegnących na pociąg o ósmej szesnaście.

Z peronu napisałam do Jessie: „Nadszedł wielki dzień! Życz mi szczęścia. Dobrze się zaopiekujesz moimi maleństwami, prawda?”.

Odpowiedziała w chwili, gdy pociąg wtoczył się na stację: „Oczywiście, że tak, dobrze o tym wiesz. To twoja chwila, Al!”.

Miała rację.

Dojazd do nowej pracy trwał o dwadzieścia minut dłużej od poprzedniego, w sumie osiemdziesiąt minut. Tamtego pierwszego dnia sunęłam z Penn Station do centrum, napędzana adrenaliną i przypuszczalnie głodem, bo byłam za bardzo zdenerwowana, żeby zjeść śniadanie. Biegąc koło swojego dawnego biura, poczułam tęsknotę za kolorowym holem „You”, ozdobionym fotografiami modelek robiących zdrowe rzeczy w rodzaju medytacji i jedzenia arbuzów.

Ale Scroll jest fascynującym miejscem, powiedziałam sobie.

Przypomniałam sobie Nicholasa tamtego dnia na stacji – „Alice, nie przyjęli mnie jako współnika”, zgarbione ramiona mówiące o porażce, to, na jak osamotnionego wyglądał. Teraz byliśmy w tym razem, oboje w równym stopniu przykładający się do utrzymania rodziny na powierzchni.

Kolejny obraz bez prośzenia pojawił się przed moimi oczami: stojące w szeregu redaktorki żegnające się ze mną w „You”. Ich drogie, znajome twarze, teraz pełne dumy. To kobiety, które należały tylko do mojego świata, kiedy wszystko inne – jedzenie, sen, zdrowie psychiczne – w połowie należało do moich dzieci.

Później pomyślałam o tacie, o kamerce przymocowanej do rurki wsuniętej przez nos do gardła i przenoszącej obraz raka na płaski ekran.

– Podgłośniowe zapalenie krtani, guz z podwiniętymi brzegami, wielokrotnymi obszarami martwicy i otaczającymi je obszarami przekrwionymi. – Lekarz dyktował te straszne słowa pielęgniarce, która na moment zamknęła oczy, dopiero potem zapisała werdykt na karcie taty. Mama i ja utkwiliśmy wzrok w ekranie i zastygłyśmy jak posągi.

A pacjent? Najpierw spojrział w bok. Potem wyciągnął pokryte plamami ręce i łagodnie przeniósł Margot, wówczas zaledwie trzymiesięczną, z moich kolan na swoje.

Och, wiem, co to odwaga. Jest naszą cechą rodzinną.

David, administrator Scrolla, otworzył drzwi w odpowiedzi na mój dzwonek. Pochodził z Clevelandu; nosił okulary w grubych plastikowych oprawkach, pasujące do niedawnego absolwenta Uniwersytetu Columbia mieszkającego w modnej części Brooklynu. Od razu go polubiłam.

Nowa menedżerka do spraw zakupów, Ellen, zaczynała tego samego dnia, więc David wprowadził nas obie w tajniki pracy. Ellen była smukła jak sosna, minę miała poważną jak Emily Dickinson. Ona też nosiła okulary wyrażające osobowość, srebrne „kocie oczy”. David wprowadził nas do oślepiająco białej sali konferencyjnej i podał nam ciężkie laptopy. Próbowałam robić dobrą minę do złej gry, kiedy przestawiałam się z maca na PC, ale manipulator punktowy z czerwonej gąbki na moim pozbawionym wdzięku touchpadzie od razu przywiódł mi na myśl Dartha Vadera z pryszczem na twarzy.

Genevieve uprzedziła mnie, że będę musiała dzielić z kimś pokój. Udałam zaniepokojoną, kiedy się o tym dowiedziałam (poziom hałas był jednym z argumentów w mojej nieudanej batalii o dzień pracy w domu), prawda jednak była taka, że nigdy wcześniej nie miałam własnego gabinetu, dlatego zupełnie się tym nie przejęłam. Mój nowy współlokator, Matthew, pracował na stojąco i nosił

tlumiące hałas słuchawki. Był menedżerem zawartości, specjalność literatura faktu. Uniósł słuchawki na kilka centymetrów i powiedział:

– Witaj, pracownico Scrolla numer trzysta pięć.

Matthew był bardzo wysoki, z gęstymi blond włosami, krzaczastymi blond brwiami i ciemnobrązową, sztywną brodą, która wyglądała, jakby wyrosła z innych ziaren niż włosy. Nosił buty z oddzielnym miejscem na każdy palec. Zwykle uważałam, że taki styl świadczy o złym guście, ale Matthew zdołał zmienić moje nastawienie.

– Dziękuję! Rzeczywiście jest nas tak dużo?

– Rzeczywiście. Mnożymy się z dnia na dzień jak... sam nie wiem co. Daj znać, jeśli będziesz potrzebowała pomocy w zadomowieniu się. Cieszę się, że mam towarzystwo. – Matthew rozstawił stopy na szerokość ramion i wrócił do pracy.

Oczywiście pokój był biały, ale kiedy tamtego dnia przekroczyłam jego próg, zalewała go żółta poświata w tym samym odcieniu, którego używa Georgie, kiedy rysuje wielkie uśmiechnięte słoneczko. Moje biurko stało pod oknem z widokiem na ogród na dachu Museum of Modern Art. Jeśli dobrze się wychyliłam, na wschodzie mogłam dostrzec odległe iglice katedry Świętego Patryka. Daleko w dole śmieciarki i żółte taksówki wielkości zabawek sunęły z przerwami Pięćdziesiątą Piątą Ulicą.

Moje biurko było zrobione z prostej sosny, pomalowane na biało, z grubymi metalowymi szynami. Krzesło z giętego białego plastiku miało niebezpiecznie wrażliwy na dotyk metalowy guzik regulujący wysokość. Jeden zły ruch i w mgnieniu oka można było wylądować na suficie. Wszyscy pracownicy Scrolla – i całego MainStreet – mieli takie same miejsca pracy, znane jako układ doskonały, odwołujące się do czasów, kiedy bracia Rockwellowie pracowali w garażu swoich rodziców.

Własny pokój leżał na środku biurka w kałuży delikatnego światła z lampy będącej miniaturą tych, które widziałam w symulowanym salonie w dniu rozmowy o pracę. Poza tym biurko było puste, dlatego książka wyglądała jak eksponat w bardzo modnym współczesnym muzeum. Kompletnie oszołomiona własnym szczęściem, delikatnie wzięłam ją w dłonie, podziwiając prosty granatowy wzór na okładce. Poniżej była notka wydrukowana na brązowym papierze: „Witaj, Alice Pearse. Mamy nadzieję, że te słowa zainspirują Cię do pracy na jeszcze wyższym poziomie. Prosimy, traktuj swoją wymarzoną książkę z uwagą, na jaką zasługuje. Pierwsze wydania w żadnym wypadku nie mogą opuścić budynku”.

– Nie potrafię uwierzyć, że jest moja. – Matthew nie odpowiedział; uświadomiłam sobie, że przez te swoje słuchawki mnie nie słyszy. Kiedy mu pomachałam ręką przed oczami, zdjął słuchawkę z jednego ucha. – Podziwiam swoją wymarzoną książkę. Co ty wybrałaś?

– *Grzęzawisko* Uptona Sinclaira. Temat niezbyt optymistyczny, ale...

– No, autorka mojej się utopiła, pamiętasz? Gdzie ją masz?

Matthew poklepał metalowy kosz nad biurkiem.

– Tutaj. Jeśli przeczytasz uwagi drobnym drukiem, przekonasz się, że nie powinnaś nawet zdejmować folii, chociaż ja to zrobiłem. Musiałem powąchać kartki.

Wiedziałam, że się dogadamy.

Po godzinach „programu adaptacyjnego”, składającego się z uczenia na pamięć numerów PIN, lekturze strony Wiki w intranecie MainStreet i pobraniu swojego identyfikatora, spotkałam się z Genevieve na lunchu w Union Square Café. Wcześniej byłam tam raz, jadłam kolację za talon z Sutherland i Courtfield.

Kiedy usiadłyśmy, Genevieve powiedziała mi, że o wpół do drugiej musi biec do biura, bo ma rozmowę telefoniczną z Gregiem.

– Strasznie przepraszam. Ten lunch to naprawdę najjaśniejszy punkt mojego dnia.

W takim razie nie spędzimy tu dużo czasu, pomyślałam, a potem zaczęłam się zastanawiać, kim jest Greg.

Przy sąsiednim stoliku obchodzono urodziny, gościem honorowym była przysadzista kobieta w średnim wieku. Towarzyszyli jej chudy jak tyczka mężczyzna i dwie małe dziewczynki z dwiema lalkami American Girls w takich samych sukienkach jak ich właścicielki. Oczywiście znałam te lalki z imienia i nazwiska: Julie Albright i Kit Kittredge, ich klony mieszkały w moim domu w pokoju zabaw na drugim piętrze.

– Wybieram menu degustacyjne. Kto mógłby się oprzeć przygotowanej we właściwy sposób żabnicy? – Genevieve zamknęła kartę dań. – A ty?

– To samo. – Małże wprawiały mnie w zdenerwowanie, ale nie chciałam psuć swojej reputacji osoby gotowej na przygody.

Genevieve pochyliła się nad stołem w uniwersalnej pozie kobiet bawiących się świetnie w restauracjach i szeroko się uśmiechnęła. Jeden kieł miała krzywy, co nadawało jej zawiadiacki wygląd dziewczyny, z którą w dzieciństwie mogłam się wspinać na drzewa.

– I co teraz czytasz?

– Teraz? *Zaginioną dziewczynę* Gillian Flynn. Egzemplarz recenzencki, który zabrałam z „You”. Książka wyjdzie dopiero w czerwcu, ale zapamiętaj moje słowa, to będzie bestseller. A ty?

Genevieve wyłowiła zaczytaną książkę w miękkiej oprawie ze skórzanej torby z przegródkami jak w aktówce i jaskraworóżową wyściółką.

– Nie waż się śmiać.

Podniosła książkę, żebym mogła przeczytać tytuł. To był *Jednominutowy*

menedżer.

Roześmiałam się.

– Nie powiem, że to czytałam.

– Wiem, wiem, poziom studentów zarządzania, ale w mojej sytuacji potrzebuję wszelkiej dostępnej pomocy. Powinnaś ją przejrzeć, zwłaszcza gdy awansujesz w Scrollu. Dodaj ten tytuł do PP.

– Ojej. Dziękuję. – Rozbroiła mnie szczerość Genevieve. W „You” wszyscy byli serdeczni, choć redaktorka naczelna funkcjonowała jak matrona wielkiej, bardzo stylowej rodziny: nigdy niczego nie krytykowała po fakcie i z całą pewnością nigdy nie tknęła koszyka z chlebem przy lunchu. Otwartość i wilczy apetyt Genevieve były przyjemną odmianą.

– Zaraz – PP... co to jest?

– Pozycje do przeczytania! Wszystkie książki, których lektury nie możesz się doczekać.

– Tak! Dopiszę ją. – Wyobraziłam sobie wysoką wieżę książek w twardych oprawach po mojej stronie łóżka z lampą i okularami na wierzchu. Pełniła funkcję drugiego nocnego stolika. Uśmiechnęłam się do Genevieve, odpowiedziała swoim zaraźliwym uśmiechem. Ta chwila przypomniała mi o podwodnych „podwieczorkach”, które latem urządzałyśmy z Margot: obie radośnie na siebie patrzyłyśmy, ucieszone, że się odnalazłyśmy na dnie basenu, mimo że dwie sekundy wcześniej same to ustaliłyśmy.

Na podobieństwo osób, które na randce w ciemno wymieniają się historiami o sobie, my porównywałyśmy tytuły. Obie uwielbiałyśmy *Nieśmiertelne życie Henrietty Lacks* i *Zeitouna*. Genevieve nigdy nie czytała *Random Family*, ja wyznałam, że widziałam film *Z zimną krwią*, ale nie czytałam książki. Obiecałyśmy, że uzupełnimy te luki i opowiemy sobie o wrażeniach.

Genevieve palcem wskazującym zaczęła usypywać mały stosik z ziarenek maku na obrusie.

– Więc tak, Alice. Scroll odznacza się na naprawdę interesującą kulturą korporacyjną, o czym się przekonasz, kiedy pojedziesz do Clevelandu.

– Tak, naprawdę nie mogę się doczekać. Nie wiem, czy o tym wspominałam, ale mój mąż pochodzi z Clevelandu, więc...

– Nie! To niesamowite! Chociaż nie wątpię, że MainStreet to zupełnie inne miejsce niż te, do których się tam przyzwyczaiłaś. – Genevieve się pochyliła i konspiracyjnie rozejrzała po restauracji, jakby sprawdzając, czy nie ma tu zabłąkanych Rockwellów. – Zanim pojedziesz, może będziesz chciała zainwestować w kilka marynarek. Faceci noszą bluzy z kapturem, kobiety stroje biznesowe.

– Aha. W porządku. – Czy będę też potrzebowała miękkiego krawatu w tureckie wzory?

– Powinnaś też dopilnować, żeby być na bieżąco z kontaktami. To absolutny priorytet dla Grega.

– Zrobiłam listę członków zespołu, którym chciałabym się przedstawić...

– Chcesz powiedzieć: którym się przedstawisz, tak? – Genevieve wyciągnęła rękę nad stołem i lekko szturchnęła mnie w ramię. Miałam nadzieję, że nie wyczuła ramiączka stanika, które zsunęło mi się do połowy przedramienia. – Alice, będę cię zachęcać do używania jedynie określeń deklaratywnych. To ważna część sposobu, w jaki przekazujemy siebie otoczeniu. Scroll to bardzo pewna firma, jak się przekonasz.

Roześmiałam się i energicznie pokiwałam głową.

– Rozumiem.

Podano nasze jedzenie, talerze tonęły w wymyślnych olejach, zastosowanie dodatkowych sztuczków całkowicie mi umykało. Kiedy trio kelnerów zakończyło swoje działania, Genevieve uniosła szklankę z wodą i powiedziała:

– *Bon appétit!*

– Tak. *Mangia!* – Miałam nadzieję, że na tym zakończymy tę wymianę, bo nie potrafiłam sobie przypomnieć, jak się koniuguje słowo *comer*.

Unosząc widelec z porcją ryby do ust, Genevieve zapytała:

– Masz troje dzieci, tak?

Kiwnęłam głową z ustami pełnymi żabnicy, zresztą przepysznej. Przypuszczałam, że Genevieve połączyła najważniejsze fakty z mojego życia osobistego dzięki takiemu samemu śledztwu, jakie mnie doprowadziło do jej szczodrych datków na bezdomne psy.

– Fiu, fiu. Jak to jest? – Genevieve odłożyła widelec na talerz i spojrzała na mnie wyczekująco. Nigdy nie wiedziałam, jak odpowiedzieć na to pytanie, po którym zwykle następowało: „Zawsze wiedziałaś, że chcesz trzecie?”. (Odpowiedź brzmiała twierdząco, chociaż Nicholasa trzeba było przekonać).

Pomyślałam o Margot i Oliverze pływających na deskach na Long Beach Island, o ich jaśniejących buziach, kiedy fala wyrzucała ich po obu stronach Georgie, która kuciała na linii wody i sypała piasek na swoje tłuściutkie udo. Troje chichoczących, słonych małych ludzi z ogromnymi uśmiechami i palcami pomarszczonymi od wody, wyzbytych strachu i radosnych – tego rodzaju momenty są całym sensem rodzicielstwa. I jest też druga strona: ta sama trójka w ciemnym pokoju w piękny dzień, ubrana w spłowiełe piżamy, kłócąca się zażarcie o ostatnie okruchy na dnie torebki czipsów Coll Ranch Doritos, a w tle ryczący *Elf*. Witajcie w yin i yang rodzicielstwa: są chwile, gdy można się poczuć, jakby się zdobyło główną nagrodę macierzyństwa, i takie, kiedy ma się wrażenie, że jest się pracownikiem zoo rozdzielającym walczące naczelne.

Genevieve czekała.

– To... jazda bez trzymanki. Wielka przygoda. Naprawdę, wszystko zależy

od dnia. – Opierając się pokusie rozwinięcia tematu albo zapytania Genevieve o jej plany związane z dziećmi, łagodnie skierowałam rozmowę z powrotem na Scrolla: – Powiedz mi, czego mogę się spodziewać przez najbliższe tygodnie.

– No cóż, ludzie w Clevelandzie pracują na pełnych obrotach, niedługo sama się przekonasz. Jeśli Greg wysyła ci mejla w porze śniadania, oczekuje odpowiedzi do lunchu. – Zatknęła za ucho niewidzialne pasmo włosów i uśmiechnęła się konspiracyjnie. – Scroll ma korzenie w handlu detalicznym, gra według jego zasad. Poradzisz sobie rewelacyjnie, w to nie wątpię.

– Po prostu nie mogę się doczekać, kiedy postawię pierwszy krok – pierwszy krok? – i wybiorę wspaniałe książki do sklepów.

– Salonów. – Twarz nieznacznie jej się ściągnęła, co zbiło mnie z tropu.

– Słucham?

– Greg chce umocnić ideę Scrolla jako salonu literackiego, nie tylko ośrodka handlu. Dlatego forsujemy ideę salonu w przeciwieństwie do dawnych księgarń. I z lepszą kawą.

– Ha, w takim razie może powinni rozważyć serwowanie wina!

– Powinniśmy.

– Tak. Powinniśmy.

Genevieve się roześmiała.

– W tej sprawie zgadzam się z tobą w stu procentach.

Nastąpiło niezręczne milczenie. Ulicą głośno przetoczyła się ciężarówka, zaszczękały butelki za barem.

– No tak. Czy Greg będzie w Clevelandzie, kiedy tam pojedę?

– Wyobrażam sobie, że tak.

– On też będzie na szkoleniu?

Genevieve obdarzyła mnie przeciągłym spojrzeniem.

– Alice, Greg to prezes Scrolla. Greg Rockwell. Trzeci brat, w firmie od samego początku. Jest członkiem oddziału L. Trochę pisał, wydaje mi się, że westerny, potem zaczął pracę w MainStreet w narzędziach. Ma rewolucyjne pomysły dotyczące sprzedaży książek. Sama zobaczysz.

Narzędzia? Oddział L? Na karku poczułam dreszcz zażenowania.

Zaczynało mi to przypominać służbowy lunch w barze sushi, na którym byłam zbyt zakłopotana, żeby powiedzieć mojej godnej, kulturalnej redaktorce naczelnej, że nigdy wcześniej nie jadłam edamame. Przerażona patrzyła, jak wrzucam do ust cały strąk, nie wyłuskując ziaren z kłującej skorupki. To była ta sama szefowa, która oduczyła mnie typowego dla New Jersey mówienia „półka” zamiast „szuflada” i „tafla” zamiast „lustro”, po czym zlagodziła cios, dając mi sweter z różowego kaszmiru. (Na etykietce napisano: „Przeznaczone do noszenia razem”).

Chwilę po podaniu deserów Genevieve musiała biec do gabinetu, wcześniej

jednak wręczyła mi listę celów do dopisania na GatheringPlace, portalu pracowników MainStreet.

– Okej, rozmawiało się super, ale to jest najważniejsze: chcę, żebyś umówiła spotkania z co najmniej trzydziestoma agentami i wydawcami. Chcę, żebyś stworzyła listę czterystu dwudziestu pięciu najlepszych pozycji, które będą sprzedawane w naszych salonach, i dała się poznać jako autorytet, osoba o nienagannym guście. Słuchasz mnie, Alice?

Na moment moją uwagę przykuł sąsiedni stolik – dziewczynkom podano białe pturfki i pisnęły z zachwytem, dokładnie tak, jak zrobiłyby moje córki na widok minitorcików z marcepanowymi zajaczkami na górze.

– Oczywiście. Słucham cię uważnie.

– Wspaniale. Musisz też zaznajomić się z programem Scroll Originals i urządzić burzę mózgów dotyczącą modelu subskrypcji dla naszych najważniejszych czytelników. Powinnaś być przygotowana na przedstawienie swoich przemyśleń wpływowym osobistościom w firmie, kiedy przyjdzie odpowiednia pora. Co ty na to?

Genevieve przekazywała instrukcje bez przerw – tra ta ta ta ta. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, żebym w jakiejś sprawie była tak zdecydowana, może z wyjątkiem odcinania skórek chleba. (W tej kwestii jestem stanowcza).

Zanim zdążyłam otworzyć usta, powiedziała:

– Super. Jesteś niesamowita i strasznie się cieszę, że cię mam w zespole. Myślę, że będziemy się świetnie bawić. – Po tych słowach ruszyła do wyjścia, slalomem wymijając stoły i łapiąc płaszcz z grubymi poduchami na ramionach. W końcu zniknęła za ciężkimi drzwiami.

Spokojnie zjadłam ciastko ze śliwkami, ogarnięta przykrym wrażeniem, że już zapomniałam swojego hasła do GatheringPlace. Kiedy grzebałam w torebce, szukając błyszczyka do ust, znalazłam liścik od Margot: „Powodzenia, mamusiu! Jesteś gwiazdą”. Złożyłam pośpiesznie kartkę i wyciągnęłam rękę po rachunek.

W drodze do biura zadzwoniłam do Nicholasa.

– Co to znaczy wrzucić spotkanie do czyjegoś kalendarza?

– Pokażę ci w domu. – W jego głosie słyszałam rozbawienie.

Nigdy wcześniej nie korzystałam z Outlooka, dlatego byłam zbita z tropu żargonem używanym w Scrollu do notowania terminów w kalendarzu: PB (poza biurem), PD (praca z domu), WL (wizyta u lekarza), KD (koniec dnia), NW (na wczoraj), KCJWTR (kurwa, co ja właściwie tu robię? Dobra, w porządku, to ostatnie wymyśliłam). Poza moim kalendarzem w Outlooku, gdzie spotkania, wizyty, przypomnienia i ponaglenia pojawiały się i znikwały, na oko jak popadnie, prowadziłam dalej kalendarz w Google, z każdym członkiem rodziny zakodowanym pod innym kolorem, wypełniony wizytami u ortodonta, koszykówką i zajęciami ceramicznymi (nie moimi).

Chociaż byłam przytłoczona nowością całej tej sytuacji, równocześnie miałam wrażenie, że unoszę się w powietrzu i widzę wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Czułam się jak po włożeniu nowych okularów, które przepisał lekarz, bo stare były już za słabe, chociaż nie zdawałam sobie z tego sprawy. Żołądek podskakiwał mi z ekscytacji za każdym razem, gdy mijałam logo Scrolla w drodze do dystrybutora wody. Już niedługo to logo zawisnie nad witrynami księgarń w całym kraju, a ja będę częściowo odpowiedzialna za wyjątkowe i stylowe produkty w nich oferowane.

Zanim wyszłam na pociąg o siedemnastej czterdzieści pięć, mieliśmy pierwsze zebranie całego zespołu. Genevieve wyjaśniła, że w przyszłości to będzie forum do informowania wszystkich o „wielkich sukcesach” w każdej z naszych kategorii, na razie jednak, ponieważ tak wiele jest nowych osób, chce, żebyśmy się przedstawili. Przyszedł Keith, którego pamiętałam ze swojego łańcucha, oczywiście Matthew, Rashida przeskakująca właśnie ze stanowiska analityka na stanowisko lidera środowiskowego, którego zadaniem było stworzenie modnej, intelektualnej atmosfery Scrolla, Jess, zastępca menedżera zawartości, Mariana, nasza łowczyni książek, podróżująca po świecie i skupująca pierwsze wydania, które będą sprzedawane w salonach, oraz David, administrator.

Nikt nie musiał mi mówić, że o czwartej po południu David nie pobiegnie po bezkofeinowe latte z chudym mlekiem dla nas, jak robiły to dziewczyny z administracji w „You”, ani nie wypisze ręcznie dwustu pięćdziesięciu uroczych zaproszeń na szesnaste urodziny w hotelu Pierre, jak ja w jego wieku dla córki dawnej redaktorki naczelnej. („Żadnych prezentów, sama wasza obecność jest prezentem”).

Kiedy Genevieve wyszła na korytarz odebrać rozmowę od Grega, Mariana zapytała:

– Więc jesteś wielbicielką Virginii Woolf?

– Tak! Mąż w college’u dał mi *Panią Dalloway* i tak to się zaczęło. Muszę ci powiedzieć, Mariano, że jestem bardzo zadowolona ze swojej pracy, choć twoja także wydaje się niezwykła. Szukanie ukochanych starych książek? No, no. Jak trafiłaś na to stanowisko?

Roześmiała się, nie ulegało wątpliwości, że nie byłam pierwszą osobą, która mówiła jej o zaletach takiej pracy.

– Zaczynałam w dziale rzadkich książek w Sotheby’s...

Genevieve pchnęła drzwi z mrożonego szkła i Mariana szepnęła:

– Powinniśmy kiedyś wybrać się na drinka!

Pochlebiło mi jej założenie, że kiedykolwiek będę mogła po pracy pójść na drinka.

Rashida i Genevieve przywitały wszystkich, po czym opowiedziały nam, nowicjuszom, jacy z nas szczęściarze, że mamy do dyspozycji te lśniące nowe

biura. Pół roku wcześniej zaczynały w pokoju bez okien w zupełnie innym budynku MainStreet. Nie było tam nawet dystrybutora wody! Ani klimatyzacji w weekendy! Ich przemowa przypominała mi przepelnione subtelną wyższością uwagi doświadczonych matek na pierwszym spotkaniu ze świeżo upieczonymi: „Myślisz, że tobie jest źle? Ja mieszkałam w dwupokojowym mieszkaniu w Park Slope, kiedy urodziło się moje pierwsze dziecko. Możesz sobie wyobrazić wnoszenie tego twojego wózka Bugaboo po schodach kamienicy? Więc woziłam syna w wózku marki Bjorn – rwa kulszowa gwarantowana!”.

Wszyscy siedzący przy jasnym kwadratowym stole konferencyjnym mieli przed sobą laptopy – z wyjątkiem mnie. Ja miałam ten sam niebieski kołnотatnik, którego używałam w „You”, prawa strona na zapiski dotyczące pracy, lewa – na sprawy osobiste.

– To taki interesujący system – powiedział David, podejrzliwie spoglądając na notatnik. Poczułam się, jakbym przysłała na fitness w stroju do aerobiku Jane Fondy.

Kiedy przysłała moja kolej na zaprezentowanie się, byłam zaskakująco spokojna. Powiedziałam, jak się cieszę z tego skoku w nowy świat i zachowania najlepszej części starego: czytania.

– Gdybyście poprosili mnie w wieku dziesięciu lat o opisanie wymarzonej pracy, byłaby to właśnie ta praca. Czytałam nieprzerwanie, mama musiała zamykać przede mną dom, żebym pobawiła się na dworze.

Rozejrzałam się i zobaczyłam, że moi młodzi koledzy uśmiechają się i potakują, jakby oni też byli dziećmi, które tak jak ja dostały kiedyś czerwoną piłką w brzuch w czasie przerwy. I co z tego, że kilkoro z nich jeszcze nie umiało czytać, kiedy ja kończyłam liceum? Znajdowałam się między molami książkowymi, będziemy wspólnie działać, zjednoczeni trzyliterowymi słowami w scrabble’u i swobodnymi odniesieniami do *Przemiany* Kafki. Czułam się jak ludzka wersja jednej z tych małych plastikowych kapsułek, które moje dzieci dostają w torebkach z prezentami na przyjęciach urodzinowych i które po zalaniu wodą zamieniają się w mały ręcznik, koszulkę, a nawet dinozaura z gąbki.

Byłam kapsułką–mamą zamieniającą się w nowatorkę.

Kiedy wyszłam z budynku Scrolla, stała przed nim konna dorożka. Byłam w takim nastroju, że mogłabym góry przenosić, i o mało nie kazałam się zawieźć na Penn Station. Czy istnieje lepszy sposób na uczczenie mojego przybycia na skrzyżowanie literatury i handlu?

Wróciłam na ziemię, kiedy z obrotowych drzwi za moimi plecami wyszła Genevieve. Pal sześć idiotyczny wydatek i koszmar przedzierania się konno przez centrum w godzinie szczytu, ale umarłabym z zakłopotania, gdyby Genevieve

zobaczyła, jak się okrywam pledem z zielonego aksamitu. Mimo całej swojej przyjazności nie wydawała się wielbicielek baśni.

W pociągu wymieniłam esemesy z tatą, który nie mógł się doczekać, kiedy opowiem mu o pierwszym dniu w pracy i w rewanżu przeczytam o jego pierwszym dniu na stanowisku sędziego przysięgłego. Potem sprawdziłam Facebooka i zobaczyłam, że skomentował zdjęcia umieszczone przeze mnie w dwa tysiące siódmym roku, co wywołało różne reakcje naszych przyjaciół, między innymi taką: „Zaraz, jesteście w Maine? Myślałam, że zaczynasz nową pracę”. W końcu przejrzałam esemesy, które się nagromadziły w ciągu dnia. Kilka wysłała mama. Nigdy nie nauczyła się, jak pisać znaki przestankowe na klawiaturze komórki, zamiast tego zapisywała je słownie.

Mama: skan w sloan kettering w pon o 2 pójdiesz pytajnik jak twój pierwszy dzień przecinek umieram z ciekawości kropka super wykrzyknik

Ja: Przepraszam, będę w pracy – firma pod tym względem jest mało elastyczna. Na razie jest rewelacyjnie! Całuski.

Poczułam przelotną irytację, że mama nadal oczekuje, że będę mogła rzucić wszystko, bo podejrzewałam, że Will dowie się o tej wizycie w szpitalu dopiero po fakcie.

Susanna: Cały dzień o tobie myślałam. Mam szczerą nadzieję, że ci się podoba.

Ja: Dzięki, S. Na razie jest dobrze. Może będę musiała przejrzeć twoje wspaniałe zaopatrzone półki w poszukiwaniu pomysłów...

Susanna: Nie przeginaj, małpo.

Nicholas: I jak? Otworzyć bąbelki?

Ja: Udało się w każdym znaczeniu tego wyrażenia. Do zobaczenia niedługo.

W końcu na Twitterze zamieściłam wynik poszukiwania frazy „nowy początek” w bazie BrainyQuote.com:

@alicepearse.1m

„Śmiałe idee są jak pionki szachowe: mogą zostać pobite, ale mogą też rozpocząć grę zakończoną zwycięstwem” – Goethe (1 udostępnienie przez Genevieve, 1 polubienie przez moją tatę).

Kiedy podniosłam wzrok, minęło czterdzieści minut i wjeżdżaliśmy na moją stację. Schodząc w dół zbocza między torami a North Edison Avenue, zobaczyłam biegnącą ku mnie małą postać kozłującą piłkę i szeroko się uśmiechającą. To był Oliver. Wyszedł mi naprzeciw. Nigdy wcześniej tego nie robił i byłam taka dumna – z niego i z siebie.

Poszliśmy do domu, trzymając się za ręce.

Nicholas czekał na ganku.

– Pomyślałem, że powinniśmy to uczcić – powiedział, głową wskazując butelkę szampana, już otwartą, już w połowie opróżnioną. Złapałam za lodowatą szyjkę i pociągnęłam długi łyk, po czym weszliśmy do środka.

Pod koniec drugiego tygodnia pracy zaczynałam czuć, że łapię rytm. Rozpoznawałam niektóre akronimy, skończyłam oglądać serię obowiązkowych filmów instruktażowych dotyczących kwestii typu poufność i molestowania seksualnego w miejscu pracy. Codziennie o czwartej po południu spotykaliśmy się wszyscy na przerwie, w czasie której piliśmy kawę i degustowaliśmy wypieki w prototypie salonu Scroll, zwanym w firmie Pro.

Młodzi brooklyńscy hipstrzerzy tworzyli imponującą grupę. Odpowiadali na mejle po północy, zajmując się równocześnie swoimi kurami i robiąc lampy z części wyszukanych na pchlich targach. Piekli własne makaroniki, wyplatali filtry do kawy wielokrotnego użytku i trenowali przed weekendowym biegiem w błocie.

– Błotne... co? – zapytałam Davida, kiedy wspomniał, że zamierza wziąć udział w Błotnym Twardzielu.

– Alice, powinnaś spróbować! Bieg jest trudny, ale zdziwiłabyś się, jaka to zabawa.

– Dziękuję, zostanę przy rowerze stacjonarnym.

Urządzaliśmy burze mózgów, przierzucaliśmy się pomysłami i przyrzekaliśmy, że „się przez to przegryziemy”, kiedy nie mieliśmy rozwiązania. Atmosfera była ożywcza. Praca z tym zespołem sprawiała mi taką samą przyjemność jak opieka nad dziećmi, gdy studiowałam w college’u i dzieci były rzadkim gatunkiem w życiu codziennym.

Musiałam też przyznać, że fascynowało mnie przebywanie z ludźmi, którzy tak mało wiedzieli o moim „prawdziwym” życiu w domu.

– W głowie mi się nie mieści, że masz troje dzieci! – powtarzali.

Albo:

– Wyglądasz rewelacyjnie jak na... no wiesz. Wcale nie wyglądasz na mamę.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: nbauer@bauerassociates.com

Pierwszy dzień w nowym miejscu. Chciałem Ci podziękować. Okazuje się, że w moim budynku przyjmują psy, więc wygląda na to, że od czasu do czasu będę mógł zabierać Corneliusa. Chyba nie będę więcej jeździł do Wielkiego Jabłka. Jak tam jest? Znasz kogoś, kto potrzebuje prawnika?

Do: nbauer@bauerassociates.com

Od: alicepearse@scroll.com

Przepraszam, że się nie odzywałam – przez cały dzień byłam na zebraniu dotyczącym strategii. Wiesz, że teraz w USA jest więcej księgarń, niż było w latach trzydziestych? Kto by pomyślał! Słuchaj, mogę się spóźnić na kolację, w kilka osób wybieramy się na drinka, ale zostawcie dla mnie lasagne!

Do: alicepearse@scroll.com

Od: nbauer@bauerassociates.com

Było bardzo spokojnie, więc wcześniej wróciłem do domu. Lasagne jest w piekarniku, a ja na ganku z piwem. #thissuburbanlife

Do: [WPISAC E-MAIL AGENTA LUB WYDAWCY]

Szanowny Panie/Szanowna Pani,

mam nadzieję, że nie ma Pan/Pani nic przeciwko temu, że tak nieoczekiwanie się odzywam. Zrezygnowałam ze stanowiska redaktorki działu literackiego w „You”, żeby rozpocząć nową przygodę jako menedżerka zawartości w Scrollu, nowym członku rodziny MainStreet. Zamierzamy otworzyć w całym kraju innowacyjne salony, w których miłośnicy książek będą mogli przeglądać i kupować e-booki w relaksującym, inspirującym otoczeniu przy filiżance kawy.

Poszukuję informacji o najnowszych i najlepszych powieściach i pamiętnikach Państwa autorów. Na pewno włączymy je do naszej oferty. Jestem wielką wielbicielką [WPISAC NAZWISKA NAJLEPSZYCH AUTORÓW AGENTA ALBO WYDAWCY], pomyślałam więc, że zwrócę się bezpośrednio do Pani/Pana z pytaniem o możliwość partnerowania naszemu programowi Scroll Originals, dzięki któremu pisarze i księgarnie mają wyjątkową okazję spotkać się w tej samej opowieści.

Kiedy znajdzie Pan/Pani czas, chciałabym zaprosić Pana/Panią na lunch albo kawę i opowiedzieć dokładniej o naszych niezwykłych planach. Mam nadzieję, że niedługo otrzymam od Pana/Pani odpowiedź!

Alice Pearse

Mejl był przeróbką wzorca przekazanego mi przez Davida, który otrzymał go od Matthew, a ten dostał go od Genevieve. Wiadomość zawierała zwroty balansujące na krawędzi śmieszności, ale zaakceptowałam to.

Zmagalam się nad zakończeniem. Sformułowałam „serdecznie pozdrawiam”, „z wyrazami szacunku” i „będę wdzięczna za odpowiedź” powszechnie używało

się w „You”, choć w gruncie rzeczy nie były w moim stylu – ani w stylu Scrolla, skoro o tym mowa. Kilkoro moich kolegów wybrało „kłaniam się”, co według mnie powinno być zarezerwowane wyłącznie dla Brytyjczyków pełnej krwi.

Wysłałam całkiem sporo tych mejli i byłam zaskoczona, jak szybko dostałam odpowiedzi. Kilka sekund po naciśnięciu klawisza pewien wydawca odpisał: „Szanowna Pani, dziękuję za wiadomość. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, jakiego asa trzymacie w rękawie i co w przyszłości czeka miłośników książek! Jestem znudzony kupowaniem w sieci, wolałbym wrócić do tradycyjnego sposobu”.

Odpowiedziałam: „Super! Nie mogę się doczekać naszego spotkania!”, po czym ucieszona, bo to była świetna zabawa, przesłałam całość Genevieve. Zareagowała natychmiast: „Chcesz później wyjść na lunch? W Hale i Hearty mają wysmienitą zupę mulligatawny. A, i na przyszłość: proszę, unikaj używania wykrzykników w mejlach. *Grazie*”.

Przerwa na lunch zaczynała się zasadniczo o wpół do pierwszej i zazwyczaj wybierano sushi, *nouveau American*, kuchnię śródziemnomorską, lokale z dostawami prosto z okolicznych gospodarstw rolnych i wszystkie inne, które w menu miały drogą sałatkę. Zawsze to ja płaciłam, moje koszty reprezentacyjne były astronomiczne. Najlepsze posiłki odbywały się w towarzystwie agentów i wydawców, którzy zasypywali mnie takim gradem pytań o Scrolla, że ledwo miałam czas na jedzenie.

- Będziecie sprzedawać zarówno dawne tytuły danego pisarza, jak i nowe?
- Przewidujecie sprzedaż książek dla dzieci?
- Czy program Scroll Originals jest ograniczony do literatury faktu?
- Czy program subskrypcyjny będzie obejmował wszystkie filie?
- Przewidujecie otwarcie placówki w [Topece/Milwaukee/Fort Lauderdale/gdziekolwiek mieszka matka agenta albo wydawcy]?

Przedstawiałam podstawowe fakty dotyczące logistyki przy wodzie mineralnej i dietetycznej coli, później, kiedy podawano danie główne, przechodziłam do spraw, o których nie wspomniano w „Publishers Weekly”: pierwsze wydania, eleganckie meble, strefy długiej spokojnej lektury (DSL), wypożyczalnie, w których subskrybenci będą mogli za darmo czytać wszystkie e-booki podczas przebywania w salonie.

Wiedziałam, że mojemu towarzyszkowi szczęka opadnie najpierw ze zdumienia, potem z podziwu. Jak się okazało, wielu członków nowojorskiego światka wydawców miało dość kupowania książek z zacisza własnego salonu.

– Scroll wprowadzi do sprzedaży książek wymiar społeczny – mówiłam, nabijając na widelec kawałek grillowanego kurczaka albo krewetkę i wrzucając go w usta ze smakiem.

Kiedy mój współbiednik podejmował trudną kwestię niezależnych księgarń, powoływałam się na przyjaźń z Susanną.

– Wie pan, kim jest moja najlepsza przyjaciółka? Właścicielką niezależnej księgarni. – Wyjaśniałam, że Niebieska Sowa działa jak mały dom kultury i że nie wyobrażam sobie życia bez niej. – Ale w wielu miastach w kraju nie ma księgarń, a Scroll wypełni tę lukę.

– A co z księgarniami, które przetrwały powstanie sklepów online, jak one dadzą sobie radę z konkurentem sprzedającym e-booki w niższej cenie przy tej samej ulicy?

– Przykro mi, na razie nie mogę dyskutować o cenach. Wierzmy jednak, że przyływ znoś zielizny wszystkie łodzie.

Jeśli agent albo wydawca był mniej więcej moim rówieśnikiem, przypomniałam mu, jaką groźbą dla stacji telewizyjnych były kablówki. To miał być koniec telewizji! A teraz stacje telewizyjne i kablówki zgodnie współistnieją, mają różną ofertę programową i wspólną część odbiorców.

– Scroll jest jak kablówka – mówiłam. – Nie chcemy nikogo usunąć z rynku. My po prostu próbujemy inaczej podejść do sprzedaży książek.

– To niesamowite. Wygrała pani los na loterii, skoro może pani brać udział w takim przedsięwzięciu, co?

– Tak. To prawdziwa praca marzeń.

Przy cappuccino, kiedy agent albo wydawca skubał darmowe biscotti albo bezy, zmieniałam temat. Opowiadanie o Scrollu zaczynało przypominać opowiadanie o tym, jak się z Nicholasem zaręczyliśmy – w księgarni Labirynth Books mój przyszły mąż zapisał prośbę o rękę na widokówce z manhattańskimi drapaczami chmur i włożył ją do *Stu sonetów o miłości* Pabla Nerudy. Uwielbiałam powtarzać tę historię, ale robiłam to tyle razy, że zaczynałam się martwić, czy nie przynudzam.

Tata przyjechał do miasta, żeby spotkać się ze mną na lunchu. Kiedy drzwi windy się otworzyły, odsłaniając widok na nasze jasnobrzoskwiniowe lobby, płacił za mentosy w kiosku. Miał na sobie granatowy blezer i rdzawoczerwoną apaszkę w tureckie wzory zasłaniającą stomię w gardle.

– Tato, a nie umówiliśmy się przy pomniku LOVE? – Rozejrzałam się ukradkiem, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma kogoś ze Scrolla. Byłam dumna z mistrzowskiego opanowania przez tatę Buzza – rzecz wcale nie prosta – ale nie chciałam go przedstawiać swoim kolegom. Jasne, zachowaliby się grzecznie i stosownie, potrafiłam jednak sobie wyobrazić późniejsze dopytywania: „Słuchaj, twój tata... On zawsze był... taki?”.

Wcześniej, przed operacją ojca, znałam tylko jednego człowieka po

laryngektomii. To był emerytowany policjant, mocno opalony, grał przez cały dzień na harmonijce przy głębokim końcu basenu, kiedy pracowałam tam jako ratowniczką. Ci spośród nas, co lubili popalać, bardzo go cenili za wykonanie *Another Brick in the Wall*. A potem w pierwszy dzień wakacji pojawił się z dziurą w gardle. Miał nowe hobby, karty, i ciągle próbował namówić nas na remika, piki, speed. „Powiedz, co lubisz” – chrząkał, przyciskając szare metalowe urządzenie do szyi. Nikt nie chciał grać. Chłopcy z baru nazywali go Robocopem.

– Pociąg przyjechał wcześniej, więc pomyślałem, że obejrzę twoje nowe miejsce pracy – powiedział tata, wskazując zamasztywanym gestem wysoki sufit i pojedynczy rząd bambusów wyrastających z białego żwiru w środku holu. Na dźwięk jego głosu kobieta w kostiumie gwałtownie uniosła głowę z iPhone’a. Pilnuj swojego nosa, odezwała się we mnie mała dziewczynka.

– Super. Witaj! – Wyciągnęłam rękę, żeby go objąć, ale przypominało to obejmowanie leżaka. My, Pearse’owie, nie jesteśmy skłonni do okazywania uczuć. – I co myślisz?

– Eleganckie. Podobają mi się rośliny.

Uśmiechnęłam się, pośpiesznie ruszając w stronę drzwi obrotowych.

– Pójdziemy dokądś? Myślałam o Le Bonne Soupe. Mają cichą salkę na piętrze...

Tata podniósł rękę, pokręcił głową i drugą ręką dotknął gardła.

– Zrobiłem rezerwację. To niespodzianka.

Wyszłam za nim na Pięćdziesiątą Piątą Ulicę, po czym ruszyliśmy na wschód. Wiedziałam, że lepiej nie podtrzymywać rozmowy na rojnym chodniku. Buzz Astral wymagał zręczności (trudno iść i równocześnie rozmawiać), no i nie miał szans przekrzyczeć hałasu samochodów podskakujących na wybojach czy z kurierami na rowerach, którzy rzucali wyzwiskami, o włos unikając zderzenia z drzwiami taksówek albo ze sobą wzajemnie. Nawet jednak bez słownego potwierdzenia widziałam, że tata jest zadowolony z powrotu do centrum, gdzie dawniej spędzał sporo czasu.

W połowie przecznicy zatrzymał się, otworzył szklane drzwi i gestem zaprosił mnie do środka. Mieliśmy zjeść lunch U Michaela, w ukochanym, acz lekko nadgryzionym zębem czasu lokalu, w którym spotykali się ludzie mediów. W czasach, gdy byłam asystentką redaktora, miałam głównego kelnera na szybkim wybieraniu i prosiłam o najlepsze stoły, podając ich numery. Jeśli moja szefowa planowała wczesne spotkanie po lunchu, zamawiałam z góry sałatkę cobb, żeby była gotowa na jej przyjście.

Tatę i mnie szybko posadzono przy najgorszym stole w restauracji. Sam Michael najwyraźniej wyczuwał, że ta wizyta jest inna, chociaż nie potrafił dociec dlaczego, ponieważ to ja podałam nasze nazwisko hostessie. Poprowadził nas przez pierwszą salę – byli w niej Barbara Walters, Dr Oz, Chris Harrison z *Kawalera do*

wzięcia (czy strzelenie fotki byłoby niegrzeczne?) – do drugiej i dalej, na jej koniec. Ciągłe zerkał przez ramię, żeby się upewnić, że za nim idziemy. Podsunął nam krzesła, otworzył karty dań i lekko się kłaniając, powiedział:

– Dziękuję za wybór naszej restauracji.

Tata kiwnął głową i ciepło się uśmiechnął.

– Podać wodę gazowaną czy bez gazu?

– Bez gazu – odpowiedziałam w imieniu nas obojga.

Kiedy zostaliśmy sami, tata wyłowił Buzza z kieszeni na piersi. Przycisnął go do szyi poznaczonej bliznami od wielu operacji i terapii radiologicznych.

– Jesteś teraz częścią elity świata mediów i pomyślałem, że to właściwy wybór.

– Słusznie. Dziękuję, tato. – Serce ścisnęło mi się boleśnie, gdy sobie wyobraziłam historię wyszukiwań w jego komputerze („lokal w centrum, ludzie mediów, niezbyt głośny”).

– Byłaś tu wcześniej?

– Raz czy dwa. – Jadłam u Michaela milion razy na koszt „You”. – Mogę ci polecić małże zatokowe? Są bezkonkurencyjne.

Zaproponowałam tacie bułeczkę, ale odmówił.

– Na pewno?

Wzruszył ramionami.

– Zostawiam sobie miejsce na lunch.

Mówiłam głównie ja: o MainStreet, o tym że Georgie odmawia noszenia kolorów innych niż różowy, o nowej obsesji Olivera na punkcie mitologii greckiej, o skazanej na porażkę walce Margot o iPhone’a i o Nicholasie próbującym przyciągnąć klientów przez sieć swoich kontaktów. Tata jak zwykle zaangażował się w każdy z poruszonych tematów. Pytał, czy Oliver ma *D’Aulaires’ Books of Greek Myths*. Czy ja czytałam *Mythology* Edith Hamilton. Nie czytałam, ale zanotowałam w myślach, żeby obie książki dodać do rodzinnej listy PP, która po wizycie taty zwykle wydłużała się dwukrotnie.

W którymś momencie posiłku dostrzegłam, że tata nie je zupy z homara; mieszał zawartość miski i zmieniał układ listków pietruszki na jej powierzchni.

– Tato, coś nie tak z zupą?

Przycisnął Buzza do szyi i dopiero po drugiej próbie znalazł odpowiednie miejsce. Dwoje gości za jego plecami spojrzało ciekawsko w kierunku buczenia, potem wróciło do studiowania repertuaru teatrów w „Playbills” za pomocą szkła powiększającego.

– Nie, wszystko w porządku. Po prostu mam pewne... problemy. Z przełykaniem.

Gdybym była równie czujna jak zwykle, po tej odpowiedzi rozdzwoniłyby się w mojej głowie dzwony alarmowe. Zbyt się jednak przejmowałam

niedorzecznością przebywania z tatą U Michaela i – no dobra – może też dręczyła mnie obawa, że zaraz wejdzie ktoś znajomy.

– Naprawdę? – zapytałam. – Myślisz, że powinieneś pójść z tym do lekarza?

– Nie ma potrzeby się nakręcać. To pewnie zwykłe przeziębienie. – Jak na zawołanie zakaszłał, przykrywając stonię dłonią. Wstrzymałam oddech w nadziei, że żadne płyny ustrojowe nie splamią apaszki. Kiedy się przekonałam, że niepotrzebnie się martwię, zmieniłam temat.

Ograniczyłam do minimum dobrowolny udział w zajęciach szkolnych, ale musiałam jakoś poradzić sobie z zabawą taneczną, którą zgodziłam się zorganizować dla szkoły imienia Louisy May Alcott. Tematem przewodnim była zabawa na plaży, co wywołało niejakie kontrowersje na zebraniu Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli.

– Nie jestem wariatką – wszystkie mamy tak mówią, nie potrafimy się powstrzymać – ale czy nie mieliśmy lata jako tematu zabawy w styczniu zeszłego roku? Nie powinniśmy rozważyć innych pomysłów? – To zastrzeżenie wygłosiła mama drugoklasistki, zażarcie walcząca o prawa alergików, chociaż tylko jedna z jej dwóch córek cierpiała na słabe uczulenie, z którego zresztą wyrosła, zanim poszła do przedszkola.

– Dziękuję. Wzięłam to pod uwagę, ale widzisz, nadal mamy dmuchane palmy i stanowiska ratowników ze stycznia, więc pomyślałam, że je wykorzystamy do zabawy na plaży w kwietniu. Wszyscy są za recyklingiem?

Oczywiście wiedziałam, że ekologia jest kartą atutową.

Skończyło się na tym, że wydałam lekką ręką sporą sumę na nowe dekoracje w Oriental Trading Company, u znienawidzonego dostawcy chłamu na kinderbale – w tym przypadku były to okulary przeciwsłoneczne z gąbki do ozdobienia naklejkami z motywami morskimi dla dzieci nie lubiących tańczyć. Zgromadziłam soki Capri Suns i osobno zapakowałam przysmaki bez orzechów; piąta klasa, do której chodziła Margot, miała je sprzedawać, żeby zebrać pieniądze na bal na zakończenie szkoły. Uzyskałam pozwolenie straży pożarnej i włożyłam do koperty wynagrodzenie za dodatkowe godziny dla dozorczy, którego widuję codziennie rano, kiedy w piżamie wychodzę po gazetę.

Po południu w piątek, dzień zabawy, jadłam obiad przy stole we własnej jadalni, bo pracowałam z domu (PD według outlookowego slangu). Przerwał mi dzwonek telefonu.

– Słucham?

– Halo, czy mogę rozmawiać z panią Alice Pearson? Tu Wydział Oświaty w Filament.

– To ja. – Jak wiadomo, niecodziennie odbieram telefony od głównych organów władzy, dlatego nie zaprzętałam sobie głowy prostowaniem błędu w swoim nazwisku.

– Czy to pani jest organizatorką dzisiejszej zabawy w szkole imienia Louisy May Alcott przy Flower Street?

– Tak, ja.

– Z przykrością informuję, że nie wykupiła pani polisy ubezpieczeniowej na pięćset tysięcy dolarów na wypadek sytuacji losowych, co jest wymogiem stawianym przez władze okręgowe. Musi pani wypełnić stosowne dokumenty do szóstej po południu, w przeciwnym razie złamie pani punkt B paragrafu drugiego regulaminu bezpieczeństwa i zabawa będzie nieubezpieczona.

Do ubezpieczenia zabawy potrzebowałam pozwolenia dyrekcji szkoły, pozwolenia Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, kopii pozwolenia straży pożarnej, liczby uczniów, którzy mają wziąć udział w tej imprezie... a to nie był koniec listy. W tle komputer służbowy obwieszczał nadejście kolejnych mejli. Dzyń, dzyń, dzyń.

Stres mnie ogłuszył.

Przez następną godzinę słuchałam konferencji z wyłączonym mikrofonem, równocześnie nadmuchując pięćdziesiąt piłek plażowych i pięćdziesiąt niebieskich i białych balonów. Kiedy przysłała moja kolej na udział w dyskusji o tym, które pierwsze wydania zostaną ostatecznie włączone do telewizyjnych reklam Scrolla, Rashida zapytała:

- Alice, jesteś chora?
- Nie, pracuję z domu.
- Tak się cieszę. Bo wiesz, brakuje ci tchu.
- Naprawdę? To musi być... ta moja astma. – Odsunęłam krzesło od stołu, przyciskając balon do ściany. Oczywiście pękł. BUM.
- Alice, jesteś tam?
- Wszystko z nią w porządku?
- Co to był za hałas?
- Przepraszam! Nic mi nie jest. Strzelił gaźnik ciężarówki przed moim... tam, gdzie mieszkam. – Nie ma potrzeby przypominać kolegom, że nie mieszkam w lofcie jak wszyscy pozostali.

Po konferencji odebrałam dzieci ze szkoły, po czym odwiedziłam straż pożarną, wydział oświaty i ratusz, zbierając podpisy pod trzema kopiami każdego z dokumentów do ubezpieczenia. Przekupiłam Olivera i Georgie czerwonym gatorade oraz obiecałam Margot, że kupię jej niebieski lakier do paznokci, jeśli pójdzie do domu przewodniczącej Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli i poprosi o podpis na stosownym formularzu. Byłam za bardzo zirytowana i zakłopotana, żeby samej to zrobić, choć zdobyłam się na fałszywie przyjacielski uśmiech, gdy przewodnicząca powiodła spojrzeniem po moich dzieciach i minivanie.

- No i? – zapytałam, kiedy Margot wróciła do samochodu.
- Powiedziała, że ostatnio wcale cię nie widuje. Tęskni za tobą.
- A ty co odpowiedziałaś?
- Że jesteś zajęta, bo pracujesz.

– Tak to ujęłaś?

– Mniej więcej. – Wystawiła głowę nad oparcie fotela i w lusterku wstecznym zaczęła nakładać błyszczyk. Jej wargi utworzyły takie samo O jak u mojej mamy, kiedy szminkuje usta.

– Margot? Przecież wiesz, że wszyscy rodzice pracują albo w domu, albo poza domem.

– Wiem, mamo. Możesz zmienić stację?

Kiedy o wpół do siódmej przyjechał didżej, byłam na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że polisa jest załatwiona. Mimo to wstrzymywałam oddech, kiedy chłopcy z trzeciej klasy ćwiczyli obroty na plecach. Któreś z dzieci powiedziało:

– Uwierzysz, że nie ma prezentów? Ta zabawa jest do dupy.

W Dzień Matki zjadłam w łóżku jajka sadzone i przeczytałam laurki wykonane kredkami na brystolu ciężkim od kleju, opierając się o poduszki i popijając krwawą mary (wkład Nicholasa). Na laurce Olliego widniał napis: „Kochana mamusiu, jesteś najlepsza. Nigdy nie bende brał cie za pewnika”. Margot okazała większy chłód niż rok temu, ale i tak wypisała listę dziesięciu rzeczy, które najbardziej we mnie lubi, nad każdym „i” rysując kółeczko zamiast kropki. Punkt pierwszy brzmiał: „Zawsze mogę na Ciebie liczyć”. Na szczęście nie pamiętała zimy, kiedy kazałam jej wkładać buty, których nie cierpiała, płakała z ich powodu, nie chciała w nich chodzić, a ja dopiero w kwietniu odkryłam, że palce wciąż były wypchane bibułą ze sklepu.

Na portrecie rodzinnym autorstwa Georgie widniała gargantuiczna matka z dłońmi większymi niż głowa. Kanapowy psycholog we mnie zaczął się zastanawiać, czy te łapy oznaczają władzę, czy raczej są podświadomą aluzją do czasów, kiedy chwytałam Georgie za mięciutkie ramię i może za mocno ścisnęłam, przekonując, żeby usiadła i przynajmniej spróbowała tego, co je reszta rodziny. (Georgie odżywia się wyłącznie kanapkami z masłem orzechowym, bynajmniej nie organicznym, tylko najpopularniejszym, marki Jif, i galaretką. Najlepiej, jeśli są pocięte na trójkąty i leżą galaretką na talerzu).

Po śniadaniu spakowałam się na szkolenie w Clevelandzie. Teraz to Nicholas usadowił się na poduszkach i obserwował, jak napełniam torbę sukienkami, butami, sprzętem do suszenia i prostowania włosów, trzema piżamami i nawet świecą o zapachu wanilii, która miała nadać przytulną atmosferę pokojowi hotelowemu, w którym pierwszy raz w życiu miałam mieszkać sama.

– Co? Powiedz to. Uważasz, że jestem żółtodziobem.

– Nie, wcale nie. Tylko się cieszę, że jednak zrezygnowałaś z sosu czekoladowego.

Wbiłam sobie do głowy, że powinnam przywieźć pamiątkę ze wschodniego wybrzeża dla każdego członka zespołu w Clevelandzie. Kiedy stałam przy kasie w naszej lodziarni i już miałam kupić osiemnaście słoiczków sosu czekoladowego, Nicholas interweniował. Przyznał, że z powodu tego planu miał ochotę zapaść się pod ziemię w moim imieniu. („Poważnie, Alice, ludzie takich rzeczy po prostu nie robią”). Ten jeden raz posłuchałam.

Na lotnisku pocałowałam wszystkich w czoło.

– Zadzwońcie do mnie?

– Mamo, wyjeżdżasz tylko na cztery dni. – Margot przewróciła oczami. – Jessie świetnie się nami zajmie.

To była prawda. Kiedy rano szukałyśmy opaski do włosów, Georgie zawołała z dołu:

– Napisz do Jessie. Ona wie, gdzie są.

I co naturalnie było do przewidzenia, Jessie powiadomiła, że opaski są w pudełku z biżuterią na trzeciej półce bieliźniarki.

– Ja też świetnie się wami zajmę – dodał Nicholas. Wyglądał na dotkniętego.

– Właśnie! Przecież nie jedziesz na księżyc. Ale wiesz co? Naprawdę będę za tobą tęsknił. – Oliver podsunął czubek głowy do całusa, a Georgie owinęła się wokół mnie rękami i nogami jak koala.

– Mamusiu, mogę zapleść ci warkocze?

– Tutaj? Nie wydaje mi się, Georgie. Jeszcze nie przeszłam przez odprawę...

– Dobrze, ale obiecaj, że sobie zapleciesz na spotkanie. Wyglądają ślicznie.

– Zobaczą.

– Baw się dobrze – powiedział Nicholas. – Pamiętaj, zawsze możesz wrócić do domu.

To było motto MainStreet. Staraliśmy się tak często, jak się da, używać go w rozmowach.

Zaraz po odprawie uaktualniłam swój status na Facebooku: „EWR → CLE”. Nie brzmiało to jak relacja z podróży największych szych, „JFK → LAX”, ale mniejsza o szczegóły. Od dwunastu lat nie podróżowałam w pojedynkę, kiedy przechodziłam przez terminal bez dziecięcego wózka, zakręciło mi się w głowie.

Nasza rodzina (z Corneliusiem włącznie) kilka razy w roku odbywa siedmiogodzinną pielgrzymkę drogą 80 do Clevelandu, zawsze czwartego lipca i w co drugie Święto Dziękczynienia. Wyzwanie polegające na spakowaniu wszystkiego do samochodu przed świtem to nasza wersja podróży pełnej przygód. Jeśli o siódmej rano nie mijamy parku Delaware Water Gap, mamy poczucie

klęski.

Zatrzymałam się na koszt Scrolla w hotelu na starym mieście, mimo to Judy i Elliott uparli się, że odbiorą mnie z lotniska.

– Alice! To my! – (Jakbym nie wiedziała). Elliott mocno mnie uściskał.

– Och, skarbie, tak się cieszymy, że ci się udało. Wprost nie posiadamy się z radości. Opowiedziałam wszystkim znajomym o twojej nowej pracy. – Judy przytrzymała mnie na odległość ramienia, dopiero później przytuliła, dzięki czemu mogłam podziwiać jej nową puszystą fryzurę i kolczyki zrobione ze spłaszczonych łyżeczek.

MainStreet jest najukochańszym mieszkańcem Clevelandu. Otworzyli firmę dosłownie w tym samym czasie, kiedy huty się wyprowadziły, a fabryki samochodów zamknęły, i dzięki nim na nabrzeżu znowu powstały przedsiębiorstwa, co dało pracę całej okolicy. Oczywiście ożywili też miejscowy handel detaliczny dzięki sześciu megacentrom.

Kiedy wyrwałam swój bagaż z karuzeli, Judy, Elliott i ja ruszyliśmy do Heritage Towne na obiad w Wok'n'Roll, restauracji zapewniającej klientom „przeżycie” samodzielnego przygotowywania potraw. Nie do końca było dla mnie jasne, co odróżnia ten lokal od zwykłych starych restauracji, może długa lista firmowych sałatek albo stoisko z ciastkami z wróżbami.

Judy i Elliott radośnie powściągnęli niedowierzanie, kiedy udało się nam zaparkować w najlepszym miejscu przed atrapą parkometru wydającą banknoty MainStreet, czyli minikupony do sklepów Delia, The Body Shop, Johnny Rockets.

– Oooch, teraz będziemy musieli pójść na shake'a – oznajmił Elliott, długowłose były radykał z lat sześćdziesiątych, obecnie właściciel z trudem dającej sobie radę kawiarni w zachodniej części Clevelandu.

– Mój Boże, Alice, jesteśmy uzależnieni od „czekoladowego szaleństwa”. Bierzymy jeden koktajl na pół po zajęciach zumby, ale ty będziesz chciała cały, wierz mi. – Judy poprowadziła nas do restauracji, jak dumna przewodniczka wskazując liczne uroki Heritage Towne: miejsca do przewijania niemowląt w małych chatkach zdobionych piernikiem, wieżę zegarową, pod którą w sylwestra gromadzą się mieszkańcy, flotę elektrycznych wózków inwalidzkich wyglądających jak samochody hot rod dzięki chromowi i skrzydełkom z tyłu. Od uwagi przywiązywanej do szczegółów, nie wyłączając kartonów mleka przed każdym sklepem pełniących funkcję stojaków na parasole pod markizami w landrynkowe pasy, kręciło się w głowie.

Kiedy usiedliśmy w wielkim boksie obitym tkaniną w chińskie wzory, mój nieskończenie pomysłowy pracodawca wywoływał we mnie zarówno podziw, jak i lekkie mdłości. Do tej pory myślałam o Scrollu jako o odważnym przedsięwzięciu księgarskim, teraz jednak zadawałam sobie pytanie, czy to nie będzie po prostu kolejny sklep w centrum handlowym.

– Powiedz, jak radzi sobie nasz syn – poprosiła Judy, kiedy napoczęliśmy butelkę napoju, nazywanego przez nią w skrócie „chard”.

– Na razie dobrze. To znaczy minęło dopiero kilka tygodni, ale jego kancelaria wygląda świetnie – farba w odcieniu „piasek riwiery” okazała się strzałem w dziesiątkę – i pozałatwiał wszystkie usługi, FedEx i... sami wiecie. – Gorączkowo szukałam w myślach innych usługodawców. – Kropką nad i będzie wywieszka nad drzwiami: „Nicholas Bauer, adwokat”, ale jeszcze nie jest gotowa.

Elliott parsknął swoim głośnym śmiechem.

– Adwokat! Mój syn!

– Jestem z niego dumna. To znaczy będzie jeszcze lepiej, kiedy zyska kilku klientów, ale...

Uporałam się już z połową czipsów krewetkowych i bardzo chciałam zmienić temat. Prawda była taka, że oboje z Nicholasem udawaliśmy, że swobodnie rezygnujemy z rzeczy dawniej podstawowych, takich jak kablówka i „New York Times” dostarczany do domu. Mama jak dawniej przyjeżdżała raz w tygodniu, żeby na kolację zrobić spaghetti i pulpeciki, ale teraz oznaczało to zaoszczędzenie na kosztach jednego posiłku – i na Jessie. Nagle godzinowy wymiar jej pracy wydał się nam strasznym luksusem i postanowiliśmy, że go ograniczymy. Dwa razy w tygodniu Nicholas wracał wcześniej i odbierał dzieci ze szkoły. Miał pracować w domu, ale najwyraźniej spędzał mnóstwo czasu na degustowaniu wyrobów z małych browarów w Oregonie. Wcześniej nigdy nie zwracałam większej uwagi na to, kiedy zamieniałam na gotówkę mój czek z wypłatą, teraz musiałam walczyć ze sobą, żeby nie pobiec z Penn Station do najbliższego punktu.

– A co u dzieci? Nasze słodkie maleństwa.

– Bardzo dobrze. Świetnie się odnajdują w nowej sytuacji i cieszą się, że spędzają więcej czasu z Nicholasem. – Nie wspomniałam o ostatniej obserwacji Olivera: „Tatuś nie wścieka się jak ty, kiedy się wygłupiamy. I nie każe nam sprzątać”.

– A ty? Jak ty się odnajdujesz? – Elliott zmarszczył krzaczaste brwi.

Oczy mi się zaszklily. Chodziło o kombinację jego podobieństwa do Nicholasa i przyjemności wynikającej z rozumienia jego słów w hałaśliwej restauracji – tego luksusu byłam pozbawiona w relacjach z własnym ojcem. Przycisnęłam mocno palec do ust, dopiero potem odpowiedziałam:

– Dobrze. Wszystko będzie dobrze.

– Elliott, popatrz, co narobiłeś. Może najpierw pozwolisz, żeby Alice przyzwyczaiła się do swojej nowej pracy, zanim weźmiesz ją na spytki? – Judy zburzyła nastrój chwili. Wszyscy zajęliśmy się naszym makaronem *udon*.

Wiele razy przejeżdżałam koło centrali firmy, ale teraz niebieska przepustka pracownicza po raz pierwszy umożliwiła mi wejście do sanktuarium MainStreet. Składało się z kilku ośmiokondygnacyjnych budynków z widokiem na morze, z panelami słonecznymi na dachu i specjalnymi niskimi fontannami dla psów, którym pozwolono przychodzić do pracy z właścicielami. Krzewy zostały przycięte w motywy patriotyczne. W czasie krótkiego spaceru po terenie firmy dostrzegłam Wuję Sama, Dzwon Wolności i naturalnie gigantyczny banknot dolarowy.

Pierwsze spotkanie w poniedziałek rano dotyczyło ogólnego wprowadzenia dla nowo zatrudnionych – w sumie ponad dwustu osób – w sali konferencyjnej z murałem na ścianie głoszącym „Kupuj lokalnie”. MainStreet szczyił się mianem najbardziej przyjaznej psom firmy na ziemi, zatem nie zaskoczył mnie widok tych zwierzaków w każdym wieku, we wszystkich typach, rozmiarach i rasach przy nogach ludzi. Wszystkie zachowywały się wyjątkowo grzecznie, w przeciwieństwie do uroczego, ale niepoprawnego Corneliusa. Wzdrygnęłam się, wyobrażając sobie, jak traktuje kolegów, żeby pożreć psie herbatniki z bufetu śniadaniowego.

Prezentacja skupiała się na wyjątkowej kulturze korporacyjnej wprowadzonej przez młodych geniuszów rządzących naszą firmą. Dowiedzieliśmy się, że pracownicy są dumni z tego, że są odjechani, że jeśli zdamy specjalny egzamin, możemy nawet wygrać żółty identyfikator potwierdzający stan naszego umysłu. (W notatniku zapisałam: „Sprawdzić egzamin na odjechanego”). Zobaczyliśmy filmik wideo z mowami naszych szefów wygłoszonymi podczas przecinania wstęgi w Heritage Towne: „My nie sprzedajemy wyłącznie produktów, my sprzedajemy przyszłość”.

Pracownicy MainStreet nazywali biura w Clevelandzie „wielkim tatusiem”. Genevieve miała rację: większość kobiet była ubrana w marynarki. Mężczyźni nosili bluzy z kapturem, przy czym dziewięćdziesiąt osiem procent miało brody, a niektórzy także kucyki. Ludzie z MainStreet okazali się wnikliwi, prowadzili konferencje telefoniczne, badali rozmaite zagadnienia z perspektywy dziesięciu tysięcy metrów i dzielili się informacjami. Kiedy przenosili się do „nowej przestrzeni”, nie mieli na myśli nowego biura.

Podczas szkolenia otrzymaliśmy surowe polecenie, żeby na każdym spotkaniu zostawiać puste krzesło przy stole.

– Dlaczego? – szepnęłam do faceta obok, specjalisty od metadanych, który niedawno przeniósł się z Dubuque.

– Dla klienta – odszepnął z obojętną miną, gorączkowo kopiując diagram Venna z tablicy.

– Zaraz. Co takiego?

– Puste krzesło jest dla klienta. Żeby zawsze brał udział w zebraniach.

– Albo brała – dodałam odruchowo. – Jak dla Eliasza?

Chociaż każda osoba w sali przeszła ten sam męczący proces rekrutacji, prowadzący po raz kolejny omówili przykazania zwycięzców.

Zostałam sklasyfikowana jako pracownik poziomu szóstego. Okazało się, że najwyższy poziom to dziesiąty, ale nie ma poziomu dziewiątego, przez co skok z ósmego na szczyt wydawał się tym bardziej niemożliwy. W przypadku pytań proceduralnych „najlepszą praktyką” było zajrzenie na stronę Wiki, a jeśli nie uda się tam znaleźć odpowiedzi na nasze pytania, można wypełnić „kartę problemu”. Karty „mieszkały” na GatheringPlace i były porządkowane według sześciocyfrowych numerów. Bezpośredni przełożony jest o każdej powiadamiany, dlatego nowych pracowników przestrzeżono, aby korzystali z nich rzadko, w przeciwnym razie narażą się na opinię takich, co sobie nie radzą. Zwycięzcy zawsze odpowiadają na swoje pytania (ZZOSP) – to była najświętsza ze wszystkich reguł.

Hotel był boski.

Co rano jadłam serwowane do pokoju płatki (22 dolary), a wieczorem świętowałam kolejny dzień aklimatyzacji, pożerając ciastko truskawkowe ozdobione gałązką mięty (15 dolarów). Szkolenie było wyczerpujące i dezorientujące, ale z braku swojego zwykłego, trwającego godzinę rytuału, który składał się z kąpieli, książek i łóżka, miałam dość czasu, żeby wymykać się na długie spacerunki i odwiedzać ulubione księgarnie w Larchmere. Pilnowałam, żeby płacić osobistą kartą kredytową – zdawałam sobie sprawę, że pomimo wkładu MainStreet w gospodarkę Clevelandu właściciel nie zareaguje radośnie na widok białego logo Scrolla.

Podobnie jak Susanna, wielu niezależnych księgarzy głośno protestowało przeciwko naszym salonom. Kiedy wspomniałam o tym Genevieve, odpowiedziała: „Postęp jest niemożliwy bez zmiany. Ludzie, którzy nie potrafią zmienić zdania, nie potrafią niczego zmienić”. Powtórzyłam jej wnikliwą obserwację Nicholasowi, a on stwierdził, że Genevieve ma dług wdzięczności u George’a Bernarda Shawa.

Na koniec trzeciego dnia zaczęłam tęsknić za chaosem i swojskością Flower Street. Trochę liczyłam na to, że zostanę zaproszona na rundę po pubach zorganizowaną przez nowicjusza w kolczykach naciągających małżowiny uszne, ale niestety, wybrani przez niego imprezowicze wskoczyli do autobusu do Ohio City, nawet się na mnie nie oglądając. (Może chodziło o moje okulary do czytania?)

Wróciwszy do hotelu, zadzwoniłam do domu. Odebrała Jessie.

– Alice, to ty? Poczekaj chwilkę. – Jej głos brzmiał radośnie i ciepło, jakbym złapała ją w środku jam session, a nie w trakcie wczesnowieczornego zamieszania

w naszym hałaśliwym o tej porze domu. Ja liczyłam, że w przetrwaniu tych godzin pomoże mi kieliszek wina, Jessie podkrecała Beatlesów i zachęcała do szalonych tańców w jadalni. „Trzeba ich zmęczyć” – mawiała. „Tak to się nazywa”.

Teraz słyszałam piłkę do koszykówki, którą Oliver odbijał na podjeździe, i wyobraziłam sobie Georgie na pobliskiej huśtawce, pogrążoną w rozmowie z samą sobą. Skrzypnęły zamykane drzwiczki piekarnika i Jessie znowu się odezwała.

– Przepraszam, musiałam wyjąć kurczaka z piekarnika. – Brakowało jej tchu, co mnie w pokrętny sposób ucieszyło. Widzisz, więc to jednak nie jest takie proste. – U ciebie wszystko w porządku?

– Tak! Tęsknię za wami! Jessie, dziękuję, że pilnujesz gospodarstwa. Nie potrafię ci powiedzieć, jak bardzo...

– Przestań. Dla mnie to przyjemność. – Tak wyraźnie, jak widziałam z okna hotelowego pokoju bibliotekę publiczną w Clevelandzie, mogłam sobie wyobrazić Jessie machnięciem dłoni zbywającą moją wdzięczność. *Au pair* jednej z moich przyjaciółek na żywo relacjonowała w sieci rodzinne awantury, niania drugiej faszzerowała dzieci drażetkami Smarties, a dobry środek, Adderall, zostawiała dla siebie. W wyobraźni padłam na kolana na podróbkę sizalowego chodnika i złożyłam Jessie niski ukłon. „Daj spokój” – powiedziałyby. „Kocham twoje dzieci! I to nie jest żadna wyższa matematyka!”

Więc dlaczego czasami czuję się kompletnie zagubiona?

Zaciągnęłam zasłony i zaczęłam kartkować oprawną w skórę broszurę z usługami oferowanymi przez hotel: siłownia, sauna, pralnia chemiczna, całodobowy bar.

– Jess, czy gdzieś w pobliżu jest może mój mąż?

Nastąpiła przerwa, później usłyszałam stłumiony głos Jessie mówiącej do Margot: „Włożyłaś kostium? Susanna będzie za pięć minut” i tupot turkusowych trampek mojej córki po kuchennej podłodze. Potrafiłam sobie wyobrazić scenę z najdrobniejszymi szczegółami, aż do maleńkiej czaszki na rzemyku, którą Jessie nosiła na szyi.

– Alice, już jestem! No tak... Nicholas? Z pracy poszedł prosto na koszykówkę. Mówił, że później może wpadnie do baru. – Szum płynącej wody powiedział mi, że Jessie jest zajęta, ale nadal nie byłam gotowa zakończyć rozmowy.

– Dobra, może złapię go w samochodzie. Jak poszła Oliverowi klasówka?

– Świetnie. Miał trochę kłopotów z częścią poświęconą słownictwu, ale łatwo poradził sobie z odpowiedziami „prawda/fałsz”. Słuchaj, możemy porozmawiać później? Cornelius skacze na blat...

– Jasne. Leć. Ucałuj wszystkich ode mnie.

Właściwie wcale nie żałowałam, że mnie tam nie ma, zwłaszcza że na

kolację był kurczak (danie mało popularne), ale nadal w głowie mi się to nie mieściło. Nigdy nie próbowałam nurkowania, wyobrażałam sobie jednak, że człowiek czuje się tak jak ja w tej chwili, kiedy odkrywa, że jest pod wodą i nadal oddycha.

Susanna: Przejeżdżałam koło twojego domu i widziałam N. przeprowadzającego M. i O. przez ulicę. Urocze. Wszyscy ubrani, szczęśliwi, z kanapkami w dłoniach.

Ja: Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy! Całuski!

Tata: I jak? Już jesteś szefową?

Ja: Daleko mi do tego. Mnóstwo rzeczy do nauczenia. Teraz patrzę na zachód słońca nad jeziorem Erie.

Tata: Dużo nauki?

Ja: Tak! To bardzo wciągające!

Tata: Świetnie. Pierwszy bym się ustawił w kolejce do świata literatów.

Ja: ☺

Tata: Gdybym tylko mógł zrobić coś głośno poza bzycczeniem. LOL.

Dzień piąty. Ostatnim punktem programu w Clevelandzie było spotkanie zapoznawcze ze (środkowo-)zachodnim oddziałem Scrolla. W sali znalazło się około piętnastu osób, wszystkie odpowiadały profilowi typowego pracownika Scrolla, łącznie ze starym markowym obuwciem (pełny wybór: od tretornów po skórzane buty do garnituru) oraz zabawnymi fryzurami (na pazia, długie z tyłu, z przodu krótkie). Kiedy weszłam, rząd ludzi siedział pod ścianami, chociaż przy stole konferencyjnym nadal były dwa puste krzesła. Momentalnie podjęłam decyzję, żeby jedno zająć, w końcu mieliśmy zostawiać miejsce tylko dla jednego klienta, a nie dla niego i jego matki.

Krzesło było niezwykle ergonomiczne: kiedy się odchyliłam, o mało się nie przewróciło, dlatego siedziałam prosto jak struna i czekałam na rozpoczęcie prezentacji. W sali pociemniało, na ekranie pojawiły się liczby i wykresy, bezcielesny głos wygłaszał wykład o projektowanym kliencie Scrolla.

Jak wynikało z badań rynkowych przeprowadzanych w centrach handlowych MainStreet, klientem tym jest kobieta pomiędzy dwudziestym piątym a czterdziestym piątym rokiem życia. Mieszka w mieście lub blisko miasta z partnerem i co najmniej jednym dzieckiem oraz zwierzakiem domowym, kotem albo psem, którego rozpieszcza organicznymi przysmakami i kosztownymi

akcesoriami. Jeździ praktycznym samochodem, ale wydaje sporo na dodatkowe wyposażenie: nawigację, bagażnik na dachu, pilota do włączania silnika. Myje włosy tanim szamponem, nie oszczędza natomiast na markowych kremach do twarzy. Ubrania kupuje w Anthropologie i Banana Republic, a rzeczy do domu w Williams-Sonoma, Room & Board i West Elm. Prenumeruje przeciętnie trzy czasopisma. Czyta średnio trzy książki na miesiąc, wybrane na podstawie rekomendacji przyjaciół, pochlebnych recenzji oraz „innych przesłanek”, które bezcielesny głos cokolwiek lekceważąco określił jako kombinację czystego trafu i intuicji.

Czułam się, jakbym oglądała program przyrodniczy o sobie. „Zamieszkuje obszar pośredni między zobowiązaniami rodzinnymi a chęcią zaspokojenia własnego pragnienia przygody. Oto ona, właśnie wychodzi na łowy. Patrzcie, jak mama zatapia swoje niewypielegnowane pazury w szyi taty. Poniósł porażkę, nie upolował jedzenia dla młodych, dlatego ona musi je karmić tacos...”

Zanim wyruszyłam na lotnisko, ustawiłam się w kolejce razem ze wszystkimi innymi nowo zatrudnionymi, by odebrać nagrodę za ukończenie szkolenia. Był to ciężki kawałek metalu z mosiężnym zwojem na szczycie i moim imieniem, Alice P., wygrawerowanym czcionką przypominającą Deklarację Niepodległości. Nie zrobiłam nic, by zasłużyć na to wyróżnienie (poza udziałem i zjadaniem drogich ciastek), a mimo to ogarnęła mnie duma, kiedy ścisnęłam wilgotną dłoń Chrisa Pawlowskiego. Do tego momentu dostałam tylko jedno trofeum: nagrodę od naszego licealnego trenera pływackiego (Mistrz Działania Zespołowego), wręczone na tej samej ceremonii, na której Will zdobył tytuł najlepszego ucznia i sportowca, z czym wiązała się nagroda pieniężna i plakietka tak ciężka, że w drodze do samochodu tata udał, że ją upuszcza.

Oczywiście jak wszyscy młodzi sportowcy swojego pokolenia, moje dzieci miały więcej medali, trofeów i dyplomów, niż mogła pomieścić przeznaczona na nie półka. Biblioteczka (z Ikei) w pokoju zabaw była załadowana po brzegi figurkami graczy z ruchomymi główkami, odlanymi z marnych metali i ustawionymi na plastikowych kwadratach pomalowanych tak, aby wyglądały jak marmurowe. Teraz ja mogłam do tej kolekcji dodać nagrodę, na którą ledwo zasłużyłam.

Ja: Utknęłam na Penn – pociąg o 18.09 odwołany. Możesz odebrać M. i Audrey z basenu?

Ja: Halo? Odebrałeś? Dzwoniłam – bez skutku.

Nicholas: Przepraszam. Kimąłem.

Ja: Gdzie dzieci?

Nicholas: Grają na iPadzie.

Ja: To tyle, jeśli chodzi o czas na komputer w tym tygodniu. Czytałeś mojego esemesa o pociągu? Musisz odebrać dziewczynki.

Nicholas: Możesz poprosić Susannę?

Ja: Dlaczego?

Nicholas: Nieważne. Ja ją zapytam.

Ja: Zaraz, a dlaczego Ty nie możesz ich odebrać? Albo Jessie?

Nicholas: Nie przychodzi w czwartki, pamiętasz?

Ja: Racja. A ty?

Nicholas: Wypiłem kilka piw, kiedy sprzątałem piwnicę.

Ja: Żartujesz?

Nicholas: Alice, daj spokój, dobra? Nic mi nie jest. Susanna i ja się tym zajmujemy.

Kiedy wróciłam do domu, pojemniki ze śmieciami już stały przy krawężniku, wiele godzin wcześniej, niż zwykle je wynosiliśmy. Reflektory przejeżdżającego samochodu oświetliły górę artystycznie ułożonych butelek. Odwróciłam wzrok.

Mama: proszę przecinek zadzwoń w wolnej chwili

Esesmes wyskoczył w połowie spotkania, odwróciłam więc telefon, żeby na razie na niego nie patrzeć. Dwie sekundy później dostałam mejla od Matthew, który siedział obok mnie (oczywiście oboje mieliśmy laptopy): „Coś z twoją mamą?”.

Odpisałam: „Za późno wracam do domu”.

Przed Matthew jedynym mężczyzną, z którym pracowałam, był mój były szef; zapisał mi swoje wymiary, żebym mogła robić mu zakupy w Brooks Brothers.

Matthew i ja byliśmy jak przypadkowo dobrani współlokatorzy, na pozór z całkiem różnych bajek – rewelacyjny dowcip administratora akademika – ale w rzeczywistości świetnie dopasowani. Połączyło nas poczucie, że jesteśmy starzy w porównaniu z naszymi kolegami. Oni niczego nie notowali! Nie odpisywali nawet na mejle, co bywało niepokojące; naprawdę musimy się nauczyć obsługi komunikatorów internetowych?

Należąca do Matthew połowa pokoju była równie pusta jak w pierwszym dniu, ścianę zdobiła tylko jedna prosta czarno-biała fotografia przedstawiająca maszynę do pisania. W mojej połowie do ściany przypięte były pocztówki z okładkami książek, rysunek Georgie, na którym postać z patyczków siedziała z książką, oprawny plakat zachęcający niechętnych czytelników do lektury dzieł klasycznych i biała tablica ze wszystkimi moimi projektami zapisanymi na czerwono, zielono i niebiesko.

Raz przyłapałam Matthew na mierzeniu wzrokiem mojej kolekcji różności i (wiecznie rosnącego) stosu książek.

– Co?

– Nic. Tylko że... chyba jestem minimalistą.

– W takim razie nie patrz.

– Nie, nie. Wszystko w porządku. W tej firmie jest dość bieli i czerni. Przyda się trochę koloru.

Ja: Już w pociągu. Jak minął dzień?

Nicholas: Spokojnie.

Ja: Spokojnie dobrze czy stresująco?

Nicholas: Jak przy stawianiu pasjansa na komputerze.

Ja: Żałujesz swojej decyzji?

Nicholas: Jakiej decyzji?

Ja: Przejścia na swoje.

Nicholas: Trochę za poważny temat do esemesów, nie sądzisz? Zresztą to nie był mój wybór.

Ja: Ale twoim wyborem było rzucenie laptopem przez pokój i odcięcie sobie możliwości wykorzystania kontaktów z Sutherland i Courtfield.

Spojrzałam na ostatnią wiadomość na wyświetlaczu mojego telefonu, po czym ją usunęłam i napisałam: „Całuski”.

Mama: alice przecinek dostałaś moją wiadomość pytajnik zadzwoń

wykrzyknik

Tym razem szorowałam naczynie po lasagne i dłonie miałam śliskie od płynu i mielonej wołowiny. Po raz kolejny nie zadzwoniłam.

Dyrektor podstawówki imienia Louisy May Alcott został przeniesiony do innej szkoły w okręgu i mamy były w wojowniczym nastroju. Słuchałam, jak pewnego sobotniego poranka oburzają się podczas aerobiku na rowerach stacjonarnych, i poczułam wyższość, że mam ważniejsze sprawy na głowie, na przykład to, czy optymalnym napojem towarzyszącym lekturze w Scrollu będzie herbata marki Honest Tea, czy sok marki Odwalla. Nie chodzi o to, że nie przejmowałam się utratą naszego dyrektora. Był dobrym sąsiadem, doceniałam jego współczucie, kiedy naszego kociaka potracił samochód, teraz jednak miałam za dużo zajęć, żeby dać się wplątać w sieć jadowitych esemesów wymienianych przez mamy, głęboko przekonane, że to koniec przyzwoitej oświaty publicznej, jaką znamy.

– Alice, brakuje nam ciebie. Jak praca?

Wróciłam do grupy, zawstydzona tym chwilowym poczuciem wyższości.

Na konferencję dotyczącą sprzedaży włożyłam zieloną jedwabną sukienkę w gepardy odpoczywające na drzewach. Dzieci były przerażone, kiedy zesłam na dół („Wyglądasz jak obrus!”), ale w drodze na pociąg czułam się rewelacyjnie.

Nowy dyrektor już zmienił ruch wokół szkoły: zamiast uporządkowanego sznura samochodów, z których dzieci kolejno wysiadały, mieliśmy teraz rodziców w SUV-ach czyhających na miejsce w promieniu czterech przecznic od mojego domu. North Edison była zatłoczona uczniami i autobusami na długości niemal czterystu metrów, aż do piekarni Sunshine Bagels. Szłam wzdłuż korka, wystrojona i zadowolona z siebie, uśmiechając się do znajomych i w duchu krytykując te rodziny, w których autach przez przyciemnione szyby przebijała się upiorna niebieska poświata.

– Pociąg o ósmej szesnaście z Filament do Penn Station wjedzie na peron drugi za trzy minuty.

Nadal byłam na szkolnym parkingu, przyśpieszyłam więc kroku, jak co dzień witając panią ze stołówki szkolnej.

– Miłego dnia – powiedziała.

– I wzajemnie!

Na konferencji menedżerowie zawartości po kolei prezentowali swoje listy dziesięciu najlepszych tytułów grupie piętnaściora, może dwadzieściora przedstawicieli handlowych obecnych w sali oraz kolejnym trzydziestu osobom z Clevelandu biorącym udział w zebraniu za pomocą wideokonferencji.

Genevieve rozdała nam punkty do omówienia, ale były tak bardzo ogólne, że nerwy całkiem mnie sparaliżowały i nie potrafiłam nic przełknąć w czasie lunchu. Na dwie minuty przed prezentacją nowojorską wpadłam na Genevieve w toalecie.

– Gotowa na wielki skok?

Umknęłam przed jej wzrokiem w lustrze.

– Właściwie nie. Nigdy wcześniej niczego takiego nie robiłam. – Moje doświadczenie w wystąpieniach publicznych ograniczało się do wznoszenia toastów na weselach. Czułabym się pewniej z didżejem za plecami, no i wolałabym, żeby moi słuchacze zdążyli się wcześniej zmiękczyć kilkoma drinkami. Tymczasem niektórzy wyglądali, jakby cierpieli na ostrą niestrawność, zwłaszcza paczka z Clevelandu.

Genevieve odwróciła się do mnie, wpychając mi w dłoń ręcznik papierowy.

– Alice, zabłyśniesz. Po prostu bądź sobą.

Nie było niespodzianką, że Matthew i ja mieliśmy całkowicie odmienne podejście do dzielenia się z zespołem informacjami o naszych książkach. Kiedy przyszła jego kolej, odchylił się na krześle i położył ręce na oparciach sąsiednich. W oczach innych wyglądał jak znudzony student, który materiał ma w małym palcu. Prawie nie zerkał do notatek, mówił spokojnie i inteligentnie, wykorzystując przyznany mu czas bez pauz, bez wahań. Przedstawiciele działu sprzedaży słuchali jak urzeczeni, kiedy z pamięci cytował Trumana Capote'a: „Porażka jest przyprawą, która nadaje sukcesowi smak”.

A teraz ja.

Uśmiechnęłam się szeroko i zaczęłam mówić tak głośno, że chłopak siedzący obok aż podskoczył. Wiedziałam jednak, że stracę tych z Clevelandu, jeśli nie będą mnie słyszeli, już się dowiedziałam, jak to jest być w sali konferencyjnej oddalonej o wiele kilometrów i nie rozumieć co drugiego słowa. Przedstawiłam zalety nowej powieści, którą właśnie skończyłam czytać, a która według mnie miała potencjał trafienia na listy bestsellerów Scrolla. Słuchacze sprawiali wrażenie lekko znudzonych, Greg nie odrywał wzroku od swojego laptopa.

Zmieniłam temat – dla menedżera zawartości to najświętsza zasada w takich sytuacjach.

– Wielu z nas pamięta chwilę, kiedy sobie uświadomiliśmy, że nasi rodzice potrzebują nas bardziej niż my ich – że role się odwróciły.

Ludzie podnieśli głowy. Przyciągnęłam ich uwagę.

Wyjaśniłam, że dla mnie ten moment nastąpił, kiedy ojciec zachorował. Mama musiała się nauczyć korzystania z bankomatów i wybrała mnie na instruktorkę. Po zabranii banknotów pochyliła się nad urządzeniem i głośno powiedziała: „Dziękuję pani”. I wtedy właśnie rozumiałam, że teraz ja muszę się nią zaopiekować, w każdym razie przez jakiś czas. Oś się przesunęła.

Przedstawiciele handlowi roześmiali się ciepło, niektórzy wyciągali głowy, słuchając uważnie, kiedy tłumaczyłam, jak moja anegdota odnosi się do książek.

Zdawałam sobie sprawę, że brakowało mi intelektualizmu i pewności siebie Matthew, ale szefowa działu handlowego kiwnęła głową i uśmiechnęła się, kiedy skończyłam. Z drugiej strony stołu powiedziała bezgłośnie: „Dobra robota”. Ludzie z Clevelandu udzielali pochwał skąpo, ale przynajmniej nie spali, a niektórzy z aprobatą potakiwali.

Czułam się jak połyskujący w słońcu balon z helem unoszący się nad stołem konferencyjnym. Myślę, że dam radę, myślę, że dam radę... Dałam radę. Przypomniałam sobie wszystkie te lata, kiedy dzwoniłam z szafy, żeby wydawcy nie słyszeli moich dzieci oglądających *Śladem Blue* w sąsiednim pokoju. Moja prezentacja nie odpowiadała wszystkim współczesnym standardom – co było celem pracowników Scrolla – ale mimo to konferencja wzbudziła we mnie wrażenie, że zaczynam ogarniać swoje zadania. Poza tym duńskie ciasteczka były przepyszne.

W drodze do pokoi Genevieve rzuciła mi chłodne:

– Dobra robota. Wyglądało na to, że świetnie się bawiłaś.

Później wysłała mejla do całego zespołu: „Poszło niezle. W przyszłości proszę trzymać się tematu. Nie ma potrzeby włączania historii z życia osobistego do prezentacji”.

Ciekawe, co się stało z „bądź sobą”.

– Mamo, to ja.

– Alice! Strasznie trudno cię złapać. Poczekaj chwilę. – Odgłosy w tle: świergot papużek nierozłączek, szczęk wyciąganego ze zmywarki pojemnika na detergent, szum wlewanego płynu, trzask. – Dobrze, już jestem.

– Przepraszam, że nie mogłaś się dodzwonić. To był zwariowany tydzień. Co jest?

– No cóż, przypuszczalnie nic. Ale chciałam ci o tym powiedzieć. Wiesz, może za wcześnie, żeby się martwić, ale...

– Mamo, co się dzieje? Dzwonię z pracy. – Nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak kwestia zirytowanego męża z sitcomu, choć zdawałam sobie sprawę, że właśnie tak zabrzmiało.

– Wiesz, że wczoraj byliśmy z tatą u lekarza.

Na początku chodziłam na wszystkie wizyty – co trzy miesiące, co pół roku,

co rok. Opuściłam kilka ostatnich, choć zawsze wpisywałam je w swój kalendarz i pilnowałam, żeby później zadzwonić do mamy. Rozmowa z tatą przez telefon nie należała do łatwych, mimo to czasami prosiłam mamę, żeby dała mu słuchawkę, bo chciałam mu powiedzieć, jaką ulgą dla mnie jest wiadomość, że badania nic nie wykazały.

Teraz ogarnęło mnie niepokojące wrażenie, że ta rozmowa zmierza w zupełnie innym kierunku. Na moich oczach radosna trawiastozielona sukienka zbladła, przybrała ponury odcień oliwkowy.

– No i?

– Alice, wiem, ile ostatnio masz zajęć, i naprawdę nie chcę cię denerwować. Tylko że doktor Davis podczas badania zobaczył coś, co mu się nie podoba. Nadal musimy czekać na skany, ale on... się martwi.

– Co to znaczy, że się martwi?

– Chce mieć na to oko.

– Mieć na to oko?

– Skarbie, mogłabyś przestać po mnie powtarzać? – Słyszałam, jak mama zmienia układ długopisów w kwadratowym kubku koło telefonu. Markery marki Sharpie w środku, długopisy Bic na zewnątrz niczym goździki w bukietcie.

– Co znalazł?

– Zator.

– Zator?

– Tak.

– Gdzie?

– W gardle.

Od lat rozczłonkowaliśmy tatę w taki sposób: gardło, przełyk, żołądek, płuca.

– A dokładnie?

– Tam... gdzie ostatnio był guz. – Mama wypowiedziała drugą część zdania pośpiesznie, jakby to nie mogło być prawdą, jeśli bym nie zrozumiała. Ale zrozumiałam. Dokładnie. Język choroby jest jak język używany w zabawie w „świńską łacinę”: nieważne, jak dawno ostatni raz go słyszeliśmy, posługujemy się nim biegle. – Okazało się, że ostatnio miał kłopoty z przełykaniem. Nic mi nie powiedział. Wydawało mi się, że je dużo zup, ale...

Przypomniałam sobie tatę w restauracji U Michaela, mieszającego śmietanę w zupie z homara. Myślałam o wesołej apaszce w tureckie wzory, którą tamtego dnia miał na sobie, o granatowym blezerze, o mokasynach. Myślałam o tym, jak czyści te buty w salonie, przesuując szczotką po noskach. Zapach pasty kiwi. Metalowe pudełko po cygarach z przyborami do czyszczenia butów przechowywane w piwnicy między skrzynką z narzędziami a rocznikami szkoły Roxbury Latin. Tata, któremu na zawsze została oszczędność studenta żyjącego ze

stypendium, nie wyrzucał butów, dopóki podeszwy nie składały się z samych łąt.

– Och, mamó. Co jeszcze powiedział? – I znowu: ten sam rytm, niekończące się dopytywania, co powiedział lekarz, co powiedziała pielęgniarka, jaki miała wyraz twarzy, wyglądała na pogodną, sprawiał wrażenie zaniepokojonego? Will i ja żartowaliśmy, że na wizyty powinno się chodzić z pluskwą, żebyśmy później mogli wielokrotnie przesłuchać rozmowę.

– Że to może być blizna. Zawsze jest taka możliwość. Kiedy dostanie skany, niewykluczone, że podejmie decyzję o wykonaniu operacji, żeby oczyścić ten obszar.

Wzdrygnęłam się. Wyobraźcie sobie dziesięć kolejnych posiewów z gardła jeden po drugim i będziecie mieć pojęcie o czyszczeniu gardła. Kiedy raz byłam z tatą podczas wykonywania tego zabiegu, musiałam wyjść do łazienki, bo zrobiło mi się niedobrze.

– A jeśli to nie jest blizna?

– Alice, jeszcze nie jesteśmy na tym etapie.

– Co przez to rozumiesz? A gdzie dokładnie jesteśmy? – Nie pojmowałam, dlaczego tak mamę atakuję, przecież tylko przekazywała mi wieści. Nagle jednak całe moje ciało zapłonęło z furii. Czułam ją w ustach, gorzką i gorącą.

– Alice, widzę, że wpadasz w histerię. Musimy zachować spokój, nie panikować. Dowiemy się, co to jest, i ułożymy plan.

– Nie wpadam w histerię, mamó, tylko... – Mój wzrok padł na rodzinne zdjęcie, które miałam na biurku: ja, Nicholas i dzieci w Maine, za naszymi plecami zachodzące słońce. To był jeden z tych rzadkich momentów, kiedy wszyscy patrzyliśmy w obiektyw, uśmiechaliśmy się szczerze i mieliśmy na sobie czyste ubrania.

W czasie pierwszej choroby taty miałam tylko jedno małe dziecko. Teraz mam troje dużych – uwielbiają dziadka i będą się domagały odpowiedzi, których być może nie będę znała. Pomyślałam, jak sobie przekazywały Buzza i przykładały do swoich gładkich szyi. „Jak to robisz, że działa, dziadku?” Oliver napisał wypracowanie o tym, że mój tata jest dla niego najbardziej inspirującą osobą. „Nosi swój głos na sznurku na szyi. Czasami mnie też pozwala go nosić, ale nie kiedy jeżdżę na rowerze”.

No i miałam tę nową pracę. Chciałam zyskać szansę na zabłyśnięcie. Było mi wstyd, że pragnę czegoś poza dobrym zdrowiem taty, ale czy nie miałam prawa do obu tych rzeczy?

– Mamó?

– Tak, Alice?

– Jak się czuje tata?

Westchnęła, udzielenie tych wszystkich informacji odebrało jej siły.

– No cóż. Wrócił prosto do domu i napisał ogłoszenia do kościelnego

biuletynu. Teraz zamawia w sieci katalogi z nasionami. Wiesz, jaki jest.

Jasne. Najpierw czyny, potem słowa. Po jezuicku.

– Mamo?

– Tak, Alice?

– Powiedziałaś Willowi?

– Powiedziałam Mary. Will jest na łodzi, nie ma telefonu.

To musi być miłe, pomyślałam niezyczliwie.

– I co ona na to?

– Że nie mamy na czym się oprzeć, dopóki nie dostaniemy skanów.

Powiedziała, że blizny bywają wredne. Powinniśmy zachować ostrożny optymizm.

Dwa słowa w słowniku medycznym, których najbardziej nie lubiłam, ładny sposób na powiedzenie „nie mam zielonego pojęcia”.

– A ile będziemy czekać na skany?

– Od pięciu do siedmiu dni roboczych.

– Jest jakiś sposób na...?

– Doktor Davis przekaże nam tę informację tak szybko, jak tylko się da. Jest po naszej stronie, pamiętaj.

Kiedy się rozłączyłam, uświadomiłam sobie, że Matthew wrócił do pokoju. Nie wiedziałam, ile słyszał. Wolnym krokiem odeszłam od biurka, zdjęłam klucz z haka w korytarzu i poszłam do łazienki piętro niżej. Jakaś nieznajoma czyściła zęby, a ja schowałam się w kabinie, usiadłam na zamkniętej klapie sedesu, uniosłam stopy i w otępieniu spędziłam tak dziesięć minut. Nie płakałam, tylko z pustym umysłem wpatrywałam się w miętowozieloną metalową ścianę. Później wróciłam na górę na prezentację o metadanych. Po prezentacji opuściłam budynek, poszłam do katedry Świętego Patryka i stojąc przy frontowych schodach, zadzwoniłam do Nicholasa. W chwili gdy usłyszałam jego łagodny głos, wybuchnęłam płaczem.

LATO

Dzieci były w domu z Jessie, która przywiozła przybory do szycia, żeby zacerować dziurę wygryzioną przez Corneliusa w Panu Pibblesie, ukochanej rybce przytulance Georgie. Pogwizdywała, kiedy zeszałam na dół w nowej sukience z Garnet Hill: szara koronka z subtelnym rąbkiem z czarnej skóry. Jessie jako jedyna ją zauważyła.

Nicholas i ja poszliśmy do Appian Way na kolację wydaną przez Stowarzyszenie Prawników na rzecz Sprawiedliwości. Restauracja była z rodzaju tych, w których stoły nakrywano falbaniastymi obrusami zbieranymi na górze elastyczną taśmą, a kawałki masła przywierały do małych kwadracików białej tektury. Sos do spaghetti nosił nazwę „Najlepszy sos sundae7 w Jersey”.

– Jak te lody? Czy chodzi o niedzielę? – szepnęłam, kiedy wysłuchaliśmy pierwszej z sześciu przemów wygłaszanych przez lokalnych przedsiębiorców.

– Przestań, to właściciele restauracji, nie redaktorzy.

– Nicholasie?

– Co?

– Mogę ci zadać jeszcze jedno pytanie?

– Tak. – W białej koszuli i pasiastym krawacie wyglądał świeżo, jak młody polityk wyszykowany na swój pierwszy publiczny występ. Wyciągnął dwa palce do przechodzącego kelnera. – Dwa samy adamsy, proszę.

– Och, dla mnie nie, wystarczy mi wino.

– Za późno. Chyba będę musiał wypić oba.

Przed wyjściem z domu opróżnił już butelkę piwa Brooklyn Lager. Mała lampka zaświeciła mi się w głowie i szybko zgasła.

Po raz pierwszy od miesiący byliśmy z Nicholasem we dwoje i nie chciałam tego psuć, zrzedząc na temat ilości wypitego przez niego alkoholu. Zawsze należał do weekendowych piwoszy, ostatnio osuszał sześciopak w jeden wieczór. To, że trwało to przez kilka godzin, wcale nie pomagało, zwłaszcza że *happy hour* zaczynała się, zanim jeszcze wychodziłam z pracy. Wynoszenie śmieci do przetworzenia było teraz oficjalnie jego zadaniem, nie schodziłam do piwnicy, chociaż zawsze lubiłam nasze spokojne pogawędki przy akompaniamencie suszarki.

Myśl o czym innym, myśl o czym innym, myśl o czym innym.

– Hej, Nicholasie, czy istnieją prawnicy, którzy nie są za sprawiedliwością?

– Daj spokój, Alice, po prostu to zaakceptuj. Ci ludzie są kluczem do rozwoju mojej kancelarii.

Przerwał nam mężczyzna z grubym karkiem, który przystanął obok naszego

stolika i wyciągnął do Nicholasa mięsistą dłoń.

– Nick Bauer, tak? Jestem Dom Mercadante.

(Nigdy nie nazywam mojego męża Nickiem, nikt tego nie robi).

– Dom, miło cię poznać. To moja żona Alice Pearse.

Uśmiechnęłam się uroczo.

– Cześć, Dom!

– Więc tak, Nick, polecił mi cię stary kumpel od koszykówki. Wynajmujesz od niego lokal?

– Glen. Oczywiście. Potrafi grać. – Nicholas upił wielki łyk piwa, równocześnie chwytając pod stołem moją dłoń. To przynajmniej było miłe.

– No i pomyślał, że może będziesz mógł mi pomóc w pewnej sprawie. Mój brat Phil ma kłopoty z wynajmem tutaj, w Filament. Jakiś czas temu otworzył delikatesy, superlokalizacja, mozzarella z górnej półki, ale parkowanie jest do dupy. – Dom odwrócił się do mnie. – Przepraszam za tę łacinę.

– Nie trzeba. Sama jestem w niej biegła.

– Cieszę się, że to nas łączy. No więc chodzi o to, że brat nie zapłacił czynszu za kilka ostatnich miesięcy i trochę się boję, że mu zabraknie na pokrycie wszystkich kosztów. Niewykluczone, że będzie musiał ogłosić bankructwo. Myślisz, że możesz pomóc?

Zwykle Nicholas pracował przy bardziej dochodowych sprawach, ale nawet się nie zawahał.

– Jasne, z przyjemnością. – Tworzył listę klientów wolno, ale pewnie.

W drodze na parking ja wzięłam kluczyki.

Odkąd dni zaczęły się stawać dłuższe, po kolacji spotykałyśmy się z Susanną w połowie drogi między naszymi domami i szłyśmy z psami na spacer. O tej porze roku najbardziej lubiałam wędrować po Filament. Tulipany kwitły, licealna drużyna lacrosse'a zakończyła trening utworzeniem kręgu i okrzykiem „Do ataku, Brights!”, który odbił się echem po całej okolicy.

Rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym: kiedy Margot i Audrey dostaną telefony komórkowe, dokąd powinnyśmy zabrać naszych mężów na ich wspólne urodziny, czy mam interweniować u mamy, która u siebie w domu pozwoliła Oliverowi grać w pełną przemocy grę komputerową.

– I co właściwie chcesz jej powiedzieć? – Susanna nie kryła sceptyzmu.

– Po prostu dam jej do zrozumienia, że byłabym wdzięczna, gdyby nie narażała mojego syna na kontakt z tym gównem. – Przystanąłyśmy, żeby Cornelius i Hotdog, jamnik Susanny, mogły obwąchać dwa pojemniki na śmieci.

– Alice. Naprawdę? Chcesz być taką mamą?

– Pewnie nie, ale jestem strasznie wkurzona. Gra polegała na wysadzaniu

budynków. Oni mają dopiero osiem lat!

– Ja przypuszczalnie przyjąłabym postawę pasywno-agresywną. Nie pozwoliłabym Olliemu odwiedzać tego kolegi. Za to on mógłby przychodzić do Olliego i zanudzić się na śmierć wszystkimi waszymi drewnianymi zabawkami.

Roześmiałam się.

– Dobra strategia. A tak z innej beczki: jak sprawy w księgarni? Nic nie mówisz.

Westchnęła i objęła się, jakby było zimno, choć wcale nie było.

– Szczerze? Nie za dobrze. Musiałam poprosić jednego z moich pracowników, żeby przeszedł na pół etatu. Mam nadzieję, że sytuacja się poprawi, skoro zrobiło się ciepło. Aha, i zaczęłam sprzedawać pluszaki marki Ugly Dolls. To już coś.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Rashida i zespół środowiskowy byli zdecydowanie przeciwni wszelkim produktom, które zaśmieciłyby nasz prosty, estetyczny wystrój, zwłaszcza zabawkom. Dotyczyło to także kartek, zakładek do książek czy notatników.

– Cóż, może czas najwyższy, żeby wpisać do kalendarza spotkanie klubu książki Bez Winy? To zawsze poprawia obroty, no nie?

– Tak. Zobaczymy.

– Ja też mam niezbyt dobrą wiadomość. Tata był u lekarza. Coś jest nie tak.

Susanna stanęła jak wryta.

– Mów.

W dniu rozdania świadectw na koniec piątej klasy Margot wzięłam w pracy wolne. Panował straszny upał i byłam zirytowana na mamę, która włożyła ogromny słomkowy kapelusz. Co ona myśli, że to derby Kentucky? Warczałam na nią o byle drobiazg, potem szybko wychyliłam dwa kieliszki wina na lunchu w Highlawn Pavilion – do tej samej restauracji zabrali mnie rodzice na zakończenie liceum.

Zdawałam sobie sprawę, dlaczego jestem na nią wkurzona: tata został w domu.

Ja: Tato, wszyscy dzisiaj za Tobą tęskniliśmy. Mam nadzieję, że odpocząłeś.

Tata: Owszem. Zasiałem też bazylię i szałwię, więc mamy na co czekać.

Ja: Dostałeś artykuły, które ci posłałam? O próbach klinicznych w MD Anderson?

Tata: Jakie artykuły?

Ja: Te z Lanceta.

Tata: Tak. Dobrze jest mieć dodatkowe informacje.

Ja: Co o tym sądzisz?

Tata: Widziałaś fotki, które wkleił Will? Te dzieciaki to drożdżami karmią czy co? LOL.

Na GatheringPlace rejestr mojego wykorzystanego urlopu powoli rósł, połówki i ćwiartki kumulowały się w ikonce przypominającej cyfrowy budzik z początku lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Aktualny bilans wykorzystanego urlopu nie pozwalał mi na wzięcie dwóch dni zaraz po sobie, tak więc kiedy Margot i Oliver po raz ostatni szli do szkoły, ja siedziałam na ogólnym zebraniu firmy, znanym jako Town Green.

W przeszłości ostatni dzień szkoły był jednym z moich ulubionych. Zapraszałam obie klasy na lody na naszym podwórku i plotkowałam z nauczycielkami, podczas gdy dzieci rzucały do kosza, żuły gumę balonową i uprzejmie ścisnęły Corneliusowi łapę. Nie jestem rozrywkową mamą, ale tę jedną rozrywkę zapewniałam.

W tej samej chwili, w której jak wiedziałam, moje dzieci stoją w kolejce do samochodu lodziarni po wielosmakowe lody na patyku, ja byłam w surowej białej sali konferencyjnej z kaktusami w terrarium na środku stołu. Nowojorskie biuro połączyło się z chłodną niebieską salą konferencyjną w Clevelandzie, gdzie wynajęta maszyna do popcornu nadawała zgromadzeniu charakter festynu. Ledwo coś słyszeliśmy przez chrzęsty i hałasy, które wydawała.

– Hej, zespole! – Genevieve zajęła krzesło obok mojego i pochyliła się, muskając mnie ramieniem. Szepnęła: – Przygotuj się. Zapowiada się straszne nudziarstwo.

– Naprawdę? – Rozejrzałam się, żeby sprawdzić, czy ktoś słucha, ale wszyscy przy stole albo czytali mejle, albo rozmawiali z kolegami z Clevelandu. – Myślałam, że Town Green to w gruncie rzeczy wielki wiec motywacyjny.

– Ha! Nadal jesteś nowa, no nie? To raczej niekończący się wykład.

Z wysiłkiem przybrałam stosowną minę: docenienie poczucia humoru Genevieve połączone ze świadomością, że jestem jej bezpośrednią podwładną. Nie chciałam też w obecności Mariany sprawiać wrażenia, że blisko się kolegujemy, ponieważ już żartowała, że jestem ulubienicą Genevieve. (Czy dlatego nigdy nie wprowadziła w życie planu wyjścia na drinka, o którym wspomniała pierwszego dnia?)

Pierwszy punkt programu Town Green: komunikowanie się w Scrollu. Wiadomość: wewnątrzbiurowe mejle mają być zwięzłe, z jak największą ilością informacji zawartą w temacie. Jeśli uda się zawrzeć w nim wszystkie istotne szczegóły, powinien się kończyć literami [KW], czyli koniec wiadomości. Ta SPO (standardowa procedura operacyjna) pozwoli zaoszczędzić odbiorcy ułamek

sekundy potrzebny na otwarcie mejla.

Kiedy zespół komunikacyjny zakończył prezentację, głos zabrał zespół środowiskowy. Mówcą była kobieta z przedziałkiem na środku, menedżerka Rashidy, której ta składała raporty w miejscu przewidzianym w formularzu. Założyła włosy za uszy, klasnęła w dłonie i lekko się ukloniła.

– Namaste. Jesteśmy tu, żeby rozmawiać o uważności w dziedzinie materiałów biurowych. – Przerwała, kiedy wszyscy zaczęli klaskać. – Robiąc krok do przodu, rozpoczynamy kampanię pod wewnętrzną nazwą Think First. Idea polega na tym, że zanim splamimy tuszem produkt przemysłu drzewnego, powinniśmy zadać sobie pytanie: „Czy to konieczne?”.

Ellen, menedżerka działu zakupów, szepnęła do Genevieve:

– Czy przez produkt przemysłu drzewnego rozumie papier?

Genevieve na poły się uśmiechnęła, na poły ironicznie skrzywiła; tę minę rozpoznawałam teraz jako jej znak firmowy.

Rashida nie odrywała wzroku od laptopa, a jej palce fruwały po klawiaturze. Wiedziałam, że odpowiada na mejle, jak wszyscy obecni na zebraniu. Jeśli odszedłeś od komputera na godzinę, tonąłeś w ogłoszeniach korporacyjnych i wiadomościach z Clevelandu zakończonych nieodmiennie małym czerwonym wykrzyknikiem. Sztuczka polegała na otwieraniu ich zaraz po otrzymaniu.

Kampania Think First dotyczyła wszystkich materiałów biurowych. By zredukować ślady pozostawione w środowisku, będziemy musieli teraz prosić o teczki, notatniki, karteczki samoprzylepne w karcie problemu, ale te drobne luksusy będą dostępne jedynie w małych ilościach. I koniec z piórami kulkowymi; na wypadek tych nieuniknionych sytuacji, kiedy trzeba coś zapisać na papierze, dostaniemy wieczne pióra z wymiennymi nabojami. Wszystkie kserokopiarki w Scrollu zostaną przeprogramowane w taki sposób, żeby się wyłączać po wyczerpaniu tygodniowego limitu papieru. To samo odnosi się do drukarek laserowych.

– Wysyłajcie załączniki! Czytajcie na ekranie! Czy zresztą nie o to chodzi nam wszystkim w Scrollu?

Wystąpienie szefowej Rashidy ciągle przerywały burzliwe oklaski, którym towarzyszyły od czasu do czasu gwizdy z końca sali. W końcu podniosła rękę z pierścionkiem na każdym palcu.

– Konkludując, przeciętny pracownik biurowy zużywa co najmniej dziesięć tysięcy stron papieru do kserokopiarek każdego roku. Wiemy, że papier co roku stanowi ponad dwadzieścia pięć procent śmieci w Ohio. Możecie sobie wyobrazić, jak wygląda ta liczba dla Nowego Jorku? – Jej wzrok pobiegł ku kamerze, która przynajmniej w tej chwili łączyła oba stany. – Wszyscy zacznijmy redukować te liczby. Od razu. Świat wam podziękuje. Świat patrzy.

Odwróciłam się w kierunku Genevieve i cicho prychnęłam.

– Świat patrzy? Poważnie?

Nie zdawałam sobie sprawy, że powiedziałam to głośno, dopóki Matthew nie mruknął pod nosem:

– Ja cię kręcę.

Rozległy się uprzejme oklaski, wyłączyliśmy ekran. Genevieve bez przekonania kiwnęła głową.

– Wydaje się to cokolwiek ekstremalne, ale się dostosujemy.

– Tak jest – powiedziała Rashida. – To zalecenie samego Grega. Papier ograniczamy do minimum.

– Podoba mi się twoje zaangażowanie, Rashido. – Genevieve odwróciła się do mnie, po czym głośno, tak że usłyszeli ją wszyscy zebrani, powiedziała: – Alice, proszę, postaraj się ograniczyć do minimum swoje uwagi, kiedy jesteśmy połączeni z Clevelandem.

Byłam zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć. Zaraz, to ty powiedziałaś, że zapowiada się straszne nudziarstwo!

– Alice? – Lekko strzeliła palcami przed moją twarzą.

– Tak, Genevieve. Oczywiście.

Pomyślałam o Margot, Oliverze i Georgie, wkładających nowe kostiumy kąpielowe, i przez ułamek sekundy pożałowałam, że nie jestem koło nich w swoim rozsądnym tankini.

Większość dojeżdżających ma wypracowaną strategię zwalczania nudy w trakcie podróży z jednego brzegu Hudsonu na drugi. Moja jest nienaruszalna: wybieram miejsce koło okna na siedzeniu trzyosobowym, redukując szanse, że ktoś usiądzie obok mnie, bo nikomu nie odpowiada środkowe siedzenie, po tej stronie pociągu, z której mogę dojrzeć zachód słońca nad Meadowlands. Jak powiedział Yeats o Irlandii, to jest przerażające piękno.

Wyjawszy grupkę pokrewnych dusz, unikałam rozmów ze znajomymi i sąsiadami. W drodze do miasta słuchałam muzyki fortepianowej, w drodze powrotnej, przygotowując się na czekający mnie atak dzieci i chaos, słuchałam odgłosu pociągu w aplikacji „biały szum”. Tak pociąg powinien brzmieć: spokojny stukot punktowany romantycznym gwizdem.

Pewnego wieczoru wylądowałam na środkowym siedzeniu. Kobiety po obu moich stronach zamawiały posiłki z Fresh Direct; doświadczyłam momentalnego dreszczu podniecenia wywołanego przynależnością do tego znużonego, przemęczonego klubu pracujących matek, który wracał do New Jersey.

Kiedy przyszedł konduktor, jedna z moich towarzyszek nie mogła znaleźć biletu miesięcznego. Przez kilka minut grzebała w torebce, w końcu się poddała.

– Proszę o bilet do Glen Ridge.

– To będzie jedenaście dolarów siedemdziesiąt pięć centów, w tym sześć dolarów dopłaty za kupno biletu w pociągu. – Konduktorowi nie było ani trochę przykro. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że przekazuje tę informację z satysfakcją.

Kobieta z drugiej strony podniosła rękę.

– Zaraz, chyba mam dodatkowy bilet. – Wyjęła go z portmonetki i podała tamtej, machnięciem ręki zbywając propozycję zwrotu pieniędzy. – Żartuje pani? Po prostu niech pani odda komuś innemu.

Kiedy pociąg wjechał na stację, przez drzewa zobaczyłam widok jak z fotografii: Oliver i mój tata grali w baseball przed domem. Oliver trzymał przy uchu żółty kij, tata robił zamach.

Od ośmiu lat mieszkam dziewięć kilometrów od rodziców, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, żeby któreś z nich wpadło do nas bez zapowiedzi.

Serce mi się ścisnęło na myśl o tym, co zastanę w domu, dlatego się nie śpieszyłam, podziwiając żonkile na rogu Flower Street i hamak z kilimu, który sąsiedzi co lato zawieszają na swoim ganku. Ktoś robił grilla, gdzieś cicho cykał zraszacz.

Nagle przez drzwi z siatki dobiegł głos Jessie.

– Hej, wy tam, kolacja! Ostatni przy stole sprząta!

Oliver obejrzał się na ganek.

– Jeszcze trzy rzuty, Jessie, co? Teraz na pewno mi się uda przerzucić na drugą stronę ulicy. Chcę pokazać dziadkowi.

Nie widziałam twarzy ojca, ale najwyraźniej czekał na decyzję Jessie. Wiedział, kto tu jest szefem.

– Nie, Oliver. Natychmiast. Burgery z łososia stygną.

Pomyślałam, że jej głos jest cokolwiek za szorstki, ale Ollie chętnie pobiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Kiedy doszłam do domu, na podwórku byliśmy z tatą sami. Miał na sobie spodnie khaki i jaskrawoczerwoną koszulkę z krótkimi rękawami. Oczy kryły się za grubymi okularami w szylkretowej oprawie, ciemne kręcone włosy przetkane siwizną były dłuższe niż zwykle. Podniósł ręce do nieba i wolno wzruszył ramionami. Na sznurku zawieszonym na szyi kołysał się niepotrzebny Buzz Astral.

Siedzieliśmy na ganku, zwrócieni twarzami do siebie jak przeciwne strony w trakcie składania zeznań. Nie musiał mi mówić, dlaczego tu jest, wiedziałam.

Rak wrócił.

W dzieciństwie oboje z Willem za najlepszy dzień roku uważaliśmy ten,

kiedy tata zabierał nas do pracy. Każde z nas miało swój niezapowiadany z góry dzień. Budziłam się, ubierano mnie bardziej elegancko niż zwykle i wyprawiano za drzwi, w Bun'n'Burger kupowaliśmy pączki i wsiadaliśmy do pociągu. Wielkie miasto połyskiwało po drugiej stronie rzeki, a ja byłam najszczęśliwszym dzieckiem na świecie.

Will uwielbiał spacerować po Madison Square Garden, ja – różne odcienie korektorów. Róż, jasna zieleń, błękit, kanarkowa żółć.

Dzień składał się z pobytu w gabinecie taty, czytania *Harriet szpiega* i tworzenia dzieła z papieru do kserokopiarki i spinaczy wyłowionych z małego namagnesowanego pojemnika. Byłam oszołomiona widokiem z trzydziestej ósmej kondygnacji: wprost na Czterdziestą Drugą Ulicę i wzdłuż Park Avenue do Union Square. Chodniki były zatłoczone miniaturowymi ludzikami i mikroskopijnymi psami. Podlewałam fikusa, w małej kuchni napełniałam raz po raz styropianowy kubek do kawy i niosłam ostrożnie korytarzem z nadzieją, że wpadnę na kobietę, która kiedyś powiedziała: „Witaj, młoda damo. Musisz być córką Eda Pearse’a, jesteście podobni jak dwie krople wody!”.

Rzeczy, których nie należy mówić osobie mającej ojca (albo matkę) chorego (chorą) na raka:

- Jesteście ze sobą związani?
- Poprosił o drugą opinię?
- Próbował przejść na dietę paleo?
- Próbował medytować?
- Czytał *Moc pozytywnego myślenia*?
- Jak długo to ma?
- Znasz jego ostatnie życzenia?
- Przynajmniej twoja mama (twój tata) jest młoda (młody).
- Przynajmniej masz własną rodzinę.
- Na pewno wyzdrowieje.

PS: Niemówienie niczego jest gorsze od powiedzenia wszystkich powyższych rzeczy.

Kolacja była zjedzona, kuchnia wysprzątana (ten jeden raz), a ja siedziałam w jadalni przy stole ze stosami papierów rozłożonymi na blacie. Jeden zawierał wyczerpujący raport zespołu mierzenia efektywności Scrolla, który jak dla mnie równie dobrze mógł być zapisany cyrylicą, drugi składał się z informacji o nawrotach raka gardła z różnych szpitali w całym kraju: M.D. Anderson w Houston, Dana Faber w Bostonie, Johns Hopkins w Baltimore. Nazwy brzmiały

miło, niemal uwierzyłam, że organizuję spotkanie przyjaciół rozrzuconych po świecie. Hej, Dano Faber, masz ochotę wpaść w sobotę wieczorem? Och, przepraszam, umówiłam się z M.D. Andersonem. Pytałaś Johnsa Hopkinsa? Uwielbia twoje wieprzowe ragoût.

Zadzwoił telefon. To był Will, dzwonił z komórki i najwyraźniej się przemieszczał.

– Al? Jadę do Freeport na wiosłowanie o zachodzie słońca. Chciałem się dowiedzieć, jak się trzymasz. Mam tylko chwilę.

Mogłam sobie wyobrazić brata w butach marki Keen, szortach i okularach słonecznych na sznurku, opierającego lewy łokieć o otwarte okno samochodu. Znałam nawet scenerię: Crystal Spring Farm, Bow Street Market, zajazd Harraseeket Inn, porośnięte trybułą leśną łąki pełne spokojnych krów. Poczułam ukłucie irytacji. Odkąd stopniał śnieg, rzadko bywałam na dworze, nie licząc kilku wieczorów na naszym basenie. A teraz tkwiłam w rozgrzanej klatce stresu, podczas gdy mój brat gdzieś się włóczył i wiatr owiewał mu opaloną twarz.

– Will, to ty do mnie dzwonisz.

– Racja. Są jakieś wieści?

– Pytasz o tatę? – Nie zamierzałam go atakować, choć wiedziałam, że tak to brzmi. Moje kolana pod stołem musnęły coś lepkiego, co okazało się wielkim kawałem fioletowej gumy. W moim własnym domu?! Chyba żartujecie.

– Jasne, że o tatę. – Sądząc z szumu, domyśliłam się, że Will trzymał telefon w lewej ręce. Już nie był tym chłopakiem, który oszczędności całego życia przehulał na dom bractwa Sigma Phi Epsilon, choć nadal nie zaprzętał sobie głowy podstawowymi dla dorosłych zasadami bezpieczeństwa, takimi jak zestaw głośnomówiący czy nawet pasy.

– Właściwie nie. To znaczy myślę, że on nadal przetrawia tę informację, a później z doktorem Davisem ułoży plan. Akurat teraz przeglądam różne materiały, ale nie są zbyt przydatne. – Przesunęłam kciukiem po stosie papierów, tak jak przy kartkowaniu książki, po to tylko, żeby zobaczyć zbijające z tropu terminy medyczne. „Jama nosowo-gardłowa”. „Ustno-gardłowy”. „Gardło dolne”.

– Tak, o to cię chciałem zapytać. Nie wiesz, czy myślą o diecie wegańskiej? Mój bliski kumpel miał raka prostaty i udało mu się dzięki ograniczeniu...

– Will, tata nie ma raka prostaty.

– Owszem, zdaję sobie z tego sprawę, Alice. – W swoim dorosłym wcieleniu Will bywał niewiarygodnie cierpliwy. Brakowało mi wybuchowego chłopaka, który pięścią zrobił dziurę w ścianie pokoju, kiedy mama pokrzyżowała mu plany spędzenia nocy w kolejce po bilet na koncert Motley Crue. – Mówię tylko, że nie zaszkodzi otwartość na metody holistyczne. Dieta, medytacje, zioła. Nie uważasz?

Prawdę mówiąc, uważałam – na pewno zastosowanie tych sposobów, które tata bez wątpienia sklasyfikowałby jako New Age, nie mogło zaszkodzić. Miałam

jednak pretensje do brata, upychającego telefon do mnie między swoje rozrywki, o wszystkim mówiącego w duchu filozofii zen, a przede wszystkim mieszkającego w odległym i pięknym miejscu, kiedy chciałam go mieć przy sobie w New Jersey, gdzie moglibyśmy prowadzić tę rozmowę przy gorzkiej kawie w jakiejś knajpce.

Wzięłam głęboki wdech.

– Will, robię, co w mojej mocy, żeby dopilnować, że niczego nie zaniedbamy, ale mam pracę na pełny etat, troje dzieci i psa. Może ty odrobisz pracę domową dotyczącą terapii alternatywnych? Jestem pewna, że tata to doceni.

Nie zareplikował w sposób oczywisty, że on też ma małe dzieci (plus dwie świnki morskie, w tym jedną w ciąży) i prowadzi własną firmę.

– Niesamowite. Wchodzę w to. Alice, muszę dodać gazu, ale chcę, żebyś pamiętała: jesteście zespołem. Rozumiesz?

– Jasne. Cześć.

Later, alligator. In a while, crocodile. To były nasze dawne pożegnania, kiedy chowaliśmy się na podwórku z walkie-talkie i udawaliśmy, że jesteśmy Nancy Drew i braćmi Hardy (miał słabość do Franka).

Uszczypnęłam się w nos, zdecydowana zrobić wszystko, żeby się nie rozpłakać.

Kiedy miałam wrócić do ponurej lektury, Georgie i Margot przeszły przez jadalnię. Z tyłu wyglądały jak wielka i mała wersja tej samej osoby, obie miały kręcone włosy średniej długości, wąskie ramiona i długie blade stopy. Nosiły nawet podobne bransoletki na kostkach, które Jessie uplotła z niebieskiej przędzy i ozdobiła pięcioma drewnianymi koralikami, po jednym dla każdego członka rodziny. Wyglądało na to, że mają jakiś cel, przypuszczalnie wyprawiły się po lody limonkowe do zamrażarki, ale Georgie zatrzymała się w progu kuchni, odwróciła twarzą do mnie, po czym wspięła się po framudze jak małpka, przyciskając dłonie i stopy do przeciwległych boków.

Uśmiechnęła się kpiąco, kiedy dotarła do góry.

– Georgie! Schodź natychmiast, możesz sobie zrobić krzywdę! – Choć jej popis akrobatyczny mi zaimponował, nadal musiałam grać nudną rolę mamy.

Spojrzała na mnie z góry, marszcząc nos.

– Mamusiu?

– Tak?

– Mam pytanie.

– Słucham.

– O czym rozmyślasz w ciągu dnia?

W głębi kuchni cmoknęły otwierane drzwi zamrażarki i Margot powiedziała:

– Georgie, rozśmieszasz mnie.

– Nie wiem. O was? Kim będziecie, kiedy dorościecie?

Strapiona Georgie zsunęła się na podłogę, jej gołe stopy plasnęły o deski.

– I to wszystko? Myślałam, że myślisz o zabawniejszych rzeczach.

– Ja też! – zawołałam, kiedy zniknęła w głębi kuchni, żeby wziąć sobie lody.

7 W oryginale gra słów: „sundae”, nazwę deseru lodowego, wymawia się podobnie jak słowo „Sunday”, niedziela (przyp. tłum.).

Greg Rockwell przyjechał do Nowego Jorku na dwa tygodnie z celem „budowania zespołu z ludźmi z Wielkiego Jabłka”. Przygotowywaliśmy się na jego wizytę, gorączkowo się krzątając: powiesiliśmy gustowne odbitki dzieł sztuki w naszych pokojach, zamówiliśmy białe melaminowe talerze do kuchni, stworzyliśmy przewodnik uwzględniający potrzeby jego rodziny. Krótco opisałam wszystkie swoje ulubione i przyjazne dzieciom miejsca: Cloisters, muzeum Intrepid Sea-Air-Space, mały cichy ogród za katedrą Świętego Jana. Dołączyłam nawet propozycje najlepszych lokali z lodami w pobliżu Muzeum Historii Naturalnej i Metropolitan, żeby rodzina Grega nie musiała płacić turystycznych cen.

– Skąd wiesz, że jego dzieci nie są uczulone na laktozę? – zapytał Matthew ze swojej perspektywy wysoko nad moim ekranem.

– Nie wiem. Może w lodziarni Emack i Bolio są sorbety?

– Lepiej się módl, żeby były.

Zapraszaliśmy Grega na wszystkie nasze spotkania, ale na żadne nie przyszedł, nawet na to, na które Genevieve przyniosła wielkie różowe pudło rogalików. Zaprosiliśmy go na drinki w barze na dachu – też nie skorzystał. Słowem nie wspomniał o przewodniku, który z perspektywy czasu wydawał się trochę niemądry. Lepiej spędziłabym czas na szlifowaniu nowego słownictwa: towary, wielokanałowość, punkty sprzedaży, dane dotyczące sprzedaży, uwierzytelnienie. Czasami czułam się jak jedna z tych duńskich *au pair*, z którymi układałam plany na szkolnym podwórku – niby rozumiałam, ale w rzeczywistości nie pojmowałam ni w ząb.

Pomimo swojej nieuchwytności Greg punktualnie stawił się na nasze spotkanie w cztery oczy. Jak współlokator w akademiku, który musi się wynieść z pokoju na czas randki, Matthew zabrał swojego laptopa i poszedł do sali konferencyjnej. Prawdę mówiąc, Greg przypominał mi kogoś, kogo na studiach może i znałam, ale z kim nigdy bym się nie zaprzyjaźniła, jak ci chłopcy, którzy stojąc na rękach, pili piwo prosto z kega w piwnicy akademika – był to typ, z którym Will przed odkryciem buddyzmu znalazłby wspólny język. Teraz dorosłe wcielenie takiego chłopaka w koszuli wypuszczonej na spodnie siedziało okrakiem na krześle Matthew. Greg wskazał brodą stos książek w twardych oprawkach na moim biurku:

– Naprawdę chcesz zaśmieszczyć środowisko tym gównem?

Roześmiałam się.

– Słucham?

– Nie, poważnie, właśnie wróciłem ze Strandu, gdzie sprawdzałem fakty. To miejsce jest jak beczka prochu czekająca na iskrę. Musimy siebie zapytać, jak cała ta masa papieru wpływa na naszą planetę. – Greg zadrżał.

– No cóż, przypuszczam, że dlatego Scroll jest takim wspaniałym przedsięwzięciem.

– Tak. Można tak to ująć. Allison, powiedz mi, w jaki sposób zaskoczysz i zachwycisz rynek.

– Alice.

– Słucham?

– Mam na imię Alice, nie Allison.

– A tak, oczywiście, przepraszam. – Greg wzmacniał siłę dłoni dwoma zaskakująco głośnymi małymi urządzeniami, zwykle leżącymi w górnej szufladzie szafki z dokumentami Matthew. (Matthew był ekspertem od przelotnych inicjatyw mających na celu samodoskonalenie; wiedziałam, że w innej szufladzie pełno jest proteinowych batoników, które zostały po krótkotrwałej diecie).

– Jeśli chodzi o nasz wybór książek, to obecnie mam około pięćdziesięciu sześciu tytułów. Spotykam się także z agentami i wydawcami, którzy dosłownie wyskakują ze skóry z podniecenia w związku ze Scrolllem.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Poza tym mam tyle zgłoszeń do Scroll Originals, że sama nie daję rady ich załatwić. Myślimy o zatrudnieniu stażysty do ich weryfikacji...

Greg podniósł rękę i wykonał taki gest, jakby przykręcał głośność.

– Wszystko to jest świetne. Ale musimy zadać sobie pytanie, czego klient naprawdę chce, racja?

– Racja. – Nadal się przyzwyczajałam do sposobu mówienia przyjętego w Scrollu. Jego częścią był na poły sokratejski nawyk kończenia każdego zdania słowem „Racja?”. – Przepraszam, Greg, ale co masz na myśli?

– Chodzi mi o to, czy klientowi naprawdę zależy na książkach, kiedy pije kawę, czy może przyjemność sprawiłoby mu coś innego.

– Czyli co?

– Nie wiem. Nie na tym polega twoja praca? – Greg przypatrywał mi się spod ciężkich powiek. Był naćpany?

– Obawiam się, że nie rozumiem twojego pytania.

– Więc ci to wytłumaczę. Jaki jest najlepszy sposób na zdobycie przez nas czołowego miejsca na rynku?

– Tworzenie księgarń, jakich dotąd nie było? Zapewnienie klientom czegoś, czego nigdzie indziej nie będą mogli dostać. Nie licząc tego, w gruncie rzeczy się nie zastanawiałam...

– Więc zacznij myśleć, dziewczyno! – Greg z trzaskiem upuścił sprzęt do ćwiczenia dłoni na biurko. Przyjrzał się uważnie zdjęciu na moim biurku. – A tak

z innej beczki. To twoja rodzina?

– Tak. Dzieci są teraz starsze, ale...

– Pozwól, że zapytam: w jakie gry komputerowe lubią grać?

Roześmiałam się.

– Ku wielkiemu żalowi mojego syna nie mamy gier komputerowych. Nie jestem ich zwolenniczką.

– Mogę zapytać dlaczego?

– Oczywiście. Moim zdaniem są głupie. Chcę, żeby moje dzieci czytały i żyły w prawdziwym świecie, a nie w jakimś fałszywym uniwersum. Nie wspominając już o przemocy. – Pogratulowałam sobie przestrzegania szóstej reguły: zwycięzcy mówią szczerze (ZMS).

– Hm, interesujące. – Greg się zamyślił. – Trudno to pogodzić, racja? Dzieci i pracę?

– No tak, ale... cóż, obecnie alternatywa nie wchodzi dla mnie w grę.

– Rozumiem. Nieważne. Moja żona nie pracuje.

– Aha.

– To znaczy nie jestem naukowcem, ale uważam, że dzieci potrzebują matki.

Nagle ruch na Szóstej Alei gwałtownie się zatrzymał. Odległe karetki wyłączyły syreny, psy przestały szczekać. A może tylko tak mi się wydawało. Przesunęłam ręką po głowie, żeby sprawdzić, czy włosy nie stoją mi dęba.

– Chyba tak. Owszem, dzieci potrzebują matki. Lubię myśleć, że...

– Jeszcze jedno pytanie: czy Genevieve powiedziała ci o naszym zwrocie?

– Zwrocie? Właściwie nie, nie sądzę. – Mimo że trochę ją wkopałam, czułam, że powinnam ją chronić, bo Genevieve mimo wszystkich swoich grymasów była na tyle feministką, żeby nie wygłaszać opinii o ważnych wyborach życiowych podwładnego w trakcie spotkań służbowych.

Greg ułożył dłonie w piramidkę, stykające się kciuki tworzyły podstawę trójkąta. Cała jego postawa była modlitewna, jakby miał zaraz podzielić się ze mną ważną mądrością albo może podać mi fajkę wodną.

– Jestem pewien, że niedługo to zrobi.

Ponownie kiwnęłam głową, choć prawie go nie słuchałam. Zbyt byłam zajęta układaniem inteligentnych odpowiedzi na temat, który chwilę temu skończyliśmy. Czy on naprawdę powiedział, że jego zdaniem kobiety powinny siedzieć z dziećmi w domu?

Kwestię zwrotu będę musiała rozgryźć kiedy indziej.

Po powrocie do domu zastałam Nicholasa i Susannę grających na ganku w ćwiartki, zabawę polegającą na strzeleniu monetą do kieliszka. Śmiali się hałaśliwie, kiedy wbiegłam po schodach, a potem stanęłam jak wryta, nie wierząc

własnym oczom. Czy na moim tekowym stoliku naprawdę stoją czerwone plastikowe kubki? Czy po podłodze toczą się prawdziwe butelki po budweiserze, odbijając się od skakanek i lotek? Czułam się tak, jakbym przez lustro wkroczyła w czasy studiów Willa, z tym wyjątkiem, że jego kumple z bractwa mieli przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby się nie zalewać w trupa w biały dzień na oczach dzieci jeżdżących w pobliżu na rowerkach.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, obok ganku przemknął Oliver.

– Mamusiu! Odliczaj!

Moim zadaniem było zmierzenie jego „etapu”, czyli czasu, który mu zajmuje przejazd od początku podjazdu do garażu i z powrotem. Zgodnie ze zwyczajem zaczęłam głośno liczyć „jedno Missisipi, dwa Missisipi”, a kiedy znalazł się poza zasięgiem słuchu, z powrotem spojrzałam na zmarnowanych dorosłych.

Nicholas uniósł palec, pijąc piwo, po czym starł pianę z górnej wargi.

– Przepraszam, Al. Zdaję sobie sprawę, że to przygnębiająca scena. Obojgu nam w pracy marnie idzie, więc się po prostu... wycofaliśmy.

– To dobre określenie.

Oliver wrócił i zahamował kilka centymetrów od drogi.

– Ile, mamusiu? – Był czerwony na twarzy, z tyłu głowy sterczała mu kępka włosów.

– Tylko siedem sekund!

– Czy to nowy rekord świata?

– O tak. Z całą pewnością. To pierwszy rekord.

Minęłam Susannę i weszłam do środka, żeby nakarmić Corneliusa. Potem pojechałam po Margot i Audrey na basen. Paul był służbowo w Atlancie, a stan naszych współmałżonków nie pozwalał na prowadzenie samochodu.

Ja: Kim chcesz być, kiedy dorośniesz?

Georgie: Trzymaczką króliczków.

Ja: Co to znaczy?

Georgie: To ktoś, kto trzyma króliczki.

Ja: Tak jak ktoś inny wyprowadza psy na spacer, ty będziesz trzymała króliczki.

Georgie: Właśnie.

Ja: Ojej, będziesz musiała mieć silne ręce.

Georgie: Wiem. To idealna praca dla mnie.

Moi rodzice wynajęli na tydzień domek na Long Beach Island (zjazd 63.), jak robili w każde lato, odkąd sięgam pamięcią. Tym razem był to podniszczony

wiejski dom w Holgate, o kilka kroków od rezerwatu ptaków na południowym krańcu wyspy i naprzeciwko sklepu Jolly Roger, w którym w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym poznałam smak batonika Ben & Jerry's Heath. Sam widok podniszczzonego szarego budynku wywołał we mnie pawłowowski głód na lody oraz pobudził pamięć, przynosząc zapach kremu do opalania i refren piosenki *Fast Cars* Tracy Chapman.

Dokądkolwiek idę na Long Beach Island, przesiewam piasek czasu. Podejrzany bar, do którego się wymykamy, kiedy dzieci już śpią, w przeszłości nazywał się Touché i był nowoczesnym, oświetlonym na turkusowo i różowo nocnym klubem, dokąd zabrał mnie Will, żeby wypróbować mój fałszywy dowód tożsamości. Rano mama przynosi ciepłe pudła lepkich bułeczek i ciasta z posypką z Crust & Crumb Bakery, tak jak robiła jej mama, kiedy byłam w wieku Georgie. Nawet wypożyczalnia rowerów ma to samo hasło na witrynie: „Nauczmy twoje dziecko jeździć na rowerze albo kupimy ci homara na kolację”, co było powodem, dla którego przyszedłam oglądać sześciolatniego bratanka doskonalącego jazdę na dwukołowym rowerze na tej samej żwirowanej nawierzchni, na której trzydzieści pięć lat wcześniej uczył się jego ojciec.

Kiedy w sobotę rano po załadowaniu minivana po dach rowerami, deskami do pływania, leżakami, ręcznikami, lodówkami turystycznymi, wiaderkami i łopatkami staliśmy w korku na grobli prowadzącej na wyspę, dostałam wiadomość od Genevieve: „Alice, minęło za wiele czasu od Twojego ostatniego wkładu w pracę firmy. Proszę, poświęć chwilę na podzielenie się swoimi trzema priorytetami z całym zespołem, także z Clevelandu”.

Po raz pierwszy wydała mi takie polecenie zaraz po wspólnej wizycie u manikiurzystki. Trochę zbiła mnie z tropu, w końcu czerwony lakier na moich paznokciach jeszcze nie całkiem wysechł i wymieniliśmy szczerze opinie o swoich brwiach (werdykt: moje za cienkie, jej wymagają ujarznienia). Później przyszło mi do głowy, że być może Genevieve wprowadza w życie nową strategię z *Jednominutowego menedżera*. Marchewka, potem kij. O to chodziło?

Przy tamtej okazji odważnie spisałam swoje priorytety, po czym przez dobre dwadzieścia minut nie odrywałam wzroku od monitora wielkości planszy do Monopoly, raz po raz czytając wiadomość, żeby mieć pewność, że przedstawiałam swoją pracę wszechstronnie i dokładnie.

Nacisnęłam klawisz „wyślij”.

Po kilku sekundach zaczęła się chłosta w sieci.

„Przede wszystkim kim jesteś?” (Musiałam się rozeźmiać).

„Dlaczego zależy ci na tylu książkach napisanych przez kobiety?”

„Dlaczego na liście nie ma pisarzy z Kolorado?”

„Kiedy dokładne informacje o tych produktach znajdują się na stronie internetowej?”

Zaskakujące, ale najtrudniej było odpowiedzieć na pierwsze pytanie.

Tym razem odwróciłam iPhone'a, zamknęłam oczy, wystawiłam twarz do słońca i położyłam dłoń na karku Nicholasa. Ten wyjazd dobrze mu robi, pomyślałam. Chociaż byłam wściekła, że rzucił pracę, to stres związany z otwarciem własnej kancelarii okazał się większy, niż oboje przypuszczaliśmy, i bałam się, że mój mąż zaczyna się załamywać pod presją.

A z drugiej strony Nicholas stanął na wysokości zadania, jeśli chodzi o mnie. Co rano robił trzy śniadania, pakował trzy lunchy i wrzucał obiad do wolnowaru – wszystko zanim skończyłam czytać wiadomości ze Scrolla, które nadeszły nocą. Jasne, rozładowywałam zmywarkę do naczyń, pilnowałam, komu potrzebne nowe skarpetki, esemesami komunikowałam się z Jessie i umawiałam dzieci z kolegami, poza tym jednak odsunęłam się od niemal wszystkich obowiązków domowych.

Kiedy w końcu zajechaliśmy na miejsce, moi bratankowie czekali na tarasie na dachu z wielkim kartonem, na którym kredkami wypisano: „Witajcie, NicholasieAliceMargotOliverzeGeorgie!”. Palcem wskazującym wytarłam zewnętrzne kąciaki oczu. Byłam taka szczęśliwa, że tu jestem, nawet kosztem reszty urlopu.

Mama grała w tenisa w Beach Haven, tata drzemał (nigdy wcześniej tego nie robił), a my posłaliśmy dzieci do sklepu Jolly Roger po kanapki na lunch. Nicholas i ja usiedliśmy przy zielonym stoliku piknikowym z Willem i Mary, którzy byli w doskonałych nastrojach jak na mieszkańców Maine zniżających się do pobytu na wybrzeżu Jersey w najlepszym okresie sezonu plażowego u siebie.

– I jaki ci się wydał? – Nie mogłam się powstrzymać od zadania tego pytania, tak strasznie trudno było spojrzeć obiektywnie na tatę, zwłaszcza że zawsze się upierał, że jest w rewelacyjnej formie.

Will i Mary wymienili spojrzenia. Mów ty. Nie, ty. Choć bardzo lubię bratową, nie chciałam, żeby wtrąciła swoje trzy grosze. To była rozmowa rodzeństwa ze współmałżonkami jako zaangażowanymi obserwatorami.

Na szczęście Will odezwał się pierwszy.

– Wygląda... staro.

Gula wielkości jabłka momentalnie urosła mi w gardle. Kiwnęłam głową i wykrztusiłam:

– Wiem.

Will przeciągnął opaloną dłońią po twarzy, poprawił daszek baseballówki.

– I naprawdę, naprawdę nie chce rozmawiać o tym, co się dzieje. Kiedy zapytałem, czy go boli, spojrział na mnie, jakbym upadł na głowę.

– Wiem. A mama nie chce rozmawiać o niczym innym. Poświęciła się bez reszty kwestii diety. I chociaż się zgadzam, że owocowe smoothie na śniadanie

może być lepsze niż frappuccino, nie chcę się z nim o to kłócić.

Drogą przejechała rodzina w rowerowym pojeździe z baldachimem – oczywiście z wypożyczalni, gdzie udzielano lekcji. Nie można ich było przegapić: dwoje spoconych i pedałówujących dorosłych, dwoje dzieci wierzgających nogami i raz po raz ściskających czarne gumowe gruszki dzwonek przy kierownicy. Dziewczynka nosiła warkocze, chłopczyk był krótko ostrzyżony i oboje mieli tanie japonki, jedyny element garderoby, który z Willem w dzieciństwie mieliśmy wspólny.

– A zresztą – wtrącił Nicholas – nie wydaje mi się, że powinnaś mówić tacie, co ma jeść. Nie twoje małpy, nie twój cyrk, racja? – To było ulubione wyrażenie jego mamy. Moje też, ale nie w tej sytuacji.

– Problem jednak w tym, że to są nasze małpy. – Powiodłam wzrokiem po obecnych. Chociaż opinia bratowej nie była dla mnie tak ważna jak opinia Willa, niegrzecznie byłoby całkiem wykluczyć ją z rozmowy. – Mary, co ty o tym myślisz?

– Myślę, że chcecie być przy nim, ale nie zdołacie z tym już nic zrobić.

Dzieci wróciły, wlokąc trzy torby pełne czipsów ziemniaczanych i arizońskiej mrożonej herbaty – był to obowiązkowy zestaw letni w New Jersey. Kiedy wszyscy czworo schodziliśmy po porośniętych mchem drewnianych schodach z boku domu, Will powiedział:

– Boję się, Al.

– Ja też.

Nigdy nie byliśmy rodzajem rodziny, która wynajmuje pojazd z baldachimem, naszą mamę za bardzo wciągało chodzenie po sklepach ze starociami, a tatę – rozwiązywanie krzyżówek, przy czym zawsze nosił mokasyny i czarne skarpety do kolan. Nie byliśmy rodziną sportowców ani ludzi żądnych przygód.

Ale rodzice zawsze, zawsze pedałowali. Aż do teraz.

Poszliśmy z drinkami na plażę i przekonaliśmy tatę, żeby do nas dołączył. Zwykle unikał piasku do ostatniego dnia wakacji, kiedy robił jeden spacer do linii wody, uzbrojony w lornetkę. Patrzył w lewo, patrzył w prawo i wracał do domu, żeby zapalić fajkę i przeczytać kolejną książkę Johna le Carrégo, Jamesa Michenera albo Elmore'a Leonarda. Tym razem usadowił się w fotelu pod naszym wielkim parasolem. Buzz Astral został w domu, leżał w drewnianej misie na kuchennym stole pomiędzy limonkami, bananami i plakietkami uprawniającymi do wejścia na plażę. Wykluczone, żeby dało się go usłyszeć w tym mocnym szumie fal.

Chociaż ocean był lodowaty, skoczyłam z Olliem do wody i tak długo

pozwalalam falam sie o mnie obijac, az pod fiszbinami mojego stroju kapielowego zebralo sie mnostwo piasku. Kiedy schlam, siedzac z doroslymi na lezakach ustawionych w podkowe, dostrzeglam idaca plaza Monę. Była publicystką, znałam ją z pracy w „You” i należała do osób, z którymi najbardziej lubiłam umawiać się na lunch. Mona potrafiła posłać piłkę z woleja, czytając rekomendacje z biegłością licytatora.

Uściskałyśmy się i przedstawiłam ją rodzinie. Wygłosiła uwagę, jacy jesteście wszyscy do siebie podobni, i uściśnęła dłonie moim rodzicom.

– Ed, Joan, wasza córka jest urocza. Doskonale ją wychowaliście.

Mama pojaśniała.

– Lubimy tak myśleć!

Tata kiwnął głową, ale się nie uśmiechnął. Bolało go? Czy to wybrzuszenie z boku szyi to skutek kąta, pod jakim padają promienie słoneczne, czy raczej guz, już lekceważący serię ostrych naświetlań, którymi go atakowano?

Chciałam wyjaśnić – choć wyszłoby to niezręcznie – dlaczego mój tata się nie odzywa, ale Mona mnie uprzedziła.

– I jak ci idzie w Scrollu?

– Wspaniale! To znaczy zmiana jest wielka... ale otwieranie rewelacyjnych księgarń? Czy mogłabym prosić o więcej?

– Wiesz co? Mówię to z przykrością, ale mnie to nie przekonuje. Ci ludzie są właścicielami centrów handlowych. Zajmują się handlem detalicznym. Co oni wiedzą o książkach? – Mona wybuchnęła urywanym, histerycznym śmiechem, z rodzaju, który można wziąć za kaszel. – I tak, wiem, że sprzedają pierwsze wydania. Mniejsza z tym. To jak fałszywy świat, ohyda.

Wszyscy milczeli, choć wiedziałam, że słuchają, nawet dzieci. Nagle przestały budować zamek z piasku.

Tata przekrzywił czapkę Hoyas jak uliczny łobuz szukający zaczepki. Skrzyżował ręce na swojej już nie muskularnej klatce piersiowej.

– Ojej. Ja tak nie uważam – odparłam, chociaż faktycznie przeszło mi to przez myśl. – Wcale nie ma w tym fałszu. To będzie raj dla miłośników książek. – Zaczęłam z maniakałnym zaangażowaniem opowiadać o salonach, bezglutenowych ciastach i programie subskrypcyjnym. Wiedziałam, że robię z siebie przedstawienie, ale nie mogłam się powstrzymać.

– A tak, wszystko to słyszałam.

Rozmowa zakończyła się niezręcznie, z pośpiesznie rzuconą propozycją, żeby następnego dnia się spotkać, choć żadna z nas nie brała tego serio. Mona odeszła, jej wesoły słomiany kapeluszek zniknął w morzu kolorowych parasoli.

Przez minutę nikt nic nie mówił, potem odezwał się Will.

– Mogę powiedzieć tylko jedno. Pierdolić to. Nie będziemy się z nią zadawać.

Mary i ja odegrałyśmy scenę, upominając go, żeby nie przeklinał w obecności dzieci.

Kiedy tamtego wieczoru wspinałam się po drabinie na strych nad salonem, gdzie spaliśmy, usłyszałam głos Margot:

– Mamo? Możesz tu przyjść?

Trudno ją było znaleźć pośród śpiworów i dmuchanych materacy, ale gdy w końcu podeszłam na palcach do górnej pryczy, którą dzieliła z kuzynem tak, że stopy jednego stykały się z głową drugiego, zaskoczyło mnie, jaka duża się wydaje na tym małym posłaniu. W zeszłym roku upchnęliśmy przy niej Georgie.

– O co chodzi, słoneczko? Powinnaś spać.

– Mamo, dlaczego ta pani na plaży tak do ciebie mówiła?

– Zachowała się niemądrze. Nie lubi Scrolla.

– Zrobiła ci przykrość?

– Owszem, troszkę. Tylko że ludzie nie przepadają za nowymi rzeczami.

Dlatego moja praca jest taka ciekawa, ale też czasami trudna.

– Ty naprawdę lubisz swoją pracę, prawda?

– Tak, skarbie. A teraz już śpij. Jutro mamy do pozbierania mnóstwo muszli.

– Dobrze. Mamo?

Pochyliłam się, żeby otrzepać piasek ze stóp.

– Słucham, Margot.

– Czy Audrey i ciocia Susanna w tym roku do nas przyjadą? – Zwykle przyjeżdżały do Long Beach Island na jeden dzień i zabierałyśmy dziewczynki do parku rozrywki Fantasy Island. Audrey jako jedyna z rodzeństwa lubi parki rozrywki.

– Nie, skarbie. Skoro dziadek, no wiesz, nie czuje się zbyt dobrze, uznaliśmy, że będzie najlepiej, jeśli tym razem spędzimy czas tylko z rodziną. Myślałam, że ci to wyjaśniłam...

Położyła głowę na poduszce i zamknęła oczy.

– Jasne. Zresztą Audrey i tak mówi, że jesteśmy za duże na karuzelę.

Dorastając, co wieczór zasypiałam przy wtórze śmiechu taty, który w pokoju pode mną oglądał *Miodowe lata* i Johnny'ego Carsona. Teraz jego wilgotny, chrapliwy oddech nie pozwalał mi zasnąć. Zagłuszał warkot samochodów na bulwarze i szum fal po drugiej stronie wydm. To było gulgotanie w gardle, które nigdy się nie oczyści. To był dźwięk cierpienia.

Susanna: Jak się trzymacie? Ciągle o Was myślę.

Ja: Kuzyni biorą wyspę szturmem, szalejąc na deskach. Dorośli są bardziej wyciszeni; miło być razem. A Ty?

Susanna: To, co zwykle. Studenci rezygnują dla lepszych ofert pracy, więc jestem na nogach cały dzień i kasuję *Pięćdziesiąt twarzy Greya*. O co chodzi z tą książką?

Ja: Nie mam zielonego pojęcia. Jestem w połowie *Światła między oceanami* i nie mogę się oderwać.

Susanna: Na szczęście ta książka też się sprzedaje jak ciepłe bułeczki.

Ja: A skoro mowa o latarniach morskich, wybieramy się do Barnegat. Pozdrowienia dla wszystkich. Nara. Całuski.

Susanna: Wzajemnie, zwłaszcza dla Twojego uroczego taty.

Tata nigdy nie był uroczy, ale choroba sprawiła, że ludzie tak go określali.

Wyjazd z wyspy był koszmarem. Utknęliśmy w posuwającym się ślimaczym tempem sznurze samochodów z ludźmi, którzy opuścili wynajęte domy tuż przed ostatecznym terminem o dziesiątej rano, nie pozostało mi więc nic innego, jak patrzeć w okno i odtwarzać w myślach nasze okropne pożegnanie.

– Wrócimy tu w przyszłym roku – powiedziałam, kiedy cały bagaż, wiaderka i plażowe ręczniki zasłaniały tylną szybę minivana, a dzieci poszły na dach po muszle zebrane w ciągu tygodnia.

– Oczywiście, że tak – odparła mama.

Tata wziął Buzza i przyciskał go do czterech różnych miejsc na szyi, zanim znalazł odpowiednie. Oczywiście miał przymknięte z wyczerpania.

– Beze mnie.

Kiedy mijaliśmy diabelski młyn w Fantasy Island – ze zgaszonymi światłami, nieruchomy czekał na kolejną falę dzieci – z tylnego siedzenia odezwała się Margot:

– Dziadek naprawdę nie czuje się dobrze.

– Wiem, rybko. Dlaczego tak mówisz?

– On po prostu nie ma... sił. Jakby baterie mu się wyczerpywały. – To był Oliver.

Przełknęłam ślinę, z całych sił starając się nad sobą zapanować.

Nicholas ustawił lusterko wsteczne tak, żeby widzieć dzieci, i ujął moją dłoń.

– Pamiętacie, jak mamusia wam mówiła, że rak dziadka wrócił? To dlatego jest taki zmęczony.

– Ojej.

- Tatusiu?
 - Tak, Georgie?
 - Czy Cornelius też ma raka?
 - Nie. A dlaczego pytasz?
 - On też jest zmęczony. Przez cały czas śpi.
- Roześmiałam się.
- Nie martw się. Cornelius może i jest staruszkciem, ale ma końskie zdrowie.

Do: scrollglobal@scroll.com

Od: gregrockwell@scroll.com

Dzisiaj z wielką radością informuję o nowym kamieniu milowym w dziejach Scrolla. Joystick, producent gier komputerowych, przyłączy się do rodziny MainStreet. Nie moglibyśmy sobie wymarzyć doskonalszego partnera dla Scrolla, jako że łączy nas miłość do rozrywki i uznanie dla pisarzy i twórców gier komputerowych, którzy pozwalają nam odpocząć tak, jak lubimy najbardziej, albo dzięki słowom, albo dzięki pikselom. Niezależnie od tego, czy przewracamy stronicę, czy pozwalamy naszemu awatarowi uratować świat od złych mocy, oba te środki przekazu swoje korzenie mają w wyobraźni. Jak powiedział Albert Einstein, wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy. Na razie, gracze.

Prawie co wieczór Oliver czekał na mnie, stał u stóp małego zwirowego wzgórza koło placu zabaw albo biegł ścieżką wzdłuż parkingu przy stacji. Miał do przejścia tylko jedną jednokierunkową ulicę, North Edison. Jeśli pociąg przyjeżdżał minutę wcześniej, widziałam go, jak ostrożnie przystaje na rogu i patrzy w prawo. Dostrzeżenie go z okien przedziału było dla mnie najpiękniejszym punktem dnia.

Pewnego wieczoru wysiadłam z pociągu ze starszą kobietą. Stała na peronie, włożyła okulary do czytania i otworzyła swoją komórkę. W czarnej torbie miała przezroczyste kieszenie zawierające zdjęcia promiennie uśmiechniętych dzieci w kolorowych polarach – domyśliłam się, że to wnuczka.

Czy ja nadal będę jeździła pociągiem, kiedy moje dzieci zostaną rodzicami?

Zwykle Oliver pojawiał się z kijem do lacrosse'a albo piłką do koszykówki, ale tego wieczoru puste ręce wisały mu bezwładnie przy bokach, kiedy poddał się uściskowi, który na ogół znosił bez protestów.

– Mamusiu, możesz jutro zostać w domu?

Otworzyłam usta, żeby mu przypomnieć, że jutro idę do pracy, ale – hura! – do weekendu zostały tylko dwa dni, kiedy kobieta z torbą powiedziała coś, czego nie dosłyszałam.

– Słucham?

– Powiedziałam: „Proszę to zrobić”.

Wyobraziłam sobie kalendarz w Outlooku: Genevieve była PB, Rashida PD, zespół marketingowy poza budynkiem pracował nad budżetem na przyszły kwartał. (Powinnam o tym wspomnieć: przez wszystkie lata pracy w „You” nigdy, ani razu, nie słyszałam o budżecie).

Wzruszyłam ramionami.

– Dobrze, w porządku – powiedziałam do Olivera. – Zostanę jutro w domu.

Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu, zapytał swoim skrzeczącym szeptem:

– Co ta pani powiedziała?

– Żebym jutro zabrała cię nad jezioro. I wiesz co? Uważam, że to wspaniały pomysł.

– Czy ona jest wiedźmą?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Tylko jest stara?

– Tu Genevieve Andrews ze Scrolla. Proszę zostawić wiadomość.

– Genevieve, mówi Alice. Nie czuję się dzisiaj dobrze, więc zostanę w domu. Będę sprawdzała wiadomości, daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Masz mój numer.

Moje pierwsze w życiu zwolnienie z powodów psychicznych. Oczywiście dręczyły mnie straszne wyrzuty sumienia, przez które cokolwiek mnie mdliło, rzeczywiście więc nie czułam się dobrze.

Wstąpiliśmy do delikatesów, a potem ruszyliśmy nad jezioro Deer w Boonton, oddalone o jakieś czterdzieści minut samochodem. Nic się tam nie zmieniło od lat osiemdziesiątych: te same łodzie, te same toalety splukiwane pedałem, ta sama zmęczona kobieta serwująca miękkie frytki kolejnemu pokoleniu głodnych pływaków. W chwili, kiedy wjechałam na parking, poczułam się, jakbym była na innej planecie.

Susanna skorzystała z okazji i wybrała się z nami na wycieczkę. W sumie miałyśmy osiem leżaków, dwie lodówki turystyczne na kółkach, trzy siatki z zabawkami na plażę, dwa parasole, dziewięć różnych kremów z filtrem (w płynie, sprayu i sztyfcie) oraz latawiec. Na plaży spotkałyśmy sąsiadkę, matkę czterech chłopców, oraz przyjaciółkę z siłowni, której bliźniaczki przyjaźniły się z Georgie.

– Co sądzimy o nowym dyrektorze, drogie panie?

Susanna była mamą zaangażowaną w życie klasy, stąd wszystkie oczy zwróciły się na nią.

– Trudno powiedzieć. Czekam, aż zrobi coś jeszcze poza przekształceniem North Edison w ulicę dwukierunkową.

Moja sąsiadka się roześmiała.

– Cóż, miło wiedzieć, że ma ustalone priorytety. Czy on w ogóle się przejmuje fatalnymi ocenami naszych dzieci z testów językowych?

– Ha. Słyszałyście o zespole korepetytorów? Dzieci Walshów tam chodzą i Stacy mówi, że nagle z własnej woli prowadzą dzienniki. Nie może nastarczyć im zeszytów!

Susanna zachichotała.

– Dajcie spokój. Dzieci nie potrzebują korepetytora do nauki pisania, one muszą czytać!

Tak oto rozkręcałyśmy się, prowadząc typową rozmowę mam: półkolonie edukacyjne i inne, pielęgnacja skóry od leczenia pryszczycy do kremów przeciwmarszczkowych, alkohol i tytoń (jak odpowiedzieć dzieciom na pytanie, czy paliłaś kiedyś zioło, czy podałaś nastolatkom alkohol), wolontariat dla młodzieży (Habitat for Humanity w Gwatemali kontra miliony mniej kosztownych możliwości bliżej domu) i wszy, wieczne wszy. Czy listerine naprawdę je zabija? Czy to prawda, że są ludzie wytwarzający feromon, który skutecznie je odstrasza? Czy specjalistka od usuwania wszy w Filament jest równie kompetentna jak ta z Brooklynu, która bez dotykania głowy potrafi odgadnąć liczbę gnid?

Usadowiłam się na leżaku, rozkoszując się znajomym biegiem rozmowy: pełne szacunku sprzeciwy, łagodne rady, od czasu do czasu przesadny komplement: „O Boże, jesteś najlepszą mamą świata”.

W jeziorze Deer są dwa miejsca do pływania: odgradzony linami płytki basen ze zjeżdżalnią dla małych dzieci i głębszy, podzielony na tory, z większą zjeżdżalnią i pomostem na końcu. Trzeba zdać egzamin pływacki, jeśli chce się skorzystać ze zjeżdżalni – dla Margot to nie był żaden problem, pierwszego dnia bez wysiłku wypłynęła na środek jeziora. Oliver natomiast wciąż nie odważył się spróbować, zdecydowanie odmawiał rozszerzenia swoich horyzontów poza część jeziora, w której kąpała się Georgie.

Późnym popołudniem, kiedy zjadłyśmy sałatki i rozdzieliliśmy dzieciom batony zbożowe, Susanna przysłoniła oczy dłonią i spojrzała na tory.

– Czy to Oliver?

Kościste ręce pracowały jak wiatraki, przesuwając się kraulem i zostawiając za sobą białą pianę. Od razu rozpoznałam ostrożną i zręczną postać Olivera: był w połowie egzaminu pływackiego, a z końca wielkiej niebieskiej zjeżdżalni dopingowali go trzej opaleni, bardziej muskularni chłopcy.

Zanim doszłam do głębszego basenu, on już wrócił na suchy ląd. Trząśnięty z zimna i uśmiechał od ucha do ucha, kiedy jasnowłosy ratownik przypinał mu specjalną odznakę noszoną przez zaawansowanych pływaków. Próbowalam nie robić z tego wielkiej sprawy, bo wiedziałam, że Oliver tak działa: wbija sobie do głowy, że coś robi, robi to po cichu, a potem jest zawstydzony pochwałami.

Pocałowałam go w czubek sterczących mokrych włosów i szepnęłam mu do ucha:

– Jestem z ciebie dumna.

Czterej chłopcy przez resztę popołudnia skakali z dmuchanego pomostu na środku jeziora. Raz po raz wykonywali takie same ruchy jak małe foczki rzucające się do wody: skok w pozycji kucznej, skok w pozycji łamanej, skok w pozycji prostej. Powtórka.

Kiedy się pakowałyśmy przed powrotem do domu, pozostałe mamy (z wyjątkiem Susanny) umawiały się na następny dzień. Podczas gdy moje koleżanki na plaży zapalą cytrynowe świece i przygotowują się na popołudnie spędzone na ustawionych rzędem leżakach, ja będę w pracy, ubrana w wełniany sweter chroniący przed lodowatym podmuchem klimatyzacji.

Margot: Co Twoim zdaniem powinnam robić po skończeniu college'u?

Ja: Nie wiem. A co chcesz robić?

Margot: Mieć sześcioro dzieci?

Ja: I co jeszcze?

Margot: Myślę, że sześcioro dzieci zapewni mi sporo zajęć.

Ja: No tak. Sześcioro dzieci to mnóstwo pracy.

Margot: Ze mną tak nie będzie. Wyjdę za kogoś, kto wszystko będzie robił, jak tatuś.

Ja: W takim razie okej. Powodzenia.

JESIEN

Przegapiłam spotkanie na lodach w przedszkolu, pierwszy dzień szkoły, pierwsze spotkanie Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, szczepienie Corneliusa na krztusiec i kolację Nicholasa z nowym obiecującym klientem, czołowym wytwórcą posłań dla zwierząt domowych w New Jersey.

Szukałam jednak wspaniałych książek dla Scrolla i stosowałam się do nowej mantry: „Nie możesz być wszystkim dla wszystkich ludzi (ani zwierząt)”. Kluczem do próby złapania stada srok za ogon było nieprzejmowanie się, że to się rzadko udawało – wręcz przeciwnie, przez większość czasu towarzyszyło mi wrażenie, że jestem zepchnięta na margines.

Genevieve i Rashida wiecznie siedziały za zamkniętymi drzwiami, dając całej reszcie możliwość odetchnięcia i tak potrzebny odpoczynek od wiecznego deszczu niemożliwych do zrozumienia mejli.

Matthew otworzył opakowanie pestek dyni.

– Zauważyłaś, że Genevieve dwa tygodnie z rzędu odwoływała zebrania całej załogi?

– Chyba tak. A dlaczego?

– Nie wydaje ci się dziwne, że nie chcą wiedzieć, co robimy? Mówię ci, coś się kroi.

– A nie pracują nad budżetem na przyszły rok?

– Jasne, ale czy w tym budżecie znajdzie się miejsce dla nas? Oto jest pytanie.

– Jakież teorie spiskowe snujesz. Wracaj do roboty.

Do: scrollnewyork@scroll.com

Od: scrollpublicity@scroll.com

W tym tygodniu odbędzie się nasza pierwsza Odjechana Środa! Włóżcie rzeczy w grochy i o 14.00 przyjdźcie pozować do grupowej fotografii w otwartej przestrzeni biurowej. Pokażmy Clevelandowi naszego ducha Scrolla!

W przyszłości Odjechane Środy będą naszą cotygodniową tradycją. W załączniku przesyłam arkusz z tematami na środę 19.12. Plany obejmują między innymi paski, wzory kwiatowe, falbanki, romby, plisy, styl boho, hobo, hippisowski, pizamy, stroje marynarskie. Pomysły mile widziane. UWAGA: dla pracujących z domu preferowane są stroje Yankees albo Knicks, ale czy ktoś ma stroje Indians albo Cavaliers, żeby skonsolidować zespół?

Udział w Odjechanych Środach jest zalecany. Będą serwowane rogaliki.

15

Do: alicepearse@scroll.com

Od: pearseparents@gmail.com

Al, 18 września o drugiej po południu mama i ja idziemy na wizytę do doktora Davisa. Okaze się, czy naświetlania były skuteczne. Zdaję sobie sprawę, że to dla Ciebie środek dnia pracy, chociaż wiem, że gdybyś mogła się do nas przyłączyć, to mama byłaby Ci wdzięczna. Oczywiście nie naciskam, nie odbieraj tak tego. Jestem dumny, że pracujesz w świecie książek.

A poza tym po staremu: dynie ładnie rosną, zapewniam firmie Cozy Shack stałe obroty, bo pudding ryżowy jem świątek i piątek, i nie możemy się doczekać uruchomienia naszego nowego Blu-raya, ale najpierw muszę rozgryźć te przekłete piloty. Obecnie mamy ich więcej niż żywych istot, wliczając koty. Kiedy Nicholas znowu będzie w okolicy, może go poproszę, żeby udzielił mi krótkiej instrukcji. Will próbował przez Skype'a, ale się obawiam, że jednak lepiej sobie radzi z wiosłowaniem.

Daj mi znać w sprawie spotkania z doktorem Davisem. Odkąd po raz ostatni się widzieliście, powiększył swoją kolekcję trofeów golfowych, więc masz na co czekać.

Z wyrazami szacunku,

Tata

Do: pearseparents@gmail.com

Od: alicepearse@scroll.com

Z wyrazami szacunku? Tato, jestem Twoją córką, nie księgową. Oczywiście, że z Wami pójdę. Jeśli chcesz odstawić pudding ryżowy, to może poeksperymentujesz z blenderem. Możesz nawet dodać czekoladę! Razem z warzywami. Nie chcę, żebyś dostał szkorbutu. Całuski.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: pearseparents@gmail.com

Szkorbut to choroba spowodowana brakiem witaminy C, która w ilościach śladowych występuje w puddingu ryżowym. Nic nie powinno mi grozić, ale dziękuję.

W chwili kiedy weszłam do domu, wiedziałam, że coś jest nie tak. Nie tragicznie, tylko trochę. Wyrabiasz sobie szósty zmysł jako matka, zwłaszcza mając w domu świeżo upieczoną gimnazjalistkę. Jej zarzuty wobec ciebie może nie są w stu procentach uprawnione, ale wiesz, że zaraz je usłyszysz.

– Mamo, wysłałam ci z pięćdziesiąt esemesów, a ty nie odpowiedziałaś. – Margot stała na najwyższym stopniu schodów z rękami skrzyżowanymi na piersiach i jedną nogą wystawioną do przodu. W nastoletniej jodze ta pozycja znana jest pod nazwą „ale czasami potrafisz być głupia”.

– Dziękuję, Margot, miałam miły dzień. A ty?

Jessie złapała kluczyki, pomachała palcami i wyszła do samochodu. Orientowałam się, że później przyśle esemesa, jeśli będzie uważała, że o czymś powinnam wiedzieć. Ale dlaczego Jessie nie odpowiedziała na kilka ostatnich grupowych esemesów pomiędzy nami dwiema i Nicholasem? W minionym tygodniu przyjęła nową taktykę i odpowiadała tylko na moje. To było dziwne. W myślach zanotowałam, żeby ją zapytać, a także podziękować za starannie uporządkowaną szafkę z przyborami plastycznymi, która zwykle wyglądała jak większy, barwniejszy przycóżek pojemnika na śmieci.

Mama była w kuchni, pakowała sprzęty, które w każdy wtorek przywoziła, żeby zrobić swoje sławne pulpeciki z makaronem: żeliwny garnek (choćby identyczny był w naszym kredensie), sałatę zieloną, domowy ocet i koronkowy fartuszek w czarno-czerwone grochy, niezwykle połączenie stylu Shirley Temple i burdelmamy Mayflower Madam. Kiedyś mama zostawiła go na jednym z haczyków, na których wieszamy nasze kluczyki samochodowe, i Nicholas zapytał: „Czy moglibyśmy w jakiś sposób włączyć go do naszego repertuaru?”.

Teraz mama wskazała sufit – nad kuchnią jest pokój Margot – i szepnęła:

– Nie tknę tego nawet trzymetrowym kijem.

– Co się stało?

Pokręciła głową i ukradkiem przesunęła się w stronę drzwi.

– Do widzenia, mamo. Dzięki, że przyszedłaś.

– Nalej sobie wielki kieliszek wina. Aha, Alice, zapomniałam ci powiedzieć: w muzeum jest impreza na Halloween. Każdy przychodzi przebrany za ulubionego wynalazcę. Pomyślałam, że dzieci...

– Halloween? Żartujesz? Mamo, jeszcze o tym nie myślę. Nadal wożę leżaki w bagażniku.

– Okej. Przypomnę ci później. I jeszcze jedno: czy tata przysłał ci mejla o...

– O doktorze Davisie? Tak, pójdę z wami.

– Wspaniale. Dobranoc, moja kochana.

Nicholas i mama spotkali się na frontowych schodach. Z jego szorstkiego „cześć” domyślałam się, że u niego też mam przechlapane, chociaż zupełnie nie wiedziałam dlaczego.

Kiedy mama wyszła, Margot wybuchnęła:

– Na szczęście dla mnie tatuś sprawdza esemesy w ciągu dnia. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie odpowiedział.

– Moment, czy ktoś może mi łaskawie powiedzieć, co tu się dzieje? Margot, nie mów do mnie takim tonem. – To była jedna z kwestii, o których myślałam, że nigdy nie wyjdą z moich ust, a tu proszę.

– Margot próbuje powiedzieć, że chciała się z tobą skontaktować i powiedzieć, że potrzebuje arkusza brystolu do zadania z wiedzy o społeczeństwie, które musi oddać jutro. – Nicholas uniósł rękę i pokazał mi białą reklamówkę ze zwiniętym w rulon czerwonym brystolem. – Nie martw się, załatwiłem to.

Mówił spokojnie, ale widziałam wyraźnie, że solidaryzuje się w tej irytacji z Margot, a to doprowadziło mnie do furii.

– Zakładam, że nikt wam tego nie zadał dzisiaj, Margot.

– Nie, mówiła nam o tym w zeszłym tygodniu.

(Miała na myśli nauczycielkę).

– Więc mogłaś mnie z góry uprzedzić o tym terminie?

– Tak, ale...

– Na przykład w sobotę? Mogłyśmy razem pójść do sklepu papierniczego? Albo dałabym ci pieniądze i kupiłabyś sobie brystol po lekcjach.

– Ale inne mamy...

– Margot. Inne mamy mnie nie obchodzą. Ja jestem twoją mamą. A to jest twój tata, który sprawę załatwił. Więc przestań się dąsać i skończ zadanie. Nie chcę się pakować w kłótnie, kiedy wracam z pracy do domu. Miałam długi dzień.

Tupiąc, Margot poszła na piętro. Pobiegłam za nią i złapałam ją za tylną kieszeń džinsów. Nagle sobie uświadomiłam, że są przyciasne i o wiele za krótkie. Dawna Alice bardzo pilnowała, żeby zapewnić dzieciom czyste, dobrze pasujące ubrania. Nowa? Niewiele ją to obchodziło. Skarpety wszystkich domowników nadal leżały nieposegregowane w koszu na pranie u stóp łóżka.

– Nie odchodź ode mnie w taki sposób, Margot. Szkoła to twój obowiązek. Rzeczy potrzebne na lekcje to nie moja sprawa. Powinnaś planować jak menedżer.

Pozwoliłam jej wejść do pokoju, drzwi nie trzasnęły, właściwie nie, ale zostały zamknięte zdecydowanym ruchem.

– Jezu, Alice. Planować jak menedżer? Margot ma jedenaście lat.

– Zaraz, dlaczego to ma być moja sprawa? Przez cały dzień nie miałam okazji sprawdzić telefonu. Tobie to się zdarza ciągle, a ja się na ciebie nie wściekam. Potrzebowała brystolu, ma brystol. A przy okazji, dzięki, że go kupiłeś, problem rozwiązany.

– Myślę, że wiesz, na czym polega większy problem. – Nicholas przemawiał jak prawnik. – Jesteś taka roztargniona, że ledwo nas zauważasz. W domu nieustannie sprawdzasz wiadomości z pracy, ale wcale nie wygląda na to, że

w pracy myślisz o nas.

Spojrzałam na komórkę, która zaświeciła w przedniej kieszeni mojej kwiecistej tuniki.

Miał rację.

Tamtego wieczoru zasnęłam bez problemu, ale o trzeciej osiemnastce nagle się obudziłam, a potem weszłam na Facebooka.

Cały świat piekł ciasta, skakał w stopy liści, życzył rodzicom wszystkiego najlepszego z okazji czterdziestej rocznicy ślubu i wskakiwał do samolotu do Los Angeles (JFK → LAX), ponieważ miał ważną prezentację w wytwórni Pixar.

Zastanawiałam się nad zmianą swojego statusu. Brzmiałoby to tak: „Nie śpię w środku nocy i zastanawiam się, ile przytyłam i kiedy ostatnio moje dzieci były u dentystki. Przestała mi przysyłać przypomnienia o wizytach. Na naszym dywanie są wymiociny psa, w minivanie załęgły się muchówki, we wszystkich grach planszowych brakuje pionków, a na kolację jedliśmy nachos”.

A może powinnam zwrócić się do użytkowników z pytaniem – co zwykle wywołuje najwięcej komentarzy – „Guz mojego taty był wielkości piłeczki do golfa, teraz ma rozmiary piłki do tenisa. Myślicie, że uda mu się dożyć siedemdziesiątych urodzin?”.

Ktoś tam umiałby odpowiedzieć, postanowiłam jednak na razie zachować ten status (czy raczej jego brak) dla siebie.

Sacrum i profanum, niekoniecznie w takim porządku.

W końcu szepnęłam Nicholasowi do ucha:

– Nie śpisz?

– Teraz już nie.

Odwróciłam się do niego plecami, żeby mógł mnie objąć.

– Jestem strasznie zestresowana.

– Dlaczego?

– Mam wrażenie, że wszystko robię źle. Nie ogarniam.

– Czego?

– Niczego.

– Alice, daj spokój. Masz sporo na głowie. Za dużo. Każdy, kto ma dzieci i pracę, tak się czuje. Nie wspominając już o chorym ojcu.

– Ale to nie tak. Tęsknię za dziećmi. Taty nie chcę nawet odwiedzać, na jego widok serce mi pęka. A co do pracy, to myślałam, że będzie inaczej.

– Dzieciom nic nie jest. Będą samowystarczalne i samodzielne. Twój tata... cóż, sprawia wrażenie, że jest w dobrym nastroju, więc powinniśmy brać z niego przykład, nie sądzisz? Moim zdaniem rewelacyjnie sobie z tym wszystkim radzisz. A praca? Wiem, że jest ważna, ale szczerze mówiąc, są teraz w twoim życiu

ważniejsze sprawy.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Leżałam na plecach, ramieniem stykając się z ramieniem Nicholas. Przypomniałam sobie, jak leżałam w łóżku Margot, kiedy miała kilka lat i strasznie się bała zostawać sama w ciemnym pokoju. Co wieczór, kiedy układaliśmy ją do snu, zanosila się niepowstrzymanym szlochem.

– Ćwierkanie! Ćwierkanie! Boję się ćwierkania!

Nie mieliśmy pojęcia, o czym mówi, a naprawdę chcieliśmy, żeby się położyła, bo w telewizji leciał następny odcinek *Kawalera do wzięcia*. Pewnego wieczoru wróciłam do pokoju Margot i wsunęłam się pod kołdrę. Kiedy się do mnie przytuliła i przestała popłakiwać, usłyszałam ćwierkanie: wysokie *staccato* śpiewaczki operowej, która się rozgrzewała przed lekcją z nauczycielem śpiewu mieszkającym piętro niżej.

– Margot, to tylko muzyka – wyjaśniłam.

Wciąż roztrzęsiona, wydała westchnienie i zamknęła oczy. Problem rozwiązany.

To były czasy.

– Nicholas?

– Tak?

– Jest jeszcze jedna sprawa.

– Jaka? – Oparł się na łokciu i przyjrzał mi się w mroku.

– Martwię się o ciebie.

– Dlaczego się o mnie martwisz? – W jego głosie brzmiało szczere rozbawienie. Nie chciałam psuć chwili wszczynaniem kłótni, ale zasługiwał na dowiedzenie się, co mnie niepokoi.

– Myślę, że stres związany z pracą... zaczyna zbierać żniwo.

– O czym ty mówisz? Bardzo mi ulżyło, odkąd jestem na swoim, i pewnie, droga bywa wyboista, ale...

– Po prostu się o ciebie martwię.

– Tak, już to mówiłaś. A ja powtarzam, że wszystko u mnie w porządku.

Nie wiem, dlaczego tak trudno mówić o rzeczach, które widać gołym okiem. Może dlatego, że czułam się tak, jakby coś ciężkiego usiadło mi na piersiach. Zrobiłam głęboki wdech, choć i tak miałam wrażenie, że powietrza jest za mało.

– Nicholas, za dużo pijesz.

– Słucham? – Czułość w jego głosie zniknęła bez śladu.

No i już, wyrzuciłam to z siebie. A może raczej wykrztusiłam. Powtórzyłam głośniej:

– Powiedziałam, że za dużo pijesz.

Nicholas się odwrócił i naciągnął kołdrę po same ramiona, przez co

przypominał starannie zwinięte burrito.

– Nie mamy o czym rozmawiać.

– A mnie się wydaje, że mamy. Pytanie tylko: kiedy?

– Genevieve, mogę ci przerwać na minutkę?

Niemal niedostrzegalnie przekrzywiła głowę w moim kierunku, nie odrywając oczu od strony internetowej Design Within Reach.

– Taaa, ale poczekaj. Sprawdzam niektóre koncepcje Rashidy.

– A właśnie, przypomniałaś mi o czymś. W nowych planach nie widziałam półek na książki.

– Rzeczywiście ich nie ma.

– Jest jakiś nowy plan ekspozycji pierwszych wydań? Myślę, że błędem byłoby wstawianie ich za szkło, choć chyba mogę zrozumieć powody...

– Obawiam się, że na razie nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. – Twarz Genevieve pozostała obojętna. I to wcale nie znaczy, że wyglądała na znudzoną albo złą; jej mina wyrażała tak całkowity brak zainteresowania, że zaczęłam się zastanawiać, czy nie wyobraziłam sobie tego, co właśnie powiedziałam. Nie można było wykluczyć, że nadal czeka na moją reakcję. Znałam wiele min Genevieve, ale tego dnia po raz pierwszy zobaczyłam maskę. Poczulałam się tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy oglądałam *Ducha* i pod łóżkiem pojawił się kłown. Dokładnie zapamiętałam tę chwilę: nocleg poza domem, czwarta klasa, piwnica u Beth France i poświata z telewizora. Tamtego wieczoru od razu z oliwkowego telefonu z tarczą zadzwoniłam do taty i poprosiłam, żeby po mnie przyszedł. Teraz ścisiskałam notatnik, jakby od niego zależało moje życie.

– No tak. Przyszłam ci powiedzieć, że dzisiaj po południu muszę opuścić zebranie technologiczne. Mam sprawę do załatwienia.

– Tak? – Udział w zebraniach był dla Genevieve kwestią najwyższej wagi, zwłaszcza kiedy łączyliśmy się z Clevelandem.

– To sprawa osobista. Ja... mój tato miał raka...

– Tak, wspomniałaś o tym na konferencji dotyczącej sprzedaży.

– Właśnie. W każdym razie rak wrócił, prognozy nie są najlepsze i...

– Gdzie?

– Och, wizyta jest w Sloan Kettering, ale tata mieszka...

– Nie, pytałam, gdzie jest rak. – Maską się rozplynęła, ustępując miejsca czystemu współczuciu. Genevieve pochyliła się ku mnie w pozie rozslawionej przez Judda Hirscha w *Zwyczajnych ludziach*: łokcie na kolanach, nogi rozstawione. Ale jej reakcje były pozbawione życia. Jak powiedziała Gertrude Stein, tam wcale nie jest tam, jakby Genevieve stosowała się do wskazówek reżysera dotyczących postaci scharakteryzowanej jako wrażliwy, otwarty szef.

- W gardle. Dzisiaj się dowiemy, czy są przerzuty.
- Palił?
- Tak, palił. – Teraz dotarliśmy do tej części rozmowy, której najbardziej nie lubiłam: o zdrowiu taty. Wypatrywałam niewidzialnego światełka zapalającego się w głowie Genevieve: „nie palę, więc jestem bezpieczna”. Ona jednak rzuciła mi podkreconą piłkę.
- Cholera, palenie jest wredne. Mój tata umarł na raka płuc, kiedy miałam dziewięć lat. – Powiedziała to rzeczowo, w taki sam sposób mogłaby stwierdzić: „Mam piwne oczy” albo „*Jednominutowy menedżer* to moja biblia”.
- Och, tak mi przykro, Genevieve. Nie wiedziałam.
- No tak. Jest, jak jest. – Wzruszyła ramionami. Rozmowa dobiegała końca.
- Rób, co musisz. I powodzenia dzisiaj po południu.

Szpital był dokładnie taki, jak zapamiętałam: te same grupy ludzi w fartuchach, tłoczące się z papierosami w dłoniach przed frontowymi drzwiami, ta sama dłużąca się jazda windą z mrocznego wejścia do wesołego głównego holu. Nie można się było oprzeć wrażeniu, że się wkracza do alternatywnego świata. To nie był raj, na pewno nie, ale w każdym razie czuło się, że to miejsce bezpieczne, a pracujący w nim ludzie dotrą do sedna problemu, z którym się przyszło. Takie były moje doświadczenia z przeszłości.

Znalazłam rodziców w gustownej poczekalni z jasnymi meblami i kojącymi kolorami. Siedzieli obok siebie, twarze mieli zapadnięte – nie byli widocznie ożywieni ani zmartwieni, tylko obecni, choć woleliby być gdzie indziej. Mama miała na sobie długą koronkową suknię i opaskę z markazytami na szyi, tata spodnie khaki, niebieską koszulę i granatowy blezer. Wierzyli w ubieranie się ładnie na wizyty u lekarza, niedzielną mszę i lot samolotem. Teraz byli jak zdenerwowani pasażerowie czekający na informację o wolnych miejscach oraz o dokładnym celu swojej podróży.

– Cześć. – Uściskałam ich szybko. Uśmiechnęli się przelotnie, mama mruknęła, że dziękuje mi za przyście; w poczekalni było cicho jak w bibliotece, powitania skróciliśmy więc do minimum. Usiedliśmy w miękkich skórzanych fotelach i udawaliśmy, że z przyjemnością przeglądamy imponujący szpitalny zbiór czasopism. Niestety, niemal od razu przeniesiono nas do gabinetu w części wewnętrznej, gdzie nie było przyzwoitej lektury, a tym samym możliwości udawania, że jesteśmy odprężeni.

Długo czekaliśmy na doktora Davisa, napięcie gęstniało, no bo ile razy troje zdenerwowanych ludzi może brać do ręki mały plastikowy model głowy i oglądać go z pozorowanym zainteresowaniem? Mama ciągle proponowała błyszczki do ust, chusteczki higieniczne, krem do rąk i drażetki Certs. Ja tyle razy przejrzałam

dział krajowy „New York Timesa”, że w końcu nie zostało mi do czytania nic poza depeszami AP i Reutera.

Na początku usiłowałam nawiązać z tatą rozmowę o nagłówkach, ale on wolno pokręcił głową, położył się na leżance i zamknął oczy. Nie znosiłam, kiedy taki był, z twarzą obwisłą, z nadal opaloną skórą przybierającą szary odcień w świetle jarzeniówki. Ze swojego miejsca na małym okrągłym taborecie widziałam wyraźnie dziurę w jego gardle. Niedobrze mi się robiło na myśl o tym, co w niej jest.

W końcu przyszedł doktor Davis w obłoku czworga ubranych na biało lekarzy z onkologii otolaryngologicznej.

– Joan, Ed. – Mocno i serdecznie uściskał im dłonie, po czym zwrócił się do mnie. – Co, bez małych dzieci?

– Tym razem bez.

Przedstawił nas swoim kolegom, którzy odnosili się do nas uprzejmie, ale nie kryli, że chcą jak najprędzej przejść do meritum. Tata był interesującym przypadkiem: nie tylko usunięto mu krtań, ale też wszczepiono struny głosowe zrobione z jego własnych wnętrzości. Jedną z lekarek przeglądała teczkę taty z czystą ciekawością. Pokręciła głową i mruknęła pod nosem:

– Wielka szkoda.

Znowu się zaczniesz o paleniu, pomyślałam.

– Karen? – Doktor Davis spojrzał ostro na koleżankę, która miała na sobie biały fartuch, a pod nim nieskazitelnym różowy sweterek, dwa elementy garderoby, których utrzymanie w czystości kompletnie nie mieściło się w głowie takiemu niechlujowi jak ja.

– Chodzi o to, że przeglądam historię Eda...

– Chciałaś powiedzieć: pana Pearse’a.

– Tak, przepraszam, doktorze. Przeglądając historię pana Pearse’a, uświadomiłam sobie, że gdyby dzisiaj miał ten sam typ guza co dziesięć lat temu, to najprawdopodobniej nie musiałby przechodzić równie radykalnej operacji. Obecnie mamy alternatywy dla całkowitej...

– Karen. Dostyc. – Doktor Davis przesunął swój taboret na kółkach do leżanki, tak że miał oczy mniej więcej na poziomie kolan taty, który teraz siedział. Nie mogłam się zdobyć na to, żeby spojrzeć mu w twarz. Jasne, wiedziałam, że poczyniono postępy w leczeniu raka gardła, odkąd tata stracił głos, i oczywiście, jeśli jakiś szpital przodował w stosowaniu nowych terapii, to właśnie Sloan Kettering. Ale w tej konkretnej chwili, kiedy już przygotowaliśmy się na najgorsze, myśl, że mało brakowało, a sprawy potoczyłyby się inaczej, była zbyt bolesna, żeby ją rozważać.

Utkwiłam wzrok w Karen, z całej siły pragnąc, by z moich oczu wystrzeliły sztylety. Ona najwyraźniej nie zarejestrowała mojego spojrzenia, żadnego wrażenia

też nie zrobiła na niej uwaga doktora Davisa. Jej tata przypuszczalnie jeździł na nartach w Aspen albo wywoływał artystyczne czarno-białe fotografie we własnej ciemni. Karen miała wszystkie fakty w małym paluszku, nie potrafiła jednak biegle posługiwać się kluczowymi pojęciami swojej profesji: zmartwienie, żal, gniew, strach i nadzieja. Zawsze nadzieja.

Doktor Davis ujął dłoń mojego ojca nie w sposób protekcyjny, tylko jakby byli starymi kumplami, którzy kibicują rywalizującym drużynom, ale darzą się wzajemnie niezwykle szacunkiem. Jakby byli sami, a my obserwowalibyśmy ich przez lustro weneckie.

– Ed.

Tata kiwnął głową i bezgłośnie odpowiedział:

– Howardzie.

– Twój guz nie reaguje na naświetlania.

Mama notowała, żeby później przekazać wszystkie informacje Willowi. Zerknęłam na nią, spodziewając się łez kapiących na kartkę albo przynajmniej zgarbionych ramion. Ona jednak przyjęła postawę osoby gotowej do walki: wyprostowana jak struna, z długopisem w ręku, kiwająca głową jak pilna studentka. „Szczęście sprzyja umysłom przygotowanym”. Gdyby należała do kobiet lubiących krzyżykami wyszywać złote myśli, te słowa Louisa Pasteura wisiałyby nad kominkiem w jej salonie.

Lekarze przestępowali z nogi na nogę, uprzejmie podziwiając szwy na szyi taty, jego genialnie zrobioną i utrzymywaną w idealnym stanie stomię, wspólne dzieło doktora Davisa i mamy. Umysł miałam jak czysta kartka, pozwalałam, aby padały nań wyrażenia: „na tym etapie nie mamy możliwości”, „podejrzane plamy na płucach”, „starania o twoją wygodę”, „opieka paliatywna”, „skala bólu”, „hospicjum”. Lekarze nigdy nie mówią wprost, że czas uporządkować swoje sprawy, ale taki był sens tej rozmowy.

Tata słuchał spokojnie, oczy za grubymi okularami miał szeroko otwarte.

Doktor wyjaśnił, że wraz z rozrostem guza będzie mu coraz trudniej korzystać z Buzza Astrala i przełykać. Lekarz rodzinny zainstaluje w jego żołądku PGE, przezskórną gastrostomię endoskopową (to prosty zabieg stosowany także u pacjentów pozostających w domu), dzięki czemu tata będzie się mógł odżywiać przez rurkę, później my go w tym zastąpimy. Będzie wymagał specjalnej diety dla diabetyków oraz specjalnej pompy do usuwania śluzu i żółci ze stomii, kiedy jego system immunologiczny wejdzie na najwyższe obroty.

Konkluzja brzmiała:

– Oczywiście to potrwa. Przedstawiam wam odległą przeszłość.

Mama odłożyła smukły długopis.

– Nie wydaje się bardzo odległa.

– Co się nie wydaje?

– Przyszłość. O jakim okresie mówimy, doktorze?

Moje oczy powędrowały do sufitu. Jedna, dwie, trzy, cztery świetlówki. Przypominały mi naszą rodzinę zgromadzoną wokół kwadratowego stołu w kuchni rodziców. Ed, Joan, Will, Alice.

– Nie da się ująć tego w liczby, Joan. To znaczy popatrz na niego. – Doktor Davis chwycił ojca za stopę i łagodnie nią zakołysał. – Eda Pearse’a nie można nie doceniać. – Byłam wdzięczna, że nie użył wyrażenia „walka z rakiem”, bo wywołuje ono obraz, do którego czuję wstręt. – On mnie zadziwia. Zawsze mnie zadziwiał.

Wyobraziłam sobie tatę w letnim garniturze wchodzącego na nasze zbocze, wysokiego, uśmiechniętego, z ironicznym irlandzkim poczuciem humoru, sypiącego jak z rękawa opiniami i radami, łatwo dającego się namówić do nadłożenia drogi po lodowy rozek. W dzieciństwie myśliłyśmy, że kiedy dorośniemy i staniemy się równorzędnymi partnerami rodziców, będziemy mogli bez ograniczeń czerpać z głębokiej studni czasu, który spędzimy razem. Po narodzinach dzieci myślałam, że nadejdzie taki czas, kiedy one dorosną, a ja będę miała więcej swobody. Wyobrażałam sobie siebie jako pięćdziesięcioletnią kobietę, spacerującą wokół stawu z kaczkami z osiemdziesięcioletnim tatą. Może nawet będę go trzymała pod rękę.

Teraz wiedziałam, że tak się nigdy nie stanie.

Oliver: Do naszej szkoły przyszedł naukowiec opowiedzieć o swojej pracy.

Ja: Naprawdę? I co on robi?

Oliver: Ona.

Ja: Co?

Oliver: To była pani.

Ja: Aha. Więc czym się zajmuje?

Oliver: Nie wiem.

Ja: Chyba mówiłaś, że opowiadała wam o swojej pracy.

Oliver: Opowiadała. Hoduje pleśń na szkiełkach. Tylko tyle zapamiętałem.

Ja: Interesujące. Myślisz, że kiedyś będziesz chciał zostać naukowcem?

Oliver: Nie. Będę za bardzo zajęty w NBA.

Podciągnął skarpety Nike do kolan. Łydki mu się wydłużyły i wyszczuplały od ostatniego czasu, kiedy zwróciłam na nie uwagę. Mój najpulchniejszy, najgadatliwszy kilkulatek był teraz oszczędny w słowach kościstym chłopcem, którego stopy czułam z drugiego końca pokoju.

Jessie uwielbiała bardzo ostre chili Nicholasa, jego danie popisowe, więc pewnego wieczoru, kiedy mieliśmy je w planach, zaprosiłam ją na kolację. Sam szef kuchni był na późnym spotkaniu z jednym klientem, a po nim na drinku z drugim. Dom, którego spotkaliśmy na kolacji Prawników na rzecz Sprawiedliwości, okazał się kontaktem w takim sensie, w jakim to słowo rozumiane jest w New Jersey: był macherem w świecie lacrosse'a w Filament i rozpuścił wici pośród swoich dawnych kolegów z licealnej drużyny, że powinni się zwracać do Nicholasa w przypadku bankructwa, podpisywania umów o zakup nieruchomości, testamentów i spornych kwestii w kontraktach. Nagle Nicholas stał się zajęty.

Jessie kiwnęła wesoło do Margot, która wyjęła z ust swoją nową błyszczącą kłamrę na zęby i położyła na serwetce, żebyśmy w trakcie jedzenia mogli ją podziwiać.

– Powiedziałaś mamie o wycieczce?

– Mamo, idziemy na wycieczkę. – Margot apatycznie wlała śmietany do swojego chili, byle jak trzymając łyżkę, czym obwieszczała wyraźnie swoją dezaprobatę dla całego posiłku.

Próbowałam utrzymać lekki ton; obie z Jessie wywróciłyśmy oczami.

– Tak, tyle rozumiałam. A możesz mi powiedzieć, dokąd idziecie na tę wycieczkę?

– Do Muzeum Edisona.

– Super. Kiedy?

– Nie wiem. Chyba w przyszłym tygodniu. – Margot wyglądała na udręczoną. Czyżby chili było aż tak pikantne?

– Będziesz musiała zapytać babci, w które dni przychodzi do muzeum, bo może was oprowadzi! – Brzmiała jak wesolutka mama z reklamy masła orzechowego, chociaż moje naburmuszone dzieci nie nadawały się do roli zajądających się tym przysmakami. Garbiły się przy stole, wyczerpane, wymięte. Czułam się dokładnie tak samo.

Margot upiła długi łyk wody i jej niebieskie oczy spojrzały w moje ponad brzegiem szklanki.

– Mamo, jestem prawie pewna, że terminy się nie zbiegną.

Dałam spokój. Mama i tak ma ręce pełne roboty, opiekując się ojcem. Czy w ogóle oprowadza jeszcze wycieczki? Uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, i poczułam się z tego powodu okropnie. Jaką jestem córką? I matką, skoro o tym mowa? Oto siedzę z ludźmi, za którymi przez cały dzień tęskniłam, i nie mogę się doczekać, kiedy pójdą do łóżka. Zanotowałam w myślach, żeby zadzwonić do mamy, jak w domu zapanuje spokój. Jakby kiedykolwiek panował.

– I co jeszcze, kochani? Jak było w szkole?

– Dobrze.

– Dobrze.

– Dobrze.

Spróbowałam ponownie, korzystając z rad, które jak się spodziewałam, mogłabym znaleźć na stronach internetowych dla rodziców, gdybym miała czas je czytać. Zadaj pytanie otwarte!

– Co ciekawego się wydarzyło?

– Dostałam zdrapkę zapachową za zadanie z matematyki.

– Sznurowadło mi pękło, więc musiałem pożyczyć buty na WF.

– Uczyliśmy się o artyście, który obciął sobie ucho. Czy teraz mogę odejść?

Jedno po drugim zanieśli naczynia do zlewu, po czym puścili kuchnię i poszli na podwórze, do pokoju dziecięcego, do wanny. Jessie i ja wrzuciłyśmy zatłuszczone serwetki do śmieci i załadowałyśmy sztućce i naczynia do zmywarki. Jessie położyła mi dłoń na ramieniu.

– Alice, wiesz, że oni po prostu są zmęczeni?

Pokręciłam głową i westchnęłam, obserwując wir fasolek i kawałków papryki znikających w czarnej dziurze młynka do odpadków.

– Wydają się tacy... zblazowani. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Rozumiem. Ale daję słowo, po szkole są gadatliwi. A kiedy ty wracasz, są po pracach domowych, pracach plastycznych i zajęciach sportowych i zwykle nie mają już energii. – Jessie gestem wskazała za okno, gdzie Oliver biegał w kółko z kijem do lacrosse’a. Miała pierścionek na każdym palcu i paznokcie pomalowane fluorescencyjnym żółtym lakierem. Po raz drugi w tym tygodniu byłam w wełnianym czarnym golfie; trudno było oprzeć się lekkiej zazdrości o barwny styl Jessie.

– Wiem. Chyba brakuje mi tego, że wszystkiego nie słyszę.

– Ale wiesz o najważniejszych sprawach.

Tylko że chciałam wiedzieć więcej, także o drobiazgach. I chciałam mieć pracę, w której dostawałam godziwą pensję, brałam aktywny udział w zebraniach i od czasu do czasu mogłam w biurowej kuchni pogadać o Sharon Olds i Anne Sexton. Chciałam też spędzać z ojcem długie, niczym nieprzerywane godziny, grając w scrabble przy jadalnym stole bez wiszącej nade mną wizyty u ortodonta.

Zinternalizowałam przesłanie wszystkich spotkań przy lunchu i fasolowych kolacji, na które chodziłam do centrum kobiet w college’u: tak, naprawdę można zrobić wszystko, być wszystkim. Może gdybym uważała na fizyce, zamiast rozmyślać o poetach, byłabym lepiej poinformowana o ograniczeniach czasowych. Nie można stworzyć więcej czasu. Można spać mniej, więcej planować, dokonywać podwójnych rezerwacji, nastawiać budzik na wpół do szóstej, żeby iść na siłownię, zamawiać zimowe kurtki dla dzieci w trakcie konferencji telefonicznej, sprawdzać służbową pocztę, kiedy rodzina je śniadanie – ale w ostatecznym rozrachunku doba ma tyle godzin, ile ma, i część trzeba spędzić w łóżku. W idealnym świecie dzieli się to łóżko z kimś, kto jest trzeźwy, ale nie zawsze tak się dzieje.

– Hej, Alice, Nicky ci powiedział, jak było kilka dni temu?

Minęła minuta, zanim się zorientowałam, o kim mówi Jim: miał na myśli mojego męża Nicholasa. Którego nikt nie nazywa Nickym.

– Hm, nie, a co?

– Po koszykówce, kiedy chłopcy pili w Shannon Rose? Zapytaj go. Dał czadu. Powiem ci tyle, twój mąż był w niesamowitej formie. Nie miałem pojęcia, że zna takie figury breakdance’a.

Jim nadal wkładał sześcioopak red stripe’a do lodówki w sklepie monopolowym. Nadłożyłam drogi, idąc ze stacji do domu, to był jeden z tych dni, którego zakończenia nie potrafiłam sobie wyobrazić bez solidnej porcji merlota. Prawdę mówiąc, wiele dni pasowało do tego opisu – oto karmiczna sprawiedliwość za wszystkie te razy, kiedy tata z pociągu szedł prosto do sklepu po flaszkę, a ja przewracałam oczami.

Teraz rozumiałam.

Ale o czym Jim mówi?

Każdej jesieni Nicholas gra w koszykówkę w niedzielnej lidze dorosłych w katolickiej szkole dla chłopców w West Orange. Raz czy dwa na sezon zabieram dzieci, żeby zobaczyły go na boisku. Ja jestem nieodmiennie oszołomiona jego gracją, Oliver nieodmiennie się dziwi, dlaczego mecz jest o tyle wolniejszy od tych, które ogląda w telewizji. Drużyna Nicholasa to barwny tłumek, faceci tuż przed trzydziestką i po trzydziestce trzymający się kurczowo swoich złotych licealnych lat. Po meczach idą do baru, zwykle takiego, do którego nigdy nie poszlibyśmy we dwoje. Wiem, że koszykarze ostro piją i czasami bywają niewierni wobec swoich słodkich, długowłosych dziewczyn, które obowiązkowo pojawiają się na meczach.

Jeśli Nicholas upił się na tyle, żeby tańczyć breakdance'a, to co jeszcze mógł zrobić? I jak się dostał do domu?

Złapałam butelkę za szyjkę i ruszyłam do domu. Zajęło mi to kilka minut, ponieważ na każdym rogu przystawałam i sprawdzałam pocztę, kontrolując przyływ wiadomości od Genevieve. Domagała się planu spotkania, na które się umówiłam, i krótkiej relacji z tego, które miałam przed dwoma godzinami. Will przysłał mi dwa esemesy o zielarzu z Chinatown, odnoszącym niejakie sukcesy w leczeniu chorych na raka – czy moim zdaniem powinniśmy próbować przekonać tatę, żeby go odwiedził?

Zanim otworzyłam siatkowe drzwi i zawołałam „cześć” do dzieci, przykucnęłam na ganku, żeby w miarę możliwości odpowiedzieć na jak najwięcej wiadomości. Kiedy weszłam na piętro i znalazłam Nicholasa czytającego *Georgie – Bedtime for Frances*, jej ulubioną i nieco wybijającą ze snu lekturę na koniec długiego dnia – zapomniałam zapytać, o czym opowiadał Jim.

Zamiast tego uświadomiłam sobie, że trzeci dzień z rzędu widzę Georgie tylko w nocnej koszuli. Rano miała na sobie inną, z tego, co się orientowałam, mogła pójść w niej do przedszkola.

Tata: Dobry dzień. PGE bezpiecznie zainstalowana. Teraz mogę wlewać jedzenie prosto do żołądka. Dzieci osłupieją.

Ja: Ja też. Dzięki, że mi dałeś znać.

Tata: Mam nadzieję, że wszystko dobrze. LOL.

Codziennie rano w pociągu do miasta po prawej stronie w notatniku sporządzałam listę zadań do wykonania: zebrania i spotkania zaplanowane na ten dzień. W poniedziałki, kiedy regularnie o wpół do dziesiątej spotykałam się

w cztery oczy z Genevieve, notowałam także tematy, które zamierzałam z nią omówić. Lubiła słuchać, co czytam, i chciała wiedzieć, jak ludzie z branży reagują na moje opisy tego, co Scroll przygotowuje dla kupujących książki. Ekscytacja była zaraźliwa, zwłaszcza odkąd ukradkiem zrobiłam kilka fotek salonu Pro iPhone'em i pokazałam najbardziej zaufanym wydawcom. Jedna osoba po lunchu przysłała mejla od całej redakcji: „KIEDY MOŻEMY PRZYJŚĆ?!?!?!?!?”.

Pewnego deszczowego dnia, zanim zdążyłam zerknąć na listę, Genevieve powiedziała:

– W weekend poszliśmy z Lance'em do absolutnie najlepszej etiopskiej restauracji. Bunna. W Buschwicku, słyszałaś o niej? Musisz ją wypróbować.

– Dobrze wiedzieć, uwielbiam etiopską kuchnię!

– Właściwie moglibyśmy się tam kiedyś wybrać razem. Miałabyś ochotę?

– Mówisz o zespole...? – Zatoczyłam ręką krąg, wskazując Keitha, Marianę i Matthew.

– Nie, o mnie i Lansie, tobie i Anthonyem.

– Masz na myśli Nicholasa?

– Nicholasa, przepraszam. Moglibyście zabrać dzieci! Podają tam niesamowite późne śniadanie. – Spoglądała czujnie, jakby nigdy wcześniej nie umawiała się z osobami mającymi dzieci i nie znała etykiety.

Uśmiechnęłam się uprzejmie, usiłując sobie wyobrazić Georgie z buzią pełną indżery, dość mieliśmy problemów, żeby ją przekonać do jedzenia pełnoziarnistych wafli pszennych.

– Oczywiście. Może... po świętach?

– Super. Wtedy do tego wrócimy. – Genevieve usiadła prosto i poprawiła broszkę w klapie. Była w kształcie kowbojskiego buta z małą gwiazdą na nosku. – Więc tak. Joystick – powiedziała sucho. – Słyszałaś o zakupie?

Kiwnęłam głową, stawiając wykrzykniki koło nazwiska agenta znanego z wybuchowego temperamentu, który zgłosił krótką powieść swojego najlepszego autora do Scroll Originals.

– Gry komputerowe? Oczywiście.

– No i?

– I co?

– Co o tym myślisz?

– Szczerze? Mniej nie mogłoby to mnie obchodzić. Jak mówiłam Gregowi, nie jestem wielbicielek takich gier. Dlaczego?

Genevieve podniosła zaskakująco drobną dłoń.

– Moment. Powiedziałaś tak?

– Że nie jestem wielbicielek gier? Owszem.

– Gregowi prosto w oczy?

– Tak. Czy to jakiś problem? – Uniosłam rękę do kolczyka, zastanawiając się z roztargnieniem, czy po dziesięciu latach nieużywania drugie przekłucie nadal było drożne.

Genevieve położyła dłoń na czole i zamknęła oczy.

– Och, Alice. Opowiedz mi dokładnie, jak przebiegała ta rozmowa.

Zamknęłam notatnik; wyglądało na to, że w najbliższym czasie nie zajmiemy się moją listą.

– Powiedziałam tylko, że nie pozwalałam na gry komputerowe w moim domu. Może dodałam, że dla dzieci są jak narkotyki... – Urwałam.

– Wystarczy. – Genevieve przemówiła tonem, którego używam, kiedy Margot pyta, czy może spać u Audrey, chociaż odmówiłam jej już dwanaście razy. Szybko pokręciła głową i spojrzała na mnie z cieniem współczującego uśmiechu na twarzy.

– Alice, mogę ci zadać pytanie? Czy przez swoją szczerość wpadłaś kiedyś w kłopoty?

Pytanie sprawiało wrażenie retorycznego, pozostawiłam je więc bez odpowiedzi.

– Genevieve, Greg zapytał mnie o gry przed kupnem Joysticka. Myślałam, że to luźna rozmowa. Nie miałam pojęcia...

– Widzisz, to był twój błąd. W tej firmie nie ma luźnych rozmów. Jeszcze się tego nie nauczyłaś? – Napiła się herbaty, mierząc mnie wzrokiem znad swojego scrollowego kubka. („Rozwiń skrzydła”). – No dobra, w porządku. Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Greg wspomniał o zwrocie?

– Tak. Nie wiedziałam, o czym mówi.

– Oto zwrot: wprowadzamy gry do naszych salonów. Całkowicie wycofujemy się z książek opartych na węglu i zamieniamy pierwsze wydania na gry komputerowe. Badania rynkowe pokazują, że nasz klient chce czegoś dla dzieci, gdy sam robi zakupy.

Pomyślałam o najbardziej popularnym salonie kosmetycznym w Battery Park City, tym, gdzie Margot oglądała *SpongeBoba*, kiedy robiono mi pedikur. Klientkami były tam wyłącznie mamy; nosiłam zatyczki do uszu, żeby nie słyszeć hałaśliwej ścieżki dźwiękowej z telewizora ustawionego w głębi. To wcale nie przypominało relaksującego pobytu w spa.

Zaschło mi w gardle.

– Nadal będziemy mieć DSL dla najlepszych klientów?

– To kwestia DD, ale przypuszczalnie nie. Będziemy potrzebowali miejsca dla maluchów. Niektóre z gier mają komponenty interaktywne, więc musimy mieć przestrzeń na ruch. A jak tak o tym myślę, to może być dobra nazwa dla części dla dzieci. Strefa ruchu. – Genevieve utworzyła przypomnienie na ekranie laptopa i wystukała dwa słowa. Odwróciła się do mnie ze współczującą miną. – Alice,

zdaję sobie sprawę, że to nie jest ideał. Nie na to się pisałam i jestem przekonana, że ty czujesz to samo.

Byłam zbyt zajęta sprawami logistycznymi, żeby żałować razem z Genevieve.

– Zaraz, a co z Marianą?

– A co?

– Co będzie robiła, jeśli nie musi szukać pierwszych wydań?

– W świetle rezygnacji z programu Scroll First Mariana zostanie przeniesiona do działu środowiskowego. Będzie podlegała bezpośrednio Rashidzie i odpowiadała za stworzenie menu bez orzechów i jajek dla naszych najmłodszych klientów. – Genevieve mówiła tonem, jakby czytała ze scenariusza.

– I jaki ma do tego stosunek?

– Mariana jest graczem zespołowym. Chętnie się przestawi, tak samo zresztą zrobiła Rashida, kiedy przeniesiono ją z analizy.

Kiwnęłam głową, dostrzegając, że wskazówki ogromnego zegara na iglicy za oknem gabinetu Genevieve zbliżają się do dziesiątej. Przekroczyliśmy wyznaczony czas. W Scrollu osoba umawiająca się na spotkanie odpowiadała za to, żeby skończyło się ono o czasie; w tym przypadku to byłam ja.

– Alice – ciągnęła Genevieve, biorąc głęboki wdech – muszę ci powiedzieć, że z uwagi na twoje doświadczenie z tą grupą wiekową Greg wyznaczył ci rolę rozgrywającej w projekcie gier wideo.

– Co to znaczy: moje doświadczenie z tą grupą wiekową? – Musiałam usłyszeć, jak to mówi.

– To znaczy, że jesteś mamą. – Zapadło milczenie. – Zamierzamy wykorzystać twoje doświadczenie dotyczące zachowania dzieci wobec ekranu: co chcą oglądać, czy wolą grać w pojedynkę, czy z partnerem, jakie oświetlenie jest optymalne, czy dzieci grają na siedząco, czy na stojąco, na jakich grach im zależy i tak dalej. Dział marketingu MainStreet już zaczął gromadzić te dane i tworzyć arkusz; powinnaś się z nim zapoznać. Nosi nazwę WPM. Znajdziesz informacje na SharePoincie.

– WPM? – Nauczyłam się, żeby nie oszukiwać, jeśli chodzi o skróty, zwykle pojawiają się stadami.

– Oznacza „wolne przedpołudnie mamy”. To chcemy zaoferować naszym klientkom.

– Ale, Genevieve... – Przerwałam, by z trudem przełknąć ślinę. Pomyślałam o zafoliowanej Virginii Woolf w pojemniku nad głową. – Ja nawet nie lubię gier komputerowych.

– Tak, Alice, to już ustaliłyśmy. Polecenie pochodzi bezpośrednio od Grega, który najwyraźniej zna twoje nastawienie.

Odchyliłam się na sztywnej białej sofie, zupełnie niepodobnej do miękkich

foteli w holu.

– Ojej. To wielka zmiana. Nie tak wygląda Scroll, który przedstawiam środowisku wydawców. Ludzie są naprawdę zainteresowani...

– Będziesz musiała przekazać swoim kontaktom inne informacje. Na razie jednak zwrot jest sprawą poufną i prosiłabym, żebyś tak go traktowała. – Genevieve konspiracyjnie pochyliła się do przodu; przez sekundę myślałam, że zamierza opowiedzieć mi dowcip. – Posłuchaj, Alice, wiem, że przetrwanie tego zajmie ci trochę czasu, ale w Scrollu oczekuje się od nas, że będziemy myśleć jak ludzie z dyplomem MBA. Oceniamy, dokąd nasza firma zmierza i czego chcą klienci, zamiast narzucać im, czego mają chcieć, i wszyscy pracujemy, żeby to zrealizować.

Znowu otworzyłam notatnik, odsunęłam na bok zakładkę i na pustej stronie napisałam „WPM”, po czym dwukrotnie podkreśliłam. Pomyślałam o Nicholasie wyciągniętym na sofie w naszym salonie przy stoliku pełnym pustych butelek po piwie. Nieważne, w którym miejscu w domu byłam, zawsze słyszałam szcęk kapsla lądującego na blacie.

– Oczywiście, Genevieve. Ja też jestem graczem zespołowym.

– Alice, mogę udzielić ci rady?

– Jasne.

– Postaraj się nie przywiązywać do pierwotnej koncepcji Scrolla. Tkwienie w swoich przyzwyczajeniach jest pierwszym krokiem do przeciętności. Musisz być elastyczna.

Och, upokarzające jest wysłuchiwanie takich pouczeń od kogoś siedem lat młodszego.

Genevieve posłała mi ten swój ni to uśmiech, ni to grymas i strzepnęła niewidzialny pyłek z marynarki. Nagle sprawiała wrażenie prawdziwej korporacyjnej wyznawczyni, kobiety oddanej firmie – a przynajmniej osoby, która będzie odgrywała tę rolę według zaleceń szkoły Stanisławskiego, aż opanuje ją w stopniu mistrzowskim.

Marchewka i kij.

Oczami wyobraźni zobaczyłam moje dzieci w oknie, ich buzie rozjaśnione dumą, kiedy szłam na pociąg.

Dzwony w wieży zaczęły dzwonić i Genevieve umilkła. W trakcie tych dziesięciu uderzeń twarz jej się wydłużyła. Spojrzałam na fotografię na jej tablicy – Genevieve, Lance i dwa ich psy, Jane i Austen, wszyscy czworo w koszulkach z napisem „Kto uratował kogo?” – i nagle sobie uświadomiłam, że teraz wygląda o wiele starzej.

– Zrozumiałam. Zajmę się WPM-em, kiedy tylko uda mi się zakończyć kompletowanie literatury, czy tak będzie w porządku?

– Dobrze, ale proszę, miej na uwadze, że musimy pokazać Clevelandowi, że

wszyscy gramy do jednej bramki.

– Och, oczywiście. Gram z wami.

– Dobrze wiedzieć. Alice, wiesz co? Wykonujesz świetną robotę.

To była taka nieoczekiwana rewelacja, że nawet do głowy mi nie wpadło, żeby zapytać, czy tą bramką nie jest przypadkiem salon gier komputerowych.

W pociągu do domu moja komórka zaczęła wibrować. Wyjęłam rękę z tłustej torby popcornu i oblizałam sól z palców, podczas gdy drugą przeskakiwałam od mejli do esemesów. Teraz doskonale sobie radziłam z obsługą telefonu położonego na udzie – było to wieloczynnościowe zadanie, o którym myślałam jako o niemal nieangażującym rąk.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

Reasumując nasze spotkanie, które zaczęło się o 9.30 i zakończyło o 10.42: będziesz odpowiedzialna za realizację WPM w oddziale nowojorskim. Od teraz połowę czasu poświęcisz przekształceniu wizerunku Scrolla przez włączenie do niego gier komputerowych, solidnych mebli i przyjaznych dzieciom produktów żywnościowych. [UWAGA: Pakowane przekąski powinny być wyłącznie w opakowaniach biodegradowalnych. Żadnych lizaków z uwagi na groźbę zadławienia]. Proszę, popraw swoje cele na GatheringPlace, aby odzwierciedlały tę zmianę. Dziękuję.

Do: alicepearse@scroll.com + 11 innych

Od: quinlanfamily@yahoo.com

NIE ZAPOMNIJCIE O PODRZUCENIU CZEKÓW DLA SKAUTEK! ZAPLANOWALIŚMY DLA NASZYCH DZIEWCZYNEK MNÓSTWO ŚWIETNYCH WYCIECZEK, W TYM DWUDNIOWY BIWAK, SPŁYW TRATWAMI PO RZECE, WOLONTARIAT W CHARYTATYWNEJ JADŁODAJNI, PISANIE LISTÓW DO NASZYCH ŻOŁNIERZY, SPRZĄTANIE PARKU, UPIĘKSZENIE SZKOLNEGO OGRODU, POMOC PRZY OLIMPIADZIE SPECJALNEJ I ROBIENIE NA DRUTACH KOCÓW DLA DZIECI POSZKODOWANYCH PRZEZ LAWINY BŁOTNE W CHINACH. PROSZĘ, DOSTARCZCIE CZEKI DO MOJEJ SKRZYNKI POCZTOWEJ DO 9 RANO W PIĄTEK – TERMIN OSTATECZNY! CAŁUSKI!

KARA

Perspektywa wypisania czeku na siedemdziesiąt pięć dolarów, jazdy na drugi koniec miasta i wrzucenia go do skrzynki pocztowej Kary nappełniła mnie niechęcią. Miałam milion wymówek: zabrakło nam czeków. Nie mogłam znaleźć kluczyków. Na jaką to było sumę? Usunęłam wiadomość i wyrzuciłam z głowy wspomnienie Margot radośnie układającej pudełka samoa, thin mints i trefoil w naszym salonie. A zresztą, czy ona nie jest już za duża na skautkę?

Jessie: Przypomnienie: Margot potrzebuje lunchu na jutrzejszą wycieczkę do Muzeum Edisona. Żadnych sztuczków ani pojemników – wszystko jednorazowe. Pudełka na lunch zakazane.

Ja: Jesteś darem z nieba! Dzięki za przypomnienie!

Czy to nie dziwne, że Jessie o tym wie, a ja nie? Albo że się orientuje, gdzie znaleźć ochraniacze na łydki Olivera, a ja nie?

– Tatusiu, wiesz, jaki mały jest motyl? – szepnęła Georgie Nicholasowi do ucha w środku nocy. Ponieważ i tak nie spałam, wzięłam ją za ciepłą rączkę i odprowadziłam do jej pokoju.

Potem szturchnęłam Nicholasa.

– Nie śpisz?

– Teraz już nie.

– Co się stało w Shannon Rose?

– Ty naprawdę budzisz mnie w środku nocy, żeby o coś takiego zapytać?

– Przepraszam, ale wpadłam na Jima w sklepie monopolowym i powiedział, żebym cię zapytała...

– Alice, o co ci chodzi? Ja śpię. Jutro mam spotkanie w Princeton i muszę być przytomny. Czy to nie może poczekać?

To była celna uwaga.

Poczekalam, aż znowu zacznie cicho pochrapywać, potem zeszałam na dół i zalogowałam się do Facebooka na moim laptopie. Przejrzałam zdjęcie zamieszczone przez dziewczynę, z którą się wychowałam, ale której w prawdziwym życiu nie widziałam od piątej klasy. Jej rodzina była na targach stanowych w Tennessee. Czwooro dzieci z perkatymi nosami, w takim samym wieku, w jakim była ich mama, kiedy obie kolekcjonowałyśmy laleczki-trolle, pozowało, stojąc w beczce wody koło pastwiska dla krów, malując ozdobne dynie i sypiąc warstwy kolorowego piasku do słoików.

Dwadzieścia sześć fotografii później moją uwagę zwróciło migotanie po lewej stronie ekranu. Kto jeszcze mógłby przyłączyć się do imprezy poza przyjacielem przebywającym na drugim końcu świata?

Tata, a któż by. Na ekranie wyskoczył dymek.

– Nie możesz spać?

– Nie – odpisałam.

– Dlaczego?

– Och, to, co zwykle. Praca, pieniądze, dzieci. Ty.

– Znasz mnie, ja nigdy nie śpię.

– Chodziło mi o to, że nie śpię, bo się o ciebie martwię.

Brak odpowiedzi.

– Tato, jesteś tam?... Halo?

Nie musiałam patrzeć na lewą stronę ekranu, żeby się upewnić, że się wyłączył. Ulżyło mi, ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało, było prowadzenie łzawej rozmowy od serca, zwłaszcza na Facebooku. Bo co właściwie można by powiedzieć? Zastanawiałam się, czy jest przerażony, choć w gruncie rzeczy wcale nie chciałam tego wiedzieć i zdawałam sobie sprawę, że on nie chce, żeby go o to pytać. Od dnia pierwszej diagnozy tata upierał się, żeby przeć do przodu, prowadzić swoje życie: zamawiał kryminały z Klubu Książki Miesiąca, projektował na papierze milimetrym sadzenie roślin wieloletnich, zbierał drobne monety do puszek po kawie Maxwell House, aż będzie ich tyle, żeby zadziwić wnuczeta przy bankowym automacie do wymiany bilonu. Jak to jest, kiedy już nie ma dokąd dążyć? Miałam wrażenie, że moje plecy przyciskają się do ceglanego muru, nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak bardzo zapędzony w kąt czuje się tata.

Po powrocie do łóżka słyszałam, jak na szkolne podwórko wjeżdża ciężarówka z firmy Chartwells z ładunkiem mleka w kartonie i kwadratowych kawałków pizzy. Słyszałam pierwszy ranny pociąg wtaczający się na stację z wyłączoną przenikliwą syreną, a to dzięki petycji przygotowanej przez sąsiadkę, która nazywała siebie aktywistką pokojową.

Zasnęłam, kiedy wzeszło słońce.

Alice, to jest hasło do załadowania gier Joysticka na Twojego laptopa: SimPlayParabola. Dzięki, laska!

Pewnego dnia rano znalazłam to na niepodpisanej karteczce samoprzylepnej na środku swojego monitora. Nigdy wcześniej nie widziałam pisma Genevieve.

A innego dnia późnym popołudniem David wszedł do mojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Usiadł na krześle za moimi plecami i uniósł dłoń

w uniwersalnym geście „daj spokój”, kiedy się okręciłam, żeby zapytać o powód jego wizyty.

– Nic się nie stało. Potrzebuję chwili spokoju.

– Co się stało?

– Miałem spotkanie w cztery oczy z Genevieve i...

Zamknął oczy i wziął głęboki wdech. Spojrzałam na zegar na komputerze i podjęłam decyzję, że przepuszczę pociąg o osiemnastej dziewięć; jeśli złapię ten o osiemnastej czterdzieści dwie, nadal będę w domu w porze kąpieli.

– I co się stało? – powtórzyłam.

– Powiedziała, że bawię się okularami na zebraniach. Kazała mi przestać.

Stłumiłam śmiech. I to ma być ta pożyteczna wymiana doświadczeń? Pomyślałam o redaktorze wykonawczej w „You”, która nauczyła mnie redagowania tekstów, kiedy byłam mniej więcej w wieku Davida. Wezwała mnie do swojego gabinetu, kazała usiąść i przepracowała cały artykuł, stawiając znaki ołówkiem mechanicznym. Wtedy ten proces wydał mi się strasznie żmudny, ale teraz byłam wdzięczna, że miałam taką rewelacyjną mentorkę.

– Davidzie, musisz o tej radzie zapomnieć. Jest ważna tylko w takim stopniu, w jakim sam na to pozwolisz. Więc dobra, czasem bawisz się okularami. Czy to przekreśla twoje świetne dokonania w pracy? Przez połowę czasu muszę sobie przypominać, że jesteś w tej branży o wiele krócej niż ja.

David oczy miał zamknięte. Wyobraziłam sobie Olivera za piętnaście lat, jak siedzi na tym krześle przed powrotem do domu w dzielnicy Bedford-Stuyvesant, gdzie będzie jadł tajskie dania na wynos z trzema współlokatorami. Tak, mnie protekcyjne traktowanie przez smarkulę w rodzaju Genevieve po prostu irytowało, ale na kimś na etapie Davida zbyttna kontrola i krytycyzm mogły wyrzucić negatywny skutek.

– A w dodatku nikt z nas tak naprawdę nie wie, co tu robimy, musisz ciągle o tym pamiętać. Improvizujemy. Nie ma na świecie nikogo, kto miałby większe doświadczenie w zakładaniu salonów z książkami i grammi komputerowymi niż my.

David niechętnie się roześmiał.

– Wiem. Tylko ja tak bardzo się staram, a ona zawsze wytyka mi wyłącznie... złe rzeczy.

– Złe rzeczy? Jeśli najgorszą rzeczą, jaka przychodzi jej na myśl, są te brednie o okularach, to według mnie nie musisz się o siebie martwić.

– Chyba masz rację.

– Genevieve jest jak cień za zasłoną. Nie pozwól, żeby cię przerażała.

Po wyjściu Davida popatrzyłam na Matthew, który zdjął słuchawki tłumiące hałas. Już nie stał przy biurku, teraz miał wysokie krzesło.

– Słyszałeś coś?

– Wystarczająco.

Przewrócił oczami i udał, że strzela sobie w głowę.

Przy pierwszej operacji tata nie wiedział, że obudzi się bez głosu. Wiedział, że w gardle ma guz, i poszedł do szpitala, żeby go usunięto przed rozpoczęciem chemoterapii. Okazało się jednak, że guz jest o wiele większy, niż się spodziewano, i owinięty wokół krtani w taki sposób, że cały obszar trzeba było wyciąć. Natychmiast.

Doktor Davis ujął to tak: „Znaleźliśmy małą niespodziankę, więc musieliśmy postąpić odrobinę radykalniej, niż się spodziewaliśmy”.

To było niedopowiedzenie stulecia. Tata nigdy więcej nie będzie w stanie wydać z siebie głosu – nie będzie mówił, szeptał, mruczał, śpiewał ani gwizdał. Wprawdzie nie potrafił odśpiewać melodii bez fałszowania, ale zawsze świetnie gwizdał. W tym, co szpitalna pracownica socjalna inteligentnie nazywała „nową normalnością”, musiał także oddychać przez dziurę w szyi.

Nie pamiętam, kto przekazał mu tę wiadomość. Pamiętam natomiast lśniące żółte ściany w sali pooperacyjnej. Pamiętam aluminiowe krzesła z turkusowymi poduszkami i małe opakowania żytnich herbatników w plastikowym koszu na parapecie.

Kiedy waga nowiny dotarła do taty, rozgniewał się tak bardzo, że poczerwieniał na twarzy; byłoby to niemal komiczne, gdyby nie było tak przerażające i całkiem niezgodne z jego charakterem. Z dwojga naszych rodziców on był tym łagodnym, który nigdy nie podnosił głosu, kiedy go miał.

Po operacji tata rzucił tacą z posiłkiem składającym się z samych płynów i mały zamknięty pojemnik z galaretką z hukiem eksplodował w zderzeniu ze ścianą. Pokazał pielęgniarce środkowy palec, a kiedy przyszedł lekarz, nie otworzył oczu. Podaliśmy mu notatnik – bo oczywiście poszedł do szpitala przygotowany na to, że w trakcie rekonwalescencji będzie pracował – i napisał w nim jedno słowo, tak mocno przyciskając długopis, że zostały ślady aż do ostatniej strony: „WŚCIEKŁY”.

Uciekłam na parking, gdzie oparłam się o betonowy słupek i rozpłakałam tak bardzo, że myślałam, że już nie przestanę. Byłam w ciąży z Oliverem i wtedy po raz pierwszy poczułam, jak się porusza.

Pracownica socjalna powiedziała:

– Pani dzieci pomogą ojcu przez to przejść. Kiedy drzwi się zamykają, otwiera się okno.

Ja jednak wiedziałam lepiej. Tata chciał być słyszany. Był z natury mówcą, analitykiem, dyskutantem, równocześnie gromadzącym wiedzę i dzielącym się nią. Niemowlęta go nie interesowały. Jako jego córka stałam się dla niego ciekawsza,

kiedy trochę podrosłam i miałam więcej do powiedzenia. W tamtym momencie zamieniłabym ruchy własnego nienarodzonego dziecka na jedną więcej rozmowę z tatą.

Kilka dni po laryngektomii tata podał notatnik mamie. (Tablice suchościernalne były wynalazkiem relatywnie nowym i trudnym do obsługiwanym przez leworęcznego). Tym razem informacja brzmiała: „Potrzebuję pomocy i ty nie jesteś w stanie jej udzielić”. Mama zajrzała na żółte strony książki telefonicznej – zajmujące w jej systemie wartości równorzędne miejsce z Biblią – i znalazła Bezgłośnych. To była grupa wsparcia dla ludzi po operacji usunięcia krtani.

– Nazywają siebie gardłowcami – wyjaśniła po rozmowie z szefem grupy, Tonym Caposselą, rzeźnikiem mówiącym za pomocą krtani elektronicznej. Tata musi poczekać sześć tygodni, zanim sam będzie mógł z takiej korzystać. Wiedział, że wzięwszy pod uwagę zasięg jego guza, wykluczone jest mówienie przez przełyk, czyli produkowanie dźwięków przez wciąganie i wyrzucanie z siebie powietrza, niemal jak przy bekaniu.

Tydzień później Bezgłośni zaprosili nas na coroczną imprezę dożynkową w Mambo's Grille and Chill przy drodze 46. To nie był lokal, do jakiego rodzice normalnie by poszli, ale dzielnie pomaszerowali przez parking, oboje w kurtkach marki L.L. Bean, podczas gdy ja się męczyłam, wiążąc wielką kokardę na ciężowym płaszczu. Przy drzwiach powitał nas mężczyzna z dziobami po trądziku na całej twarzy i stomią z granatową szydełkowaną osłoną.

– Dzień dobry – zabuczał do mojego taty. – Przykro nam, że pan tu jest, ale strasznie nam miło pana poznać.

Odsunął krtan elektroniczną od szyi i trzymając ją jak mikrofon, nacisnął guzik. Rozległo się brzęczenie. Potem znowu przycisnął ją do szyi.

– To mój śmiech. Szybko pan to opanuje.

Wyobraźcie sobie udział w przyjęciu, gdzie ponad połowa obecnych nie może normalnie mówić. To był czysty surrealizm, mężczyźni i kobiety w każdym wieku bzyczeli albo wybekiwali słowa, przy barze sałatkowym nakładając na talerz grzanki i nadziewane papryczkami oliwki. Tata komunikował się za pomocą notatnika, tam też zapisywał rady gardłowców: jak stać pod prysznicem, żeby nie zalać wodą stomii, gdzie zamawiać zapasowe baterie do kratki elektronicznej i letnie osłony na stomię oraz to, że koniecznie trzeba się zarejestrować na posterunku policji, ponieważ gdyby musiał dzwonić pod numer alarmowy, osoba przy telefonie nie byłaby w stanie się z nim porozumieć.

Moi rodzice przyjmowali to z powagą. Ja nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać.

Co roku w październiku chodziliśmy na imprezę dożynkową. W tym roku Tony się wzdrygnął, kiedy zobaczył mojego tatę wolno człapiącego przez salę jadalną w Mambo.

– Ed, co jest, do cholery, kazała ci przejść na dietę? – Pocałował mamę w policzek i mocno ją uściskał.

Tata ściągnął usta i pokręcił głową. Nie było potrzeby zaprzętać sobie głowy Buzzem. Wszyscy obecni znali objawy nawrotu, a utrata wagi była jednym z najważniejszych. Poza tym tata miał świeże oparzenia na szyi po radioterapii i barwa jego skóry, czego mama od dawna się obawiała, z typowego dla niego ogorzałego różu zmieniała się w plamistą żółć. Poza tym wyglądał bez zarzutu: lśniące mokasyny, niebieski blezer, koszula w paski, ślady po grzebieniu we włosach.

– Chociaż wyglądsz jak strach na wróble, to się cieszymy, że tu jesteście. Nie zapomnijcie wpłacić pieniędzy na loterię. Mamy bilety na *Piękną i bestię*, nowe radio samochodowe podarowane przez Sally i sesję z Trish, trenereką osobistą. Będziecie chcieli wygrać.

Mama ujęła tatę za rękę i poprowadziła do stolika.

– Oczywiście. Dziękujemy, Tony.

Czułam się niezręcznie, jedząc przy nim, ale tata zrobił minę „to idiotyczne” i gestem kazał nam ustawić się w kolejce do bufetu. Kiedy skończyłyśmy, na moim talerzu leżały marynowane karczochy, mandarynki i kawałki sera – wszystkie dodatki, które wzbogacają sałatkę. Talerz mamy odzwierciedlał typową dla niej powściągliwość: zbrązowiała na krawędziach sałata lodowa polana maziowatym olejem balsamicznym i ugarniowana garścią marynowanych buraczków, które ktoś chyba potraktował dosyć brutalnie.

– Tato, możemy coś dla ciebie zamówić? No wiesz, w najgorszym razie gorący ręcznik?

Otworzył telefon i wystukał na ekranie: „Nie przejmuj się. Przyszedłem z pełnym żołądkiem ☺”.

– Kiedy się nauczyłeś używać emotikonów?

„Margot mnie nauczyła” – odpisał.

Przełączył się na aplikację notatnika, w której miał listę pytań: „Za kogo dzieci przebiorą się na Halloween?”, „Co szanowna pani księgarka teraz czyta?” i „Jak układa się Nicholasowi?”. Wskazał na ostatnie i czekał.

– Na razie dobrze. Pozyskał dobrych klientów. I ani przez minutę nie tęskni za Sutherland i Courtfield. – Mówiłam prawdę. Praca nie była taka bombowa jak w tamtej kancelarii i z całą pewnością nie wymagała organizowanych w ostatniej chwili wyjazdów do Luksemburga na absolutnie poufne spotkania. Ale nowi klienci płacili na czas i nagle nieznajomi klepali go po plecach, gdziekolwiek się

pojawił.

– To wspaniale, zasługuje na to. Kto chciałby wiecznie żyć pod taką presją? Wyglądał na szczęśliwego i zrelaksowanego, kiedy w zeszłym tygodniu przyszedł pomóc tacie z dokumentami. – Mama pochyliła się i wygładziła mu klapę, czym go zirytowała.

– Zaraz, z jakimi dokumentami?

– Och, to tylko...

Mama już chciała odpowiedzieć, ale tata zaczął stukać w telefon. Poczekaliśmy, aż pokaże nam ekran. „Sprawy związane z moim majątkiem. Potrzebowałem notariusza”.

– Masz na myśli testament?

Kiwnął głową, lekko się krzywiąc, i podniósł dłonie w geście mówiącym: „Co poradzisz?”.

Jak mogłam odpowiedzieć?

– Super, tato. Chyba trzeba było to zrobić. – Nie zaskoczyło mnie, że Nicholas mu pomógł, ale zadawałam sobie pytanie, dlaczego mi o tym nie powiedział.

Judy i Elliott przyjechali na Dzień Kolumba. Praca w Scrollu nie została przerwana na obchody odkrycia Nowego Świata, dlatego Nicholasowi przypadła w udziale rola organizatora rozrywek dla gości. Czułam niejaką ulgę, kiedy w poniedziałek wsiadałam do pociągu, biuro wydawało mi się spokojnym schronieniem. Zwykle uwielbiałam energię teściów, dzisiaj jednak była bolesnym przypomnieniem mojego znużenia.

Cała banda przyszła spotkać się ze mną na lunchu, który przebiegł w dość napiętej atmosferze, bo Nicholas zamówił dwie krwawe mary, a dzieci były grymaśne i opryskliwe; aż sypały iskrami, żądając tarty budyniowo-bananowej na deser, czemu z jakiegoś powodu Nicholas się sprzeciwiał.

Zaproponowałam, żebyśmy poszli do stoiska z kostiumami na Halloween przy Szóstej Alei. Margot ciągnęło do zdzirowatych strojów, a Oliver zakochał się w ponurym żniwiarzu z krwawą piłą łańcuchową, co kazało mi się zastanowić nad losem motyli i koszykarzy z przeszłości. Na szczęście Gerogie pozostała wierna szczeniaczkom i wiedźmom zielarkom.

W końcu zdecydowaliśmy się na skromne i odpowiednio dobrane kostiumy zebr dla dziewczynek i niebieski, zasłaniający twarz obcisły kombinezon dla Olivera. Kiedy płaciłam astronomiczną cenę za te zakupy, Margot zaczęła mnie namawiać na komplet krwawych paznokci wystawionych koło kasy.

– Wykluczone. Już wydałam mnóstwo pieniędzy na kostiumy. I nie są ci potrzebne.

– Proszę... Są takie straszne i fajne. Tylko jeden komplet.

– Powiedziałam: nie. Nie śpimy na pieniądzach.

– Jesteś okropnie wredna.

To była nowa reakcja na rzekome niesprawiedliwości.

– Nie będziesz w taki sposób ze mną rozmawiała – syknęłam ostro. – Przestań tak się zachowywać albo nie będziesz miała kostiumu na Halloween. Żadnego.

Z wulkaniczną siłą chwyciłam ją za przedramię, niemal wbijając się paznokciami w jej skórę.

Na oczach całej kolejki i moich teściów Margot spojrzała na mnie przez łzy.

– Przepraszam, mamusiu. Proszę, czy mogę dostać kostium?

– Dobrze, Margot. Ale mnie sprowokowałaś. I prowokujesz mnie od pewnego czasu. Wyobraź sobie, że jestem jak gumka, możesz mnie naciągnąć tylko do pewnego stopnia, potem strzelę. Jestem tylko człowiekiem.

– Alice, odpuść. Możesz po prostu podpisać rachunek?

Nicholas najwyraźniej był świadkiem tylko tej części, kiedy straciłam panowanie nad sobą, a nie tej, kiedy Margot marudziła, przewracała oczami i ogólnie zachowywała się jak nastolatka, jakiej – przysięgałam – nigdy nie wychowam. Można by pomyśleć, że już dostałam lekcję, bo wcześniej przyrzekałam sobie też, że nigdy nie będę matką kilkulatek, który rzuca kawałki kurczaka na podłogę restauracji.

– Dobrze – powiedziałam. – Na tym skończyliśmy. Zresztą i tak muszę wracać do pracy.

– Alice, doskonale to rozumiemy, wiemy, ile masz na głowie...

Gniewnie wyminęłam Judy z jej dobrymi intencjami, po czym wybiegłam z halloweenowego sklepu.

Kiedy wróciłam do swojego biura, przetrwałam cały incydent i zamieniłam go w zabawną anegdotę.

– Ciesz się, kiedy twoje dziecko radośnie chce być pandą, Matthew – powiedziałam. – Zanim się obejrzysz, będzie Freddym Kruegerem.

Tego wieczoru Oliver czekał na mnie na peronie w swoim niebieskim kostiumie. Przez siatkę okrywającą twarz oznajmił:

– Byłaś dzisiaj okropna.

Czułam się, jakby nagany udzielił mi Marsjanin.

– Przykro mi, że tak wyszło, ale musicie się nauczyć, że pieniądze nie rosną na drzewach.

– Okej, ale my tylko chcieliśmy krwawe paznokcie.

– Więc nie zawsze dostajecie to, czego chcecie. Takie jest życie.

– No tak. Ale i tak byłaś niemiła. Podoba ci się mój kostium?

Tło historyczne: kiedy Oliver nauczył się mówić, pewnego razu po kolacji zaproponowałam mu ciastko. Pokręcił głową.

– Dwa ciastka.

– Nie, możesz dostać tylko jedno.

– Dwa.

– Oliver, możesz mieć jedno ciastko albo wcale.

– Wcale.

Nadal nie wiem, dlaczego tak się upierałam w kwestii tego dodatkowego ciastka, ale do dzisiaj myślę, że tamta rozmowa to metafora Olivera. Jest uparty.

I z tego też powodu wracałam z dworca do domu, sprzecząc się z niebieskim człowiekiem o sztuczne zakrwawione paznokcie.

Już miałam zasnąć, kiedy ręka Nicholasa zsunęła mi się z ramienia i zaczęła

wędrować po moim ciele.

– Ty chyba żartujesz.

– Uch, nie...

– Poważnie, Nicholas, to nie jest pora ani miejsce.

– Naprawdę, Alice? To jest odpowiednie miejsce. Ale dlaczego nie dasz mi znać, kiedy pora jest odpowiednia? Zaczynam mieć dość tych swoich ciągłych pomyłek.

– Dobranoc.

Pierwszy ząb wypadł Georgie, kiedy Nicholas mył jej włosy w wannie. Zniknął w pianie jak kamyczek; wszyscy krzyknęliśmy i przybiegł Oliver.

– Georgie, dzisiaj w nocy przyjdzie zębowa wróżka!

Nie posiadał się z podniecenia, chociaż nasza zębowa wróżka jest okropnie leniwa, zapomniała się pojawić, kiedy ostatnim razem on stracił ząb. (Rano zszedł na dół, burcząc: „Zębowej wróżki nie było”).

Kiedy później zapaliłam lawendową świecę zapachową (pomaga cierpiącym na bezsenność, w każdym razie tak napisano na SleepBetter.com) i sadowiłam się z książką na sofie, usłyszałam aż nazbyt znajome odgłosy z kuchni: plask otwieranych drzwi lodówki, odhaczone. Szczęk szklanych butelek, odhaczone. Kapsel zdjęty otwieraczem, syk, odhaczone.

– Nicholas, pijesz następne piwo?

– Tak. To jakiś problem? – Nagle stanął przede mną, ujmując się pod boki. Wyglądał zawadiacko w białym podkoszulku. Wiedziałam dokładnie, jak by pachniał, gdybym przycisnęła nos do zagłębienia pomiędzy jego szyją a obojczykiem: płyn do prania Tide, szampon Head & Shoulders, krem do golenia. Mój najulubieńszy bukiet na świecie, teraz z nutą alkoholu niezależnie od pory dnia.

– Owszem, to jest problem. Nicholas, kiedy ostatnio przeżyłeś dzień, nic nie pijąc? Praktycznie rzecz biorąc, po kolacji padasz nieprzytomny...

– Padam nieprzytomny? Poważnie?

– Tak, poważnie. Wiem, ile skrzynek opróżniasz. Umiem liczyć.

– No, to pojechałaś, Alice. A przyszło ci kiedyś do głowy, że jestem wykończony? Ciebie ciągle nie ma, próbuję ze względu na dzieci wszystkim się zająć, pukam do każdych drzwi w mieście z nadzieją, że znajdę kogoś, kto ma zamiar ogłosić bankructwo – według ciebie, jak się mam czuć? Też byś wypila kilka piw.

– Och, czyżby? A pamiętasz, kiedy mieliśmy troje małych dzieci? I Cornelius był szczeniakiem? Czy ja wychylałam podwójne martini, kiedy ty na dwa tygodnie wyjechałeś do Genewy, a Georgie miała koklusz? Nie. Zająłam się wszystkim, Nicholasie. I ty też musisz to zrobić.

– Naprawdę, Alice? Przykro mi, że nie jestem takim wzorem siły jak ty.

Wypadłam z pokoju tak szybko, że świeca sama zgasła.

– Mam cię dość – syknęłam.

Z piętra dobiegł błagalny głos:

– Możecie przestać? Wystraszyście zębową wróżkę.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

Wczoraj w nocy śnił mi się tata i pomyślałam o Twojej rodzinie. Jak się trzymacie? Jak się czuje Twój tata? Z tego, co mówiłaś, wydaje się wspaniałym facetem, tak mi przykro, że musisz przez to przechodzić (i on też). To naprawdę do bani. W wolnej chwili daj znać, co nowego.

Jessie musiała wyjść na próbę przed targami weselnymi w centrum handlowym Paramus Park, na których wszystkie lokalne zespoły miały wykonać swoje najlepsze piosenki dla zaręczonych par. Wróciłam do domu wcześniej i odbyłyśmy krótką odprawę w holu, gdy szła do samochodu z gitarą w futerale i niebieskimi włosami postawionymi na żel.

– Corneliusowi dziwnie pachnie z ucha, boję się, że ma zapalenie. Margot kończy zadanie domowe z algebry, Olivera trzeba przepytac z ortografii, a Georgie jest u Violet. Mówiłam Susannie, że odbierzemy ją koło piątej. – Jessie powiedziała to wszystko na jednym oddechu, bez chwili wahania. Potem dodała: – Wiesz, dziękuję, że wróciłaś wcześniej. Mam nadzieję, że to nie był kłopot.

– Żaden. Połamania nóg dzisiaj wieczorem. Z własnego doświadczenia wiem, że przyniosłabyś szczęście każdej młodej parze.

Kiedy przyszłam do Susanny, siedziała na oszklonej werandzie koło salonu i gorączkowo obliczała coś na kalkulatorze z ogromnymi plastikowymi klawiszami we wszystkich kolorach tęczy. Miała za każdym uchem długopis, a w kok nad karkiem wetknęła ołówek. Podłoga była zavalona papierem z drukarki, papierem milimetrowym, segregatorami i spinaczami. Najwyraźniej Niebieska Sowa nie podzielała surowych zasad Scrolla dotyczących materiałów biurowych.

– Co ty tu robisz?

– Usiłuję uporządkować sprawy dotyczące sklepu. – Wyglądała, jakby miała się rozpłakać, a kiedy usiadłam obok niej i objęłam jej szczupłe ramiona, rzeczywiście się rozpłakała. – Och, Alice, naprawdę nie chcę z tobą o tym rozmawiać.

– Przestań, Susanno. Co się dzieje?

– Na razie nic strasznego, ale wiesz, że ledwo dajemy sobie radę. Nie jestem pewna, czy zarobię na czynsz, i Paul uważa, że powinnam po prostu zrezygnować. – Wytarła nos mankietem szarego swetra. Pomyślałam o niej, siedzącej na niskim zielonym stołeczku i czytającej *Fleje* Dahla urzeczonym dzieciom. „Jeśli ktoś ma ładne myśli, niczym promienie słoneczne będą one rozświetlały twarz, która zawsze będzie wyglądać przyjemnie”⁸. Pamiętałam małą pupę Georgie na swoich

kolanach, inne wyczerpane mamy opierały się o półki z książkami i z uśmiechem słuchały znajomych zdań. Wolne przedpołudnie mamy – moje wyglądało tak.

– Wszystko się ułoży, nie sądzisz? Nadchodzą święta i...

Susanna z wysiłkiem się podniosła, trzymając w ramionach naręczę papierów.

– Dziękuję. Doceniam twoje nastawienie, ale szczerze mówiąc, jesteś ostatnią osobą, która powinna mnie pocieszać. Czy chcesz to przyznać, czy nie, Alice, ty jesteś częścią tego problemu.

Wycelowała we mnie palec i wyszła z pokoju.

W piątek Nicholas namówił mnie, żebym przez dzień z nim pracowała. W spokoju jego oszczędnie umeblowanego, ale atrakcyjnego biura wpisałam szesnastocyfrowy kod, który zapewniał mi dostęp do wirtualnej prywatnej sieci roboczej (WPSR), potem czekałam pełne dziewięćdziesiąt sekund, aż mój komputer zdoła się połączyć z serwerem w Clevelandzie. (Pamiętacie połączenia analogowe? Ta sama szybkość). Później w folderze *Inwentarz* otworzyłam arkusz kalkulacyjny o nazwie *Game On* (GO). Na moim ekranie wolno, kolumna po kolumnie, zaczęły się pojawiać cyfry.

To były dane dotyczące stu najlepiej sprzedających się gier komputerowych Joysticka, w tym wysokość sprzedaży, średni dochód gospodarstwa domowego, średni wiek graczy i przeciętny czas spędzony na każdym z poziomów poszczególnych gier. Arkusz zawierał także jednowierszowy opis celu: „Gracze atakują obóz wroga, aby pojmać drony” albo „Zamachowcy jednoczą się w imię pokonania gremlinów na planecie Vibra” oraz litery oznaczające poziom przemocy, wulgaryzmów, hazardu i treści seksualnych. Wiele gier oznaczono skrótem PH, „przemoc z elementami humoru”.

Ten nadmiar informacji przeniósł mnie na licealne lekcje chemii, kiedy ze ściśniętym żołądkiem studiowałam układ okresowy. Kliknęłam w strzałkę w dolnym prawym rogu ekranu, przesuwając kolumny. Szerokość arkusza była nieskończona.

Na lunch podzieliliśmy się z Nicholasem kanapką – w stylu New Jersey: ozór, pieczona wołowina, szwajcarski ser, sos rosyjski i sałatka coleslaw na cienkich kromkach żytniego chleba. Nicholas gestem wskazał chłodziarkę z piwem w delikatesach („Masz ochotę?”), a kiedy spojrzałam na niego znacząco, wziął dwa napoje.

– Jak ci idzie praca? – zapytał.

– Analizuję dane dotyczące gier komputerowych. Jak według ciebie może mi

ić?

– Hm. Wydaje się, że to żmudne. – Widziałam wyraźnie, że uwaga Nicholasa jest gdzie indziej, zdecydowanie bardziej skupiona na kanapce niż na moich problemach zawodowych.

– Bo to jest żmudne. Nie rozumiem też propozycji wartości...

– Naprawdę usłyszałem, że użyłaś terminu „propozycja wartości”?

– Owszem. Dlaczego tak się zachowujesz? Mam wrażenie, że się ze mnie śmiejesz.

– Al, wcale się z ciebie nie śmieję. Zastanawiam się tylko, czy kiedykolwiek jeszcze będziesz rozmawiała o czymś innym niż o Scrollu.

– To nie w porządku. Ile razy omawiałam z tobą decyzje związane z pracą? Przez ponad dziesięć lat nie prosiłam cię o wzajemność.

Próbowałam powiedzieć to lekkim tonem, wiedziałam jednak, że w naszej rozmowie nie było nic śmiesznego.

– Tak, ale wiesz, na czym polega różnica? Czasami kilka tygodni albo – dobra, zgadzam się, miesiąc – byłem opętany pracą i nieustannie sprawdzałem blackberry. Ty robisz to zawsze. Nawet kiedy tu jesteś, to cię tu nie ma. I za każdym razem, kiedy przewracam się na drugi bok w środku nocy, ty trzymasz w ręku telefon. Mam wrażenie, że odeszłaś.

– Ojej. Gadać to ty umiesz.

– Słucham?

– Chciałam powiedzieć, że mi przykro, że tak się czujesz. – Poczułam przelotne ukłucie winy, choć szybko zastąpiła je irytacja, kiedy Nicholas nałożył sobie więcej niż połowę frytek, które były do podziału.

– Nie, wcale tak się nie czuję, to jest fakt. Masz obsesję na punkcie pracy, Alice. Rozumiem, że się w to zaangażowałaś, bo robisz nowe rzeczy. I cieszę się ze względu na ciebie, mówiłem to miliony razy. Ale ty nigdy nie przestajesz o tym myśleć. Jesteśmy na lunchu, tylko we dwoje, a ty chcesz rozmawiać tylko o WPM, GO czy o czymś tam. Nie istnieją inne tematy?

Nasz stolik sąsiadował z lodówką z nabiałem, za każdym razem, kiedy ktoś sięgał po karton mleka, owiewało nas lodowate powietrze. Naciągnęłam kaptur bluzy i się skuliłam.

– Alice – ciągnął Nicholas – nie chcę ci dokładać, ale kilka tygodni temu byłem u twoich rodziców. Nie wyglądało to dobrze.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że twój tata chciał się zająć swoimi papierami w jadalni, ale przejście tam z salonu zajęło mu z dziesięć minut. Ciągle przystawał i trzymał się ściany. A twoja mama była zdenerwowana i mówiła bez przerwy, co doprowadzało go do wściekłości.

– I? Co mi jeszcze powiesz?

– Kiedy skończyliśmy, właściwie padł przed telewizorem i mama musiała włączyć mu jedzenie do rurki. Był zbyt zmęczony, żeby to zrobić samodzielnie.

– Och. Zasmuciłeś mnie. – „Jestem w rozpacz” oddawało mój stan ducha znacznie lepiej. Jestem zdruzgotana. Załamana. Dręczona wyrzutami sumienia, że nie mogę być z rodzicami siedem dni w tygodniu, że moim stałym alibi jest praca, nie dzieci, że Nicholas musiał zapłacić tę pustkę.

Mogłam sobie wyobrazić tę scenę: mama zajmująca się tatą, w tle brzęczenie telewizora. Wystarczyłoby zdjęć jedną warstwę i obraz byłby inny: ten sam pokój, ten sam fotel, mama podająca tacie ciepłą metalową miskę z popcornem, który będą pogryzać, oglądając razem *Okno na podwórze*. To się już nigdy nie powtórzy. Ta świadomość była jak nieoczekiwany cios w splot słoneczny; nie potrafiłam tego wyjaśnić Nicholasowi, którego rodzice tryskali energią i zdrowiem, a ostatnio zapisali się na zajęcia o poezji bitników na uniwersytecie trzeciego wieku.

– I wiesz, czego nie mogę wyrzucić z głowy? – ciągnął Nicholas. – Twój tata oglądał sporty ekstremalne.

– Dobra. Dostyc. Złapałam. – Tata był wielbicielem serii *Arcydzieła teatru*. Pomyślałam o nim drzemającym przy sportach ekstremalnych po sporządzeniu testamentu i pokręciłam głową z nadzieją, że wymażę tę scenę z pamięci. – Zastanawiam się, czy niedługo nie będą potrzebowali pomocy. Prywatna pielęgniarka albo coś w tym rodzaju.

– Myślę, że tak.

Moi rodzice bardzo cenili sobie prywatność, byli zbudowani z nawyków i rutyny. Nie mieściło mi się w głowie, że obca osoba będzie się kręciła po domu i płukała strzykawki albo przez stary lejek do piwa Willa wlewała pokarm do żołądka taty. Chociaż pielęgniarka na pewno ma własny lejek, wysterylizowany i bez naklejki „Nie deptać po mnie”. Wyobraziłam sobie jej ciche kroki w holu domu rodziców i zrobiło mi się niedobrze.

Kilka minut poświęciliśmy na zjedzenie do końca frytek, później Nicholas powiedział:

– A zmieniając temat...

Wiedziałam, że coś ma w zanadru.

– Tak...?

– Koszykarze jadą na turniej do Atlantic City. Chcę jechać z nimi.

– I w czym problem?

– Problemu nie ma, tylko ci o tym mówię.

Oczywiście nie miałam nic przeciwko jego wyjazdowi na turniej, byłam powszechnie znana z wymykania się na weekend z koleżankami z college'u. Ale pora była podejrzana, a Nicholas, jak zwróciłabym uwagę Margot, przyjmował ton, który mi się nie podobał.

– To świetnie. Kiedy jedziecie?

– Jeszcze nie teraz. Turniej jest w ostatni weekend lutego. Naturalnie zobaczymy, jak będą się układały sprawy z twoim tatą. A ty dasz sobie radę z dziećmi?

– Co masz na myśli? Przecież to moje dzieci! Damy sobie radę. Będziemy się świetnie bawić.

– Super. Dam Jimowi znać, że w to wchodzę.

Pomimo tego w gruncie rzeczy serdecznego zakończenia rozmowy jej wrogi podtekst był niepokojący.

Do: scrollglobal@scroll.com

Od: gregrockwell@scroll.com

Hej, kiedy jutro przyjdziecie do pracy, zauważycie, że wprowadzamy nowe systemy bezpieczeństwa/obliczania czasu pracy. Pracownicy będą teraz przesuwac dłonią po naszym nowym zegarze biometrycznym. Nie bójcie się, nie gryzie! To urządzenie pozwoli nam orientować się na bieżąco, o której przychodzicie do pracy, o której wychodzicie, ile czasu poświęcacie na lunch, czy tego dnia czyściliście zęby nicią dentystyczną. Ha, ha, może z tą nicią to przesada. Jesteśmy jednak z ducha firmą detaliczną, więc nie mam wątpliwości, że zrozumiecie, że przy różnych okazjach gramy według zasad detalicznych. Początek pracy, koniec pracy. Po prostu chcemy wiedzieć, co „Wy, ziomale” robicie. Patrzę na Was, Nowy Jork!

Umówienie się w sobotę na wizytę u naszego pediatry jest jak zdobycie rezerwacji w najmodniejszej restauracji w mieście. Trzeba dzwonić z trzymiesięcznym wyprzedzeniem, a potem czekać, podczas gdy rejestratorka przegląda inne rozpaczliwe prośby od wszystkich pracujących rodziców.

Wyznaczono nam godzinę, kiedy reszta świata jest jeszcze w domu, ogląda *Fineasza i Ferba* i czyta *Star-Ledge*. Georgie w niebieskich majteczkach z małpką na pupie stała przed kartą do badania wzroku. Zakrywała prawe oko ręką i mówiła, co widzi: filiżanka, gwiazda, diament, dłoń, okrąg, kwadrat, serce.

Pielęgniarka wskazała dół karty.

– Wspaniale, Georgie. Potrafisz przeczytać, co tutaj jest napisane?

– Jasne. „Tylko sokoły potrafią to przeczytać”.

Z moich ust wyrwał się głośny szloch. Georgie okręciła się na pięcie, jej warkocze pofrunęły poziomo jak u Pippi Pończoszanki.

– Mamusiu, dlaczego płaczesz?

– Nie płaczę, skarbie, tylko coś mi wpadło do oka.

Nie miałam zielonego pojęcia, że ona umie czytać.

8 Roland Dahl, *Fleje*, przeł. Jerzy Łoziński, Poznań 2005.

Wyciszyłam dzwonek komórki i spędziłam sobotnie przedpołudnie na grabieniu liści, ładowaniu każdego stosu do wielkiego brązowego worka i targaniu tego wszystkiego przed dom.

Po skończonej pracy sprawdziłam telefon. Sześć nieodebranych połączeń. Dwa od Genevieve. W sobotę. Co może być aż tak ważne? Do tego esemes: „Alice, musisz pokazać swoje zaangażowanie w WPM. Proszę, przygotuj raport o swoich ustaleniach w ciągu trzech tygodni”.

Raport był w Scrollu odpowiednikiem pracy semestralnej – sześć stron, ustaloną czcionką (Calibri), z przypisami. Odpisałam: „Brzmi dobrze! Przygotuję!”. Nie potrafiłam się powstrzymać od użycia wykrzyknika.

Ani słówka o kubkach bourbona, które z Genevieve opróżniłyśmy poprzedniego dnia w jej gabinecie, wznosząc toasty na cześć Pomyłki nad Jeziorem, jak Nicholas z upodobaniem nazywa Cleveland. Zaczynałam się przyzwyczajać do jej zarządzania w stylu Jekylla i Hyde’a. W windzie mogła być moją najlepszą przyjaciółką, ale nigdy nie wiedziałam, kiedy zacnie gniewnie stukać w klawiaturę i udzielać mi reprimendy.

Piąty telefon był od mamy. „Alice? Gdzie jesteś? Jedziemy na oddział ratunkowy w Sloan Kettering. Zadzwoń do mnie”.

Szóstą wiadomość zostawił mój brat. „Mama już cię złapała? Dlaczego tak trudno się z tobą skontaktować? Tata ma kłopoty z oddychaniem, jadą do szpitala. Czy możesz do mnie zadzwonić, kiedy czegoś się dowiesz? Mary ma dzisiaj nocny dyżur, ale rano wsiałam w samochód i jadę do was”.

Will, mama i ja siedzieliśmy przy łóżku taty, wolno przystosowując się do szpitalnego czasu, w którym traci się rachubę godzin, dni, nawet pór roku. Nicholas był w domu z dziećmi, a może opiekowała się nimi Jessie, szczegóły mi się zamazywały. Nie mogliśmy jak żeglarze wpatrywać się w horyzont i tak orientować się w swoim położeniu, bo oknem dysponował drugi pacjent. Po naszej stronie wszystko miało łososiowy kolor, nawet podwieszany sufit.

Nagle nieznajomy lekarz rozsunął parawan dzielący salę na dwie części. Otworzył teczkę taty, opierając jej metalowy grzbiet na dłoni, jakby to była pizza, po czym spojrzał na mamę:

– Terminalne zapalenie płuc?
– Ściśle rzecz biorąc, na imię mam Joan – odparła zdecydowanie. Jedenaste przykazanie: Będziesz wzbudzał szacunek. Kochałam ją za to.

Lekarz z obojętną miną wyjął długopis z kieszeni fartucha i zaczął coś notować.

– Pacjent ma terminalne zapalenie płuc, czy tak?

Mój brat wstał. Górował nad lekarzem. W swoich podniszczonych dresowych spodniach i luźno zasznurowanych butach wyglądał bardziej na wkurzonego hokeistę niż na wioślarza w średnim wieku.

– Jeśli tak, to po raz pierwszy o tym słyszymy. Kurwa, co to jest terminalne zapalenie płuc?

Czekałam, aż mama, policjant językowy, zacznie go napominać, ale milczała.

Lekarz zamknął długopis, wsunął go z powrotem do kieszeni i upewnił się, że mocno trzyma się materiału ponad nazwiskiem wyhaftowanym na granatowo.

– Ten termin oznacza zapalenie płuc, do którego dochodzi w przebiegu innej terminalnej choroby w końcowym stadium.

Z niemal komiczną gracją okręcił się na pięcie, rozsunął łososiowy parawn i zniknął.

– Jejku, dziękuję – powiedziałam głośno. Chciałam za nim pójść na korytarz i walnąć jego małą głową o granitowy blat dyżurki pielęgniarek, ale pomyślałam, że to mogłoby zdenerwować mamę.

Will odwrócił się do łóżka.

– Tato, mam ci przynieść...

Nasz pacjent spał.

Nie patrząc w oczy mamie ani bratu, wyjęłam z kieszeni komórkę i zaczęłam wprowadzać czterocyfrowe hasło. Will się pochylił, złapał telefon i rzucił przez pokój. Aparat z głuchym tąpnięciem wylądował w koszu na śmieci.

Kiedy miałam dziewięć lat, tyle co teraz Oliver, tata zaskoczył mnie i Willa wycieczką do Great Adventure, parku rozrywki oddalonego o godzinę drogi. W zwykły szkolny dzień obudził nas i powiedział:

– Wskakujcie do samochodu, jedziemy poszaleć na kolejce górskiej.

Will wpadł do mojego pokoju w pogniecionej koszulce i kolorowych szortach.

– Czy to jakiś żart?

To nie był żart. Nie moglibyśmy bardziej się cieszyć, gdyby ojciec niespodziewanie podarował nam szczeniaka albo wymarzony piętrowy domek na drzewie. Wsiadliśmy do naszego niebieskiego buicka regala i pomachaliśmy na pożegnanie mamie, która była tak samo jak my zszokowana spontanicznością tego planu – i bez wątplenia równie ucieszona, że ją z niego wykluczono.

– Tato, dlaczego to robimy? Coś się stało? – Sprawdzałam numery zjazdów

na autostradzie, żeby mieć pewność, że istotnie jedziemy na południe. Czy to był jakiś skomplikowany podstęp, żeby zabrać nas na edukacyjną wycieczkę, na przykład do Richmond Town albo na Staten Island? Nasi rodzice uwielbiali takie miejsca z wystawami o ubijaniu masła i jednym marnym lizakiem ze sklepu z pamiątkami jako nagrodą za godziny nudy.

Tata się uśmiechnął. Ze swojego miejsca na ukos od niego widziałam, jak jego oczy otacza siateczka zmarszczek.

– Po prostu zmiana tempa, nic więcej.

– Cykor – syknął Will z drugiego końca tylnego siedzenia. – Pewnie przez cały czas będziesz chciała jeździć na filiżankach.

Ale pomimo całej brawury starszego brata to Willowi brakowało odwagi do przerażających przejażdżek. Skulony, czepiał się latających huśtawek i łodzi w wodnej zjeżdżalni, w której oboje przemakaliśmy do suchej nitki, podczas gdy tata robił nam zdjęcia polaroidem z pobliskiej ławki.

Kiedy przyszła moja kolej na wybór rozrywki, zdecydowałam się na gravitron, hołd złożony sile odśrodkowej, wywracający żołądek do góry nogami. Było to cylindryczne urządzenie wyłożone w środku tapicerowanymi panelami. Wybierało się jeden, opierało o niego i trzymało z całej siły, gdy całość wirowała z szaloną prędkością, dokoła i dokoła, a czasami do góry nogami. Tylko że wcale nie trzeba było się trzymać, było się przyklejonym do ściany. Nie mogło się unieść ręki ani nogi.

– O kurczę! – pisnęłam, kiedy odpadła podłoga. To był jeden z punktów programu, choć i tak straszny. Tata, brat i ich wata cukrowa po drugiej stronie płotu się rozmazali. Obłoki i niebo zwały się w jedno, podobnie jak karuzela, diabelski młyn i biały pas kolejki górskiej. Miałam wrażenie, że nic nie ważę, że zaraz przelecę na drugą stronę panelu – jak meteor z wystającymi zębami, w różowych okularach i frotowym dresie.

Próbowałam otworzyć usta, ale zdecydowana dłoń grawitacji na to nie pozwoliła.

Tak się czułam w szpitalnym pokoju taty: ciężka i bezradna, przyciśnięta do ściany. Dno odpadło. Chciałam, żeby jazda się skończyła, ale ona trwała i trwała.

Pojechałam pociągiem o osiemnastej pięćdziesiąt siedem, żeby popracować dłużej, zanim w środku dnia pójde do szpitala. Przeprowadziłam z dziećmi rozmowę wideo przez aplikację Face Time („Patrzcie, dzieci, to FAO Schwarz!”), idąc do metra, którym pojechałam do Sloan Kettering. Byłam przy ojcu do czasu, gdy musiałam wsiąść znowu do metra i wrócić na Penn Station, skąd miałam pociąg o dwudziestej pierwszej trzydzieści pięć. Rozkład dnia dosłownie wywoływał zawroty głowy.

Pół dnia spędzałam pod ziemią, pozostałe pół czytałam broszury. W szpitalu były wszędzie, rozłożone artystycznie na stołach i włożone do pleksiglasowych koszyków na ścianach: *Opieka hospicyjna. Proste fakty, Koniec życia. Jak zapewnić opiekę i komfort oraz Nadzieja jest tym upierzonym*⁹. (Okej, to ostatnie wymyśliłam. Przepraszam, nie ja, Emily Dickinson). Przeczytałam każde słowo i nawet przyniosłam doniczkę cuchnących narcyzów na parapet, bo wszyscy samorealizujący się chorzy w broszurach takie mieli.

A że poza tym byłam wykończona, zdruzgotana i nie potrafiłam zebrać myśli? Jak powinnam przekazywać swoim dzieciom dostosowane do ich wieku informacje o tacie, nie załamując się przy tym? W głowie krążyła mi jedna myśl: Jestem na to za stara. Dziwne, bo wcale nie byłam stara, wręcz przeciwnie, dość młoda, żeby tracić rodzica, tak samo jak on był dość młody, żeby umierać. Czułam się jednak, jakbym miała sto lat, i byłam kompletnie wyczerpana, jakbym wspinała się przez błoto na wzgórzu w źle dopasowanych butach. Nie chciałam oglądać tego, co czekało na mnie na szczycie, ale i tak musiałam tam dotrzeć.

– Alice, słyszałam o twoim tacie. Jak sobie radzi? – Mariana płukała winogrona w biurowej kuchni; z gładko przyczesanymi włosami i w wyprasowanej białej bluzce stanowiła uosobienie promiennookiej urody.

– Dziękuję, że pytasz. Niezbyt dobrze, prawdę mówiąc. – Niecierpliwie poklepałam pokrywę ekspresu do kawy i sprawdziłam, czy zbiornik na wodę jest pełny. A miał działać błyskawicznie.

– Przykro mi. Jest nadal w szpitalu?

– Tak. Mamy nadzieję, że do końca tygodnia wróci do domu.

– A potem... będzie wracał do zdrowia?

– Potem włączy się hospicjum i... tak. Właśnie tak sobie radzi.

– Alice, mam nadzieję, że znajdujesz czas, żeby zrobić coś miłego dla siebie.

– Chyba tak. Staram się.

– Może manikiur? Albo masaż?

– Tak, to dobry pomysł.

– Cóż, przykro mi, że tak to wygląda.

– W porządku, jeszcze raz dziękuję, że zapytałaś.

– Ale żył przynajmniej pełnią życia?

Chlusnęłam podłg kawą na ścianę i wyszłam z kuchni.

Nie, w prawdziwym życiu się uśmiechnęłam i powiedziałam to, co mówimy, kiedy ktoś bardzo się stara, ale po prostu nie zna języka:

– Masz całkowitą rację.

Siódmego dnia tata wracał do domu.

– My po prostu nic więcej nie możemy dla niego zrobić – powiedziała pielęgniarka tak bardzo przepraszającym tonem, że poczułam się zobowiązana ją zapewnić, że tata będzie w lepszym miejscu. Potem sobie uświadomiłam, że w tej sprawie grubo przesadziłam, w końcu nadal żył.

Wyszłam z pracy wcześniej i spotkałam się z mamą w szpitalnym barku, gdzie mogliśmy poczytać kolejne broszury i napić się herbaty, zanim weźmiemy się za bary z wydarzeniami dnia. Kiedy wybierałyśmy torebki earl greya z kolekcji mieszanek uspokajających, w kolejce do bufetu zauważyłyśmy doktora Davisa, który na głowie nadal miał czepek chirurgiczny i wyglądał na wyczerpanego.

– Howardzie! Prosimy do nas! Bardzo prosimy!

Mamie wyraźnie ulżyło na widok nowej twarzy przy naszym stoliku, ale wyczułam ociąganie doktora Davisa. Nie byłyśmy już rodziną jednego z jego najlepiej reagujących na leczenie pacjentów, którego mejle przesyłał do bezgłośnych szukających sensu w nowej normalności. Byłyśmy opiekunkami człowieka naznaczonego.

Doktor Davis podsunął krzesło dla mamy, potem opadł na sąsiednie.

– Drogie panie, przepraszam za wygląd. To była długa noc. – Na kitlu miał maleńkie kropelki krwi.

– Błagam, spójrz na nas! – Mama miała zmarszczki rozchodzące się promieniście od górnej wargi i ubrała się w ogromny rdzawoczerwony sweter taty.

– Słyszałem, że dzisiaj jest wielki dzień. Muszę wstąpić i życzyć Edowi wszystkiego najlepszego.

– Bardzo się ucieszy. – To było kłamstwo. Tata nie otworzył oczu, kiedy przyszedł ksiądz, nie zareagował nawet na wizytę swojej siostry. Musiałam powstrzymać chęć upomnienia go za niegrzeczne zachowanie, jak postąpiłabym wobec dzieci.

– Macie wszystko... co jest potrzebne? Pracownica socjalna przekazała wam wszystkie informacje, literaturę?

Kiwnęłyśmy głowami. Oszczędziłyśmy doktorowi Davisowi opowieści o tym, jak pracownica socjalna radośnie zaświergotała do mojego taty:

– Jest pan jednym z najlepszych pacjentów. Wcale się pan nie skarży!

Will odpowiedział jej szorstko:

– Tak, bo nie może mówić.

Rozmawialiśmy przez kilka minut, potem mama zaskoczyła mnie, zadając pytanie, na które odpowiedzi na próżno szukałyśmy w broszurach.

– Howardzie, wiem, że wolałbyś nie mówić konkretnie, ale jak sądzisz, ile mamy czasu?

Potarł otwartą dłonią zmęczoną twarz, oparł się i skrzyżował ręce na piersiach.

– Joan, tego nie da się przewidzieć.
– W takim razie w przybliżeniu – poprosiłam, obawiając się odpowiedzi. –
Żebyśmy mogli się przygotować. Żeby Will mógł poczynić plany.
– Naprawdę nie mogę powiedzieć.
Mama wyciągnęła rękę i ujęła doktora Davisa za łokieć.
– Howardzie, wiele razem przeszliśmy.
– Joan. – Lekarz odchrząknął. – Miesiąc? Najwyżej dwa.
W takich trudnych chwilach jego humanitaryzm był jednym z największych
darów. Mama i ja patrzyłyśmy na siebie ponad stołem. Ona wolno pokręciła głowę,
ja zamknęłam oczy.

Potem zabuczała moja komórka, przypominając mi o włączeniu się do
konferencji poświęconej etyce pracy. Schroniłam się w pustej szpitalnej kaplicy
i zadzwoniłam.

Dom był ciemny, kiedy wjechałam na podjazd. Mama siedziała koło mnie,
tata spał na tylnym siedzeniu, otoczony korkami do piłki nożnej i pustymi torbami
po czipsach. Obudziłam go i poprowadziłam po schodach, obejmując w pasie.
Pokręcił głowę na nowe szpitalne łóżko, wolał spać w swoim ulubionym fotelu.
Mama i ja podzieliłyśmy się pojemnikiem twarożku przy kuchennym stole, potem
wróciłam do domu, żeby testować gry komputerowe, podczas gdy Nicholas
gotował spaghetti, które Georgie zabierała jutro na przyjęcie Nony Stregi. Niewiele
rozmawialiśmy, ale jego obecność sprawiała mi ulgę. Wiedziałam, że mama to
samo czuje wobec taty.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

Będziesz jutro w pracy? Proszę, upewnij się, że pilnujesz swoich
nieobecności na GatheringPlace. Opuszczona połowa dnia skutkuje niższą
produktywnością, więc musimy ją usprawiedliwić, zwłaszcza że teraz dział HR ma
wszystkie dane ze skanerów dłoni. Dziękuję.

Przewróciłam oczami, czytając tego mejla, złego bliźniaka wiadomości,
którą Genevieve przysłała na moje konto na Gmailu: „Alice, rób, co musisz.
Możesz na mnie liczyć”.

Susanna: Mam nadzieję, że powrót do domu przebiegł gładko. Chciałam

uprzedzić, że jutro z Pauliem przynosimy kolację. Daj znać, czy wolicie lasagne, czy zupę z białej fasoli. W obu przypadkach będzie chleb i sałata. Mam klucz.

Ja: Lasagne. Bardzo Ci dziękuję.

Susanna: Kocham Cię, Al. Wiem, że uruchomiłaś swojego wewnętrznego Winstona Churchilla.

Ja: Zachować spokój i iść dalej?

Susanna: Kiedy przemierzasz piekło, nie zatrzymuj się.

@alicepearse .1m

„Czy jakakolwiek istota ludzka zdaje sobie sprawę z życia, kiedy je przeżywa – z każdej jego minuty?” Thornton Wilder, *Nasze miasto* (nikt nie odpowiedział, nikt nie polubił, dwoje obserwujących odeszło).

Nazajutrz rano zadzwoniłam do mamy zaraz po przebudzeniu. Powiedziała, że tata spał smacznie. Wygodnie odpoczywa i ogląda wiadomości. Czekają na Linde, pielęgniarkę, która powie im, czego mają się spodziewać. Zażartowałyśmy, że powinno się wydać broszurę zatytułowaną *Czego się spodziewać, kiedy nie spodziewasz się wiele*.

Potem mama powiedziała:

– Zrób sobie dzisiaj wolne, Alice. Myślę, że damy sobie radę.

To była ulga.

9 Emily Dickinson, 254 [*Nadzieja jest tym upierzonym...*], przeł. S. Barańczak, [w:] *tejże, Wiersze wybrane*, Kraków 2000.

W Scrollu dostawałam mnóstwo mejli, ale bardzo mało prawdziwej poczty czy jak raczej powinnam powiedzieć, poczty opartej na węglu. Kilka tygodni wcześniej ucieszyłabym się z zaproszenia na wieczór czytania powieści przez debiutujących pisarzy w Center for Fiction. Czytałam o tym miejscu w „Publishers Weekly” i słyszałam od znajomych pisarzy, ale nigdy wcześniej nie zaproszono mnie na żadne spotkanie.

Zaproszenie wisiało na metalowej oprawce mojej biurowej lampy, przyczepione magnesem CZH („co zrobiłby Hamlet”). Zauważyłam je od razu i pod wpływem chwili postanowiłam pójść. Powinnam zrobić coś dla siebie, racja? Wysłałam do Nicholasa mejla z informacją, że wrócę późno, napisałam esemesa do Jessie na wypadek, gdyby Nicholas musiał pracować, i po przeorganizowaniu dyżurów w odwożeniu dziewczynek na basen byłam gotowa. No, właściwie nie była to decyzja pod wpływem chwili, ale podjęłam ją najsponaniczniej, jak tylko może to zrobić mama.

Center for Fiction okazało się wysoką salą z parkietem i regałami pełnymi książek, jak sobie wyobrażałam. Kiedy Matthew, David i ja przyszlśmy, przytulny pokój na piętrze był już zatłoczony inteligentnymi z wyglądu ludźmi, którzy sprawiali wrażenie, jakby się urodzili w opowiadaniu Johna Cheevera, wykształcili w powieści Donny Tartt, a teraz żyli pełnią życia jak u Jonathana Safrana Foera – tak w każdym razie głośiły hasła na ich płóciennych torbach, zachwalające spółdzielnie spożywcze i zagrożone przyczółki Nowojorskiej Biblioteki Publicznej.

Większość składanych krzesel była zajęta, tak więc usiedliśmy w drugim rzędzie, tuż za pisarzami. Poczułam lekkie klepięcie w ramię.

– Alice Pearse? To ty?

Przez sekundę przeszukiwałam pamięć, zanim rozpoznałam siedzącą za mną kobietę, choć oczywiście mimo okularów w szylkretowej oprawie i artystycznych pasemek we włosach była to wciąż Bonnie, jedna z moich współlokaterek z Vermontu, z czasów, kiedy wszystkie pracowałyśmy jako kelnerki. Wcześniej zaangażowała się w recykling. Gdzieś w moim regale z Ikei załadowanym potrójnymi rzędami książek nadal miałam należący do niej *One Writer's Beginnings* Eudory Welty, cienki tomik z różowym grzbietem. Pamiętałam, jak Bonnie czuliła się na naszej lepkiej aksamitnej kanapie ze swoim chłopakiem o błyszczących oczach (miał brata bliźniaka), który zginął w World Trade Center.

Przez ponad piętnaście lat w Nowym Jorku nasze drogi nigdy się nie skrzyżowały, chociaż z uważnej lektury wiadomości o zawartych umowach w „Publishers Lunch” wiedziałam, że dotarła na szczyty w szanowanym

wydawnictwie.

– A ty gdzie...? – szepnęła pośpiesznie Bonnie, bo pierwszy autor zbliżał się do pulpitu. Pytając przekrzywiła głowę, dokładnie tak samo jak pewnego wieczoru, kiedy spieprzyłam kasę w restauracji i musiałam oddać wszystkie napiwki barmanowi, żeby wyrównać różnicę.

– Scroll – odszepnęłam.

– Scroll? Ta niesamowita, superlegancka nowa firma?

Potaknęłam i równocześnie wzruszyłam ramionami. Nadal nie wolno mi było ujawniać informacji o zwrocie, choć z trudem zachowywałam pozory, że będziemy Starbucksem świata księgarskiego. Podejrzewałam teraz, że raczej zostaniemy Dunkin' Donuts gier komputerowych z e-bookami i organicznymi ciasteczkami.

Zaczęło się czytanie. Powieści należały do moich ostatnich ulubionych – *Dziecko śniegu*, *Girlchild*, *Seating Arrangements*. Usłyszenie fragmentu każdej z nich z ust twórcy było trochę jak poznanie rodziców przyjaciela. Usadowiłam się wygodnie między Matthew a Davidem i zatraciłam w słowach; moja twarz się odprężyła, przybierając wyraz, jaki pojawia się na twarzy mojej mamy w kościele: jest tam, ale jej nie ma, widzi, ale nie jest widziana. Pomiedzy fragmentami, kiedy widownia uprzejmie klaskała, zerknęłam na Bonnie i zauważyłam jej urzeczoną minę. Wylądowałyśmy w odpowiednim miejscu, daleko od marnej restauracji, w której koktajlami Zima wznosiłyśmy toasty za naszą świetlaną przyszłość.

Podczas drinków długa kolejka do baru wiła się przez salę, zmuszając mnie i moich kolegów do usunięcia się na podwyższenie, na którym pisarze czekali na swój występ. Byliśmy tam sami, dwa metry nad pozostałymi, dlatego rozmawialiśmy tylko ze sobą. Mieliśmy łatwy dostęp do ogromnych butli chardonnay, ale zostaliśmy odseparowani od innych w sposób, który wprawiał mnie w zakłopotanie. Po kilku plastikowych kubkach wina Matthew powiedział:

– Czy mi się wydaje, czy ludzie rzeczywiście się na nas gapią?

– Może. Jesteśmy jak ofiara na ołtarzu.

David się roześmiał, zaraz jednak spoważniał.

– Alice, co z twoim tatą? Jak się czuje? Już dawno chciałem zapytać.

– Ma raka. Właśnie wyszedł ze szpitala...

Rozdzieliły nas dwie kobiety, które szły rozmontować pulpit. David bezgłośnie zapytał:

– Ale wyzdrowieje?

– Mam taką nadzieję! – odparłam. Przekonywanie kogoś, że ojciec nie wyzdrowieje, jest takim żmudnym zadaniem.

Mój wzrok padł na Bonnie, która krążyła w tłumie, przekazywana przez jedną grupę literatów drugiej niczym ukochane dziecko.

Pomyślałam o tylnej okładce czasopisma „Highlights” z obrazkiem

i poleceniem dla czytelników, żeby zakreślili to, co nie pasuje do obrazka. Ja zakreśliłabym nas troje.

„Cześć, mamusiu. Mówi Margot. Uch, zapomniałam ci rano powiedzieć, ale potrzebuję na jutro paczki czystych fiszek. Na ustną wypowiedź o Clarze Barton. Nie zapomnij: czystych. Poza tym mamy czerwony filc? Samoprzylepny? Muszę zrobić czerwony krzyż na fartuch. A jeśli nie mamy filcu samoprzylepnego, to czy możesz przyszyć krzyż, kiedy wrócisz do domu?”

„Alice, mówi mama. Nie mam żadnych wiadomości. Tata wygodnie odpoczywa. Myślę, że jest naprawdę szczęśliwy, że wrócił do domu”.

Pociąg o dwudziestej pierwszej trzydzięci siedem wyjeżdżał ze stacji, kiedy wpadłam na peron, musiałam więc czekać na następny, o dwudziestej drugiej trzydzięci siedem. Każdy, kto spędził tu czas, wie, że godzina na Penn Station jest równa trzem godzinom na uroczym Grand Central czy nawet nijakim Port Authority, gdzie przynajmniej dotrzymano obietnicy o wielu toaletach i dobrych kanapkach z kurczakiem w barze Au Bon Pain. Na Penn Station takich luksusów nie ma. Jak zaharowany Kopciuszek w średnim wieku zjadłam hot doga zgarbiona i oparta o ścianę.

Potem zadzwoniłam do Nicholasa. Wydawał się zaspany, jakbym go obudziła.

– Cześć, Al. Jak się udała impreza?

– Świetnie. Zgadnij, kogo spotkałam.

– Nie mam pojęcia. Kogo?

– Pamiętasz Bonnie, która pracowała w stołówce? Chodziła z nami na zajęcia z Szekspira.

– Chyba tak. Pochodziła z Santa Fe? – Kiedy to powiedział, przypomniałam sobie torbę Bonnie z college’u: skórzana, z klapą z indiańskiej tkaniny. Była o klasę lepsza od mojego plecaka marki Jansport. Bonnie już wtedy bywała.

– To właśnie ona. Siedziała tuż za mną. Jest teraz grubą rybą.

– Świetnie. Myślę, że ty też jesteś grubą rybą, cokolwiek to jest warte. – Wręcz widziałam, jak się uśmiecha. – Dzwonili moi rodzice, pytali o twój tatę. Zastanawiają się, jak mogliby pomóc. Jakiś pomysł?

– Nic nie przychodzi mi do głowy. To znaczy tyle jest do zrobienia, a z drugiej strony nic się nie da zrobić. To surrealistyczna sytuacja.

Koło mnie przeszła młoda para, obydwójce mieli palce zatknięte za szlufki paska partnera. Kobieta śmiała się tak bardzo, że musiała przystanąć i złapać się za brzuch. Mężczyzna położył jej dłoń na pupie i oparł czoło o jej ramię, tak że utworzyli ludzki precel historycznej radości. Kiedy po raz ostatni śmiałam się tak z Nicholasmem? Nie potrafiłam sobie przypomnieć.

- Al, jesteś tam?
 - Tak.
 - Wszystko w porządku?
- Westchnęłam.
- Nicholas, on jeszcze nie odszedł, a ja już za nim tęsknię.
 - Wiem. Posłuchaj, czekam na ciebie. Wracaj do domu.

Kiedy w końcu przyjechałam do domu o dwudziestej trzeciej piętnaście, dwie godziny po zakończeniu imprezy w Center for Fiction, zatoczyłam się na frontowych schodach i potem musiałam obkładać goleń lodem.

Kiedy znowu wyszłam z domu, żeby wyprowadzić Corneliusa, na ganku koło jednego z naszych zielonych foteli na biegunach zauważyłam kubek. Pochyliłam się po niego i na przegub chlapnęła mi ciecz z popiołem. W kubku były niedopałki, może z piętnaście pływało w trzech centymetrach brudnej wody. Stałam tam przez minutę, wpatrując się w pojemnik przy krawężniku, wiedząc, że jest po brzegi wypełniony butelkami po piwie. Nicholas nie przestał pić po tamtej rozmowie, po prostu krył się przede mną. Kiedy co wieczór całowałam go na powitanie, jego oddech pachniał pastą Aquafresh.

Usiadłam na fotelu, wspominając wszystkie popołudnia, kiedy Margot próbowała pobić rekord Guinnessa w kręceniu hula-hoop (siedemdziesiąt cztery godziny pięćdziesiąt cztery minuty), podczas gdy Georgie drzemała w moich ramionach. W domu Nicholas zgasił światła w kuchni, salonie, cieplarni, holu. W końcu wystawił głowę przez frontowe drzwi i zapytał:

- Gotowa do łóżka?

Uniosłam kubek nad głowę jak rozgniewana Statua Wolności w sukience od Lorda & Taylora.

- Nicholas, czy to Jessie? – Właściwie liczyłam na odpowiedź twierdzącą.

Usiadł w drugim fotelu, wzdychając.

- Nie, to nie ona.

- Mówisz mi, że to twoje papierosy?

- Część tak, owszem.

- Więc teraz palisz?

- Właściwie nie, ja...

- Zaraz, część? A reszta jest czyja?

- Susanny. Przyszła, kiedy dzieci się położyły...

– Dobra. Pozwól, że to uporządkujemy. – Pochyliłam się, żeby odstawić kubek na podłogę ganku. Krew tętniła mi w uszach. – Mówisz mi, że ty i moja najlepsza przyjaciółka siedzieliście na naszym ganku i paliliście, podczas gdy mój tata dziesięć kilometrów dalej umiera na raka, którego by nie miał, gdyby nie palił?

– Wyrzucałam słowa pomiędzy głośnymi szlochami, z rodzaju tych, które brzmią jak czkawka, ale nie są zabawne. Znowu się pochyliłam, złapałam kubek i rzuciłam na dziedziniec, gdzie wylądował między wawrzynami. Nawet się nie wyszczerbił.

Nicholas otworzył usta, ale nie pozwoliłam mu nic powiedzieć.

– I jeszcze jedno. Dlaczego Susanna przychodzi, kiedy dzieci śpią? Jest coś, o czym powinienes mi powiedzieć?

Zaśmiał się, ale w nieprzyjemny sposób.

– Nie zamierzam zniżać się do odpowiedzi.

Pomyślałam o parze na Penn Station, o tym, jak się całowali przez całą jazdę schodami ruchomymi do Madison Square Garden. Gdybyśmy z Nicholasem mieli kilka wolnych sekund, pewnie raczej sprawdzalibyśmy telefony. Mimo to w głębi serca (gdziekolwiek to jest) wiedziałam, że mnie nie zdradza. Był tylko pijakiem.

– Nicholas, to się musi skończyć. Pijesz, palisz i kto wie, co jeszcze wyprawiasz, oddalasz się w chwili, kiedy jesteś mi potrzebny jako, sama nie wiem, mężczyzna! Siedzisz sobie na ganku jak jakiś chuligan, grasz w ćwiartki i kopcisz jak komin przez cały czas... – Nakręciłam się i mogłabym tak długo, coraz bardziej się wkurzając, ale Nicholas położył łagodnie dłoń na moim ramieniu.

– Alice, weź głęboki wdech.

Zamilkłam.

Światło w salonie naszych sąsiadów zgasło i zastanawiałam się, czy siedzą w ciemności i nas obserwują. Przyznaję, mnie się zdarzało z zainteresowaniem obserwować ich wybuchające od czasu do czasu małżeńskie sprzeczki.

Nicholas siedział w fotelu ze wzrokiem wbitym w okno klasy Georgie po drugiej stronie ulicy.

– Masz rację, piję za dużo. Sam nie jestem w najlepszym położeniu, jak wiesz, ale na pewno powinienem się ograniczyć. I ograniczę się. Przyrzekam.

– Myślałam, że się ograniczysz po naszej ostatniej rozmowie, a ty zamiast tego zacząłeś ukrywać piwo na werandzie.

Spojrzał na mnie, przelotnie się uśmiechając.

– Nie jestem alkoholikiem, Alice. Nie chciało mi się wnosić tego wszystkiego do domu z samochodu i nie chciałem wysłuchiwać twoich zrzędzeń. A te papierosy...

– Są ohydne, tak przy okazji, pomijam to, że zupełnie nie do przyjęcia w domu córki ofiary raka. Nie wspomnę już o tym, że Margot jest teraz bardzo podatna na wpływy...

– Alice. Posłuchasz mnie przez minutę? Przyniosła je Susanna. Wpadła, żeby porozmawiać... Cóż, myśli, że Niebieska Sowa może będzie musiała ogłosić bankructwo, i chciała się poradzić. Jest przygnębiona.

– Dobrze. Mimo to...

– Naprawdę ma kłopoty. Nawet jeśli zdoła przyciągnąć więcej klientów, to

i tak jest sporo winna i szczerze mówiąc, nie wygląda to dobrze...

– Tak, ale to nadal nie jest powód, żeby palić. – Para ze mnie uchodziła. Wiedziałam, że Susanna czasami wymyka się na dymka do garażu; to z pewnością nie było jej najlepsze przyzwyczajenie, ale kim jestem, żeby ją oceniać? Przynajmniej znalazła czas, żeby kupić swoim dzieciom prezenty na Boże Narodzenie, ja przekazałam to zadanie Jessie, która przysłała mi taktownego esemesa ze sklepu Sports Authority: „Jesteś pewna, że O. chce bluzę Le Brona? Według mnie ma oko na Chrisa Bosha”.

– Alice, czasy są ciężkie. Musimy ciężiej pracować, żeby wspólnie je przetrwać.

Kołysałam się na fotelu. Na końcu ulicy ostatni nocny pociąg wtoczył się na stację. Stuk, stuk, stuk. Po chwili odjechał w kierunku sąsiedniego miasta.

– Alice? Słyszałaś mnie?

– Tak.

– I?

– I nadal jestem wściekła, ale cię kocham.

– Ja też cię kocham. Przepraszam.

Poszliśmy na piętro i zgasiłmy światło. Tym razem go nie odepchnęłam. Zaciemnienie.

Przez trzynaście lat naszego małżeństwa oboje z Nicholasem unikaliśmy organizowania większych świąt w domu. Ściślej rzecz biorąc, zaprosiliśmy nasze rodziny na Boże Narodzenie w roku, w którym się zaręczyliśmy, ale tak fatalnie rozplanowaliśmy sobie czas, że w rezultacie podaliśmy indyka (półsurowego) o jedenastej wieczorem.

Teraz, wzięwszy pod uwagę zdrowie taty, ostatecznie postanowiliśmy przygotować Święto Dziękczynienia. Rozmowa przebiegała następująco:

Nicholas: Nie sądzisz, że zabawnie by było zorganizować Święto Dziękczynienia?

Ja: Kto będzie gotował?

Nicholas: Ja.

Ja: Wszystko?

Nicholas: Możesz wziąć na siebie desery?

Ja: Domowe lody z czekoladowymi ciasteczkami?

Nicholas: Załatwione.

Ja: Co z moim tatą?

Nicholas: A co z nim?

Ja: A jeśli nie będzie nawet w stanie wejść po schodach?

Nicholas: To ja i Will go wniesiemy.

Rano w Święto Dziękczynienia Margot władczo nadzorowała Georgie, która skrupulatnie wypisywała wizytówki na stół, Oliver i Nicholas fastrygowali indyka, ja robiłam lody z ciastkami i czekoladowy mus, sprawdzając przepisy nie mniej niż pięćdziesiąt razy i zachlapując śmietaną naszego iPada pierwszej generacji.

Sprzątając kuchnię i rozładowując zmywarkę po raz ostatni przed najazdem gości, uświadomiłam sobie, że nie byłam sama w tym pomieszczeniu od miesiący, nie wspominając już o gotowaniu. Kiedy Nicholas zmienił ustawienie szklanek? A może to była Jessie? I kiedy zaopatrzyliśmy się w to tajemnicze urządzenie z żółtego plastiku, które jak powiedziała Georgie, jest obieraczką do ananasa – i po co?

Pomyślałam o prostszych czasach, o wszystkich tych popołudniach, kiedy siedziałam przy kuchennym stole z Corneliusiem zwiniętym u moich stóp, podczas gdy dzieci po powrocie ze szkoły jadły pełnoziarniste batoniki. O tej porze dnia

światło wpadało przez okno i kuchnia jaśniała, a to mi przypominało chwilę, gdy po raz pierwszy zobaczyliśmy ten dom i zrozumieliśmy, że chcemy w nim zamieszkać. Teraz miałam wrażenie, że prawie tu nie bywam. Ale było Święto Dziękczynienia i przynajmniej moja komórka milczała. Najwyraźniej nawet Greg zrobił sobie przerwę, żeby zjeść indyka. A może indyka z tofu.

O umówionej porze – czyli dziesięć minut wcześniej, jak mamy w zwyczaju – subaru mojego brata zahamowało na podjeździe i ze środka wysiadła jego rodzina z talerzami owiniętymi w folię, tacami z ciastem i naczyniami z żurawiną, farszem, figami owiniętymi w bekon, szpinakiem ze śmietaną. Kilka minut później swoją toyotą przyjechali rodzice. Mama siedziała za kierownicą – rzecz dziwna – ale nawet przez okno widziałam, że od tygodni tata nie był w takim dobrym stanie. Zaczniemy od tego, że nie spał, nie miał zmarszczonego jak zwykle czoła i był ubrany w koszulę zamiast bluzy Uniwersytetu Georgetown.

Wolno, ostrożnie wszedł po schodach, wsparty na ramieniu Nicholasa, uśmiechnął się ciepło do moich dzieci, które nerwowo stłoczyły się w holu. Widziały go przed tygodniem i teraz poświęciły chwilę na ocenę zmian w jego wyglądzie, dostosowały do tego swoje oczekiwania i pobiegly na podwórko grać w koszykówkę z kuzynami.

Mary i mama już się kłóciły, jak przyrządzić sos. Nie wszystko na świecie było jak trzeba, ale przynajmniej rodzina znajdowała się pod jednym dachem.

Posiłek okazał się wyśmienity. Porzuciliśmy jadalnię i przynieśliśmy talerze do salonu, żeby być blisko taty, usadowionego przed kominkiem. Nie mógł nic jeść, ale napisał „Mangia!” w notatniku, kiedy Margot powiedziała, że ma opory przed opychaniem się w jego obecności. To były pierwsze święta od dwunastu lat, kiedy oboje z Nicholasem nie musieliśmy wielokrotnie zrywać się od stołu, żeby napełnić kubek z dziobkiem, szukać plastikowej łyżki czy robić kanapki z masłem orzechowym i galaretką.

Popatrzyłam na rodzinę i poczułam się prawdziwie, głęboko szczęśliwa.

– Mam pracę domową ze szkoły – oznajmił Oliver ponuro. – Muszę każdego zapytać, za co jest wdzięczny.

Mama jęknęła.

– Och, wszyscy wiecie, że to nie w moim stylu.

– Mamo, przecież on nie wymaga, żebyś obnażyła przed nim duszę. Pomyśl o jednej rzeczy, która cię uszczęśliwia. – Chociaż Will dobiegał wieku średniego, rozpoznałam jego minę z dzieciństwa: powstrzymywał się od płaczu. Dorośli starali się zachować lekki nastrój, trudno jednak było nie potknąć się o fakt, że to nasze ostatnie Święto Dziękczynienia z tatą. Indyk, pokrojony troszkę za grubo przez Nicholasa, smakował inaczej.

Will z trudem przełknął, jabłko Adama przesunęło się do kołnierza jego swetra.

– Dobra, ja zacznę. Jestem wdzięczny, że spotkaliśmy się tu wszyscy, razem z tatą.

Następna odezwała się Margot.

– Ja też jestem wdzięczna za dziadka.

– Za tłuczone ziemniaki – powiedziała Georgie. – Za dziadka. Za Corneliusa, chociaż śmierdzi mu z pyska. – Pochyliła się, żeby poklepać psa, który kręcił się koło niej i czekał, aż rzuci mu kawałek indyka.

Wszyscy spojrzeliśmy na tatę, a on pokazał palcem mamę. Już chciałam powiedzieć: „Nie, teraz twoja kolej”, ale zrozumiałam, co miał na myśli: najbardziej był wdzięczny za nią. Kiwnęliśmy głowami, stoicko zaciskając usta; wiedzieliśmy, że ten prosty gest był jednym z najbardziej romantycznych w ich imponującym czterdziestopięcioletnim pożyciu.

Kiedy fala wdzięczności dotarła do mnie, poczułam potrzebę rozładowania nastroju.

– Jestem wdzięczna za wielki skok, którego w tym roku dokonałam, i za to, że Nicholas mi w tym pomógł. Nie byłabym w stanie utrzymać się w tej pracy bez niego i swoich cudownych dzieci.

Uśmiechnęłam się do Nicholasa. Popijał bez entuzjazmu wodę sodową i niezgrabnie toczył pachnącą szyszkę po obrusie. Posłał mi przelotny uśmiech.

– Dlaczego wszystko przez cały czas musi dotyczyć pracy? – Na twarzy Margot pojawił się grymas złości i zapadła niezręczna cisza. Niewykluczone, że Will przewrócił oczami, choć może byłam przewrażliwiona. Po mnie mówili inni, ale nastrój prysł.

Wieczorem Will i Nicholas pomogli dzieciom wyjąć obojczyk, „kość życzeń”, z indyka. To była dość obrzydliwa operacja i wiedziałam, że moje jedyne życzenie nigdy się nie spełni, zeszałam więc do piwnicy, żeby zadzwonić. Odezwała się poczta głosowa: „Hej, mówi Jessie. Po sygnale zostaw wiadomość, oddzwonię”.

Oparłam się o suszarkę. „Jessie, to ja. Pewnie siedzisz przy obiedzie, ale chciałam ci podziękować. Nie dałabym rady zrobić... tego bez ciebie”. Gestem wskazałam na butelki detergentów, stare pudełka na drugie śniadania i schnące dzinsy, jakby mogła to wszystko zobaczyć. Miałam szczerą nadzieję, że rozumiała, o co mi chodzi.

Susanna przysłała mi na pocztę w Scrollu filmik z takim dopiskiem: „Wiem, że nie cierpisz takich rzeczy, ale obiecaj, że to obejrzysz. Obiecaj. Będiesz zadowolona, że to zrobiłaś”.

Kliknęłam na filmik. Uwertura do *Wilhelma Tella*, kobieta na scenie wygłasza litanie porannych napomnień skierowanych do dzieci: „Obudź się, wstawaj z łóżka. Umyj twarz, wyszczotkuj zęby, uczesz zaspną głowę. Tu masz ubranie i buty...”.

Och, jasne, pomyślałam, ten filmik szalał w sieci lata temu. Dlaczego do Susanny dotarł dopiero teraz?

Ten poranek w naszym domu był fatalny. Wszystkim prawilałam kazania o rozrzucaniu butów po całym domu i przysięgałam, że będę brać dolara za każdą rzecz, którą podniosę z podłogi. Chyba raz czy dwa przeklełam. Potknęłam się o Corneliusa i na niego też nawrzeszczałam. Kiedy wychodziłam na pociąg, dwoje z trojga dzieci zalewało się łzami, a na stacji już miałam esemesa od Nicholasa: „Poważnie, to było konieczne?”.

Nacisnęłam klawisz „play”.

I ponownie.

Miałam obejrzyć filmik po raz czwarty, ale wyczułam czyjś wzrok na plecach. Ludzie się gapili, Matthew ze swojego wysokiego krzesła i Genevieve z progu. Maską twardniała, tym razem uzupełniona o uniesione brwi.

Ponieważ oczywiście nie włożyłam słuchawek.

– Ale to zabawne, prawda? – powiedziała zażenowana do Genevieve.

– Trochę. Może jeśli masz czterdzieści pięć lat i mieszkasz w Des Moines.

Nie mogłam się połączyć z dyskiem ANT, na którym dzielimy się naszymi plikami z Clevelandem, ale po wpadce z filmikiem za bardzo się wstydziłam poprosić kogoś o pomoc. Zwykle starałam się rozdzielać problemy techniczne między kolegów, żeby żadnego nadmiernie nie obciążać. I tak każdemu codziennie zaprzętałam głowę.

– Halo, tu dział komputerowy MainStreet. Mogę prosić o nazwisko?

– Alice Pearse.

– Witaj, Alice Pearse. Możesz mi odczytać swój dwunastocyfrowy adres IP?

Zajrzyj pod...

– Znam go na pamięć. To...

– Na pamięć?

– Często do was dzwonię.

Podaliśmy numer.

– Świetnie, dziękuję. Na czym polega problem?

Wybieraj, pomyślałam.

– Dostałam polecenie zmiany hasła i teraz nie mogę się zalogować na to nowe.

– Och, to powinno być łatwe. Zgadzasz się na przejęcie twojego pulpitu?

– Proszę bardzo.

– Super. Okno się otworzy, kliknij „Akceptuję”.

Minęło kilka sekund. Rozerwałam torebkę z żelkami i wyjęłam garść, nie odrywając oczu od ekranu.

– Halo? Przykro mi, ale nie widzę okna.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Okno się nie otwiera.

– Hm.

Wyłowiłam wszystkie pomarańczowe żelki, moje ulubione, chociaż jestem przekonana, że wszystkie kolory smakują tak samo.

– Alice? Okna nadal nie ma?

– Nic nie widzę.

– Możesz chwilę poczekać? Muszę zgłosić twój przypadek menedżerowi.

W nowej normalności tata przez większość czasu spał. Opiekowali się nim wolontariusze z hospicjum, pielęgniarki i mama, która notowała każdy lek przeciwbólowy i każdą kalorię w zeszycie. Kiedy raz zajrzałam do środka, mój wzrok padł na wpis: „Zmiana skarpetek, mycie zębów, 10.00”. Zamknęłam zeszyt, zanim wpadłam w Wielki Kanion rozpacz, który się w nim zawierał.

Parter domu rodziców został przekształcony ze znajomej mieszaniny dziewiętnastowiecznych mebli i wiktoriańskich drobiazgów w przestrzeń, którą w myślach nazywałam strefą nowoczesnej opieki nad chorym. W salonie stało pełno urządzeń na kółkach: szpitalne łóżko, chodzik, szafka. Były kartony z puszkami jakichś specyfików i opakowania gazików we wszystkich kształtach i rozmiarach. Blaty w kuchni zmieniły się w pomocnik ze strzykawkami, kubkami, segregatorami i oczywiście broszurami. *Przewodnik po spokojnej śmierci w domu* i tym podobne. (Czy za ich czytanie można było dostać dodatkowe punkty?)

Pewnego dnia weszłam do domu, nie dzwoniąc do drzwi. Tatę myła gąbką Linda, pielęgniarka, która jeździła camaro. On mnie nie zobaczył, ale ja zobaczyłam jego. Górował nad Lindą, nadal miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ale był kruchy i skóra wisiała mu na plecach jak źle upięte zasłony. Bardziej niż widok nagiego taty niepokoił mnie sposób, w jaki Linda delikatnie wycierała mu szyję różową myjką z łazienki. Jej gest wydawał się taki bezradny, kilka centymetrów dalej usadowił się guz, nieprzenikniony i nieustępliwy. Wyobrażałam go sobie jako plastikowego potwora na ołówku, o który błagały dzieci w sklepie papierniczym: złośliwy i zielony, z owłosionymi gumowymi odnóżami i jednym paciorkowatym okiem.

Bez słowa uniosłam rękę w geście „stop”, żeby dzieci zostały w kuchni. Nie mam pojęcia, skąd wiedziały, że mają być cicho.

– Dziadek potrzebuje chwili – szepnęłam. Gęsiego wróciły za mną do samochodu. Posiedzieliśmy z minutę i weszliśmy do domu, jakbyśmy dopiero przyjechali.

– Halo? Jest tu kto? – Czułam odrazę do wymuszonej radości w swoim głosie, uznałam jednak, że odrobina beztroski to jedyne, co mogę ofiarować rodzicom, którym los dawał się we znaki z każdej strony. Jakby rak nie był wystarczająco przygnębiający, to jeszcze przeciekał dach, w holu do wiadra kapiała woda.

– Alice, to ty? Rozmawiam z firmą ubezpieczeniową. Będę na dole za dwa machnięcia jagnięcego ogona!

(Tak, moja mama naprawdę tak mówi).

Oliver i Georgie ruszyli prosto do szpitalnego łóżka, w którym tata nie chciał spać.

– Pobawmy się w doktora. Będziesz miał pieg pod pachą!

– Nie, w piratów! To nasz statek.

– Nie, to trampolina!

– Więc może to będzie statek piracki z trampoliną dla pirackich dzieci? –

Oliver zawsze dążył do kompromisu.

Margot i ja poszłyśmy za róg i znalazłyśmy tatę w fotelu; był ubrany i uczesany, ale z przedziałkiem po złej stronie. Linda krzątała się po pokoju, zbierając pranie do poszewki na poduszkę.

– Cześć, tato. – Stałam, czując się niezręcznie, z rękami zwieszonymi po bokach. Nie chciałam go obejmować, bo może go bolało.

Uśmiechnął się i zamknął oczy.

Margot zerknęła nerwowo na Lindę, a potem swobodnie, jakby proponowała zabawę, zapytała:

– Dziadku, mogę ci wytrzeć usta?

Kiwnął głową na tak. Nie byłam w stanie na to patrzeć, ale zanotowałam w myślach, żeby powiedzieć Nicholasowi o prostym wdzięku w geście Margot. Ja w jej wieku zamknęłabym się w szafie z książką i przeniosła w inny świat.

Zaoferowałam Lindzie, że jej pomogę.

– Po prostu bądź z tatą – odparła. – To wam obojgu dobrze zrobi.

Wrzucenie do pralki osłon na stomię było o wiele łatwiejsze od spokojnego siedzenia, które wymagało odwagi i cierpliwości. Tata był za słaby, żeby korzystać z Buzza, pisać w notatniku czy nawet na ścieralnej tabliczce, dlatego jego odpowiedzi ograniczały się do kciuka w górę, kciuka w dół i przewracania oczami z wyczerpania od czasu do czasu. Wydawało się jednak, że nasze towarzystwo sprawia mu przyjemność, opowiadałam więc bez przerwy o Nicholasie, wiadomościach, pogodzie. Czytałam na głos „New York Timesa”, aż zachryplam, omijając nekrologi i artykuły ze śmiercią, chorobą albo tragedią w tytule.

W końcu dzieci się znudziły i poszły na piętro oglądać na iPadzie *Charliego i fabrykę czekolady*. Mama drzemała w swoim pokoju – który teraz niespodziewanie naprawdę należał tylko do niej.

Kiedy nie przychodziło mi do głowy nic, co jeszcze mogłabym powiedzieć tacie, położyłam dłoń na jego dłoni, leżącej na oparciu fotela. W filmowej wersji tej sceny dłoń taty zniknęłaby pod moją, w rzeczywistości zaś tata nadal wyglądał zdrowo i miał piegi po lecie spędzonym na podlewaniu ogrodu. Tak czy owak, nie przyszło mi to łatwo, nie jesteśmy wylewni, ale to było konieczne i przynosiło pociechę – tylko tyle mogłam zrobić. Wiedziałam, że nigdy nie przeprowadzimy ostatniej rozmowy od serca. Tata nie wypowie ostatnich słów. Mieliśmy jednak to: nasze splecione palce, wszystko, co trzeba powiedzieć, już zostało powiedziane.

Czekałam, aż tata zaśnie, potem uważnie przyglądałam się jego twarzy. Krzaczaste brwi, wgłębienie w brodzie, nos taki jak mój, tyle że ostrzejszy. Zmarszczki od śmiechu, zmarszczki od troski, gładkie jak jabłka policzki. Dla mnie zapamiętywanie było pierwszym etapem żałoby.

Nicholas codziennie przynosił gazetę. Raz zadzwoniła mama i powiedziała:

– Twój mąż tu jest, w garniturze zrzuca śnieg z dachu.

Podziwiałam jego poświęcenie, choć w głębi serca się martwiłam, że za mało czasu spędza w pracy. Niezależnie od tego, jak słaby był mój tata, jak bardzo zamknął się w świecie poza naszym zasięgiem, z naszej czerwonej skrzynki pocztowej co wieczór niezmiennie wysypywały się rachunki. Verizon, podatki, benzyna, woda. Czas i pieniądze płynęły dalej.

Był też problem Nicholasowego picia, zdarzającego się co wieczór. Piwo zniknęło z menu – przypuszczalnie dlatego, że butelki za bardzo rzucały się w oczy – teraz więc Nicholas pił wódkę z tonikiem, którą z odległości można było wziąć za napój gazowany. Raz przy kolacji Margot napiła się z jego szklanki i powiedziała:

– Fuj, tato, z twoim sprite'em jest coś bardzo nie w porządku.

Nigdy nie przygotowywał drinków, kiedy byłam w kuchni, słyszałam jednak chrzęst kostki lodu w szklance z każdego miejsca w domu i całe moje ciało rejestrowało ten odgłos. Kiedyś dotknęłam odsłoniętego kontaktu i później przez godzinę czułam w ręce mrowienie – to samo uczucie wywoływało we mnie ukradkowe obsługiwanie baru przez Nicholasa, tylko że mrowienie nie było przytłumione jak wtedy, ale zalewało mnie falą wściekłości.

Pewnego wieczoru myliśmy zęby przed pójściem do łóżka.

– Wiesz, nie jestem idiotką.

– Słucham?

Wyplułam pastę i zrobiłam mu miejsce przy umywalce.

– Powiedziałam, że nie jestem idiotką.

– Z jakiego powodu to mówisz? To znaczy wiem, że nie jesteś, ale dlaczego... – Podał mi nic dentystyczną.

– Wypiłeś trzy wódki z tonikiem, odkąd wróciłam do domu, i Bóg tylko wie, ile wcześniej. Możesz sobie darować ręczne mycie szklanek, wiem, co wyprawiasz.

– Oho, ładna detektywistyczna robota, Alice. – Wyszedł z łazienki do sypialni. Podążyłam za nim jak rozgniewana zrzędząca żona, którą nigdy nie chciałam być.

– I to wszystko, co masz do powiedzenia?

– W tej chwili? Owszem.

Posłałam mu jadowite spojrzenie, po czym westchnęłam, bo kiedy

otworzyłam szufladę, uświadomiłam sobie, że większość moich ubrań jest na dole w pralni.

– Nicholas, jestem ci bardzo wdzięczna za wszystko, co robisz dla moich rodziców, i proszę cię, żebyś jedno zrobił dla mnie: mógłbyś ograniczyć picie?

Nie odpowiedział, tylko rzucił mi jeden ze swoich T-shirtów, ten, który wkłada co roku w naszą rocznicę: „♥ moją niesamowitą żonę”.

Test poziomu stresu u członków rodziny chorego na raka:

W ostatnim tygodniu...

- Miałam problemy z koncentrowaniem się na tym, co robię.
- Miałam problemy z wyspaniem się (siedem lub więcej godzin).
- Czułam się całkowicie przytłoczona.
- Bałam się przyszłości.
- Czułam, że nie mam już prywatności i/lub czasu na osobiste sprawy.
- Byłam rozdrażniona, poirytowana i wybuchałam przy innych ludziach.
- Czułam się rozdarta między pracą a obowiązkami rodzinnymi.
- Sięgałam po alkohol, papierosy i leki uspokajające, aby poradzić sobie z poziomem stresu.
- Byłam przygnębiona zmianami na gorsze w wyglądzie swojego krewnego.
- Wszystkie powyższe.

Mieliśmy nową pracownicę imieniem Tracy. Chociaż byłam jednym z ogniw jej łańcucha, nie do końca wiedziałam, czym się zajmuje. Pewnego dnia wsunęłam głowę do jej gabinetu.

– Chciałam się przywitać i sprawdzić, jak ci idzie.

– Super. Trenuję nowo zatrudnionych w Clevelandzie. Niektórzy podlegają mnie, a jeszcze ich nawet nie poznałam!

– No cóż, jestem pewna, że cię pokochają. – Ukłucie rozczarowania: używanie przez Tracy żargonu obowiązującego w Scrollu nie wróży dobrze naszemu koleżeństwu.

– Wszystko gra. Jestem menedżerką typu oddolnego, więc pozwolę, żeby mi pokazali, na czym im zależy. Poczęstujesz się ciastkiem? – Tracy wskazała pudełko po butach na swoim biurku. Było wyłożone pergaminem, a mimo to tłuste plamy znaczyły jego rogi.

– Nie, dziękuję. Kto ci przysłał paczkę?

Tracy wyjaśniła, że jej współlokatorka z college'u z Kansas upiekła brownie, żeby łatwiej było jej przełamać pierwsze lody w pracy.

– No, poczęstuj się.

– Dziękuję. Choć wyglądają przepysznie.

– Poważnie, poczęstuj się. Moja przyjaciółka by się obraziła!

Prawda była taka, że przyłączyłam się do Strażników Wagi. Odkąd zaczęłam pracować w Scrollu, przybyło mi kilka kilogramów – za dużo siedzenia. Chociaż Tracy i ja już ustaliłyśmy, że obie zrobiłyśmy maturę w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku, wydawało mi się nie na miejscu opowiadanie jej o swoich strategiach odchudzających na tak wczesnym etapie, chociaż jej wielką lojalność wobec przyjaciółki od ciastek wzięłam za dobry znak.

– Alice, musisz jedno wziąć. Nalegam.

Sytuacja robiła się niezręczna, złapałam więc ciastko, ugryzłam kawałek i wykrzyknęłam, że nic lepszego w życiu nie jadłam. Później trzymałam je w ręce, pośpiesznie nawiązując rozmowę. Nie tylko nie chciałam zwiększać dziennej liczby punktów, ale też z lekkim wstrętem myślałam, że nic nie wiem o tym pudełku. A jeśli spał w nim kot przyjaciółki Tracy?

Kiedy udało mi się wyrwać z jej gabinetu, poszłam prosto do toalety. I tak musiałam z niej skorzystać, a kiedy tam byłam (nie wiem, co mnie opętało), wrzuciłam resztę brownie do sedesu. Sprawa się skomplikowała, bo nie działała spłuczka, postanowiłam więc zwiać i po prostu tak to zostawić.

Łatwo sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy otworzyłam drzwi

i pod kabiną zobaczyłam Tracy z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Witaj ponownie! Hej, czytałaś, że część kolekcji Diane von Frustenberg można kupić w...

W toalecie były dwie kabiny, skorzystanie z tej, z której właśnie wyszłam, wydawało się złamaniem biurowej etykiety, ale tak właśnie się stało.

Radosna paplanina Tracy cichła, gdy ile sił w nogach oddalałam się korytarzem. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co pomyślała na widok ciastka w sedesie. Obie alternatywy były zbyt kłopotliwe, żeby się nad nimi zastanawiać.

– Hej, Margot, zgadnij, kto dzisiaj do mnie dzwonił?

– Kto?

– Wasza dyrektorka! Chce, żebym w Dniu Kariery przyszła do szkoły i opowiedziała w twojej klasie o swojej pracy.

– Co odpowiedziałaś?

– Że przyjdę z wielką przyjemnością! Wezmę wolne przedpołudnie...

– Mamo, powiedz, proszę, że to żart.

– Nie żartuję. Pomyślałam, że się ucieszysz.

– Mamo, kpisz sobie ze mnie? To największa możliwa żenada. Nie możesz przyjść. Po prostu nie możesz.

– Margot, nie mów do mnie takim tonem. Przychodzę na Dzień Kariery, czy ci się to podoba, czy nie.

– O Boże, nie wiem, gdzie się schowam ze wstydu. Mamo, nie możesz mi tego robić, błagam cię. Błagam.

– Wystąpię w twojej klasie w Dniu Kariery. Koniec, kropka.

– Mamo, rujnujesz mi życie!

Trzask zamykanych drzwi. Ho, ho. Czy to naprawdę się zdarzyło? Ależ tak. Tak, zdarzyło się.

W sobotę rano po aerobiku na rowerze poszłam z dziećmi do Niebieskiej Sowy, szukając wymówki, żeby się pokręcić między prawdziwymi książkami, a nie plikami PDF. Wybraliśmy książki o Klementynce, Lemony Snicketa, jogę origami, przewodnik życia obozowego – praktycznie każdą, którą mi pokazano, układałam przy kasie. Dyskomfort związany z moim miejscem zatrudnienia kazał mi zawiesić surowe reguły dotyczące wydatków.

Podczas gdy Susanna pakowała *Jenny and the Cat Club* (prezent urodzinowy dla koleżanki Georgie), ja wpadłam na kobietę, którą znałam z zajęć hip-hopowych Olivera.

– Alice, jaki zabawny zbieg okoliczności, właśnie się zastanawiałam, kiedy

poprowadzisz następne spotkanie klubu Bez Winy!

Wzdrygnęłam się, spoglądając na Susannę, która nadstawiała uszu, choć była za nami.

– Racja, od jakiegoś czasu tych spotkań nie było. Susanna i ja będziemy się musiały naradzić.

– Bardzo proszę. Tak chciałabym przyjść!

Prezent został pięknie opakowany w papier w sowy i związany spiralką z zielonej wstążki. Susanna i ja omijałyśmy się wzrokiem, kiedy mi go podawała.

– I jak sądzisz? – zapytałam. – Powinniśmy ustalić datę?

Poczekala, aż dwoje nowych klientów minie kasę i obrotowy stojak z kartkami w drodze ku półkom z literaturą faktu, i dopiero potem odpowiedziała:

– Przykro mi, nie mogę urządzić następnego spotkania klubu z tobą, Alice. Mam zobowiązania wobec księgarni i – cóż, sama wiesz.

– Susanno.

– Alice. To jest biznes. Nie chcę więcej z tobą współpracować, to za bardzo pokręcone. Jakbym wchodziła w konszachty z diabłem.

– Więc jestem diabłem?

– Scroll jest... okej, może nie diabłem, ale nie chcę, żebyś podkradała mi pomysły.

– Według ciebie to właśnie robię? – Powiodłam wzrokiem po lśniących regałach zrobionych przez Paula i spokojnym tłumku klientów przeglądających książki przy okrągłym stole pośrodku sklepu. Na ostatnim zebraniu w Scrollu dyskutowaliśmy o kwestiach logistycznych związanych z rozdawaniem wszystkim klientom słuchawek tłumiących hałas. Będą ich potrzebowali, żeby zagłuszyć ścieżkę dźwiękową gier i hałas maszyny do popcornu, którą ustawimy w części dla dzieci. Nie, wcale nie podkradałam pomysłów z Niebieskiej Sowy, tylko płakałam po marzeniu, które nigdy się nie urzeczywistni.

Nie mogłam jednak powiedzieć tego Susannie. Złapałam egzemplarz *14 000 Things to Be Happy About* z kartonowego stoiska koło kasy i dodałam do swojego stosu. Susanna podliczyła wszystko, nie patrząc mi w oczy.

Pani Pasquariello, przedszkolanka Georgie, przysłała kalendarz na kolejny miesiąc, żeby rodzice mogli się wpisać na zajęcia. Kiedy Margot była w wieku Georgie, przychodziłam w każdy poniedziałek i środę. Chociaż trudno było pomieścić w lilipucim krzeselku brzuch z najmłodszą córeczką, nie mogłam się doczekać tej godziny wycinania płatków śniegu albo pomagania grupie Margot w układaniu prostych zdań z literą tygodnia.

Kiedy do przedszkola poszedł Oliver, ograniczyłam swoje wizyty do jednego dnia w tygodniu – ale nigdy nie było dziecka bardziej cieszącego się na widok

mamy w progu sali! Anielska radość na jego buzi niemal wynagradzała cały ten czas, który Oliver jako kilkulatek spędzał na podłodze, owinięty całym ciałem wokół moich kostek. Przez lata, spuszczać wzrok, widziałam jego pasiasty kombinezon maszynisty.

Otrzymałam kalendarz na grudzień od panny Pasquariello, postanowiłam, że pora najwyższa zainteresować się edukacją Georgie. Wpisałam się na czwartek rano; obliczyłam, że po czterdziestu minutach w przedszkolu dotrę do pracy gdzieś w porze lunchu. Zazaczyłam w Outlooku PB przy swoim nazwisku i odrzuciłam zaproszenia na jedno czy dwa spotkania wyznaczone na ten czas.

O siódmej jedenaście rano w czwartek dostałam esemesa od Genevieve.

Genevieve: Będiesz na odprawie analityków o jedenastej? Proszę, przekaz mi później szczegóły.

Ja: O tej porze mam zobowiązania rodzinne.

Genevieve: OK.

Trzeba oddać Genevieve sprawiedliwość: miała zdrowy szacunek dla wyzwania stojących przed pracującą matką. Kiedyś na koniec dnia wpadła na mnie w windzie.

– Idziesz na drugą zmianę – powiedziała.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, czując się jak okaz w gablocie.

Georgie podskoczyła z radości na wieść, że przyjdę do przedszkola. Zażądała specjalnej fryzury (dwa rzędy spinek prowadzące do warkoczy) i specjalnej kreacji (gołębia spódniczka baletowa i różowa koszulka z psem chihuahua).

Przeprowadzanie dzieci na drugą stronę drogi do szkoły było teraz dla mnie nowością i zdziwiło mnie, jak bardzo jest zatłoczona North Edison, odkąd wprowadzono na niej ruch dwukierunkowy. Roilo się tam od minivanów i toyot prius, każdy samochód zdobiły owalne naklejki informujące o przynależności do różnych organizacji, politycznych sympatiach i miejscach, w których właściciele spędzają wakacje: MV (Martha's Vineyard), ACK (Nantucket), OBX (Outer Banks), FUSC (Filament United Soccer Club), SDFC (drużyna konkurencyjna), ślad zielonej łapy, czyli logo drużyny pływackiej Pantery (do której należała Margot), GOBAMA!, COEXIST i oczywiście proste A w zielonym kółku, świadczące o lojalności wobec szkoły imienia Louisy May Alcott.

Ostrożnie przesłam na drugą stronę ulicy i zadzwoniłam do drzwi. Zaraz za

progiem wpadłam na Karę i inną mamę, które przekształcały tablicę ogłoszeniową w gwiaździste tło dla van Goghów z drugiej klasy.

– Alice! – Kara zeskoczyła z drabinki i mocno mnie uściskała, pokazując mięśnie subtelnie wypracowane przy drażku. – Co ty tu robisz?

Zignorowałam przytyk, bo naprawdę wiedziałam, że to nie było jej zamiarem, i przez chwilę z podziwem patrzyłam, jakie obie były śliczne i zgrabne, w starannie dobranych swobodnych strojach. Ja w swojej za krótkiej sukience z kolorowych kwadratów czułam się, jakbym na zwykłym spotkaniu pojawiła się w kostiumie.

Kiedy weszłam do sali, Georgie i inne dzieci siedziały kręgiem na podłodze, słuchając pani Pasquariello czytającej *Moja mama to lama*. Na mój widok nieśmiało spuściła głowę. Dzieci siedziały ze skrzyżowanymi nogami – nie po turecku; spędziłam dość czasu w przedszkolnych salach, żeby zdawać sobie sprawę z tego ważnego lingwistycznego przesunięcia.

Pani Pasquariello zostało kilka ostatnich stron książeczki. Podeszłam do okna, gdzie na sznurku wisały przypięte klamerkami do prania rysunki na temat: „Przeziębienia i grypa mojej rodzinie niestraszne”. Powiodłam wzrokiem po narysowanych kredkami ludziach z gigantycznymi głowami, którzy myją króciutkie ręce, i pod koniec wystawy znalazłam arcydzieło Georgie, w połowie ukryte za zielistką w wiszącym koszyku ze sznurka.

I od razu zarumieniłam się ze wstydu. Podpis, podyktowany przez Georgie pani Pasquariello, głosił: „Jesteśmy zdrowi, bo używamy tych samych szczoteczek do zębów”. Prawda, higiena dentystyczna w naszym domu przez ostatnie miesiące uległa wyraźnemu pogorszeniu, wedle najnowszych obliczeń mieliśmy tylko trzy szczoteczki do wspólnego użytku, nigdy jednak nie twierdziłam, że chodzi o coś innego niż o to, że jakoś nie znalazłam czasu, żeby zrobić stosowne zakupy w sieci.

Wylądowałam w szkolnej bibliotece z Georgie i trzema innymi dziewczynkami w kucykach i bardzo błyszczących butach. Dziewczynki po kolei czytały *Żabka i Ropucha*, każda po jednej stronie w ślimaczym tempie. Kiedy przyszła kolej na Georgie, spojrzała mi w oczy i się uśmiechnęła. Nagle przestało być ważne, że nie biorę aktywnego udziału w pracy Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli i tylko przysyłam serwetki i sztucce na każdą szkolną imprezę.

Jeśli Linda mogła zostać dłużej we wtorkowe wieczory, mama przyjeżdżała do nas, żeby ugotować spaghetti i pulpeciki dla dzieci. Próbowałam ją zwolnić z tego obowiązku, ale się upierała. Podejrzywałam, że ona także nieustannie wysłuchiwała porad, żeby zrobić coś miłego dla siebie, i uznała, że pod to podpada normalny czas spędzony z wnukami.

Zgodnie z naszą tradycją po moim powrocie do domu wypijałyśmy kieliszek wina, chociaż czasami byłam taka zmęczona, że udawałam, że nie mamy w domu ani kropli. Pewnego wieczoru mama wyciągnęła butelkę czerwonego wina.

– To co, szybka kolejka?

– Nie, dziękuję – odparłam.

– Naprawdę? Jesteś chora?

– Nic mi nie jest, mamó. Tylko padam z nóg.

– Ta praca; Alice, naprawdę powinnaś odpocząć.

– Nie chodzi tylko o pracę, ale...

– Masz za dużo na głowie, jeśli chcesz znać moje zdanie. – Owinęła szal wokół szyi tyle razy, że w końcu wyglądała tak, jakby nosiła fioletowy kołnierz ortopedyczny. – Dobrze. Pulpeciki są w lodówce. Postaraj się poczytać dobrą książkę i wcześniej się położyć. – Ta recepta stanowiła refren mojego dzieciństwa. Była Trójca Święta, o której się uczyliśmy w szkółce niedzielnej przy kościele Matki Boskiej Bolesnej, i była ta, którą z Willem przyswoiliśmy sobie przez osmozę w domu: pracuj dużo, czytaj książki, kładź się wcześniej.

Nagle to do mnie dotarło: mama przez okrągłą dobę opiekuje się ojcem, a jednak jest tutaj i przygotowuje obiad dla mojej rodziny.

– Zaraz, mamó, jak ty się czujesz?

Wyglądała na wyczerpaną, miała nowe różowe worki pod oczami i niepokojąco się garbiła. Tata zdjął obrączkę przed jednym z wielu zabiegów i teraz mama nosiła ją na łańcuszku na szyi. Westchnęła.

– Nie poddaję się.

To była klasyczna odpowiedź Joan Pearse. Podobnie jak tata, unikała mówienia o uczuciach, tak jak większość ludzi unika leczenia kanałowego.

– Tata ma szczęście, że z nim jesteś. To niesamowite...

– Dlaczego wszyscy to powtarzają? Wcale nie ma „szczęścia”. Jestem jego żoną. Na tym to polega, cholera jasna. Wzajemnie się sobą opiekujemy. On zrobiłby to samo dla mnie. – Twarz jej poczerwieniała. Czy pomyślała o tym samym co ja? Nie będzie miał na to szansy.

– Mamó, bardzo cię przepraszam, nie chciałam...

Pokręciła głową i bez słowa wyszła z wiaderkiem sprzętów kuchennych w jednej ręce i garnkiem do pulpecików w drugiej. Zanim jej samochód wyjechał z podjazdu, odkorkowałam jej wino i nalałam sobie pełny kieliszek.

Zbliżał się termin oceny pracowników i Genevieve wprowadziła mnie w zasady. Miałam wyznaczyć od sześciu do ośmiu osób, które ocenią moją pracę, i przyjąć zaproszenie od sześciu do ośmiu, których pracę ja ocenię. Podstawą ocen są innowacyjność, inicjatywa i zapał. Członkowie zespołu dostaną punkty w zależności od ocen. Pracownik z największą liczbą punktów dostanie premię w postaci akcji MainStreet, ten z najmniejszą zostanie poddany PPJP (planowi poprawy jakości pracy).

– Pamiętaj, Alice, te oceny nie są odzwierciedleniem twojej sympatii do kolegów. Zależy nam na tym, co dobre, złe i brzydkie, z naciskiem na dwa pierwsze. Bo oczywiście to tam następuje prawdziwa nauka. – Uśmiech Genevieve pojawiał się i znikał, jakby ktoś raz po raz naciskał wyłącznik.

– Jasne. Wolałabym osobiście podzielić się swoimi uwagami, ale jeśli taki jest protokół...

– Taki jest protokół. Systemy zautomatyzowane są bardziej wydajne. – Wylogowała się z GatheringPlace i odhaczyła pozycję z listy na swoim iPhone. – A co u twojego taty?

– Dziękuję, że pytasz, Genevieve. Jest teraz w domu.

– I?

– No cóż, na tym etapie chodzi o zapewnienie mu wygody.

(Ekranik mojej komórki razjaśnił się esemesem od Jessie: „Margot nie chce iść na pływanie”).

– To naprawdę trudne. Jak się trzymasz?

– Jestem... jakby otępiała, jeśli wiesz, co mam na myśli.

(Na ekraniku pojawił się esemes od Margot: „Muszę iść na pływanie? Proszę, mamusi. Naprawdę nie czuję się dobrze”).

– Choć brzmi to okropnie, żałuję, że nie wiem, kiedy... jak długo to będzie trwało. Ta niepewność odbiera mi siły. Powinnam się ze wszystkim wstrzymać czy robić swoje, bo to... bo może on będzie w tym stanie przez następny miesiąc?

Genevieve ze zrozumieniem pokiwała głową.

– Wiesz, ledwo pamiętam, jak to wyglądało, kiedy tata umarł. Ale wydawało mi się, że trwa to w nieskończoność, i przez długi czas pamiętałam go tylko takiego: bardzo chorego. – Wpatrywała się w sufit. Po chwili spojrzała na mnie, jakby zapomniała, że tu jestem. – Zaczął już rzeźzić?

– Uch... chyba nie wiem, o co pytasz.

– To przerażający odgłos, który umierający wydaje, kiedy zbliża się koniec.

Przypomina marakasy.

– Jejku, nikt nie wspomniał o przedśmiertnym rzeźeniu. Nie wydaje mi się, żeby je miał.

– Będziesz wiedziała, kiedy je usłyszysz. Nie mów, że cię nie ostrzegałam. (Esemes od Nicholasa: „Powiedziałem Margot, że może opuścić trening”).

Przedśmiertne rzeźenie? Przypuszczalnie jest tym dla końca życia, czym czop śluzowy dla końca ciąży: ostatecznym upokorzeniem, przed którym nikt cię nie przestrzega, a potem następuje nieuniknione.

Wróciłam do biurka i zaczęłam zbierać chętnych do oceny moich osiągnięć. „Drogi Matthew, byłabym wdzięczna za uwagi o mojej pracy. Czy byłbyś taki miły i na GatheringPlace umieścić ocenę moich mocnych i słabych stron? Dziękuję za poświęcenie na to czasu. Z radością zrewanżuję się tym samym”.

Drugą wiadomość wysłałam na adres Matthew na Gmailu: „Matthew, jeśli nie wspomnisz o tym, jak płakałam w biurze, ja zachowam dla siebie, że za plecami pokazałeś Genevieve środkowy palec. Umowa stoi?”.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: gpasquariello@filament.k12.nj.us

Szanowna Pani,

Georgie na dzisiejszych zajęciach popłakiwała i powiedziała mi, że jej dziadek jest bardzo chory. Z niektórych szczegółów domyśliłam się, że być może koniec jego życia jest bliski. Opowiedziałam jej, jak moja matka odeszła, a mimo to nadal ze mną jest. Proszę wybaczyć, jeśli posunęłam się za daleko, nie jestem pewna systemu przekonań Pani rodziny – Georgie mówi, że jest „w połowie żydowska, w połowie bożonarodzeniowa”.

Moje dni zawsze rozjaśnia szczery śmiech Georgie. Jestem pewna, że Pani dni także, zwłaszcza w tym trudnym okresie.

Z wyrazami szacunku,

Gina Pasquariello

Pierwsza rzecz, którą robiłam, kiedy odwiedzałam tatę: zanim jeszcze wetknęłam głowę do oszklonej werandy, żeby się przywitać, szłam prosto do salonu, gdzie uważnie oglądałam oprawne fotografie ustawione na fortepianie. Moi rodzice na przecinaniu wstęgi w szkole kajakarskiej Willa, moi rodzice na swoim ślubie, ja i Nicholas na London Eye z Big Benem w tle, tato stojący w swoim ogrodzie obok słonecznika, który sięga mu do ramienia. Patrzenie na te zdjęcia było jak skubanie strupa: nie potrafiłam przestać, chociaż wiedziałam, że powinnam „starać się żyć chwilą”, jak radzili mi ludzie. Przeszłość była czarną,

bezdenną otchłania.

ZIMA

Firmowa impreza świąteczna miała dwie części. Pierwsza odbyła się w ciągu dnia: spotkaliśmy się wszyscy w sali konferencyjnej, żeby wymienić prezenty za nie więcej niż dziesięć dolarów. Zapakowane dorzucaliśmy do worka, z którego potem losowaliśmy. Jeśli prezent komuś się nie spodobał, można się było wymienić z osobą po prawej, ale nie po lewej czy z naprzeciwka.

Instrukcje przekazała nam w serii mejli Jane, nasza kierowniczką biura. W dniu imprezy wystroiła się w przepaskę z rogami renifera i przez całe popołudnie ozdabiała pustą salę konferencyjną, wieszając pod sufitami czerwone i zielone latarnie. Kiedy praca była ukończona, w mejlu surowo zabroniła nam tam zaglądać, mimo że nikt nie miał najmniejszej ochoty tego robić.

W trakcie tej części stałam się właścicielką kubka ozdobionego kostką do scrabble'a z literą S – oczywiście skrót od Scrolla. Inni koledzy rozpakowali paczki markerów do tablicy suchocieralnej, egzemplarz *Pięćdziesięciu twarzy Greya*, dziesięciodolarową kartę podarunkową z Targetu. Rozmawiałam z pseudo-Brytyjczykiem z marketingu, który ciągle popisywał się akcentem i połykał drugą sylabę w słowie „literalnie”. Na wszystko, co mówiłam, miał jedną odpowiedź:

– Alice, jesteś niesamowita.

Kiedy wróciliśmy za biurka, Jane starannie zapakowała w folię góry kanapek, które zostały, zaniósła je do kuchni, po czym w kilku mejlach napominała nas, żebyśmy je zjedli. Jako mama zastanawiałam się, dlaczego zamówiliśmy tyle jedzenia, a jako pracownica zadawałam sobie pytanie, dlaczego – skoro jesteśmy graczami zespołowymi – nikt nie zaproponował, że pomoże w sprzątanii.

Wieczorna część imprezy miała miejsce w barze na Lower East Side. Trafiłam tam z trudem, bo osiągnęłam pełnoletność w erze, kiedy Lower East Side z wyjątkiem Russ & Daughters przy East Houston Street była dzielnicą zakazaną. Nie mogłam zostać długo, musiałam złapać pociąg o osiemnastej dziewięć do Filament, żeby zdążyć na świąteczny występ wokalny Georgie. (To nie jest moje ulubione szkolne wydarzenie, ale przecież nie można powiedzieć pięcioletniej córce, że wolałoby się raczej pić fikuśne koktajle, niż oglądać przedstawienie, do którego przygotowywała się od Halloween).

Zajęłam pozycję koło „diabelskich jaj” i bardzo szybko opróżniłam kieliszek wina. Genevieve zachęciła mnie, żebym zamówiła następny, tak więc zrobiłam. Była w nastroju świątecznym, wystroiła się w boa z piór i popijała red stripe'a.

Sala była napakowana ludźmi, którzy zwykle są zbyt zajęci, żeby rozmawiać. Nagle świetnie się bawiłam.

O siedemnastej czterdzieści pożegnałam się i chwiejnie wsunęłam do taksówki, która niedługo potem utknęła w korku.

O siedemnastej pięćdziesiąt osiem rozejrzałam się i zobaczyłam, że nadal stoimy, oddaleni od Penn Station o jedenaście przecznic. Taksówkarz sprawiał wrażenie, że ma ochotę walnąć głową w kierownicę.

– Myśli pan, że zdążymy do Penn Station na pociąg o osiemnastej dziewięć?

– Nie.

– Naprawdę? Muszę złapać pociąg do New Jersey, żeby pójść na świąteczne przedstawienie córki. Muszę tam dotrzeć.

– W takim razie pozostał pani tylko bieg. – Taksówkarz zatrzymał licznik, a ja podałam mu pieniądze. – Biegnij, kobieto! Biegnij.

Zaczęłam się pocić. Minęłam budynek Fashion Institute of Technology, piekarnię Panera, sklep American Apparel. Przepychałam się przez skrzyżowania zatłoczone turystami, omijając riksze, stoiska na kółkach i sprzedawców halal, którzy uskakiwali mi z drogi.

Kiedy wpadłam na Penn Station, pochyliłam się i zdjęłam botki. Resztę szalonego biegu przebyłam w granatowych rajstopach. To nie była pora na obcasy, nawet niskie. Kiedy pędem pokonałam trzy ciągi schodów prowadzące na peron drugi, konduktor dzwonił, dając znak, że wszyscy już wsiedli. Wskoczyłam do środka w absolutnie ostatniej chwili.

Czułam, jak po plecach okrytych zimowym płaszczem spływa mi lodowaty pot. Bolało mnie każde ścięgno w szyi, bolały żebra, nieprzyzwyczajone do biegu (#tu38).

Próbowałam wyrównać oddech, ale nie mogłam uciec przed przerażającą świadomością, że o mało nie przegapiłam występu Georgie, bo chciałam wypić drugi kieliszek wina. Moje przyjaciółki i ja zawsze sobie powtarzamy, żeby nie wywoływać w sobie wyrzutów sumienia – nigdy, w żadnej sprawie. „Nie idź tą drogą” – mówimy. Bo oczywiście jeśli raz się na nią wkroczy, nigdy się z niej nie wróci.

Gdybym nie zdążyła na ten pociąg, nie miałabym wyboru.

Zlokalizowałam Nicholasa i usiadłam obok niego na twardym składanym krześle. Z tyłu kilka niezidentyfikowanych dłoni poklepało mnie po ramieniu, ktoś szepnął: „Zdążyłaś”. Światła przygasły, zabłyszczały płatki śniegu wirujące z sufitu.

Georgie stała w środku pierwszego rzędu, ubrana w niebiesko-fioletową połyskliwą sukienkę po Margot, kupioną lata temu na sześćdziesiąte urodziny mojej mamy. Jessie ułożyła jej włosy: część zaplotła w cienkie idealne warkoczyki i spięła, a część puściła luźno.

Kiedy Margot i Oliver brali udział w tym przedszkolnym świątecznym przedstawieniu, ustawiali się tak daleko od reflektorów, jak się dało, do tego stopnia, że dostrzegałam tylko brew albo czoło. Wiedziałam, jacy byli nieszczęśliwi i przygnębieni, stojąc przed całą szkołą, i po Georgie spodziewałam się tego samego.

Ona jednak przez całe przedstawienie promieniała, w szerokim uśmiechu odsłaniając wystające zęby. Niewykluczone, że była najbardziej zachwyconym dzieckiem w całej grupie. Wypadła olśniewająco.

Usiadłam wygodnie i chwyciłam Nicholasa za rękę. Z pewnością są w życiu chwile, kiedy myślimy, że chyba eksplodujemy z radości, a ta do nich należała.

Po raz piąty urządzaliśmy świąteczne przyjęcie, stół w jadalni uginał się od pturków, ciasteczek, dipów krabowych, pieczonej wieprzowiny. Zwykle to mój ulubiony wieczór w roku, czułam jednak, że dom wypełnił się przyjaciółmi, którzy popełnili niewybaczalną zbrodnię: mieli zdrowych rodziców. Mogłam ich sobie wyobrazić, jak idą chodnikiem albo mieszają kości do boggla żylastymi, ale silnymi dłońmi.

Rozejrzałam się po tłumie, szukając Nicholasa. Dostrzegłam Jessie, w każdym calu rockową laskę w skórzanej minispódniczce i tatuażach żarzących się w świetle świec. Była pogrążona w rozmowie z Susanną, która upiła długi łyk sauvignon blanc marki Kim Crawford, jej ulubionego. Ich zatroskane miny nasunęły mi podejrzenie, że mogą rozmawiać o mnie.

Znalazłam Nicholasa na werandzie, długimi kleszczami rozbijał worki lodu. Złapałam z wieszaka piłkarską bluzę z kapturem Olivera, wyszłam i zamknęłam za sobą drzwi. Na werandzie powinno być romantycznie – świeciły się lampki choinkowe, podłogę zaprószył śnieg – ale żołądek dziwnie mi się ścisnął. To nie było zmartwienie, bardziej tęsknota za domem, chociaż przecież byłam u siebie, w otoczeniu bliskich mi ludzi.

– Cześć.

– Cześć. Ślicznie wyglądasz. – Miałam na sobie czerwoną sukienkę, za ciasną i za krótką, ale na nic lepszego nie było mnie stać. Znalazłam ją w głębi szafy, kiedy przeglądałam swoją garderobę w poszukiwaniu rzeczy, które włożę na pogrzeb taty.

– Dziękuję. Przed chwilą podsłuchiłam Tima i Billa, jak rozmawiali o waszym turnieju, a przy okazji zjedli wszystkie szwedzkie pulpeciki. W każdym razie wygląda na to, że zaplanowaliście kupę rozrywek.

Za nami zapaliło się światło w łazience. Przez okno zobaczyliśmy, jak Margot przed lustrem nakłada... to jest szminka? Górna warga, dolna warga, wydęcie. Wyglądało na to, że dokładnie wie, co robi.

– Jaki turniej? Ten w Atlantic City?

Odpowiedź Nicholasa była potwierdzeniem, że coś jest nie tak. Dlaczego gra na czas?

– Hm... jest inny turniej, o którym nie wiem?

– Alice, gramy w każdy niedzielny wieczór. Czasami mecz, czasami turniej. Nie zawsze ci mówię, co mamy na tapecie.

Nicholas solidnie się przyłożył do tego lodu. Kiedy podniósł głowę, pustym spojrzeniem powiódł po huśtawce, teraz pokrytej śniegiem. Pusta huśtawka to jeden z najtragiczniejszych widoków na świecie; zanim jeszcze zrobiliśmy dzieciom niespodziankę, montując tę, zgodziliśmy się, że ją usuniemy, gdy tylko przestaną się nią interesować.

Westchnęłam.

– Nicholas. Odbiegamy od tematu. Tim i Bill rozmawiali o turnieju w Atlantic City i brzmiało to tak, jakby mieli się tam spotkać z grupą dziewczyn.

– Nic o tym nie wiem. Ja jadę na turniej koszykówki.

– Nicholas...

– Dlaczego powtarzasz moje imię? Wiem, że mówisz do mnie.

– Dobra. Chodzi mi o to, czy naprawdę chcesz wziąć w tym udział, jeśli oni mają zamiar... podrywać kobiety?

– A kogo obchodzi, jaki mają zamiar? To nie moja sprawa.

– Nie czujesz się niezręcznie na myśl, że oni są... nielojalni? Wiesz, ta ich wymiana zdań była dość odrażająca. A kiedy się zorientowali, że ich słucham, przerwali, co skłoniło mnie do wniosku, że ciebie też to dotyczy.

Kątem oka zobaczyłam Margot kierującą się do tylnych drzwi. Pasowało, nasze dzieci są bardzo wyczulone na kłótnie i afery. Im bardziej chciałam ukryć przed nimi pewne informacje, z tym większą determinacją próbowały je zdobyć. A później niewinnie je wykorzystywały w obecności mojej mamy albo któregoś z nauczycieli: „Mamusiu, o co tatusiowi chodziło, kiedy nazwał tego pana burakiem?”

– Alice, nie mamy o czym rozmawiać. Nigdy nie dałem ci powodu do podejrzeń. Nigdy. Jadę na turniej. Zasłużyłem po tym, co przez ostatnie miesiące tu robiłem.

Z tą odpowiedzią było wiele problemów. Nicholas miał rację: nigdy nie dał mi powodu do wątpienia w swoją wierność, ale co rozumiał przez „po tym, co przez ostatnie miesiące tu robiłem”? Czy ja wcześniej nie robiłam dla niego tego samego?

– Nicholas, to nie jest tak, że ja sobie leżałam i pachniałam.

(Skąd w ogóle to powiedzenie? Czy ktokolwiek kiedykolwiek leży i pachnie?)

Żałowałam, że nie potrafię znaleźć słów na opowiedzenie o mozolnym

marszu w syberyjskim zimnie na dworzec, a potem o przejściu na wietrze przez dwadzieścia pięć przecznic z Penn Station do mojego biura. (Oczywiście obliczyłam to sobie, długa wędrówka przez centrum zabierała mniej czasu niż jazda metrem i krótszy marsz wzdłuż Central Parku, gdzie hulają wiatry). Podczas gdy Nicholas w przytulnym wnętrzu swojej hondy accord słuchał wiadomości w BBC, ja owinięta w dwa szale, w rzekomo ładnych kozakach odczytywałam informacje dnia z długiego na przecznicę elektronicznego wyświetlacza na Times Square. W sumie dziewięćdziesiąt minut. Te dojazdy mogły człowieka przyprawić o szaleństwo.

– Tak, rozumiem to i na każdym kroku cię wspieram. Ale kiedy mówię, że potrzebuję odpoczynku...

– Ale ja ci na to pozwalam!

– Co to niby ma znaczyć? Jesteś moją szefową? Ja...

Drzwi się otworzyły, na werandę wpadło światło, strumień ciepła i odległy śmiech.

– Hej, wy tam. Ciągłe się kłóćcie.

– Margot...

Wypowiedzieliśmy jej imię równocześnie, ale ja wygrałam.

– Skarbie, proszę, nie wtrącaj się. Tatuś i ja rozmawiamy...

– Tak, słyszę, że go opieprzasz. – Wskazała dom za swoimi plecami. – Mamusiu, dzisiaj wieczorem mamy się bawić.

Spojrzałam na Nicholasa, szukając u niego wsparcia, ale on zamiast w geście solidarności rodzicielskiej przyznać mi rację, sprawiał wrażenie ucieszonego, że ma kogoś po swojej stronie.

– Wcale go nie opieprzam. Wiesz co, Nicholas? Porozmawiamy później.

– Super. Zrobmy tak.

Na podłodze samochodu topniał brudny śnieg, nie można więc było nic na niej postawić. Trzymałam na kolanach torbę od Orly Kiely, a na niej potężną pomarszczoną papierową reklamówkę z Old Navy, wypełnioną drugą zmianą czapek i rękawiczek dla dzieci.

Czyjś telefon dzwonił i już miałam przyłączyć się do niezadowolonego chórk: „To jest cichy samochód!”, kiedy sobie uświadomiłam, że sygnał wydobywa się z mojej torebki. Przełączyłam na pocztę głosową i wysłuchałam wiadomości: „Alice? Myślę, że powinnaś przyjechać do domu”.

Rzuciłam torbę w holu i pocałowałam każde z dzieci. Georgie siedziała na ostatnim stopniu, świeżo wykąpana i pachnąca mydłem Sauve.

– Powiedz dziadkowi, że zajmę mu miejsce – szepnęła.

– On wie – odszepnęłam zdumiona, ale wzruszona jej obietnicą.

Wycofałam z podjazdu tak szybko, że przejechałam po kiju hokejowym i łopacie do śniegu.

Z samochodu zadzwoniłam do Nicholasa, przypominając mu, że musimy upiec babeczki w rożkach do lodów dla Olivera na przyjęcie klasowe z okazji zakończenia maratonu czytania.

– Na rożkach, które kupiłam, nie ma przepisu, ale na pewno go znajdziesz na BettyCrocker.com – rzuciłam do telefonu, zatrzymując się na światłach i przeszukując skrytkę na rękawiczki, żeby się upewnić, że mam zapasowe szkła kontaktowe.

– Zajmę się babeczkami, nie zaprzataj sobie tym głowy. – Głos Nicholasa był schrypnięty. – Alice, myślisz, że to już? Widziałem go dzisiaj rano. Kiedy wychodziłem, pokazał mi znak pokoju.

Przed zmianą pasów spojrzałam w lusterko wsteczne, ale i tak zajechałam drogę kierowcy, który potem przez trzysta metrów na mnie trąbił.

– Nie mam pojęcia. Z jednej strony dość się nacierpiał. Z drugiej... cóż, druga strona jest niewyobrażalna. – Oczy mi zaszły łzami, ale nie ufałam sobie na tyle, żeby podnieść rękę i je wytrzeć. Wściekły kierowca nadal siedział mi na ogonie, teraz z owłosionym środkowym palcem wystawionym przez okno w kierunku mojego minivana.

– Alice, pamiętaj, uwielbiam cię.

– Ja też cię uwielbiam.

Pałaca łza spłynęła mi po policzku.

Stałam w oceanie zanurzona po brodę, zmęczona pływaniem. Potężna fala z przeciwka nabierała prędkości, tocząc się w stronę wybrzeża. Nabrałam powietrza i zanurkowałam w jej środek, nad moją głową zamknęła się woda.

Bądź dzielna.

Kiedy przyjechałam, w domu paliły się wszystkie światła. Elektryczne lampki choinkowe rzucały jaskrawe pomarańczowe światło z każdego okna. Tata siedział w swoim fotelu ze stopami opartymi na skórzanym podnóżku, z głową przekrzywioną na bok i otwartymi ustami. Miał na sobie żółtą koszulę z krótkimi rękawami i bladoniebieskie szorty. Nie wyglądał, jakby cierpiał z bólu, ale też nie wydawał się całkowicie przytomny. Po powrocie ze szpitala bardzo schudł, a teraz zupełnie nieoczekiwanie znowu był pulchny.

– Nerki przestają pracować – wyjaśniła Linda. – Skarbie, to nie potrwa długo.

Mama i ja stałyśmy, patrząc to na siebie, to na tatę.

Linda wychodziła, ale najpierw udzieliła nam mnóstwa instrukcji, jakbyśmy się przygotowywały do porodu w domu.

– Ta broszura pomoże wam przejść przez to, co się stanie. Pamiętajcie, to najbardziej naturalna rzecz w świecie. Gdybyście miały jakieś pytania, tu jest numer hospicjum, pod który możecie dzwonić przez całą dobę. Zawsze ktoś dyżuruje przy telefonie i wam doradzi. Gdyby odszedł, powiadomcie ich. Gdyby go bolało, dajcie mu ten zastrzyk z lodówki. Nie wydaje mi się, żeby musiał korzystać z toalety, ale na wszelki wypadek dałam mu podkładkę do siusiania.

Podkładka do siusiania? Próbowałam złapać wzrok taty, spodziewając się wymienić zażenowane grymasy, a potem sobie przypomniałam... Och. On nie był w formie do takich żartów.

Chciałam, żeby Linda poszła, i nie mogłam uwierzyć, że już idzie.

Kiedy zostałyśmy same z mamą – bo nagle tak właśnie było – zadzwoniłam do brata, który odpowiedział po pierwszym sygnale.

– Alice? Co u taty?

– On... naprawdę nie wygląda dobrze.

– Myślisz, że powinienem wsiadać w samochód i jechać do was? – Była ósma wieczorem.

Poszłam z telefonem do garderoby, bo prowadzenie tej rozmowy w zasięgu słuchu taty wydało mi się niegrzeczne.

– Tak.

– Myślisz, że powinienem jechać od razu?

– Tak. – Szukanie u mnie rady nie było w stylu Willa, niedobrze mi się zrobiło, kiedy pomyślałam, że to dla mnie za wiele.

– Tylko głośno myślę. Mary ma dyżur. Jeśli podrzucę dzieci do jej mamy, oni mogą ruszyć rano, a ja będę u was za siedem godzin, jak pojedę bez przerwy. Myślisz, że...? – Głośny szloch wyrwał mu się z piersi. Wyobraziłam sobie mojego brata i tatę, słuchających transmisji meczu Metsów przez małe tranzystorowe radio w ogrodzie za domem, ich pięści boksujące powietrze za każdym razem, kiedy Keith Hernandez zaliczał bazy. Will jako jedyny znał sekretny składnik w przepisie taty na irlandzki chleb sodowy.

– Uważam, że to dobry plan. Ja tu zostanę... na wszelki wypadek.

– Jak mama?

– Sporządza listy. Słucha opery i teraz siedzi przy tacie.

– Dobra, posłuchaj, powinienem...

– Jedź ostrożnie, Will.

– Ty też o siebie dbaj.

Położyłam dłoń na szerokiej, ciepłej głowie taty i powiedziałam, że zobaczymy się rano. Słabo przytaknął. Poszłam na piętro sprawdzić pocztę.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

Alice, wiem, że masz teraz dużo na głowie, ale Greg chce znać odpowiedzi na swoje pytania o WPM i GO. Proszę, skończ referat i wrzuc mu w kalendarz datę, kiedy zaprezentujesz go na telekonferencji. Sprawą absolutnie najwyższej wagi jest, żebyśmy pokazali zaangażowanie w gry.

Tamtej nocy spałam w pokoju z dzieciństwa. Śniło mi się, że Nicholas i ja wynajęliśmy letni dom na Long Beach Island. Kiedy poszliśmy po klucz do pośrednika, okazało się, że przez pomyłkę wynajęliśmy pływający dom. To był wielki słup z wydętymi żaglami i śliskim, lakierowanym pokładem. Dzieci rozpierchły się na wszystkie strony, a my próbowaliśmy wykombinować, jak wprowadzić niesterowny jacht do zatoki Barnegat.

Nagle obok staroświeckiego drewnianego koła sterowego zauważyłam ojca siedzącego na leżaku, tym samym żółto-białym leżaku, który każdego lata zostawiał na jego nogach kraciaste ślady. Czytał „New York Timesa”, gazeta zasłaniała mu twarz, ale usłyszałam, jak głębokim, dobrze mi znanym głosem mówi: „Nauczycie się tego. To po prostu musi potrwać”.

Kiedy otworzyłam oczy, na brzegu łóżka siedziała mama. Może przyszła mnie obudzić, żebym mogła się jeszcze pouczyć przed klasówką z hiszpańskiego. *Hablo, hablas, habla, hablamos, hablan.*

Albo było wczesne spotkanie samorządu studentów?

A potem sobie przypomniałam.

Staliśmy razem przy fotelu taty: ja, mama, brat. Will nadal był w płaszczu, dłonie miał zimne od mrozu. Ujęłam je w swoje i wykrztusiłam:

– Czekał na ciebie.

Will pokiwał głową. Usta miał zaciśnięte, oczy szkliste od łez.

Białe włosy mamy zmieszały się ze szpakowatymi lokami taty, kiedy się pochyliła i powiedziała:

– Dobranoc, słodki książę.

– Żegnaj, tato – powiedział Will.

– Będę za tobą codziennie tęskniła – powiedziałam.

To był najbardziej wstrząsający, a równocześnie najspokojniejszy moment w moim życiu.

Przyszłość ciągnęła się przed nami jak długa droga.

Do wieczności i dalej.

Spojrzałam na zegar w maminej kuchni – teraz należała tylko do niej. Czwarta czternaście. Czy było za późno – albo za wcześnie – żeby zadzwonić pod numer podany na tylnej okładce segregatora Lindy? Z wahaniem wybrałam numer.

- Hospicjum. North Jersey. Powód pani telefonu? – zapytał nosowy głos.
 - Dzień dobry. Dzwonię, bo nasz pacjent... umarł.
 - Poproszę nazwisko.
 - Edward Pearse.
 - Inicjał drugiego imienia?
 - V.
 - Numer pacjenta?
 - Słucham?
 - Ostatnie cztery cyfry ubezpieczenia społecznego.
- Przekazałam telefon Willowi.

Rozmowa z Nicholasem odbyła się na ekranie podzielonym na pół: w jednej części mój mąż opierał się o kuchenny blat, prawą dłoń podłożył pod lewy łokieć, lewą masował nowe zmarszczki na czole i wycierał oczy. W drugiej miał dwadzieścia cztery lata i tata energicznie ścisnął mu rękę po ich pierwszej grze w scrabble. Nicholas wygrał, ale to mój tata wyglądał na zwycięzcę. Trafił główną wygraną na loterii przyszłych zięciów i wiedział o tym.

Biegi uległy zmianie. Życie toczyło się własnym torem, a my jak na taśmę sunęliśmy ku czekającym nas wydarzeniom.

Przyjechali pracownicy zakładu pogrzebowego. Jeden z nich był nadmuchaną, dorosłą wersją chłopaka z ekipy technicznej na basenie. Pamiętałam go w T-shircie i szortach marki Umbro, teraz bawił się drobnymi w kieszeni szerokich spodni.

– Pani godność...

Wyciągnęłam do niego rękę dosłownie nad ciałem mojego taty.

– Alice. Mike, prawda?

– Alice, najszczęśliwsze kondolencje.

Kiedy tak stałam boso we flanelowym szlafroku mamy, ogarnęło mnie nieprzyjemne wrażenie, że chyba czuliłam się z tym facetem za barem z przekąskami, między dwoma zbiornikami z chlorem. Czy wtedy nie nosił koziej bródki? Robiliśmy coś więcej poza całowaniem? „Daj spokój, nikt nas nie widzi”.

Mike i jego pomocnik przestrzegli, żebym nie patrzyła na ich pracę, ale ich nie posłuchałam.

Kiedy karawan zjeżdżał w dół naszego wzgórza, wyjrzałam z okna na piętrze i zobaczyłam grupkę sąsiadów na końcu podjazdu po drugiej stronie ulicy. Mieli na sobie płaszcze kąpielowe i kręcili głowami, gazety w niebieskiej folii trzymali w tych samych rękach, które kiedyś dawały mi cukierki na Halloween i pieniądze

za opiekę nad dzieckiem.

Ed Pearse. Dobry człowiek. Jeden z najlepszych.

Przyjechał Nicholas z naszymi dziećmi i swoimi rodzicami. Później, kiedy sprawnie rozmontowali szpitalne łóżko i przekonali mamę, żeby się przespała, zastanowiłam się nad tym i doszłam do wniosku, że moi teściowie musieli całą noc jechać z Clevelandu. Nigdy nie zapytałam, skąd wiedzieli, że to już pora.

Dzieci zerkały na mnie nerwowo, jakbym miała nową dziwną fryzurę, do której nie potrafią się przyzwyczaić. Wiedziałam, że Nicholas już im powiedział.

Oliver spojrział mi prosto w oczy.

– Mamusiu, wszystkim nam jest bardzo smutno.

– Wiem, wróbelku. Mnie też.

– Gdziekolwiek dziadek jest, założę się, że dużo mówi – powiedziała

Margot.

Georgie wskazała mokasyny koło tylnych drzwi.

– Mamusiu, dziadek zapomniał butów!

Usiadłam przy kuchennym stole i wypłakałam całe pudełko chusteczek higienicznych.

Do: scrollglobal@scroll.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

Z żalem informuję, że ojciec Alice Pearse, Edward V. Pearse, odszedł dzisiaj rano po dzielnej walce z rakiem krtani. Miał 69 lat. W imieniu zespołu wysłę rodzinie jadalny bukiet.

Oczywiście byłam na liście Scroll Global, więc zaczęły przychodzić odpowiedzi. Były między nimi i takie, choć nie tylko:

Dziękujemy, że nas powiadomiłaś, Genevieve.

Zespół z Clevelandu myśli dzisiaj o zespole z Nowego Jorku.

Wiecie, kiedy Alice wróci do pracy?

Wiemy, gdzie była Alice ze swoją ewaluacją na liście GO w tym tygodniu?

Biedna Alice. Czy on palił?

Jedzenie było niesamowite. Tace z pieczonymi kurczakami, zimne mięsa,

kanapki, naczynia żaroodporne z instrukcją, jak odgrzać makaron ziti, lasagne, kisz, zapiekankę owczarza, musakę. Wieże ciastek brownie i cytrynowych, rogalików z różnymi nadzieniami, tort firmy Linzer. Ktoś zostawił gigantyczną misę z drżącym puddingiem z tapioki na tylnych schodach, a właściciel pralni chemicznej podrzucił blender. („Super, pudding i smoothie. Tego właśnie mi trzeba na pocieszenie” – powiedział Will). Judy zawinęła wszystkie te dary różową folią i ustawiła w lodówce w żołnierskim porządku. Jedliśmy, jedliśmy, jedliśmy i ciągle umieraliśmy z głodu.

Kolejka do ostatniego pożegnania wiała się od zakładu pogrzebowego na parking sąsiadującej z nim apteki CVS. Stałam z Willem i mamą w środku onieśmielającej półokrągłej dekoracji kwiatowej zdobionej wstążkami, a Mary i Nicholas na zmianę pilnowali dzieci, które przewróciły zbiornik z wodą podczas zabawy w kozła.

Ludzie płynęli falami, bez ładu i składu. Dawny nauczyciel gry na perkusji Willa przyszedł zaraz za kuzynami taty, brat mojego dziadka, który nie uronił ani jednej łzy, ukląkł w ławce obok fryzjera taty szlochającego tak głośno, że słychać go było w toalecie dla kobiet. Moje koleżanki z college’u rozmawiały z trzema z sióstr taty, a bracia mamy – z radnym, którego tata nigdy nie lubił.

Było kilka niespodzianek: nieznajomy, który powiedział, że w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku roznosił z tatą gazety (dał mamie wizytówkę na wypadek, gdyby potrzebowała trenera osobistego), lincoln pełny redaktorem „You” („Twoje koleżanki są super” – powiedział mój kuzyn, wodząc wzrokiem po ich długich nogach i niebotycznych szpilkach), moja koleżanka z liceum, która w pewne wakacje odwiedziła nas na Long Beach Island („Pani mąż przekonał mnie do studiów prawniczych” – powiedziała mamie. „Teraz jestem sędzią federalnym”). Super, pomyślałam. A ja zarabiam na życie, handlując gramami komputerowymi.

Każdy wypowiadał wariację tej samej kwestii: „Tak mi przykro, że cię to spotkało”, „Najszczerze kondolencje”, „Walczył do końca”, „Jest teraz w lepszym miejscu”, „Jeśli jakoś mogę pomóc...”. Najbardziej podobały mi się te odbiegające od scenariusza: „Robił cholernie dobre martini”, „Ed Pearse nie gadał głupot” albo „Był zimnym draniem”. Przez większość czasu funkcjonowałam na autopilocie, ale o mało się nie załamalam, kiedy brat taty ujął mnie za łokieć i pochylił się, szepcząc mi do ucha: „Był bardzo dumnym ojcem”.

Mike wyłonił się zza wazonu kalii, kiedy wychodziłam z zakładu pogrzebowego.

– Alice?

– Tak?

– Chciałem ci tylko powiedzieć...

– Tak? – Nie zamierzałam okazywać zniecierpliwienia, ale Nicholas czekał w samochodzie, a ja byłam wyczerpana. Stopy mnie bolały, mięśnie twarzy odmawiały posłuszeństwa po wysiłkach czterogodzinnego przybierania odpowiedniej miny.

– Hm, zwykle nie mówię tego rodzinom osób, przy których pracuję... – „Przy których pracuję”? Ten obraz był zbyt okropny, żeby się nad nim zastanawiać. – Wiesz, próbuję przez to powiedzieć, że znałem twojego tatę. Pamiętam go z basenu.

– Naprawdę?

– To on zwykle siadał przy trampolinach, no nie? Palił fajkę, rewelacyjnie się opalał? – Mike przestąpił z nogi na nogę. W jaskrawym świetle lampy wiszącej pod sufitem widziałam gładką różową skórę jego głowy.

– To był mój tata. – Czas przeszły.

– Był świetnym facetem. Umiał słuchać.

– Naprawdę? – O tym przekonałam się później, jako nastolatka nie fatygowałam się opowiadaniem czegokolwiek tacie. Prawdę mówiąc, kiedy przychodził na basen, najczęściej udawałam, że go nie znam.

– Tak. Raz pożyczyłem od niego zapalniczkę. Powiedział mi, że powinienem rzucić palenie. Rozmawialiśmy długo o pieniądzach. O tym, że ludzie powinni wydawać tyle, ile mają, a nie polegać na kredytach. Gość był cholernie mądry.

Uśmiechnęłam się. Cały tata.

– I jak, rzuciłeś?

– Owszem. Z dnia na dzień. Przerzuciłem się na tabakę, taka prawda. – Mike niezgrabnie się uklonił z jedną ręką na krawacie we wzór kości do gry, od którego można było dostać oczopląsu. – No tak. Chciałem, żebyś o tym wiedziała. Najlepsze życzenia dla ciebie i twojej rodziny.

Zniknął za drzwiami z napisem „Wstęp tylko dla personelu”.

Gdyby tylko tata zastosował się do własnej rady, pomyślałam.

Nie byłam przy ołtarzu w kościele Matki Boskiej Bolesnej od czasów, kiedy pełniłam (bardzo niechętnie) funkcję ministranta, co pewnej niedzieli skończyło się jak nożem uciął: przez pomyłkę polałam dłonie księdza czerwonym winem, a nie wodą. Teraz z Willem stałam przy dębowym pulpicie, dwa i pół metra ponad zebranymi, i wspominaliśmy tatę.

Na zmianę nachylaliśmy się do mikrofonu. Kiedy Will opowiadał o drugiej religii taty, prawie, ja wodziłam wzrokiem po ławkach zajętych do ostatniego miejsca. Byli tam mama, królewska w koronkach barwy kości słoniowej, Judy, Elliott i doktor Davis, Linda, Jessie i dziesiątki przyjaciół z Filament, w tym

Susanna i Paul z dziećmi. Mimo że rzadko bywałam na zebraniach, zarząd Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli ze szkoły imienia Louisy May Alcott stał się w komplecie. Łatwo było wypatrzeć naszych krewnych, bo wszyscy mieli włosy białe jak śnieg i wyraz troski na łagodnych twarzach. Starsi Irlandczycy nawet w żałobie wyglądają, jakby się uśmiechali; moi wujowie i ciotki nie byli wyjątkiem.

Pośrodku kościoła w trzech rzędach siedzieli mężczyźni i kilka kobiet w szarych i granatowych garniturach, partnerzy taty z kancelarii, prawnicy od spraw karnych i podatkowych, specjaliści od bankructw, których nazwiska (i tylko nazwiska) w czasach mojej młodości były legendarne i wymieniane przy kolacjach. Niektórych rozpoznałam, głównie rówieśników taty, tak jak on zatrudnionych zaraz po studiach pod koniec lat sześćdziesiątych: Curley, Progresso, Rankin, Marcus.

Pamiętałam ich z wizyt w kancelarii. Mimo że przyjaźnili się z nim przez ponad czterdzieści lat, w gruncie rzeczy byli prawie nieobecni w czasach jego emerytury, a przez ostatnich kilka miesięcy całkiem niewidoczni. Może się okazało, że poza prawem nic ich nie łączyło, a może brakowało im hartu ducha na prowadzenie rozmowy z kimś, kto brzmi jak automat, ale ich zniknięcie zostało zauważone i przyniosło rozczarowanie. Tata spędzał z nimi większość czasu w swoich najlepszych latach.

Nie miałam cienia wątpliwości, że po jego pogrzebie nigdy więcej ich nie zobaczę.

Will gestem dał mi znać, żebym zajęła miejsce przy mikrofonie. Moja kolej. Zaczęłam:

– Tata jako pierwszy członek swojej rodziny ukończył college. Już gdy byliśmy małymi dziećmi, zaszczepił w nas poczucie...

Mówiąc, zahaczyłam wzrokiem o znajomą, ale niepasującą do tego otoczenia postać w głębi kościoła. Zamrugałam, w ustach mi zaschło. Padało na nią światło wlewające się przez drzwi do mrocznego wnętrza i trudno mi było dojrzeć rysy jej twarzy, ale tak, to była Genevieve, stała oparta o ścianę, choć były wolne miejsca. Od stóp do głów ubrała się w czerń – spodnie z szerokimi nogawkami, dwurzędowy żakiet – z wyjątkiem pasiastej czarno-białej bluzki z dekoltem w łódkę, która nadawała całości styl Marcela Marceau.

Dlaczego tu była? I co miała na głowie? Przez sekundę, kuląc się w sobie, myślałam, że Genevieve na włosach przysiadł ptak – tej możliwości nie można było całkowicie wykluczyć, pamiętałam, jak ptaki czasami wpadały do kościoła i nie potrafiły się uwolnić – ale potem zrozumiałam: założyła stroik. Tak. Mały, czarny, z piór, umocowany na głowie pod zawiadiackim kątem. Dziwny wybór, pomyślałam, wracając do notatek.

Kiedy po komunii obejrzałam się przez ramię, już jej nie było.

Jeden po drugim goście opuszczali dom mamy. Przynękali, że niedługo się odezwą, i kazali nam obiecać, że damy znać, gdyby jakoś mogli pomóc.

Wiadomość dnia: nikt niczego ci nie zleci. Po prostu coś rób.

Amy, kilka lat ode mnie starsza córka jednej z koleżanek mamy od tenisa, z podwiniętymi rękawami pracowała cicho w kuchni, parząc jeden za drugim dzbanki mocnej kawy i układając karty z intencjami mszalnymi i kondolencjami w słomianym koszyku, żeby mama później mogła je przeczytać. Chociaż nasze mamy przyjaźniły się od dziesięcioleci, my nie nawiązałyśmy bliskich relacji. Aż do tego momentu ograniczały się one głównie do tego, że kiedy przestało ją interesować samotne oglądanie serialu 227 w sobotnie wieczory, poleciała mnie rodzinom, których dziećmi się opiekowała. Wiedziałam, że Amy jest teraz nauczycielką, matką kilkuletnich dzieci, a to oznaczało, że musiała zorganizować zastępstwo w pracy i wynająć opiekunkę, żeby u nas odbierać płaszcze i układać przekąski. Jej dobroć była niesamowita.

– Mam nadzieję, że moje dzieci wyrosną na ludzi takich jak Amy – powiedziałam do Willa.

– Wygląda na to, że raczej wdały się we mnie. – Brodą wskazał Georgie, która biegła po salonie z mieszadełkami do kawy wetkniętymi do nosa. Roześmialiśmy się, wymieniliśmy spojrzenia pełne poczucia winy, a potem zanieśliśmy się histerycznym chichotem, co nie zdarzyło się nam od trzydziestu lat.

Zjedliśmy ostatnie kawałki sernika, palcami wskazującymi zebraliśmy ostatnie okruchy ciasteczek cytrynowych.

Później piliśmy baileya, przeglądałam albumy wypełnione fotkami z polaroida i wymieniałam się z Willem ulubionymi historiami rodzinnymi. Opowiedziałam o przejażdżce, na którą tata zabrał mnie wieczorem przed wyjazdem do college'u. „Dokąd jedziemy?” – zapytałam zirytowana, że omija mnie grill u koleżanki, bo po jej rodzicach można się było spodziewać, że podadzą drinki z winem. Tata wskazał znak drogowy najbliżej naszego domu: „Zjazd 142 A. Zapamiętaj, ludzie będą chcieli to wiedzieć”.

– Typowe. – Will cicho się roześmiał i pokręcił głową. – A pamiętasz, jak poszliśmy na szczyt Empire State Building?

Potaknęłam, oczywiście, że pamiętałam. Była niedziela, z nieba lał się żar i my dwoje wolelibyśmy grać w Marco Polo na głębokim końcu basenu, ale rodzice się uparli przy pielgrzymce do miasta. Kiedy wjechaliśmy na taras obserwacyjny, Will i ja błagaliśmy o ćwierćdolarówki do lunety, a potem po kolei podglądaliśmy ludzi w innych wysokich budynkach. Niewypowiedzianym – i nieosiągniętym – celem było dostrzeżenie kogoś nagiego.

Kiedy czas wynajmu lunety dobiegał końca, niechętnie ustąpiliśmy miejsca tacie, a on skierował ją na Weehawken. Will i ja wybuchnęliśmy śmiechem. Co za

strata pieniędzy! Na drugim brzegu rzeki nie było nic do oglądania oprócz zardzewiałego zegara Colgate Palmolive i miejsca pojedynku Aarona Burra i Alexandra Hamiltona. (W szkole podstawowej nie uczyliśmy się o wojnie wietnamskiej, za to co roku omawialiśmy ten pojedynek i lekcje często były wzbogacone o rekonstrukcję w strojach z epoki).

Kiedy się opanowaliśmy, Will zapiął swoją bluzę Members Only i zapytał: „Tato, dlaczego patrzysz na New Jersey?”.

Tata wzruszył ramionami i poprawił okulary. Jego odpowiedź jak zawsze była rzeczowa. „New Jersey to dom”.

Stałam przed okularami, ale nic nie zobaczyłam. Nasz czas się skończył.

Nazajutrz rano Margot pomogła mi zanieść składane krzeselka do garażu. Kiedy ustawialiśmy je przy ścianie pomalowanej we wzór łap szopa, zauważyłam pudła z cebulkami tulipanów i żonkili, których tata jesienią nie posadził, bo był za słaby.

Uświadomiłam sobie, że musiał już wtedy wiedzieć. Bał się?

Judy i Elliott objęli mocno mamę, po czym ruszyli w długą drogę do Clevelandu. Pożegnaliśmy się z Mary, potem z Willem, który mocno zacisnął powieki i gwałtownie kręcił głową, kiedy mama dziękowała mu za wszystko, co zrobił. Stałyśmy we dwie na podjeździe, machając, dopóki subaru nie zniknęło nam z oczu.

Na podwórku panował spokój. Opuściłyśmy ręce. Niby się skończyło, ale oczywiście to nie była prawda. Najtrudniejsza część dopiero się zaczynała.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

Przepraszam, że nie miałam okazji porozmawiać z Tobą po nabożeństwie. Cieszę się, że mogłam przy Tobie być. Twoja rodzina wydaje się bardzo miła.

Ci sami ludzie, którzy z takim uporem mnie przekonywali, że powinnam zrobić sobie jakąś przyjemność, kiedy tata był chory, teraz równie stanowczo twierdzili, że powinnam poświęcić tyle czasu, ile potrzebuję, na powrót do rzeczywistości. Niestety, nikt z nich nie pracował w Scrollu, gdzie nie było dni wolnych na żałobę, a zegar cyfrowy na GatheringPlace wskazywał, że przekroczyłam przysługujący mi urlop.

Pomiędzy osiemset dwudziestoma dwoma nieprzeczytanymi mejlami znalazłam wiadomość z działu HR. Musiałam wypełnić kartę problemu dotyczącą nieusprawiedliwionych nieobecności, w przeciwnym razie obetną mi pensję. Na karcie nie było opcji „śmierć w rodzinie”, zaznaczyłam więc „inne/zdrowotne” i wysłałam do swojego zespołu mejla z informacją, że wracam w poniedziałek.

– Naprawdę? – powiedział Nicholas. – Alice, i co z tego, że ci obetną wynagrodzenie? Powinnaś o siebie zadbać.

– Nie, wszystko w porządku. Dobrze będzie czymś zająć myśli.

Moje oczy reagowały bólem na światło, widziałam niewyraźnie nawet przez szkła kontaktowe, w pierwszy dzień pracy umówiłam się więc na poranną wizytę u okulisty. Doktor Mandelbaum obniżył urządzenie na wysokość mojej twarzy i poprosił, żebym oparła brodę na podpórce wyłożonej bibułą.

– Pani bratowa okulistka ma rację, rzeczywiście ma pani dwie rysy na rogówce, moja droga. Żadnych szkieł kontaktowych przez tydzień, proszę wkładać okulary przeciwsłoneczne, kiedy będzie pani przebywała w jasnym świetle. Przepiszę pani krople do stosowania trzy razy dziennie. – Zdjął rękawiczki i wziął niebieski bloczek.

– Dobrze – odparłam, już wzdragając się na myśl o publicznym występie w okularach w kształcie kocich oczu, w których tak świetnie wyglądała Lisa Loeb w epoce *Orbitowania bez cukru*. – Może mi pan powiedzieć, jak to się stało?

– Jakiś uraz oka w ostatnim czasie?

– Nie przypominam sobie.

– Duży stres?

Westchnęłam.

– Cóż, umarł mój tata.

Doktor Mandelbaum odwrócił gwałtownie głowę od umywalki, przy której mył ręce.

– To by pasowało. – Spojrzał z zainteresowaniem na moją kartę. – Musiał być dość młody.

– Wiele lat temu miał raka, który teraz powrócił.

– Słowo daję, to straszna wiadomość. Proszę o siebie dbać.

Przyrzekłam, że będę, a potem siedziałam sama w ciemności, z piekących oczu płynęły mi łzy, a z sąsiedniego gabinetu dobiegał dudniący głos doktora Mandelbauma:

– Słucham, co się dzieje?

Kiedy przyszedłam do pracy, zespół zgromadził się w sali konferencyjnej na zebraniu, którego nie było w moim kalendarzu. Matthew pokazał mi krzesło obok siebie i lekko dotknął mojego ramienia, gdy usiadłam.

– Cieszę się, że wróciłaś. Lunch?

– Z przyjemnością.

Ekran zamigotał i ożył, ekipa z Clevelandu siedziała przy stole jak sędziowie na konkursie ortograficznym. Greg kpiąco zasalutował i powiedział:

– Alice. Cieszę się, że jesteś w dobrej formie.

– Ja też się cieszę.

Tylko że wcale nie byłam w dobrej formie, oczy mi łzawiły i tak bardzo kłuły, że ledwo mogłam utrzymać powieki otwarte. Z ociąganiem pochyliłam się, z plecaka wyjęłam gigantyczne okulary słoneczne i nałożyłam je na zwykłe okulary. Asystentka doktora Mandelbauma wmusiła mi je na receptę. („Moja złota, niech pani koniecznie je weźmie”). Miałam zamiar wytrzymać, dopóki krople nie zaczną działać, ale moje oczy nie miały szans w jarzeniowym świetle sali konferencyjnej.

Kiedy podniosłam głowę, wszyscy się na mnie gapili, w tym Genevieve, której oczy nagle wyglądały jaśniejaco, czujnie i młodo.

– Przepraszam. Drobne problemy z oczami.

Salę wypełnił głos Grega, choć dzieliła go od nas połowa kraju.

– Więc jak, Stevie Wonder, chcesz zacząć?

– Zacząć? – Posłałam Matthew rozpaczliwe spojrzenie. A w ogóle jaki był temat tego zebrania?

Genevieve usiadła prosto, patrząc nerwowo na wielki ekran.

– Tak, Alice, chcemy usłyszeć twoje trzy najbardziej innowacyjne pomysły,

jak nasze salony mogą wyjść naprzeciw oczekiwaniom klientów.

– Moje trzy najbardziej...

– Innowacyjne pomysły. Nie dostałaś zapytania? Wysłałam je w zeszłym tygodniu.

I mówić tu o chrzcie ogniowym. Nie dość, że musiałam nosić dwie pary okularów, to jeszcze teraz się okazało, że jestem kompletnie nieprzygotowana?

Rozważyłam próbę improwizowania, ale stan mojego ducha na to nie pozwalał. Dłoń Matthew odnalazła moje kolano pod stołem – dowód zaufania.

Tego było za wiele. Oczy zaszyły mi łzami.

– Alice? Wolisz, żebyśmy zaczęli od innego członka zespołu?

– Ja... nie mam żadnych pomysłów.

– Żadnych? – Od dudniącego śmiechu Grega zawibrowały szyby w naszych oknach.

– Tak mi przykro, Gregu, Genevieve. – Poprawiłam obie pary okularów. – Nie jestem przygotowana do tego spotkania. Powinniście zapytać mnie kiedy indziej.

Matthew nachylił się do mikrofonu w kształcie diamentu na środku stołu i zaczął mówić. Uwaga pozostałych przeniosła się na niego, ale Genevieve nie odrywała wzroku ode mnie. Jej twarz poczerwieniała, wpatrywała się we mnie z konsternacją, irytacją, wreszcie wściekłością. Maską. Zza ciemnych okularów odwzajemniałam spojrzenie.

Genevieve nigdy osobiście nie wspomniała o pogrzebie, ja też nie. Po katastrofalnym zebraniu omijała mnie szerokim łukiem, ale przysłała mi surowego mejla nawiązującego do rozmowy o „prezentacjach” na naszym następnym spotkaniu w cztery oczy.

Kiedy przechodziłam obok biurka Davida, powiedział:

– Witaj z powrotem, Alice. Lepiej się czujesz?

– Tak, dziękuję. – Umilkłam na moment. – Wiesz, że mój tata umarł, prawda?

– Tak! Przepraszam, nie chciałem ci przypominać. Dostaliście jadalny bukiet?

– Owszem, dziękuję. – Tłumaczenie: stał na środku stołu w jadalni przez trzy dni i nikt go nie tknął.

– Pycha, co?

– O tak, na pewno. – Tłumaczenie: prawdę mówiąc, nie bardzo. Ananas nadziany na wykałaczkę nigdy nikomu nie poprawia samopoczucia.

Matthew zażądał szczegółowej relacji z ubiegłego tygodnia, w tym opisu ostatnich godzin taty.

– Chodzi mi o to, czy wiedziałaś, że to koniec?

– Tak. Właściwie tak.

– Bałaś się?

– Nie.

– Miał ostatnie życzenia?

– Nie było o tym mowy, Matthew.

– Czegoś żałował?

– Tata? Właściwie to powiedział, że żałuje, że więcej nie jadł.

Matthew ugryzł spory kawałek pączka z galaretką, obsypując sobie przód koszuli cukrem pudrem.

– Też bym żałował. I co twoja mama będzie teraz robiła?

– Nie wiem. Jest wyczerpana po tych ostatnich miesiącach. Pewnie potraktuje to na luzie, ma mnóstwo przyjaciół...

– Sprzeda dom?

– Och, nie sądzę. Nicholas zajmuje się sprawami spadkowymi. Myślę, że mama da sobie radę.

Matthew okręcił się na krześle twarzą do komputera.

– No tak. Jeśli szukałaby zajęcia, Starbucks zawsze przyjmuje ludzi do pracy. Mnóstwo emerytów się tam zatrudnia.

– Dzięki, będę o tym pamiętała.

W pociągu do domu zasnęłam tak głęboko, że przegapiłam swoją stację. Kiedy wytoczyłam się na ulicę w Upper Filament, zdezorientowana i nieprzytomna, koło mnie zahamowała Susanna.

– Wskakuj, odwiezę cię do domu – powiedziała, zdejmując z siedzenia pasażera torbę z chińszczyzną na wynos. Położyła mi dłoń na karku i ruszyliśmy, słuchając w Lite FM Norah Jones śpiewającej *Come Away with Me*. Nie próbowałam nawiązywać rozmowy.

Droga Alice,

od ostatniego tygodnia nieustannie o Tobie myślę. W drodze powrotnej do miasta rozmawiałyśmy z dziewczynami z „You”, że Twój tata musiał być niezwykłym człowiekiem, skoro ma taką wspaniałą córkę jak Ty. Will także wydaje się w porządku, niewątpliwie odznacza się mądrością człowieka dużo przebywającego na świeżym powietrzu. A Twoja mama! Miała milion ludzi, z którymi musiała porozmawiać, a mimo to jakimś cudem znalazła chwilę, żeby opowiedzieć mi historię zaręczyn z Twoim ojcem. Strasznie mi się spodobało, że to ona mu się oświadczyła.

Nie mam pojęcia, przez co teraz przechodzisz, ale jestem pewna, że Pearse'owie i Bauerowie bezpiecznie przeprowadzą Cię na drugą stronę. Ja też tu jestem, nie zapominaj.

Serdeczności dla Nicholasa i menażerii,
Annika

Przez chwilę podziwiałam kaligraficzne pismo swojej dawnej szefowej z „You”, a potem wolno zamknęłam wytłaczaną kartę. Zdumiewało mnie, jak niektórzy ludzie dokładnie wiedzą, co powiedzieć.

Czułam się tak, jakbym za długo tkwiła w zawieszaniu, potrzebowałam energicznego powrotu do działania. Na nieszczęście wysiłek z tym związany wprawiał mnie w oszołomienie i dezorientację. Poza tym świat był wyblakły, jakby w spektrum barw brakowało kolorów podstawowych.

Teraz, gdy formalne czynności związane z żałobą mieliśmy za sobą, musieliśmy radzić sobie sami.

Dyrektorka gimnazjum liczyła na mój udział w Dniu Kariery, dlatego poszłam. Nawet ja byłam znudzona swoją prezentacją, koncentrującą się głównie na ciastach i tłoczonych sokach ze Scrolla. Nadal nie dostałam zielonego światła na publiczne informowanie, że będziemy sprzedawać gry komputerowe, a byłam pewna, że kto jak kto, ale nastolatki przyjąłby tę wiadomość z entuzjazmem. Opowiadałam, że zawsze uwielbiałam czytać, że sprzedawałam książki członkom swojej rodziny, stąd praca w Scrollu była dla mnie prawdziwym spełnieniem marzeń. Dokoła mnie same ziewnięcia. Jakiś chłopak wyjął wykałaczkę z tylnej kieszeni i nastroszył sobie włosy.

W końcu do sali weszła Margot ze swoją grupą z szóstej klasy, zajęli miejsca na skrzypiących krzesłach za porysowanymi stołami. Pomachała do mnie bez entuzjazmu, ja odpowiedziałam tak samo, bo nie chciałam jej wprawiać w zbytnią konsternację. Ucieszyłam się na widok Audrey, nie miałam pojęcia, że są w tej samej grupie. Ale Audrey się nie przywitała, tylko opadła na miejsce w tyle sali pomiędzy dwiema dziewczynami, wyraźnie stanowiącymi jej świtę. Oho, pomyślałam, Audrey to dziewczyna alfa! Nigdy nie jesteśmy za stare, żeby taką wypatrzeć w tłumie. Koszula zsuwała się jej z ramion jak we *Flashdance*, odsłaniając turkusowe ramiączko stanika. To była nowość.

Mniej więcej w połowie prezentacji, akurat kiedy miałam rozdać kilka wersji nowego logo Scrolla, żeby mogli wybrać to, które podoba im się najbardziej, Audrey nachyliła się do koleżanki i dłonią zasłoniła usta. Szeptala coś, ale to jej oczy opowiadały całą historię: były utkwione w czerwieniejącym karku Margot i okrutnie się mrużyły. Dziewczyny w tylnym rzędzie pogardliwie się uśmiechnęły. Margot spojrzała na mnie z udręką.

I to mi wystarczyło, już wiedziałam, dlaczego nie chciała, żebym przychodziła do gimnazjum. Oczywiście byłam żenująca i stara, a moja praca wcale nie była aż tak fascynująca – dla mamy jedenastolatki to rzeczy oczywiste. Ale jaka gimnazjalistka chce patrzeć, kiedy z jej mamy wyśmiewa się dziewczyna, która zna ją najlepiej?

Serce mi pękało na myśl o Margot.

Nicholas postanowił, że powinniśmy zainwestować w nowe szafki kuchenne, ponieważ obecne groziły odpadnięciem od ściany. Powiedział:

– Zaslugujemy na drobną przyjemność po ostatnich tygodniach, nie sądzisz?

Zgodziłam się z ociąganiem. Nadal nie czułam się dobrze w naszej sytuacji finansowej, ale dostaliśmy skromny spadek po tacie.

– Na pewno by chciał, żebyśmy zainwestowali te pieniądze w dom – rzuciłam, chociaż wiedziałam, że to nieprawda. Tata, który stanowczo sprzeciwiał się kupnu mikrofalówki, z całą pewnością wolałby, żebyśmy trzymali te pieniądze w banku.

Nagle zaczęliśmy oglądać sześciopalnikowe kuchenki, orzechowe podłogi, importowane mozaikowe kafle i nowoczesne systemy oświetleniowe złożone z mocnych żarówek zwisających z sufitu na kablu owiniętym w tkaninę.

– Aha – mruknęła mama z roztargnieniem, kiedy pokazałam jej wydruki ze Schoolhouse Electric. – Niewiele się zmieniło od tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku.

Cała rodzina stłoczyła się wokół kuchennego stołu, żeby podziwiać odbitki planów sporządzonych przez projektantkę imieniem Marjorie. Będziemy mieć świetliki, oświetlenie sufitowe, boazerię i listwy. Będziemy mieć jeden kurek z wodą w lodówce i drugi koło kuchenki, przez co nie trzeba się będzie męczyć noszeniem ciężkich garnków ze zlewu. Gwoździem programu będzie wyspa na środku, wykończona trzymetrową deską o naturalnej krawędzi, z drewna z odzysku. (Z odzysku skąd? I co miałyby być alternatywą dla naturalnej krawędzi?)

Dodałam cenę tych wszystkich wspaniałości do listy rzeczy, którymi się martwię w środku nocy.

Byłam w Market Table w Greenwich Village z agentką imieniem Lisa. Poznawałyśmy się wzajemnie przy naparstkach gazpacho z arbuza, „prezentu” od szefa kuchni, przyniesionego przez nadskakującego kelnera, który wyliczenie dań specjalnych poprzedził pytaniem:

– Jakies alergije, nietolerancje albo awersje?

– O Boże – odparła Lisa. – Za dużo, żeby wymienić.

Wiedziałam, że się polubimy.

– Jak ci się podoba praca z Genevieve?

– Naprawdę nie ma lekko, musi sobie radzić z Clevelandem. Przedtem

byłyśmy w bliższych relacjach, ale... Na tym poprzestaną.

– A kiedy otwarcie Scrolla? U mnie w agencji nie możemy się doczekać.

– Prawdę mówiąc, jeszcze nie wyznaczyliśmy konkretnej daty, ale wkrótce.

Mam taką nadzieję.

– Świetnie, bo szukam starego wydania *Miasteczka Middlemarch* dla męża.

Mam nadzieję, że to będzie pierwszy z wielu zakupów w Scrollu.

Uśmiechnęłam się słabo, oczami wyobraźni widząc zastęp antykwariuszy, których wynajęto, żeby wywieźli wszystkie pierwsze wydania z Pro. Regały także rozmontowano, potrzebowaliśmy miejsca dla monitorów z płaskimi ekranami i gumowych foteli w kształcie jaja. Los naszych wymarzonych książek był niejasny, nadal miałam Virginię Woolf zachomikowaną nad biurkiem.

– A powiedz, jak ty się tam czujesz? Nie potrafię sobie wyobrazić lepszej pracy.

– Było niesamowicie. Wiesz, mają zająć... pewne zmiany, o których nie mogę na razie mówić.

– Marzę, żeby wreszcie zwinąć się w kłębek w jednym z waszych foteli!

Georgie: Zobaczymy się niedługo z dziadkiem?

Ja: Nie, skarbie. Pamiętasz, że umarł?

Georgie: Tak, ale ja narysowałam mu jego ogród.

Ja: Możesz dać rysunek mnie. Powieszę go na lodówce.

Georgie: Zaraz, więc ty teraz nie masz żadnego taty?

Ja: Nie.

Georgie: Ani jednego?

Ja: Ani jednego.

Georgie: A Sophie ma dwóch tatusiów.

Ja: Szczęściara z niej.

Georgie: Ale nie mieć tatusia to do bani.

Ja: Wiesz co? To rzeczywiście jest do bani.

Karty z kondolencjami płynęły szybkim, gwałtownym strumieniem. „Pamięć jest skarbnicą czasu, który w sercu zawsze pozostaje żywy”. „Łączę się z Tobą w smutku” (a jak niby?). Najbardziej spodobała mi się ta od kobiety o cichym głosie, którą spotykałam w grupie rodziców na gimnastyce: „Nie znamy się zbyt dobrze, ale mój tata umarł pół roku temu. Może wybierzemy się gdzieś i upijemy?”.

Jeszcze we wrześniu zgłosiłam się do pomocy przy organizacji charytatywnego wieczoru kabaretowego w szkole Margot. Nadeszła pora, żebym wywiązała się z obietnicy, zgodziłam się więc wysłać zaproszenia. Zakładałam, że moja praca będzie polegała na zawiadomieniu rodziców elektronicznie, dopóki nie dostałam mejla z zaproszeniem na zebranie w tej sprawie w domu Kary.

Specjalne zebranie?

Przewróciłam oczami i przekręciłam monitor, żeby Matthew mógł zobaczyć dołączoną do wiadomości fotkę butelki chardonnay.

Poszłam do Kary prosto ze stacji, po drodze zjadłam kawałek pizzy. W holu pachniało cytryną, ogień strzelał wesoło na ruszcie w kształcie czarnych labradorów. Jej serdecznemu uściskowi ciepła dodawał luźny kaszmirowy sweter barwy mchu.

- Witaj, kochana. Tak się cieszę, że udało ci się przyjść.
- Cała przyjemność po mojej stronie, tyle przynajmniej mogę zrobić.
- Alice, nabożeństwo było piękne. Prawdziwy hołd. I te kwiaty! – Palcem wskazującym przesunęła od oka w dół policzka, pokazując toczącą się łzę.
- Dziękuję, Karo. – Podążyłam za nią do jadalni, gdzie przy stole siedziały kobiety składające i wsuwające do kopert zaproszenia. Do tej pory widziałam takie jedynie z okazji ślubów: trzyczęściowe, z prośbą o potwierdzenie, z kopertą na potwierdzenie, z welinową bibułą, z welinową kieszonką na całość i z kopertą, którą się otwierało i zamykało, owijając czerwony sznurek wokół metalowego pierścienia. To była skomplikowana operacja.

Na kredensie przedstawicielka handlowa Ava & Mabel Accessories ułożyła na czarnych aksamitnych podkładkach swoje towary: turkusowy naszyjnik obok koralowych kolczyków w kształcie kół, rząd pierścionków w formie złotych węży ze szmaragdowymi oczami. Miała syna w drużynie piłkarskiej Olivera i była stałym punktem programu podczas wieczornych spotkań matek – współczesne wcielenie pani z naczyniami Tupperware. Była bardzo przekonująca, owijała ci szyję kilkoma sznurami koralików, kiedy najmniej się tego spodziewałaś, po czym liczyła, że chór kobiet zacznie przekonywać, że zasługujesz na kupno tej

wyjątkowej rzeczy. Więcej, jesteś to sobie winna.

Przed moim krzesłem do stołu była przyklejona taśma. Zadanie polegało na ułożeniu zaproszenia na taśmie i zgięciu dokładnie w tym miejscu przy użyciu drewnianej linijki, żeby kant był prosty i ostry. Przedstawiłam się kobiecie po swojej lewej, która wsuwała karty z potwierdzeniami do kopert, przodem do góry. Kilka zostało wsuniętych odwrotnie i Kara uprzejmie poprosiła o poprawkę. Z naszych kontaktów w drużynie skautek już wiedziałam, że Kara jest ekspertką od uprzejmych próśb.

– Jestem mamą Margot Bauer – powiedziałam.

– A ja mamą Katie Rourke – odparła. Okazało się, że jak wiele znanych mi mam na imię ma Melissa. – Wydaje mi się, że Margot jest z Katie w grupie fotograficznej.

(Margot uczy się fotografii?)

– Uwielbia robić zdjęcia. Dużo słyszałam o Katie.

– Wybacz to pytanie, ale czy Margot ostatnio straciła dziadka?

– Tak. W zeszłym miesiącu umarł mój tata.

– Też przez to przeszłam – powiedziała po prostu Melissa. – Z czasem jest łatwiej.

– Dziękuję. Jestem ci wdzięczna.

Nagle mój przegub otoczyła srebrna nakładana bransoletka. Przedstawicielka Ave & Mabel cofnęła się równie szybko, jak się zbliżyła, pozwalając mi w spokoju podziwiać ozdobę. Bransoletka była gładka w dotyku i zaskakująco lekka, wzięwszy pod uwagę jej szerokość. Podobało mi się, że dzięki niej mój przegub sprawiał wrażenie delikatnego, a równocześnie silnego.

– Absolutnie musisz – powiedziała Kara. – Poważnie, drogie panie, ta bransoletka wygląda na Alice po prostu bajecznie. Niewiele osób ma odpowiedni układ kości do tego rodzaju ozdób.

Przedstawicielka stała obok i promieniała.

Inna mama pochyliła się nad stołem, złapała mały, wystarczający na dwa kęsy kawałek brownie i delikatnie ugryzła.

– Alice, jest dla ciebie idealna. Podaj kartę kredytową.

To była bezbolesna transakcja. Nienawidzę zakupów i rzadko noszę bransoletki, ale połączenie wina i towarzystwa serdecznych kobiet sprawiło, że zapragnęłam uczcić tę chwilę.

Mama, która wkładała gotowe zaproszenie do przezroczystego celofanowego woreczka i wiązała go skręconą w spiralkę wstążką barwy fuksji, powiedziała:

– Kara odwalila świetną robotę, no nie? – Wskazała schludny pakunek w swojej dłoni.

– To prawda – zgodziła się Melissa. – Wystarczy spojrzeć, jak urządziła się, żeby wiedzieć, że ma się do czynienia z geniuszem.

Nigdy nie widziałam sieni w domu Kary, ale znałam ten typ: mnóstwo uroczych haczyków, metalowa szafka dla każdego dziecka, rzędy wykładanych kraciastą bawełną rattanowych koszyków z zawartością wypisaną kredą na małych tabliczkach. Prawdziwe profesjonalistki mają robione na zamówienie półki na korki do piłki nożnej, łyżwy i gumowce, ale nie sądzę, żeby Kara dotarła do tego poziomu, cechowała ją oszczędność, która mi się podobała.

Nasza rozmowa dotyczyła zwykłych matczynych tematów: najlepsze trasy narciarskie w górach Pocono, ile lat powinna mieć córka, kiedy zaczyna golić nogi, nowa peruwiańska restauracja przy Bloomfield Avenue kontra nowa knajpka z kuchnią *fusion* przy Valley Road, kto być może się rozwiedzie, a kto nie, czyje dzieci mają wszy i czy rodzina skutecznie temu przeciwdziała, czy wręcz przeciwnie, kto wyraźnie schudł i jak to zrobił, czy na koniec okresu leasingu wykupić swojego minivana, czy lepiej wymienić go na nowy, którzy nauczyciele zadają za dużo prac domowych, a którzy traktują to lekko.

Co jakiś czas wracałyśmy do biżuterii. Przedstawicielka krążyła wśród zebranych, dopasowując swoje „sztuki” do odpowiedniej kobiety. Na koniec wieczoru jej podkładki były puste. Zapakowała je do wielkiej czarnej walizki, rozdała swoje wizytówki i zaproponowała, żebyśmy także urządziły sprzedaż u siebie. Wiedziałam, że Kara dostała górę biżuterii za darmo, to była część umowy.

Wychodząc o północy, palce miałam zdrętwiałe od składania zaproszeń, ale czułam dziwne zadowolenie. Kiedy żegnałam się z Melissą – pośpieszne cmoknięcie w policzek, standrad wśród mam – złapała mnie za ramiona i powiedziała:

– Pamiętaj, tu nic się nie przedawnia.

Zdezorientowana Kara patrzyła to na mnie, to na nią, ale ja dokładnie wiedziałam, co chciała mi powiedzieć.

WIOSNA

O szóstej czterdzieści dwie Georgie zeszła na dół w koszuli nocnej z różowej satyny w motylki i niebieskim kasku rowerowym w kwiatki, który dostała na Boże Narodzenie. Codziennie zadawała to samo pytanie:

– Możemy pojeździć na rowerze? Proooszę.

Odpowiedź zawsze brzmiała: nie. Na ziemi wciąż leżało pięć centymetrów śniegu, warstwa wierzchnia była rozdeptana i zamarznęta.

Tamtego dnia wyjrzałam przez okno i zobaczyłam długi czysty pas asfaltu na szkolnym parkingu po drugiej stronie ulicy. Wprawdzie wokół budynku i w zacienionych miejscach boiska nadal wznosiły się pryzmy śniegu, ale generalnie odwliż pozwalała na szybką przejażdżkę przed szkołą.

– Dobrze – odparłam. – Wkładaj buty, a ja wezmę rower.

– Cornelius może z nami pójść? – Jak zwykle był tuż przy jej boku z pyskiem otwartym w psim uśmiechu, z miną na poły tragiczną, na poły uroczą, która była jego znakiem firmowym.

– Dobrze. Bierz smycz. Wisi na haku koło... zaraz, zapytaj tatusia, gdzie jest smycz. Od jakiegoś czasu nie wyprowadzałam Corneliusa na spacer.

Kiedy odgrzebałam używany rower Georgie spod stosu talerzy do zjeżdżania, przypomniałam sobie, że jesienią Nicholas usunął dodatkowe kółka. Pierwsza jazda bez nich zakończyła się wielką kłapą, do brzydko obtartej nogi naszej córki trzeba było przyłożyć woreczek z lodem.

Doszłyśmy na parking o siódmej jeden.

Georgie przerzuciła nogę przez siodełko, podkasła koszulę nocną i gestem dała mi znać, żebym się cofnęła.

– Na pewno chcesz to zrobić akurat teraz? Nie jadłaś nawet śniadania.

– Na pewno. Zjem później.

I ruszyła przed siebie, pedałując na początku chybotliwie, później gładko, odpływając ode mnie z przeraźliwym okrzykiem:

– Mamusiu, jadę!

Cornelius szczekał hałaśliwie – to była psia wersja kibicowania.

Stałam z szerokim uśmiechem na twarzy, dziwiąc się tym nagłym karnawałowym zwrotom w swoim życiu. Tato, widzisz mnie teraz?

Nagle usłyszałam, jak Margot, Oliver i Nicholas wiwatują z naszej sypialni. Pracownica socjalna miała rację: okno się otworzyło.

Do głowy przyszedł mi pewien pomysł, po kolacji usiadłam więc na naszej zielonej sofie poznaczonej odciskami tłustych palców, żeby popracować. Nicholas zajął miejsce obok mnie z laptopem, na którym oglądał na YouTube urywki meczów koszykówki. Pił wodę niegazowaną.

– Nicholas, próbuję pracować.

– Przepraszam, chciałem spędzić trochę czasu z żoną. Wiesz, kiedy byłem dzisiaj u twojej mamy...

– Byłeś dzisiaj u mamy?

– Tak, porządkowałem sprawy podatkowe. Nie mówiłem ci?

– Nie, nie mówiłeś. Nicholas, czy mama nie powinna zrobić tego sama?

Albo wezwać kogoś z kancelarii taty?

– Hm, po co miałyby za to płacić, skoro w rodzinie jest doświadczony prawnik?

Był w nastroju do żartów, ja nie.

– Nicholas, bardzo mi się podoba, że pomagasz mojej mamie, ale masz na głowie własną pracę.

– Ty żartujesz, tak?

– Nie żartuję. Nie chcę, żebyś ryzykował...

– Alice. Twoja mama potrzebuje pomocy. Zamierzam jej pomóc. Tak należy postąpić. Kropka.

Sporządzałam listy, notowałam i na stronie internetowej firmy Ava & Mabel szukałam informacji o tabeli opłat i programach szkoleniowych. Obejrzałam kilka filmików, w których wypowiadały się przedstawicielki handlowe, wszystkie na jedną nutę: „Sprzedaż biżuterii na spotkaniach w domach daje mi elastyczność, której potrzebuję jako matka”. Czułam się trochę jak postać z filmu, siedząc po turecku i gorączkowo pracując do późnej nocy. Dodać puste pojemniki po chińszczyźnie na wynos i pałeczki seksownie wsunięte we włosy, a mogłabym być gwiazdą komedii romantycznej. Niestety, mój partner poszedł do łóżka, nie mówiąc mi dobranoc.

Kiedy przedzierałam się przez tłum przed Radio City, na ekranie komórki pojawiło się zdjęcie mojego brata z rozdania świadectw w liceum. Zrobiłam je w domu mamy, już sama fryzura Willa, krótka z przodu, długa z tyłu, mnie rozśmieszała, nie wspominając o białych koralach na szyi i T-shircie z Jimmym Buffettem.

- Hej, to ja.
- Cześć. Wiem.
- Co robisz?
- Idę do pracy, a ty?
- Jestem w pracy. Niewiele się dzieje.

– Och. – Wyobraziłam sobie Willa w jego drewnianym biurze, które mieściło się w podniszczonej rybackiej chacie na brzegu zatoki Casco. Z okna miał widok na sosny, iglice kościoła na Orr's Island i most Cribstone prowadzący na wyspę Bailey nad zatoczką Will's Gut (zbieg okoliczności). Był oddalony ode mnie tylko o siedem godzin na północ w linii prostej wzdłuż wybrzeża, ale równie dobrze mógłby przebywać na Syberii.

– Alice, wiesz, co najbardziej mnie dziwi? To, że masz wrócić do normalności, ale przecież wszystko się zmieniło. Czujesz, kurwa, że zostałam z niczym.

Nagle był tutaj, szedł ze mną po połyskliwe szarym chodniku. Jego obecność istotnie była obecna.

– Właśnie tak. – Westchnęłam. – Myślisz, że nas teraz widzi?

– Nie mam pojęcia. Chciałbym wiedzieć. – Will strzelił kłykciami, przez telefon było to równie irytujące jak osobiście. – I jeszcze jedno. Teraz dostaję połowę mejli i esemesów. Wysyłał mi jakieś pięćdziesiąt...

– Wiem. Mnie też.

– Czytałaś wszystkie?

Pokręciłam głową: nie. To słowo tak mnie zawstydziło, że nie potrafiłam wypowiedzieć go na głos.

Wpadłam na Genevieve, wysiadając z windy. Miała zirytowany wyraz twarzy, jakby mnie nie znała i nie była pewna, dlaczego się do niej uśmiecham.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła.

– Dobrze. Jesteś teraz wolna? Bo wiesz, jest coś, co chciałam z tobą przedyskutować. – Próbowałam zachować pogodną minę, ale miałam wrażenie, jakby wnętrzości wypełniał mi ołów. Jak to możliwe, że mając trzydzieści osiem lat, nadal boję się kogoś tak samo jak nauczycielki w czwartej klasie?

– Tak. Muszę dokonać ogólnej oceny naszych postępów dotyczących gier. Zespół środowiskowy chce zmienić wystrój Pro, natychmiast, a odnosi wrażenie, że nie dostaje od ciebie stosownego wsparcia.

Poszłyśmy korytarzem do gabinetu Genevieve. Ponieważ to nie było zaplanowane spotkanie, wiedziałam, że lepiej nie siadać, stałam więc niezręcznie w progu. Zdjęłam rękawiczki i czapkę – nie poprowadzę tej rozmowy z pomponem na głowie.

Nie będę płakała w pracy. Nie będę płakała w pracy. Nie będę płakała w pracy.

– Genevieve, zanim powiem, co mi chodzi po głowie, muszę cię o coś zapytać: czy obejrzałaś którąś z tych gier z oferty Joysticka? – Orientowałam się, że Genevieve ma niejakie kłopoty z obsługą sprzętu, i nie byłam pewna, czy wie, jak nawigować po dysku ANT z SharePointu do WPM, stamtąd do KidVid i dalej do GO.

– Nie muszę w nie grać. Skoro Greg chce je sprzedawać, będziemy je sprzedawać.

– Ale ich wymowa stoi w kompletnej sprzeczności z tym, co pierwotnie planowaliśmy; wiesz, to zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Czy gry to naprawdę najlepszy...

– „Najlepszy” to pojęcie względne.

Trzymałam głowę nieruchomo, żeby łzy nie stoczyły mi się po policzkach.

– Genevieve, nie wiem, czy miałaś szansę wyjść poza arkusze kalkulacyjne, ale uwierz mi, *Podpalanie* nie dotyczy zabawy z zapalkami. Gracz jest podpalaczem i ma za zadanie wywoływać pożary w domach, w których śpią rodziny. Celem jest spalenie jak największej...

Genevieve uniosła zaskakująco małą dłoń.

– Trafiłaś w sedno, nie zamierzam wychodzić poza arkusze. Greg chce widzieć nasze zaangażowanie i zaczyna mieć wątpliwości. Musimy mu dać to, na czym mu zależy.

– Wiem, rozumiem, ale te gry są dla dzieci...

– W ostatecznym rozrachunku naszym celem jest zarabianie pieniędzy. Twoja akceptacja albo jej brak nie ma znaczenia.

– A jeśli mam inny sposób na zarobienie pieniędzy? Lepiej pasujący do mojego przygotowania zawodowego i oryginalnej misji Scrolla?

– Alice. Nie wrócimy do oryginalnej misji Scrolla. Sprzedajemy książki i gry komputerowe. Musisz to sobie wbić do głowy.

Nabrałam powietrza w płuca.

– Dobrze, ale czy mogę ci opowiedzieć o moim pomysśle?

Genevieve zamknęła oczy i powiedziała:

– Dobrze. Strzelaj.

– Okej. Wygląda to tak... – Przypomniałam sobie wielką pustą czarną walizkę kobiety sprzedającej biżuterię. – Wyobraź sobie domową sprzedaż, tylko że zamiast pojemników, biżuterii, świec czy czegokolwiek, czym się handluje na takich imprezach, można kupić książki. Przedstawicielka Scrolla przychodzi do twojego domu, żeby w niższej cenie zaprezentować najlepsze tytuły sezonu twoim przyjaciółkom. Gospodyni zarabia punkty na darmowe książki w zależności od tego, ile kupią jej goście. Wiemy, że kobiety uwielbiają pić wino i rozmawiać

o książkach, ale większość z nas nie ma pojęcia, co czytać. Dzięki Scroll Bests my przynosimy książki do ciebie.

Genevieve otworzyła oczy.

– Ha. Interesujące. Przygotowałaś analizę finansową?

Rozwinęłam swój pierwszy samodzielny arkusz kalkulacyjny. Przestudiowałyśmy go kolumna po kolumnie, liczba po liczbie. Genevieve właściwie nie odniosła się do pomysłu z entuzjazmem, chociaż uprzejmie słuchała. Kiedy skończyłam, powiedziała:

– Interesujące. Myślisz, że możesz podjąć próbę przekonania Grega?

– Wiem, że to mi się uda.

Nigdy w relacjach z Genevieve nie okazałam takiej pewności siebie i wyczułam niejaki podziw.

– W takim razie proponuję, żebyś zarezerwowała lot do Clevelandu. A na razie, Alice, musisz pokazać swoje zaangażowanie w WPM. W przeciwnym razie...

– W przeciwnym razie co?

– Będziemy musiały porozmawiać o twojej roli w tej firmie.

To był klasyczny unik w stylu Scrolla. Kiedy nie chcesz rozmawiać o tym, o czym właśnie rozmawiasz, przekładasz tę rozmowę na później.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: annlee@scroll.com

GREG BĘDZIE NA DEGUSTACJI WIN I SERÓW W DOLINIE LOARY W DNIACH, KTÓRE PODAŁAŚ. MOŻE SPOTKAĆ SIĘ Z TOBĄ W PIĄTEK 26 LUTEGO O 10.00 RANO. PROSZĘ, DAJ ZNAĆ, CZY TEN TERMIN CI ODPOWIADA. ☺

Ann, asystentka Grega, komunikowała się wyłącznie wielkimi literami. Można by pomyśleć, że na człowieka wrzeszczy, gdyby nie uśmiechnięta buźka na końcu każdej wiadomości. Kiedy ją poznałam, byłam zaszokowana odkryciem, że Ann jest nieśmiała i cicho mówi.

Susanna: Między dziewczynkami doszło chyba do jakiegoś incydentu. Nie jestem pewna, co się stało, ale Audrey mówi, że Margot ją ignoruje. Porozmawiamy o tym?

Ja: Niech każda zajmie się swoim dzieckiem, OK? Nie wydaje mi się, że powinniśmy w to ingerować.

Susanna: Spoko.

Na Flower Street był wieczór z tacos i wszyscy kłócili się o plik karteczek samoprzylepnych. Ollie dwanaście z nich zmienił w fiszki do nauki mnożenia przez siedem.

Margot twierdziła, że karteczki należą do niej i są przeznaczone wyłącznie do wykorzystania przy zadaniu językowym polegającym na notowaniu nieznanych słów podczas lektury *Słonecznego wina*.

Nawet Georgie przyłączyła się do sporu.

– Tak, Ollie – oznajmiła szyderczo. – I wzięłeś mój spinacz do spięcia tej tabliczki nożenia.

– Ollie, mamy po dziurki w nosie tych twoich kradzieży. Mamo, Ollie ciągle coś nam kradnie. – Margot skrzyżowała ręce na piersiach i posłała mi płomienne spojrzenie ponad miseczkami z dodatkami, które Jessie ustawiła na stole: pokrojone pomidory, guacamole, tarty cheddar, kwaśna śmietana.

– Dlaczego mnie w to wplątujecie, dziewczynki? Dajcie Olliemu spokój. Niełatwo być środkowym bratem dwóch sióstr. I chodzi wam przecież o karteczki samoprzylepne. Mamy ich setki, a jeśli trzeba, kupię więcej.

– Faj, niedobrze mi się robi, że zawsze bierzesz jego stronę, bo jest chłopakiem. To strasznie mizoginiczne. – Margot przewróciła oczami i prychnęła tak mocno, że powietrze z jej ust uniosłoby grzywkę, gdyby ją miała. Przypomniałam sobie, jak trzymała Olliego za pulchne rączki i prowadziła go dokoła salonu w naszym starym mieszkaniu, zanim nauczył się chodzić.

– Dosyć. – Dzięki Bogu, Nicholas zakończył tę rozmowę. W milczeniu jedliśmy pełnoziarniste tortille, aż wreszcie dzieci popędziły na wyścigi po schodach, prowadząc nową kłótnię o to, kto pierwszy pójdzie się kąpać.

– Genevieve chce, żebym pojechała do Clevelandu i przedstawiła pomysł sprzedaży domowej Gregowi.

– Naprawdę? Czy to znaczy, że się jej spodobało? – Nicholas napił się drinka. Pił jednego na wieczór, ale nadal pilnowałam stanu naszego barku.

– Kto wie.

– Kiedy jedziesz do Clevelandu? A odwiedziłabyś moich rodziców? Martwią się o ciebie.

Z łazienki na piętrze dobiegł głośny trzask, a potem głos Margot:

– Wszystko w porządku! Georgie zrzuciła odżywkę z wanny. Sprzątam!

– Dziękujemy! – odparliśmy chórem.

– No więc Cleveland... – zaczęłam.

– Tak! Jedź. Ja zostanę na straży. Prawie nie zauważymy twojej nieobecności.

– Dzięki, ale problem jest inny. Ann mówi...

– Kto to?

– Wsparcie Grega. Mówi, że...

– Zaraz, wsparcie? O czym ty mówisz?

Zwykle miałam niezaspokojony apetyt na wyśmiewanie się z nazewnictwa używanego w Scrollu, ale teraz byłam niecierpliwa.

– Ann to asystentka Grega. W Clevelandzie nazywają to „wsparciem”. To bardziej...

– Wspierające?

– Tak. Spójne. Tak czy owak...

– Wyobrażam sobie, że Ann nosi Grega w nosidełku, klepie go po plecach między spotkaniami i karmi psimi herbatnikami.

– Nicholas! Problem polega na tym, że muszę się spotkać z Gregiem w piątek przed twoim weekendem w Atlantic City. Czyli oboje wyjedziemy. Myślałam, żeby zapytać Jessie, czy mogłaby zostać u nas na noc, i przyleciałabym w sobotę rano, żeby zdążyć na mecz Olivera.

– Brzmi świetnie. To znaczy musimy o tym porozmawiać z Jessie, ale myślę, że dzieci się ucieszą. – Objął mnie. – Ale z nas szycy, co? Oboje wyjeżdżamy z miasta w tym samym czasie?

Na piętrze trzasnęły drzwi.

– OLIVER! MÓWIŁAM CI, ŻEBYŚ NIE WCHODZIŁ DO ŁAZIENKI!

Margot była jak Ann, tylko nie dodawała uśmiechniętych emotikonów.

Bogowie podróży w Scrollu potraktowali mnie łaskawie: zgodzili się na nocleg w nieco droższym hotelu niż zwykle. W duchu postanowiłam nie mówić Judy i Elliottowi, że będę w mieście, to zresztą była bardzo krótka podróż. Mama zgodziła się być w pogotowiu, gdyby potrzebna była jej pomoc, i nawet nie wspomniała, że w dzień mojego spotkania z Gregiem przypadałyby siedemdziesiąte urodziny taty. Wcześniej mówiłyśmy, że na jego cześć pójdziemy na pieczone małże.

Jessie chętnie zgodziła się zostać na noc w dniu, gdy moja podróż nakładała się na podróż Nicholasa. Później jednak przysłała mi esemesa: „Możemy jutro porozmawiać? Wiem, że pora nie jest najlepsza, ale są dwie sprawy, które muszę z tobą omówić”.

Byłam w pociągu – nic nowego – kiedy dostałam tę wiadomość.

Odpisałam: „Wszystko OK?”.

Odpowiedź Jessie brzmiała tak: „Jasne, ale wytwórnia filmowa przyjaciela szuka recepcjonistki i w poniedziałek o 11 idę na rozmowę. Wrócę na czas, żeby odebrać dzieci”.

Serce mi stanęło. Odpisałam: „Rozumiem. Daj znać, jak poszło”.

Jessie: „Po prostu czuję, że powinnam iść na tę rozmowę. Naprawdę się cieszę na noc z dziećmiakami”.

Ja: „Absolutnie Cię rozumiem”.

Patrzyłam przez okno pociągu na szare gałęzie drzew, które wyglądały jak ramiona wyciągające się ku niebu. W oddali wznosiła się katedra w Newark, skąpana w różowej poświacie zachodzącego słońca. Wewnątrz szczelnego przedziału niemal mogłam się dać zwieść iluzji, że na dworze jest ciepło.

Myślałam o niezliczonych wieczorach, kiedy po powrocie ze stacji zastawałam Jessie grającą w piłkę nożną z Georgie albo siedzącą z Margot na ganku i wysłuchującą opowieści o najnowszym gimnazjalnym kryzysie. Odkąd zaczęłam pracować w Scrollu, nie podpisałam ani jednego pozwolenia ani nie zajrzałam do pracy domowej Georgie. Nagle – i z zażenowaniem muszę to przyznać, po raz pierwszy – zadałam sobie pytanie, czym to wszystko było dla Jessie.

I o jakiej drugiej sprawie chciała porozmawiać? Zapomniałam zapytać.

Na stacji czekał Oliver. Nasyp aż do torów był pokryty lodem, stał więc na chodniku koło parkingu, ubrany w granatowe spodnie narciarskie, z Corneliusem na saniach.

– Witajcie, panowie.

Uśmiechnął się.

– Jak minął dzień?

– Dobrze. Mieliśmy lekcję o mumiach.

– Na kolację jedliście ravioli?

– Tak.

– Co z Margot i Georgie?

– Są wkurzające.

– A Jessie?

– Jest w porządku. Pozwala nam grać w Angry Birds na swoim telefonie.

– Niezła zabawa. Co jeszcze słyhać?

– Nic. Musimy napisać wypracowanie na miesiąc historii kobiet.

– Napisałabym o Susan B. Anthony.

– To nie może być nikt znajomy. A przy okazji, co to jest nieskończoność?

Doszliśmy do rogu North Edison i Flower Street, gdzie niezgrabnie przekroczyliśmy pryzmę śniegu, zepchniętą na pobocze przez pług.

– To skomplikowane. Oznacza coś, co ciągnie się wiecznie, jak liczby.

Dzień dobry. Pani Bauer?

– Tak, to ja.

– Nazywam się Elaine Murphy, jestem pielęgniarką szkolną. Nie ma powodów do paniki, ale chciałam panią poinformować, że mam pani córkę Georgie w gabinecie. Niestety, zwymiotowała na zajęciach plastycznych.

– O nie! Co się stało?

– Cóż, najpierw pani Pasquariello myślała, że to reakcja na zapach masy papierowej, wie pani, jest intensywny, ale Georgie zwymiotowała drugi raz w holu.

– W holu?

– Tak. I po raz ostatni w gabinecie. Na poduszkę na łóżku.

– O nie, moje biedactwo. Tak mi przykro. Zaraz zadzwonię do męża i powiem mu, żeby natychmiast ją odebrał.

– Sęk w tym, że już dzwoniłszy do pana Bauera. Nie odbiera. Tak samo jak wasza opiekunka i babcia Georgie, która jest wymieniona na liście kontaktów w razie nagłej sytuacji.

– Moja matka? Dzwoniła pani do niej?

– Tak, proszę pani. Georgie powiedziała, że pani nie będzie mogła przyjechać i lepiej zadzwonić do babci.

– Och. I co moja mama powiedziała?

– Nie odebrała. Więc jak, może pani?

– Co?

– Przyjechać po córkę. – Pani Murphy powiedziała to wolno, jakby rozmawiała z przedszkolakiem.

– Tak! Oczywiście. Za kwadrans mam spotkanie, potem złapię pociąg o... yyy, chyba... o czternastej trzydzieści siedem? Dojadę o piętnastej trzynastu.

– Proszę pani, zajęcia się kończą o piętnastej.

– Cholera, ma pani rację. To znaczy przepraszam! Już wychodzę.

Z tylnego siedzenia żółtej taksówki zadzwoniłam do Nicholas. Nie odebrał. Ekran komórki rozjaśnił się i wyświetlił się na nim numer Jessie.

– Cześć, Jess.

– Alice? Właśnie odebrałam wiadomość głosową od szkolnej pielęgniarki. Skontaktowała się z tobą?

– Tak, tak. Jestem w drodze do domu. Taksówką, zaraz wjedziemy...

– Och, tak mi przykro! Bardzo chętnie odebrałabym Georgie, biedna mała ptaszyna, ale jadę na Brooklyn po wzmacniacz do przyjaciela. W sobotę mamy wesele i...

– Wszystko w porządku. – Prawdę mówiąc, dopóki udawało mi się omijać wzrokiem licznik, toczenie się drogą numer 4 wczesnym popołudniem było doznaniem kojącym, moje życie znajdowało się w cudzych rękach. – Jessie, a nie wiesz, gdzie może być Nicholas?

W telefonie zapadła cisza. Mijając salon meblowy Raymour i Flanigan, doświadczyłam przelotnego pragnienia, by być kimś, kto ma komplet łóżek z mosiężnymi poręczami. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że przed czterdziestką nadal będę trzymała ubrania w komodzie, którą znalazłam na śmietniku przy Lexington Avenue, kiedy miałam dwadzieścia dwa lata.

– Jess? Jesteś tam?

– Alice, to ta druga sprawa, o której chciałam z tobą rozmawiać.

Przez sekundę myślałam, że ma na myśli stan moich mebli w sypialni.

– Czekaj, co?

– Chodzi o Nicholasa. Myślę, że on...

– Poczekaj, zaraz do tego wrócimy. – Przysłoniłam dłonią telefon, pochyliłam się i przycisnęłam twarz do kuloodpornej szyby dzielącej tylne siedzenie od przedniego. – Przepraszam, musi pan skręcić w zjazd przy Bloomfield Avenue, który będzie po prawej za jakieś trzy kilometry, zaraz za restauracją Tick Tock. Jessie? Już jestem. Mówiłaś, że Nicholas...

– Alice, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale on w ciągu dnia pije w piwnicy. Wraca do domu i schodzi tam drzwiami od podwórza, domyślam się, że nie chce, żeby widziały go dzieci. Kiedy wczoraj poszłam włączyć pranie, leżał na kanapie. Nieprzytomny.

Z trudem przełknęłam ślinę i zamknęłam oczy.

– Jesteś pewna, że to nie była zwykła drzemka? – Wyparcie nie ma nic wspólnego z zapaściem. Ale ja naprawdę wierzyłam, że Nicholas wypija jednego drinka dziennie.

– On nie drzemał, Alice. – Ton głosu Jessie z przeproszającego zmienił się w zirytowany; wyobraziłam sobie, że używa go w relacjach ze wstawionymi gośćmi weselnymi, których ogarnia nagła żądza wobec solistki. – Za orbitrekiem stoi schowana butelka wódki. Już wcześniej chciałam ci powiedzieć, ale nie byłam w stanie złapać cię samej.

Nie wiem, co dręczyło mnie bardziej: to, że Nicholas wraca z pracy i upija się w piwnicy, czy to, że wiedział, że w żadnym razie nie znajdę jego zapasów, jeśli ukryje je za orbitrekiem, z którego nigdy nie korzystam.

Dziesięć minut i sto dwa dolary później (nie licząc napiwku i opłat za autostradę) zastałam Georgie w gabinecie dyrektorki. W rękach trzymała zamkniętą plastikową torebkę ze swoim dressem zabrudzonym wymiocinami. Miała na sobie obcą bluzę Hello Kitty, pożyczoną z pudełka koleżanki, bo oczywiście jej zapasowe ubranie okazało się o wiele za małe.

Na mój widok buzia się jej rozjaśniła.

Samochód Nicholasa stał na podjeździe.

Kiedy ułożyłam Georgie na sofie i włączyłam *Alvina i wiewiórki*, kiedy pogłaskałam Corneliusa po brzuchu i delikatnie zamieszałam gulasz w wolnowarze, pomaszerowałam do piwnicy. Po części liczyłam, że odgłos moich kroków obudzi Nicholasa, ale on spał jak zabity na sofie, tak jak mówiła Jessie. Jego twarz, wciśnięta w poduszkę przykrytą zużyтыми chusteczkami zapachowymi do suszarki, była obwisła, jakby spadła z nieba i z płaskiem wylądowała na ziemi. Miał na sobie garnitur i buty w kolorze mokki, które razem wybraliśmy u Johnstona i Murphy'ego, kiedy jeszcze pracował w kancelarii Sutherland i Courtfield. Jedynym sposobem na opisanie butelki smirnoffa na podłodze koło sofy było stwierdzenie, że jest do połowy pusta – a zwykle szczycę się tym, że wszystko widzę do połowy pełne.

Szturchnęłam Nicholasa w ramię i stanęłam nad nim ze skrzyżowanymi rękami.

– Obudź się. – Żadnej reakcji. Pochyliłam się i krzyknęłam mu prosto do ucha: – Nicholas, obudź się!

Otworzył oczy, sekundę zajęło mu odzyskanie jasności spojrzenia. Podniósł się do pozycji siedzącej. Najpierw wyglądał na zdezorientowanego, potem na przerażonego, wreszcie na zakłopotanego. Chciał coś powiedzieć, ale podniosłam rękę.

– Proszę, nic nie mów. Nie chcę tego słuchać. Powiem ci tylko, że Georgie jest chora. Byłeś taki zalany, że nie odebrałeś telefonu ze szkoły. Zadam ci tylko jedno pytanie: jesteś osobą, którą chcesz być? W tej chwili?

Nicholas zwiesił głowę i oparł łokcie o kolana.

Okręciłam się na pięcie i ruszyłam ku schodom, wymijając zakurzony fotelik z zabawkami i pojemnik pełny matchboxów. Tęskniłam za tatą, ale bardziej brakowało mi męża.

Za moimi plecami Nicholas mruknął:

– A ty?

Na naszym cotygodniowym spotkaniu Genevieve zadawała mi mnóstwo pytań o Filament.

– Jestem ciekawa. Macie u siebie sklepy Anthropologie i Williams-Sonoma, racja?

– Oczywiście! Prawdę mówiąc, są kilka kroków od mojego domu.

Akurat tego dnia rano Nicholas mnie zapewnił, że nasza doskonała

lokalizacja usprawiedliwia każdy grosz, który ładujemy w kuchnię – a wyszło tego sporo. To znaczy groszy. Kuchnia była bezpiecznym tematem, ucieczką przed prawdziwym problemem, o którym nie rozmawialiśmy od tamtego starcia w piwnicy.

– A właśnie, ruch pieszy. Istnieje?

– Oczywiście. Ludzie przeprowadzają się do Filament właśnie z tego powodu, że wszędzie można dojść. Nasi sąsiedzi nawet nie mają samochodu.

Teraz byłam skonfundowana. Czy Genevieve rozważa przeprowadzkę do New Jersey? Może zainspirowała ją podróż na pogrzeb mojego taty?

– Interesujące. Bardzo interesujące. – Kliknęła na większy z dwóch monitorów i machnęła dłonią na fotografię, która się na nim pojawiła. – Witaj w przyszłej siedzibie Scrolla w Filament!

– Słucham? – Minęła minuta, nim umiejscowiłam ten kwadratowy budynek, pomógł mi dopiero skrawek błękitnej markizy przy sąsiednim domu. – Czy to...?

– Tak, to nieruchomości, którą bierzemy pod uwagę. Oczywiście musimy się zorientować, jak wygląda współczynnik beta, ale nasz zespół lokalizacyjny ustalił, że Filament mieści krytyczną masę naszych docelowych klientek, które on nazywa „gotowymi na wszystko”. – Zaśmiała się krótko i ostro. – Cholera, pewnie je znasz.

– Ten sklep... – Pochyliłam się na sofie, uważnie wpatrując się w fotografię. – Czy to...

Genevieve potaknęła.

– Delikatesy? Owszem, obecnie tak. Ale MainStreet w mgnieniu oka usunie zapach salami, nie przejmuj się.

Oczywiście. Patrzyłam na delikatesy należące do Phila Mercadantego, klienta Nicholasa, który zrezygnował z domowej mozzarelli po pierwszej spłacie rachunku za pomoc prawną.

– I w ogóle się nie przejmujemy, że ten lokal sąsiaduje z księgarnią? Niebieską Sową? – Przy dwóch ostatnich wyrazach mój głos podniósł się o oktawę i był niebezpiecznie blisko załamania się. Przypomniałam sobie Susannę na swoim ganku z gorącym kiszem w dłoniach odzianych w rękawice kuchenne.

Genevieve przewróciła oczami.

– Żartujesz? Pokażemy czytelnikom z Filament, jak to się robi: szybko, tanio, z dobrą kawą. Dzieci będą błagały o żetony do gier. Dla tej księgarni gra się skończyła, racja? Posłuchaj... – Podsunęła mi miętówki w małej ceramicznej miseczce. – Wszystko, o czym teraz mówiliśmy, jest kwestią poufną, racja?

– Tak, oczywiście. – Poprzedniego wieczoru, kiedy przemykałam w ciemności ze stacji do domu, widziałam, jak Susanna ustawia na półkach książki. W dawnych czasach może wpadłabym na kieliszek wina, które zostało ze spotkania klubu Bez Winy. Teraz było za dużo tematów do unikania, przyszłość Niebieskiej Sowy, konflikt Audrey i Margot, minęłam więc księgarnię, trzęsąc się pod

parasolką z Harrym Potterem.

– Okej, muszę przejść do mniej wesołych spraw. Wiem, że miałaś sporo na głowie, i chcę, żebyś się określiła, kiedy będziesz w stanie pracować na pełnych obrotach.

– No cóż, robię, co w mojej mocy...

– Mogę ci przerwać?

Właśnie to zrobiłaś.

– Oczywiście.

– Czasami to nie wystarcza, Alice. Powinniśmy się zmuszać do przekraczania własnych granic. Jesteśmy nowatorami, racja?

– Racja. – Prawdę mówiąc, status quo całkiem mi odpowiadał.

– A co robią nowatorzy?

– Wymyślają nowe rzeczy?

– Powalamy niepowodzenia na obie łopatki. Masz na koncie potknięcie, Alice, i teraz muszę wiedzieć, czy poświęcasz całą uwagę grze. Ponieważ ludzie mają wątpliwości. Ze skanu ręki wynika, że opuściłaś bardzo dużo godzin. – Ułożyła literę V z palca wskazującego i środkowego, wskazała swoje oczy, potem moje. – Czy poświęcasz całą uwagę grze?

– Cóż, do takiego stopnia, jak to...

Potknięcie? Raczej dostałam cios w szczękę.

Maska wróciła.

– Czy całą uwagę poświęcasz grze?

– Tak. Całą uwagę poświęcam grze.

– Cudownie. I naprawdę, kiedy wszystko się uspokoi, musimy się umówić do Bunny.

– Słucham? – Myślałam, że Genevieve mówi o kolejnym skrócie, który wyleciał mi z pamięci.

– Zapomniałaś? Etiopskie późne śniadanie?

Przeżyłam szok. Wydawało się, że tamtą rozmowę prowadziłyśmy w innym stuleciu, na innej planecie.

– Jasne. Oczywiście, musimy się umówić.

– Tak jest.

Kij, potem marchewka. Inna kolejność, to samo dwuznaczne przesłanie.

Szanowna Pani,

proszę zadzwonić pod numer 1-800-WESTELM i umówić się na dostarczenie 6 STOLKÓW BAROWYCH GORDON ($260 \$ \times 6 = 1560 \$$).
Dziękujemy.

Przyjaciele z WEST ELM

Nicholas: Jutro muszę wcześniej wyjechać. Możesz odprowadzić dzieci do szkoły?

Ja: Jasne. Co jest?

Nicholas: Spotykam się z Twoją mamą w sądzie do spraw spadkowych. Mówi też, że coś jest nie tak z jej „World Wide Web”, więc później do niej wpadnę.

Ja: Okej, dziękuję.

Nicholas: Wydajesz się zirytowana.

Ja: Wcale nie. Jesteś wspaniałym zięciem.

Nicholas: Ale?

Ja: Pamiętaj, że jesteś też moim mężem!

Nicholas: Będę udawał, że tego nie powiedziałaś.

Kiedy przekroczyłam próg, w domu panował rozkoszny spokój. Wybuchnie w nim chaos z chwilą, gdy Jessie wyjdzie, ale na razie starsze dzieci kończyły lekcje w swoich pokojach, a Georgie kolorowała w jadalni. Jessie wrzuciła kielbaski do makaronu farfalle, nam pozostało tylko odsunąć krzesła i usiąść. Obok każdego talerza leżała serwetka starannie złożona w trójkąt.

Jessie spojrzała na mnie przepaszająco i zanim się odezwała, już wiedziałam, co ma do powiedzenia.

– No więc dostałam tę pracę.

– Dostałaś pracę! Gratulacje!

Wypowiedzenie tych entuzjastycznych słów przypominało mi usunięcie kości kurczaka, która utknęła w gardle, ale byłam to winna Jessie za lata lojalności, a zwłaszcza za dzień, kiedy kilka lat temu, jadąc na koncert, zawróciła na autostradzie, bo posłałam jej z izby przyjęć esemesa z informacją, że Georgie złamała nogę.

Mogłam na Jessie liczyć i teraz ona musiała wiedzieć, że może liczyć na mnie. Pora nie mogła być gorsza, nie umiałam sobie wyobrazić, jak z Nicholasem przekazemy tę wiadomość dzieciom, które już teraz z trudem radziły sobie z wielką stratą.

– Wciąż nie jestem pewna, czy dobrze robię. – Jessie zaczęła składać ścierki do naczyń na stos; wiedziałam, że potem postawi na nim słój odwrócony do góry nogami. Znałam jej drobne przyzwyczajenia, ona znała moje. – Wiem, że przechodzicie trudny okres po śmierci twojego taty i... jest jeszcze ten problem z Nicholasem.

Machnięciem dłoni zbyłam te kwestie, jakby były zwykłymi głupstwami,

choć w rzeczywistości piętrzyły się przede mną jak bliźniacze ośmiotysięczniki. Przypomniałam sobie jedną ze złotych myśli Susanny (tym razem był to cytat z Roberta Frosta): „Najlepszą drogą wyjścia jest zawsze droga przez”.

– Jessie, jeśli to jest słuszna decyzja, musisz ją podjąć. Nam także będzie ciężko. Za ciężko, żeby o tym myśleć. Cieszysz się na myśl o tej pracy?

– Chyba tak. Może. Nie wiem. Ale myślę, że czas zmienić otoczenie...

– Poczekaj, zanim skończysz, pozwól, że coś ci powiem. Sytuacja u nas się zmieni. Jesteśmy... przytłoczeni. Ale zaczynamy nowy rozdział, zbieramy się w sobie... – Umilkłam, bo Jessie machnięciem dłoni kazała mi przestać. Byłam upokorzona własną desperacją, ale o Jessie warto było walczyć. Tyle wiedziałam.

– Daj spokój, Alice, nie chodzi o was. Proszę, nie myśl tak. Jesteście jak rodzina. Ale dzieci dorastają i wydaje mi się, że powinnam pomyśleć o następnym kroku. Muszę ustalić, co nim jest.

Chciałam jej powiedzieć, że jest nim wspólne wkroczenie w okres nastoletni, wzajemne konsultacje dotyczące godziny powrotu do domu i prawa jazdy, tak jak przez lata wspólnie ustalałyśmy zdrowe przekąski i właściwy moment wycofania smoczka.

– Jess, nadal jesteś tu bardzo potrzebna, jeśli nad tym się zastanawiasz. Proszę, proszę, nie odchodź, jeśli uważasz, że cię nie potrzebujemy, ale tylko jeśli czujesz, że nowa praca otwiera przed tobą drzwi. Rozumiemy, że zawodowo nie możemy zapewnić ci wiele ponad bilet na trzy rozdania świadectw w liceum. Ale co to będzie za bilet! – Zmusiłam się do uśmiechu. Wiedziałam, że muszę myśleć także o przyszłości Jessie, nie tylko o swojej i dzieci. Jeśli kogoś kochasz, pozwól mu odejść.

Jessie spojrzała żałośnie na lodówkę oklejoną fotografiami dzieci z Halloween sprzed lat (hokeista, koszykarz, biedronka), ze szczytu Empire State Building, znad jeziora Deer. Przeprowadziłam pośpieszny remanent wspomnień i ustaliłam, że Jessie była z nami w każdym z tych momentów.

Głośno przełknęła ślinę – zabrzmiało to jak szloch. Nagle nawet z kolczykiem w nosie i mocno podkreślonymi oczami wyglądała jak nastolatka.

– Alice, naprawdę uważam, że muszę to zrobić.

Przymknęłam powieki, siłą woli próbując powstrzymać łzy, o ile mi jakieś zostały. Pamiętałam Jessie z naszego pierwszego spotkania w Starbucksie: to, jak skoczyła do lady po swoje frappuccino, jej szeroki uśmiech, gdy mówiłam o Margot i Oliverze. Przypomniałam sobie jej reakcję na Georgie, kiedy ta się urodziła – blask w jej oczach, czysty podziw. Musiałam odsunąć to wspomnienie.

– Jessie, ja też tak myślę. Możesz zostać do...?

– Turnieju w Atlantic City? Tak, oczywiście. Alice, ja...

– Cieszymy się ze względu na ciebie. Naprawdę.

Chciałam jej powiedzieć, że zauważałam wszystkie drobne sprawy, którymi

przez lata się zajmowała, i że byłam jej za nie bardzo wdzięczna: do połowy zjedzone lizaki z troską schowane do lodówki, malunki wykonane palcami suszące się na krawędzi wanny, kręgle, jazda na rolkach, przyjęcia urodzinowe, w których radośnie brała udział w sobotnie i niedzielne popołudnia i na które zawsze przychodziła z najbardziej pożądanym i pięknie opakowanym prezentem. Czekałam na spotkanie z nią każdego dnia niemal tak bardzo jak na spotkanie z dziećmi. Dobra, nie szczypałam Jessie w policzek ani nie wdychałam zapachu jej włosów, to byłoby pokręcone, ale ogromnie mnie cieszyło, kiedy widziałam ją grającą w baseball z Georgie, gdy wracałam do domu ze stacji.

Nie byłabym w stanie tego powiedzieć, nie wybuchając płaczem, więc milczałam.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co będą czuły moje dzieci, kiedy przed szkołą będzie czekał na nie ktoś inny. Myśl o tym, jak w tłumie szukają jej twarzy, łamała mi serce.

Objęłyśmy się.

– Narka! – zawołała do dzieci jak zawsze. Jak zawsze Cornelius chciał za nią pójść.

Kiedy Jessie szła do samochodu, przypominałam sobie, że to ona ostatnio odśnieżyła tę ścieżkę.

Nicholas chciał poczekać z przekazaniem tej wiadomości dzieciom. Nalał sobie wody do wysokiej szklanki (choć tyle dobrego) i powiedział:

– Niech Jessie się prześpi z tą decyzją. A w ogóle dostała tę pracę?

– Tak mi się wydaje. Nicholas, skoro wiemy, nie możemy ukrywać tego przed dziećmi. A jeśli usłyszą, jak rozmawiamy, i w ten sposób się dowiedzą o jej odejściu?

– Dopilnujemy, żeby się tak nie stało. Uważam, że powinniśmy jeszcze poczekać, może powiemy im rano.

Obiecałam, że poczekam, ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiłam. W środku kolacji, kiedy dzieci były wykończone, odpaliłam bombę.

– Słuchajcie, mam wam coś nieprzyjemnego do powiedzenia.

Momentalnie się ożywiły. Uwielbiały złe wiadomości, zwłaszcza kiedy nie miały nic wspólnego z nimi. Na nieszczęście w tym przypadku było wręcz przeciwnie. Zignorowałam ostrzegawcze spojrzenie Nicholasa.

– Wiecie, że kilka lat temu Jessie skończyła college i zastanawia się, co chciałaby robić, kiedy skończy się wami opiekować.

– Jasne – odparł Oliver. – Ale ona nie skończyła się wami opiekować.

Brnęłam dalej.

– Cóż, sęk w tym...

– Jessie odchodzi? – Georgie zalała się łzami. – Ale my ją kochamy! Ona o tym nie wie?

– Poczekajcie. Jessie dostała nową pracę i bardzo się z tego powodu cieszy. Ale jest jej też bardzo smutno, że od nas odchodzi. To będzie dla nas wszystkich wielka zmiana, ale tatuś i ja jesteśmy z niej dumni.

– ChWD – mruknęła Margot pod nosem. Zanim miałam szansę zganić ją za to prawie przekleństwo (czy skróty się liczą?), Nicholas głową wskazał Olivera.

Najpierw pomyślałam, że zasnął, ale zaraz uświadomiłam sobie, że opuścił głowę na piersi, ponieważ płacze. Bezgłośny szloch wstrząsał jego ramionami, po policzkach toczyły się grube łzy. Wymieniliśmy z Nicholasem bezradne spojrzenia i przebrnęliśmy przez resztę posiłku. Chociaż na dworze było zimno, na deser daliśmy dzieciom mrożone jogurty. Kiedy układały dodatki, Nicholas powiedział cicho:

– Prosiłem, żebyś dzisiaj wieczorem im nie mówiła, ale domyślam się, że moja opinia się nie liczy.

Nie odezwałam się, siedzieliśmy w milczeniu, choć gotowaliśmy się ze wzburzenia.

Mama: Odłożyłam kilka krawatów taty, jeśli chcesz je wziąć.

Ja: Bardzo chętnie. Ale myślałam, że zajmiemy się jego rzeczami razem.

Mama: I kiedy dokładnie miałyby to nastąpić? Nie przejmuj się. Zakasałam rękawy i uporałam się z tym. Odłożyłam też kilka koszul, żeby uszyć z nich kołdrę.

Koszule: białe, niebieskie, w prążki, z kołnierzykami przypiętymi guziczkami. Zmusiłam pamięć, żeby pomniejszyła ten widok jak długi obiektyw kamery. Trzeba utrzymywać szeroki kąt obrazu, na tym polegała sztuczka. Rozpacz kryła się w szczegółach.

Kiedy wieczorem dwa dni przed wyjazdem do Clevelandu przewijałam mało zachęcające spisy opiekunek do dzieci na Care.com, Nicholas przypomniał mi o porannym spotkaniu w sprawie refinansowania hipoteki. Szybko zmieniałam układ wtorkowego poranka: pojadę do pracy około jedenastej, kiedy poranne natężenie ruchu kolejowego zmaleje i szybciej dotrę do celu. O jedenastej miałam zebranie dotyczące efektywności. Niezależnie od tego, jak pojadę, będę miała trochę czasu w zapasie.

Sprawy jednak nie ułożyły się według planu. Przedstawicielka towarzystwa hipotecznego spóźniła się o godzinę, a wcześniej regularnie dzwoniła z raportami o ogromnym korku na północnej autostradzie. Wymieniała numery zjazdów („W ślimaczym tempie mijamy 135”), a ja wiedziałam, że to ściema, bo już wcześniej zamieniłam się w osobę obsesyjnie porównującą wykrety spóźniających z informacjami podawanymi przez stację 1010 WINS. Według radia na autostradzie nie było żadnych zakłóceń w ruchu.

Przedstawicielka przeglądała dokumenty na naszym stole jadalnym, odkładając oznaczone plastikowymi spinaczami strony, które mieliśmy podpisać.

– Przepraszam, że kazałam państwu czekać. Mówili, że doszło do wypadku i wszyscy się gapili.

– To interesujące – odparłam – bo w radiu słyszałam, że dzisiaj rano ruch na autostradzie przebiegał płynnie.

Nicholas posłał mi spojrzenie mówiące: „Ty tak serio?”.

Kobieta podniosła wzrok zaskoczona, potem urażona. Gwałtownie przekręciła mały kolczyk z muszelki i poprawiła się na krześle, żeby uniknąć ciekawskiego nosa Corneliusa.

– Wiem, że tam, gdzie mieszkam, był korek. Potężny.

– Owszem, ale nie według radia. Tak tylko mówię.

– Alice, chcesz pierwsza zaparafować te kartki?

Nicholas okazywał mi otwartą wrogość, mocno popychając papiery w moją stronę. Moje zachowanie było nie do przyjęcia i zdawałam sobie z tego sprawę. Ale tych dwoje z normalną pracą nie miało zielonego pojęcia, czym jest spóźnienie na zebranie dotyczące efektywności – piekący wstyd związany z wejściem do sali i stawieniem czoła ponurym clevelandczykom na wielkim ekranie, na którym widać każdy por na ich skórze i rozdęte nozdrza powiększone przez kamerę, później surowy mejl od Genevieve do całego zespołu z przypomnieniem, że punktualność jest kwestią absolutnie priorytetową. Albo alternatywa: opuszczenie zebrania, konieczność umówienia się na spotkanie z urażonym zespołem

marketingowym i prywatne korepetycje z danych, które przedyskutowano z grupą. Z doświadczenia wiedziałam, że trudniej udawać zrozumienie w bardziej kameralnym otoczeniu.

„Alice? Mówi mama. Siedzę przy kuchennym stole i jest mi trochę smutno. Zadzwoń, jeśli będziesz mogła. Kocham cię”.

Przyjechałam do miasta o jedenastej piętnaście, pokonawszy tunel Lincolna z taką prędkością, że policjant z drogówki po manhattańskiej stronie zapalił reflektory w swoim wozie, kiedy go minęłam. W chwili gdy usiadłam w białym skórzanym fotelu, Genevieve poleciła mi zinterpretować dane zamieszczone w kolumnie GG na tablicy interaktywnej. Potykałam się w wyjaśnieniach – to miało coś wspólnego z cenami – i usiłowałam unikać konkretów, głównie dlatego, że nie miałam pojęcia, co te liczby znaczą.

Kiedy skończyłam, odezwała się Rashida niby radośnie, a jednak wcale nie.

– Okej, kochani. Byłoby cudownie, gdyby się wam udało zapoznać z materiałem i przetrwać go przed zebraniem. Jest dostępny na SharePointcie. Jeśli macie problemy z dostępem do plików, wypełnijcie zgłoszenie, a my temu zaradzimy. Ale kwestią absolutnie priorytetową jest to, żebyśmy na zebraniach wszyscy znajdowali się na tym samym etapie. W przeciwnym razie tracimy grunt, racja? Dobrze. Super.

Matthew był na sesji akupunktury, zamknęłam więc drzwi i zadzwoniłam do mamy.

– Mam naprawdę zły dzień.

– Poczekaj chwilkę. – Trzy kroki przez kuchnię i już ściszała arię z *Rigoletta*, która dudniła z radia nastawionego na stację WQXR. Na kuchence grzał się czajnik. Tyle razy brałam udział w tej scenie, że znałam ją na pamięć. – Al? Już jestem. Co się dzieje?

– Stres mnie zżera.

– Wiem o tym. To trwa od jakiegoś czasu. – Lekkim tonem stwierdziła rzecz oczywistą. Z jakiegoś powodu się nie zdenerwowałam, ale kiedy Nicholas mówił to samo, nozdrza mi się rozdzymały i buchał z nich ogień. „Naprawdę? Ty też nie jesteś uosobieniem spokoju”.

– Nie, chodzi mi o to, że czuję taką presję, jakby głowa miała mi eksplodować.

– Alice, głowa ci nie eksploduje. – Wyobraziłam sobie mamę w jej kuchni, wyławiającą torebkę z miętą ze starego kubka ze spłowiałym zielonym napisem: „Bardzo urocza, bardzo szczęśliwa, bardzo irlandzka”.

– Mamo?

– Tak.

– Chyba nie lubię tej pracy.

Milczenie. Usłyszałam, jak dmucha na miętę i upija łyk.

– Tak, domyśliłam się.

– Będziesz mnie uważała za nieudacznika, jeśli zrezygnuję?

– Nieudacznika? – Musiałam odsunąć telefon od ucha, tak głośno to powiedziała. – Na głowę upadłaś? Alice, ty jesteś najlepsza. Zawsze. Jesteś moją córką. – W jej ustach zabrzmiało to tak, jakby bycie córką samo w sobie było profesją, z wynagrodzeniem i urlopem, może nawet ze skromną emeryturą. Jak się nad tym zastanowić, nie byłoby to złym wyjściem.

– Dziękuję. No tak. Ty jesteś moją... mamą. Oczywiście. – Dlaczego nie potrafiłam się zrewanżować żadną miłą odpowiedzią? Ty też jesteś najlepsza? Święta Joanno, pełna łaski? Ale słowa nie chciały opuścić moich ust.

– Alice, jesteś tam?

Poczekalam, aż syrena wozu policyjnego oddali się na Pięćdziesiątą Piątą Ulicę.

– Jestem. Myślisz, że tata by uznał, że za wcześnie rezygnuję ze Scrolla?

– W żadnym razie. – Umilkła, a potem lekko łamiącym się głosem dodała: – Nie. Nie uznałby tak.

– Dziękuję. – Nagle przypomniałam sobie wiadomość, którą mi zostawiła na poczcie głosowej: „Jest mi trochę smutno”. Ta kobieta niedawno straciła męża, a ja zawracam jej głowę swoimi sprawami zawodowymi. Nie uważałam, że to w porządku, ale na tyle byłam matką, żeby wiedzieć, że ona chce mnie wesprzeć, i na tyle córką, aby docenić jej siłę. Przyszło mi do głowy, że irlandzka powściągliwość zasługuje na takie samo powszechne uznanie jak talent do prawienia komplementów.

– Alice, tata uważał, że robisz za dużo.

– Naprawdę? – Mama już nabrała zwyczaju przypisywania własnych opinii tacie, kiedy jej to pasowało. „Twój ojciec zawsze powtarzał, że jeśli trafisz na zabytkową miskę na słodycze z Limoges, powinnaś od razu ją brać”.

– Lepiej w to uwierz. I pamiętaj też, co powiedział Edison.

– A mianowicie?

– Powiedział: „Ukształtowała mnie matka”.

Oczy mnie zapiekły.

– Okej...

– Pamiętaj, ty kształtujesz swoje dzieci. To ważna sprawa.

Po tej rozmowie poczułam się lepiej. Jeśli głowa faktycznie mi eksploduje, to przynajmniej w trakcie rekonwalescencji znajdę się w dobrych rękach. Mama będzie w nieskończoność parzyła herbatę i pozwoli mi wybrać ze swojej kolekcji

czarny beret z cekinami, kapelusz z szerokim rondem i wisienkami albo ten w kształcie hełmu z szarego filcu, który ostatnio był jej ulubionym. Przypomniałam sobie, jak delikatnie włożyła czapkę Metsów mojemu tacie, kiedy po raz ostatni opuszczaliśmy szpital Sloan Kettering, jak ustawiła daszek jedną ręką, drugą podtrzymując mu kark.

Została mi tylko ona, ale nadal wiele się mogłam od niej nauczyć.

O piątej wymknęłam się z biura i poszłam do parkingu pod Gershwin Theatre na Pięćdziesiątej Ulicy. W głowie wirowały mi myśli o odszyfrowywaniu danych, rozładowywaniu zmywarki i składaniu prania, które będę musiała zrobić, kiedy dzieci pójdą spać.

Pośpiesznie wsunęłam bilet przez otwór w kulo odpornej szybie w stronę zaspanego pracownika, po czym wskoczyłam do windy, żeby zjechać na poziom, gdzie czekał mój samochód. To była jedna z tych jazd, kiedy dźga się guzik z numerem, chociaż już się zaświecił.

Wysiadłam i pomaszero wałam do swojej niebieskiej hondy odyssey. Kiedy ją obchodziłam, o mało nie wpadłam na wysokiego kasztanowego konia przywiązanego do ściany na sąsiednim miejscu parkingowym, pomiędzy moim minivanem a wiśniowym fiatem.

Po raz pierwszy tego dnia – a może i w tym roku – zatrzymałam się. Stałam jak wryta.

Koń był dobrze odżywiony i wypielęgnowany. Wpatrywał się w nierówny cement dokładnie na wprost siebie, uszami niemal muskając żarówkę pod sufitem owiniętą drucianą siatką. Strzygł nimi w rytmie kropli wolno spadających na ziemię w jakimś odległym kącie parkingu.

Należał do nowojorskiej policji czy po prostu odpoczywał od ciągnięcia dorożki po Central Parku? Nie miał na sobie siodła, lejcy, kłapek na oczy ani innego typowego wyposażenia. Dlaczego ktoś go przywiązał do ściany sześć pięter pod ziemią? Ostrożnie otworzyłam samochód, bojąc się przestraszyć zwierzę. Ale jego przejrzyste i smutne brązowe oczy ledwo zarejestrowały moje ruchy i towarzyszące im odgłosy. Koń wyglądał na zrezygnowanego.

Kiedy włożyłam kluczyk do stacyjki i ruszyłam w górę stromej mrocznej rampy, zaczęłam płakać. Naprawdę płakać. Czka wka i gile z nosa, komplet.

Dlaczego przywiązałam się do pracy, w której jestem taka nieszczęśliwa?

Dlaczego sprawdzałam mejle, kiedy na parterze umierał mój tata?

Ile razy udawałam, że słucham Nicholasa albo dzieci, a myślałam tylko o pracy? Nie byłam człowiekiem Scrolla, tak samo jak koń nie był samochodem. Im bardziej próbowałam się zasymilować, tym bardziej zniecierpliwiona, rozproszona i niewiarygodna się stawałam. Nie potrafiłam uwierzyć, że

potraktowałam tę biedną kobietę z towarzystwa hipotecznego z pogardą i lekceważeniem, które rozprzestrzeniały się po Scrollu jak grypa.

Całą drogę do domu zastanawiałam się, jak też ten koń wydostanie się z parkingu. Nie wsiądzie przecież do windy, będzie musiał się wspinać po pięciu śliskich rampach wyjazdowych na górę. To mu zabierze sporo czasu, ale będzie robił krok za krokiem i w końcu wyląduje we właściwym miejscu.

W taki sam sposób ja wydostanę się ze Scrolla. Przynależę to sobie.

Dzieci strasznie narzekały na grillowane kurze udka, które Jessie przyrządziła na kolację. Po jej wyjściu grymasy przybrały na sile.

– Nie znoszę pałeczek. Dlaczego nie mogę zjeść makaronu? Kiedy tatuś wróci? Ta kolacja jest wstrętna.

Chociaż generalnie staram się panować nad sobą w ich obecności, tym razem znowu wybuchnęłam płaczem.

– Mamusiu, co się stało? – Margot otrząsnęła się z nastoletniej naburmuszonej pozy i znowu stała się tą słodką dziewczynką, która codziennie rano budziła mnie całusem w czoło. – Tęsknisz za dziadkiem?

– Musi ci być smutno, bo twój tata umarł – dodała Georgie.

Oliver zasłonił jej buzię dłonią.

– Georgie, to antywrażliwe!

Sześcioro oczu skierowało się na mnie, czworo niebieskich, dwoje zielonych. Z trudem przełknęłam ślinę.

– Wiecie co, nie jestem szczęśliwa w pracy.

Patrzyli na mnie pustym wzrokiem. To był problem dorosłych i nie tego oczekiwali. Opowiedziałam im o koniu na parkingu. Teraz przemawiałam ich językiem, kochali zwierzęta.

– Problem z tym koniem polega na tym, że on próbuje być samochodem – powiedział Oliver. – Ale jest koniem. To pewnie dla niego bardzo trudne. – Z ust niemowląt i ssących...10

– Kiedy się zorientowałaś, że nie lubisz swojej pracy? – zapytała Margot.

– Nie potrafię dokładnie tego określić. To się działo stopniowo, ale teraz wiem, że muszę się zastanowić, co zrobić. – Sprowadzenie mojego życia do poziomu dzieci było pożytecznym doświadczeniem; czułam wdzięczność za to, że składałam wyjaśnienia przed tak ważnym i uroczym zarządem.

– Będziesz w domu, żeby odbierać nas po szkole jak mama Morgan?

Okej, dosyć tego dobrego. Oparłam się pokusie, żeby powiedzieć Georgie, że mama Morgan ma romans ze swoim trenerem tenisa.

– Nie wydaje mi się, że będę w domu cały czas, ale bardzo bym chciała znaleźć taką pracę, dzięki której mniej się będę stresowała, za to częściej będę

z wami.

– I może taką bez telefonu? – Georgie wskazała moją komórkę, leżącą obok naczyń z kurzymi udkami. Dźwięk był wyciszony, ale na ekranie co kilka sekund pojawiały się komunikaty o przychodzących wiadomościach.

Wyobraziłam sobie rampy ciągnące się w górę. Krok za krokiem, rampa za rampą.

10 Mt 21,16 (za Biblią Tysiąclecia).

Wyjazd do Clevelandu był zaskakująco prosty i diametralnie inny od mojej ostatniej podróży służbowej, kiedy dzieci zadawały mi milion pytań o to, kto będzie je odbierał i kto im poczyta *Truskawkowe piegi* na dobranoc. Tym razem taksówka przyjechała o ósmej sześć, dokładnie w porze mojego wyjścia na stację, tak więc z dołu zawołałam do dzieci, jak robiłam to codziennie rano:

– Kocham was! Słuchajcie Jessie!

– Będziemy! – odpowiedział radosny chór. Bardzo się cieszyły, że Jessie z nimi zanocuje, obiecała im potańcówkę nad potańcówkami, łącznie z kulą dyskotekową i konkursem tańca limbo. To wydawało się właściwym zakończeniem naszego sześciolatniego rejsu z Jessie za sterem.

Nicholas odprowadził mnie do frontowych drzwi i przelotnie, beznamiętnie uściskał. Od czasu incydentu w piwnicy byliśmy wobec siebie mili, choć na dystans – jak małżonkowie koledzy – a moje aroganckie potraktowanie kobiety z towarzystwa hipotecznego niczego nie poprawiło. Nie rozmawialiśmy – to znaczy nie rozmawialiśmy naprawdę, nie licząc spraw organizacyjnych związanych z opieką nad dziećmi i psem oraz odbieraniem rzeczy z pralni. Kiedy Nicholas ostentacyjnie ustawił sześć butelek piwa bezalkoholowego na drzwiach lodówki, zrobiłam minę oznaczającą: „Uwierzę, jak zobaczę”. Za każdym razem, kiedy odczuwałam chwilową ulgę z powodu jego nowej abstynencji, przed oczami stawała mi Georgie, dzielnie czekająca na mnie w gabinecie dyrektorki, podczas gdy on spał pijany po drugiej stronie ulicy, w odległości stu pięćdziesięciu metrów. Tego obrazu nie można było tak łatwo wymazać.

– Powodzenia. – Nicholas przytrzymał mnie na długość ramienia, a potem pocałował w policzek.

– Dziękuję. Baw się dobrze na turnieju.

– Dziękuję.

Otworzył przede mną drzwi wyjściowe. W połowie ścieżki, na której teraz widniał wyrysowany kredą schemat do gry w klasy, odwróciłam się i powiedziałam:

– Nicholas, po powrocie do domu naprawdę musimy poważnie porozmawiać.

Oparł się o framugę i skrzyżował ręce na piersiach. Jak na faceta, który wyszedł z trwającego rok popijania, wyglądał rewelacyjnie: szczupły i silny, z lekkim zarostem. Kiedy tak patrzyłam na niego z podziwem, on kiwnął głową.

– Uwierz mi, Alice, wiem o tym.

W drodze na lotnisko zauważyłam, że od szkoły do końca Flower Street ciągnął się korek, samochodów było co najmniej piętnaście. Chociaż mieszkałam blisko, rzadko to widywałam – kiedy samochody zaczynały się gromadzić, mój pociąg już jechał żwirowym korytarzem między Bloomfield Avenue a Watsessing Avenue.

Ale Nicholas ciągle narzekał na zakorkowaną ulicę, czytałam też wpisy poirowanych koleżanek na Facebooku. „Czekałam w korku przez 30 minut. Ktoś jeszcze się zastanawia, co by się stało, gdyby musiała przejechać karetka albo straż pożarna? Ciekawe, jak by się to udało między tymi wszystkimi SUV-ami i zaspami” – napisała Kara, wywołując uprzejmą pasywno-agresywną wojnę między mamami. Mogłam je sobie wyobrazić przy granitowych kuchennych wyspach w różnych punktach miasta, jak odsuwają na bok jogurty i układają ostrożne, ale znaczące – och, jakże znaczące – odpowiedzi. „Może powinnaś rozważyć wysadzenie dzieci przecnicę wcześniej? Niech Owen dla odmiany zamoczy sobie stopy”.

O byciu pracującą matką wiedziałam jedno: traciła prawo do wypowiedzania się na tego rodzaju tematy.

Lot do Clevelandu był wyjątkowy pod każdym względem. Od dawna odnosiłam się podejrzliwie do skarg ludzi regularnie podróżujących służbowo na udreki przebywania poza domem przez dwa dni, wleczenia się przez anonimowe hotelowe lobby bez nadziei na zobaczenie przyjaznej twarzy na koniec dnia. Dobra, rozumiem, mimo że osobiście zawsze czułam wyłącznie radość na myśl, że ktoś inny pościeli mi łóżko albo zostawi stos świeżych ręczników przy wannie.

Ale samotny lot? Nie wyobrażam sobie, jak to może się znudzić. Ktoś, kto został matką albo ojcem i włókł się przez lotniska z najróżniejszymi dziecięcymi bambetlami (fotelik samochodowy, kojec, stojak z zabawkami), nigdy więcej nie potraktuje jako oczywistości swobody, z którą w pojedynkę idzie sobie do samolotu.

Ominęłam łukiem komicznie szybki wewnętrzny pociąg, po drodze zaopatrzyłam się w czekoladki Toblerone, młodą soję, minitacę z sushi na wynos i dwie puszki dietetycznej coli. Przyjemność sprawiła mi nawet gładka jazda fioletowej walizki na kółkach, którą pożyczyłam od Margot. W rzadkim przyływie serdeczności uparła się, żebym ją wzięła, chociaż wyjeżdżałam na krótko i mogłam ubrania zmieścić w plecaku.

Judy i Elliott nie wiedzieli o mojej wizycie w Clevelandzie. Miałam spędzić w mieście mniej niż czterdzieści osiem godzin, z czego większość pożerał Scroll. Zdawałam sobie sprawę, że Nicholas jest z tego powodu ziryrowany, zwłaszcza że

całe popołudnie spędził u mojej mamy, na nowo podłączając sprzęt odtwarzający, tak by obejmował także adapter; na szczęście był na tyle taktowny, żeby tego nie skomentować.

Łąkowałam o jedenastej, spotykałam się z Gregiem o szesnastej i w sobotę wczesnym rankiem wsiadałam do samolotu, który lądował na lotnisku Newark o siódmej. Stamtąd zamierzałam pojechać taksówką na dworzec, wskoczyć do pociągu do Filament i być w domu akurat na czas, żeby zawieźć Olivera na mecz koszykówki. Nie odważyłabym się pokonać całej tej drogi taksówką, ponieważ już raz dostałam naganę za lekceważenie zasady oszczędności w wyliczeniach swoich wydatków.

Na lotnisku Cleveland Hopkins wstąpiłam do filii sławnego miejscowego sklepu ze słodyczami Malley's, żeby kupić czekoladki na prezent pożegnalny dla Jessie. Najpierw wzięłam skromne pudełko, potem zmieniłam zdanie i zaszalałam, wybierając niesamowity trójwarstwowy zestaw gorzkiej czekolady, mlecznej czekolady i trufli w satynowym pudełku związanym jaskrawą fioletową wstążką.

Kiedy płaciłam, portfel wypadł mi z ręki i monety potoczyły się po ladzie, odbiły od kasy i z głośnym brzękiem spadły na podłogę. Pięć minut zajęło mi pozbieranie wszystkich. W tym czasie zblazowana dwudziestoparoletnia sprzedawczyni poprawiła kołnierz swetra i ukradkiem obejrzała swoje zęby w chromowanej kasie. Ostatnią rzeczą, którą podniosłam, była spinka do włosów Georgie z turkusowego plastiku, z niedźwiedziem grającym na bandžo. Wsunęłam ją do kieszeni na szczęście.

Kiedy moja taksówka jechała krętą autostradą w kierunku centrali Scrolla, głowę trzymałam nisko. Chociaż Cleveland to spore miasto, paranoicznie się bałam, że zauważy mnie Judy, Elliott albo ktoś z ich znajomych obdarzonych sokolim wzrokiem. Było mi trochę smutno, ale też wprawiało mnie w uniesienie to, że mijałam najbardziej znane punkty Clevelandu, które widziałam jako nowa dziewczyna, narzeczona, żona, później matka, ale nigdy nie patrzyłam na nie oczami zestresowanej anonimowej bizneswoman średniego szczebla, ubranej w luźną sukienkę marki Marimekko i granatowe buty na koturnach. Na nieszczęście sukienkę skrojono w taki sposób, że kiedy się pochylałam, zadzierała się za wysoko i za wszelką cenę musiałam tego unikać, bo moje rajstopy miały dziurę w całkiem niewłaściwym miejscu. Ale kiedy udałoby mi się znaleźć wolną chwilę, żeby kupić nowe?

Ann uprzedziła ochroniarzy o moim przyjeździe, dlatego nie mierzyli mnie wzrokiem pełnym podejrzliwości i kpiny, który zapamiętałam z tamtego szkolenia. Tym razem zażądali tylko dwóch kopii mojego dowodu tożsamości oraz niebieskiej karty pracowniczej. Poradzili, żebym nosiła ją na szyi na smyczy, którą

wręczyli mi ukradkiem. Była jaskrawożółta, z granatowym napisem „Odjechany” wyhaftowanym na granatowo. Ochroniarz i ja wiedzieliśmy, że nie powinnam jej nosić, skoro nie brałam udziału w wymaganej serii prób w trakcie dorocznej imprezy MainStreet. Ten drobny akt szczodrości mógł kosztować go pracę.

Ann powiedziała mi, żebym poszła prosto do Pijalni na spotkanie z Gregiem. Miała przy tym poważną twarz – zawsze wszystko tak mówiła – a ja byłam zbyt zdenerwowana, żeby kpiąco się uśmiechnąć, co normalnie robiłam, kiedy w rozmowie pojawiały się staroświeckie nazwy sal konferencyjnych Scrolla: Pijalnia Wody Sodowej, Sklep Żelazny, Warsztat Szewski.

Kiedy weszłam do Pijalni, chłopak w bluzie z kapturem pisał coś na tablicy skrzypiącym markerem, a pozostali, którzy siedzieli przy stole, stukali w klawiatury laptopów. Greg spojrział na mnie ze swojego miejsca przy psich przysmakach. Miał na sobie T-shirt z napisem: „MainStreet: Stare to nowe nowe”.

– Hej, już kończymy. Ludzie, znacie Aileen Pearse ze Scrolla w Nowym Jorku. Aileen, to nasi ludzie.

– Ścisłej rzecz biorąc, na imię mam Alice. Cześć wszystkim.

Serio? Wziąwszy pod uwagę wybitne dokonania Grega na sesjach zarządzania stresem w środku nocy, po prostu w głowie się nie mieściło, że nadal nie pamiętał mojego imienia.

Jeden po drugim pracownicy Scrolla wychodzili z Pijalni, aż wreszcie zostałam sama z Gregiem. Siadając, podwinęłam sukienkę, boleśnie sobie uświadamiając, jaka jest krótka, i dostrzegając spojrzenie, którym Greg obrzucił moje nogi. Kiedy ostatnia osoba zamknęła za sobą drzwi, w pokoju zapanowała kompletna cisza, przypominał zamkniętą próżniowo konserwę z tuńczykiem. Z zamkniętymi oczami mogłabym wziąć to pomieszczenie za kościół, a nie salę konferencyjną z podwieszonym sufitem w tryskającej życiem korporacji w środku miasta średniej wielkości na brzegu jednego z Wielkich Jezior.

– Więc słucham. – Greg nasunął na głowę niebieski kaptur, oparł się wygodnie na krześle i splótł dłonie pod brodą jak uczeń oczekujący poleceń.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną spotkać. Miło tu być. Zawsze mnie zdumiewa, jak krótka jest podróż...

Spojrzał na przegub, gdzie nie było zegarka.

– Genevieve powiedziała, że chcesz porozmawiać ze mną o pewnym pomysśle, racja?

– Tak. Myślałam o możliwości sprzedaży książek w trakcie domowych przyjęć po wejściu Scrolla na rynek. Możemy wyszkolić zespół kreatorów gustów, którzy będą wybierać najlepsze pozycje sezonu, a następnie wysłać ich do salonów literackich w domach znajdujących się w ich rejonie. To byłoby coś takiego jak Pampered Chef z kulturalnym zacięciem.

– Hm. – Greg miał w najlepszym razie sceptyczną minę. – Mów dalej.

– Myślę tak: kobiety, wino i książki to sprawdzony przepis. W moim modelu przynosimy książki kobietom. Zawężamy wybór. One mogą sobie siedzieć wygodnie na kanapie, podczas gdy nasza księgarka bawi się w swatkę...

– Dlaczego te mamy miałyby jej wierzyć?

– Zacznijmy od tego, że jest jedną z nich. Należy do ich społeczności, jest może koleżanką czyjejs koleżanki, więc wie, które książki przypadną jej do gustu. Wybór lektury bywa zadaniem przerastającym siły kobiety. Księgarka zawęży pole, może sprzedawać albo e-booki, albo książki oparte na węglu...

– Te drugie wykluczamy. Czy Genevieve nie wprowadziła cię w naszą inicjatywę „Papier to trucizna”? Wyjąwszy biodegradowalne serwetki, w naszych sklepach nie będzie ani strzępka papieru. Najmniejszego. Nie będziemy nawet przyjmować gotówki.

– W moim modelu to nie jest problem. Mniej do noszenia dla księgarki.

Greg poprawił się na fotelu, obwieszczając koniec tej części rozmowy położeniem kostki jednej nogi na kolanie drugiej.

– Ludzkie podejście potrafi być kosztowne, Alice. Wezmę to pod rozwagę, ale zanim urządzimy burzę mózgow, proszę, żebyś uaktualniła swoje działania dotyczące Joysticka. Chciałbym przekazać społeczności wydawców nową wizję tak szybko, jak to możliwe, i będę w tym celu potrzebował twojego entuzjazmu.

Odchrząknęłam i usiadłam prosto, tak że teraz moje plecy nie stykały się z białą tapicerką.

– Greg, będę z tobą szczerą. Nie ma we mnie entuzjazmu. Prawdę mówiąc, uważam, że to naprawdę zły pomysł.

Greg przewrócił oczami.

– Genevieve mówiła mi, że masz jakieś problemy z treściami, o których zweryfikowanie cię poproszono, racja?

– Tak.

– I... czy możesz powiedzieć mi o tym coś więcej?

Spojrzałam na tablicę, gdzie zielonym ścieralnym markerem zapisano EXELL (no nie!).

– Cóż, uważam, że te gry są okropne i w złym guście.

Greg położył dłoń na twarzy i zaczął ją masować, jakby głęboko się zastanawiał, ale dzięki mojemu doświadczeniu z dziećmi podczas powtarzania ortografii rozpoznałam ten gest jako wybieg. Machnął ręką, co oznaczało: „Mów dalej”.

– Można powiedzieć, że mój problem ma trzy odnogi. – (Uznałam, że dzięki temu zwrotowi mogę zyskać u Grega). – Po pierwsze, nie sądzę, że moje umiejętności czytelnice i redaktorskie są właściwie wykorzystywane przy wyborze gier do naszych sklepów. Po drugie, uważam, że nie powinniśmy rezygnować z pierwotnego planu tworzenia cichych salonów, w których ludzie

mogą czytać i kupować książki. Rodzicom potrzebny jest odpoczynek od pokoju dziecięcego.

– I?

– I co?

– Powiedziałaś, że są trzy odnogi. Jaka jest trzecia?

Nabrałam powietrza w płuca.

– Trzecią jest treść tych gier. Ona też mi nie odpowiada.

Greg wzruszył ramionami. Zmarszczył czoło z przesadną ciekawością.

– Daj spokój, Alice, to tylko gry. Chodzi o zabawę.

– Rozumiem, ale nie godzę się na sprzedawanie gier, w których dzieci wysadzają budynki albo się zabijają.

Otworzyłam notatnik i wyciągnęłam kartkę z przegródki. Wiedząc, jak ważne są dane i rzetelne dowody na poparcie swoich słów, skopiowałam i wydrukowałam wartość sprzedaży oraz opis trzydziestu najlepiej sprzedających się gier Joysticka. Teraz rozwinęłam tę kartkę i zaczęłam czytać.

– Oto numer jeden: *Miejski zamachowiec*. Celem gry jest nakierowanie boeinga siedemset czterdzieści siedem załadowanego materiałami wybuchowymi na jak największą liczbę wieżowców, zanim zostanie zestrzelony przez wojskowe helikoptery. Im więcej budynków rozwalisz, tym więcej ofiar masz na koncie. Im więcej ofiar masz na koncie...

– Rozumiem, dziękuję, Alice. Ale jeśli w takie gry dzieciaki chcą grać, my jako handlowcy powinniśmy tę potrzebę zaspokoić. – Uśmiechnął się kpiąco. – Prowadzimy biznes, pamiętaj. Jak zarobimy kupę dolców? Właśnie to chciałbym wiedzieć.

Domyślałam się, co powiedziałaaby Genevieve. Słyszałam jej głos aż tutaj, w Clevelandzie, upominający mnie, żebym zachowała neutralność. W tym jednak przypadku, kiedy stawka była tak wysoka, tego rodzaju podejście wydawało mi się kolejną próbą bycia kimś, kim nie jestem.

W mojej głowie przemawiał inny głos, donośniejszy niż głos Genevieve. Należał do taty, który swój głos utracił i walczył ze wszystkich sił, żeby go odzyskać. Przypomniałam sobie, jak w pierwszych dniach po laryngektomii poruszał ustami, ale żadne słowa z nich nie wychodziły. Zupełnie nic. Patrzenie na to, jak musiał się przyzwyczajać do nowej normalności, było straszne.

Ty masz głos. Użyj go.

– Greg, nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytanie. Czuję się tak, jakbyś zatrudnił mnie jako architekta, a teraz prosił, żebym była hydraulikiem. Z biznesowego punktu widzenia rozumiem, dlaczego chcesz sprzedawać gry komputerowe, ale z perspektywy ludzkiej nie, i chyba nie jestem właściwą osobą do tworzenia oferty ani sprzedawania tej wizji opinii publicznej. A jako matka, co powiedziałabym dzieciom, gdyby w ich pracy nastąpił taki nieoczekiwany

i bądźmy szczerzy, niepokojący zwrot? Powiedziałabym, żeby zabrały głos.

Usiadłam wygodnie i napiłam się wody z antyoksydantami z biodegradowalnego kubka zrobionego z plastiku z odzysku. Dotknęłam spinki Georgie w kieszeni. W pokoju znowu zapadła cisza.

Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, tato.

Na dziedzińcu dwoje pracowników Scrolla rzucało frisbee szczeniakowi rasy golden retriever, który biegał między nimi jak szalony, gorączkowo usiłując złapać plastikowy talerz w zęby.

Greg nadal siedział na fotelu w odprężonej pozie, ale emanował napięciem, dezaprobatą i irytacją. Jego małe usta ułożyły się w zimny uśmiech. Przypominały teraz zdeformowany spinacz do papieru.

– No tak. Jesteś cennym członkiem naszego zespołu, Alice. Mam nadzieję, że znajdziesz sposób, by to dobrze funkcjonowało.

Wróciłam do boksu zajmowanego przez Ann, trochę dumna, trochę upokorzona, a przede wszystkim bardzo, bardzo głodna. W „You” byłam graczem zespołowym. Dogadywałam się z pozostałymi. Robiłam, co mi kazano. Teraz stawka była o wiele wyższa. Poświęciłam zbyt wiele w życiu rodzinnym, żeby spędzać dni na wkładaniu broni (nawet wirtualnej) w ręce dzieci. Nie po to jedenastego września niosłam swoją pięciomiesięczną córkę przez gruzy, żeby teraz tak zarabiać na życie.

Przypomniałam sobie rzędy prawników na pogrzebie taty. Dawni przyjaciele, gwiazdy jego ulubionych historii, w milczeniu wychodzący z kościoła. Praca jest ważna, ale nie jest wszystkim.

Zanim skręciłam za róg do biurka Ann, przystanęłam w pustym korytarzu, żeby podciągnąć podziurawione, nieposłuszne rajstopy, które sprawiały wrażenie, że jeszcze chwila i się poddadzą, wylądują w niesławie u moich stóp.

– Czyja jest ta rewelacyjna fioletowa walizka? – Przez niewielkie wcięcie w ścianie zobaczyłam faceta opierającego się o biurko Ann w uniwersalnej pozie mężczyzny rozmawiającego w pracy z kobietą: zgięty w pół, z twarzą opartą na dłoniach i łokciami opartymi na blacie.

– Alice. Przyjechała na jeden dzień z Nowego Jorku. – Ann jak zwykle mówiła zwięźle.

– Naprawdę? Wygląda, jakby zamierzała się wprowadzić. To prawdziwy kufer.

Śmiechy ze wszystkich stron.

– Co mogę powiedzieć? Jest mamą.

I znowu śmiechy.

– Najwyraźniej.

Co mogę powiedzieć? Jest mamą.

Margot osobiście zapoznała mnie z każdą zapinaną kieszenią, pokazała, gdzie włożyć szampon i jak zapakować dodatkową parę butów podszwami na zewnątrz, żeby nie zabrudzić ubrań.

Zapiekły mnie oczy.

Ależ tak, pomyślałam. Rzeczywiście jestem mamą.

Hotel był zwykłym hotelem przy lotnisku, urządzonym w subtelnym odcieniach beżu i wyposażonym w te pomysłowe prysznice, które się wyginają, dając kąpielom się więcej przestrzeni. Zamówiłam wczesną kolację do pokoju, pomidory z mozzarellą i penne na wódce, które okazało się cokolwiek za bardzo zalane oliwą. Skończywszy jeść, zadzwoniłam do Nicholasa z nadzieją, że go złapię, zanim wyruszy na miasto. Po pięciu sygnałach odezwała się poczta głosowa.

Później sprawdziłam mejle służbowe. Pomiędzy sześćdziesięcioma siedmioma raportami o efektywności, zgłoszeniami PPB, obwieszczeniami na GatheringPlace i pytaniami o zwrot kosztów była spodziewana wiadomość od Genevieve. Nie rozwodziła się zbytnio, to trzeba jej przyznać.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

Proszę, wrzucić do mojego kalendarza spotkanie w cztery oczy, żebyśmy mogły omówić Twoje spotkanie z Gregiem. Jeśli taka ważna jest dla Ciebie stu procentowa zgodność pracy z Twoim wyobrażeniem o sobie, to musimy porozmawiać o Twoim stanowisku.

Tamtej nocy spałam dobrze po raz pierwszy od wielu miesięcy.

Budzik zadzwonił o piątej piętnaście. Nacisnęłam go dwukrotnie i skończyło się na tym, że jak oszalała pędziłam na lotnisko. Warknęłam na pracownika przy odprawie, który wydawał się zdziwiony różnicą pomiędzy fotografią w moim prawie jazdy a kobietą, która przed nim stała („Zrobiono je dawno temu, dobra?”), a potem, kiedy byliśmy już w powietrzu, wylałam kawę na dzinsy. Poczucie spokoju z poprzedniego wieczoru ustąpiło miejsca straszliwemu niepokojowi. Jak ja się z tego bałaganu wyplączę?

CLE → EWR

Pociąg z Newark przyjechał do Filament o ósmej trzydzieści dwie. Byłam w stałym esemesowym kontakcie z Jessie, wiedziała więc, kiedy się mnie spodziewać. Ja natomiast zupełnie się nie spodziewałam, że kiedy wysiądę z pociągu, zobaczę Olivera biegnącego Flower Street w rozpiętej kurtce powiewającej za nim jak peleryna, skupionego wyłącznie na tym, żeby się ze mną spotakć, zanim zejdę na North Edison.

Obserwowałam go, jakbym oglądała film o kościstym, słodkim piegowatym chłopcu: na ułamek sekundy przystanął na rogu North Edison, obejrzał się w prawo i tylko w prawo, w lewo nie – a przecież North Edison była teraz dwukierunkowa – po czym wpadł na ulicę, nie widząc zielonego forda flexa nadjeżdżającego z wielką prędkością z drugiej strony szkoły.

Samochód jechał za szybko, Oliver biegł za szybko.

Raz jeszcze otworzyłam usta i zaczęłam krzyczeć.

W ułamku sekundy jego życie przewinęło mi się przed oczami: noworodek, czerwony i płaczący w pleksiglasowym łóżeczku w szpitalu NYU, gdy słońce wschodziło nad East River, a pielęgniarki słuchały bicia jego serduszka; kostium kota z czarnego filcu, który miał na sobie w swoje pierwsze urodziny; jego władcze rozkazy przed snem: zaśpiewaj mi piosenkę, całuj w usta („ciałuj w uta”); Oliver w przedszkolu z buzią jaśniejącą radością, kiedy wpadał na koniec zajęć do sali gimnastycznej w tłum czekających dorosłych; Oliver przyciskający policzek do podłogi i ożywiający uniwersalnym chłopięcym „brum” pękata żółtą śmieciarkę; piegowata dłoń delikatnie położona na plecach Georgie, kiedy uczył ją skakać do wody; Ollie na plaży w Maine, wylaniający się z morza w Cedar Beach i dokładający kolejne szare kamienie do czerwonego wiaderka, przy czym każdy był ukochanym dodatkiem do kolekcji, której zasady tylko on rozumiał; Oliver otwierający oczy rano i przez sekundę patrzący na mnie, jakby nigdy wcześniej mnie nie widział; Oliver czekający samotnie przy ławce przed szkołą.

Mój słodki. Pisklaczek. Rybka. Błękitnooki chłopiec.

Wszystkie imiona, wszystkie dni, godziny, minuty i sekundy.

Pomyślałam: to jest nieskończoność.

Oliver zastygł na środku drogi jak manekin w czapce Filament Brights i czarno-czerwonej zimowej kurtce z przeceny w drogim narciarskim sklepie. Gdyby przyjrzeć się dokładniej, można by dostrzec brud na mankietach i wzdłuż zamka błyskawicznego po zjazdach na zamarznętej ziemi. Był chłopcem, który

codziennie bawił się na dworze, deptając każdy centymetr ziemi przed domem, nawet w największe mrozy. Wiecznie był w ruchu. A teraz stał tak nieruchomo jak skała, patrząc z pełną grozy fascynacją, czy ford zatrzyma się na czas.

Ja też patrzyłam. To było najdłuższe oczekiwanie w moim życiu. W głowie krążyła mi jedna fraza: „zostajesz z niczym”.

Przy akompaniamencie przeraźliwego pisku hamulców samochód zatrzymał się dziesięć centymetrów od Olivera. Mój syn, otrzeźwiony przez hałas, biegiem wrócił na chodnik, z którego przyszedł, ten bliższy domu, zamiast popędzić prosto w moje ramiona. To był dziwny wybór, odruchowy, ale ja go zauważyłam.

Za kierownicą siedział mężczyzna po sześćdziesiątce: siwe, krótko ostrzyżone włosy, grube staroświeckie okulary. Współczesna wersja naukowców, którzy byli narratorami filmów o Układzie Słonecznym, kiedy chodziłam do podstawówki („Możemy obejrzeć od tyłu?”). Z okna na jego twarz padała siatka nagich gałęzi, mimo to widziałam, jak z zaciśniętymi ustami kręcił głową, patrząc na mnie. Potem odjechał.

Nie rozglądając się na boki, przeszłam na drugą stronę ulicy i mocno objęłam swojego synka.

Reszta była prosta.

Nie, prawdę mówiąc, wcale nie.

Jedno nie ulegało wątpliwości: to był macierzyński odpowiednik olśnienia. Czasami po prostu wiemy. Na nowo układamy swoje życie wokół obrazu za małym okienkiem, które uchyliło się na moment, aby pokazać nam coś, czego może nigdy więcej nie zobaczymy. Mimo to wiemy, że do końca życia tego obrazu nie zapomnimy.

Oliver i ja wróciliśmy do domu, trzymając się za ręce. Margot zbiegła ze schodów i uświadomiłam sobie inną rzecz: potrzebny jej stanik. W głowie jak zwykle zaczęły mi tańczyć myśli o tym, komu by to zlecić – czy Nicholas będzie miał czas, czy mogę poprosić o to Jessie? A potem pomyślałam: nie, to moje zadanie. Pamiętałam chłodne dłonie mamy na swoich plecach, poprawiające cienkie ramiączka w przebieralni sklepu Lord & Taylor, w którym teraz jest siłownia Golda. To nie było miłe wspomnienie, nie całkiem, ale konieczne, bo też to była sprawa życiowa, nie wyjątkowa okazja. Moja córka zasługuje na to samo.

- Mamusiu, jak udała ci się podróż?
- Przywiozłaś prezenty?
- Widziałaś się z dziadkiem i babcią?
- Wiesz, że mamy w klasie żółwia?

Pożegnaliśmy się z Jessie. Plan był taki, że moja mama zajmie się dziećmi, gdy będziemy szukać nowej opiekunki. Jessie musiała wykonać skok na następny etap swojego życia, najpierw jednak położyłam brodę na ramieniu, na którym tak często opierały brody moje dzieci.

– Jak mogę ci podziękować za wszystko, co...

– Alice, przestań. Tego za wiele. – Przycisnęła palec do ust i głową wskazała Margot, Olivera i Georgie. Milczeli, stojąc koło schodów z posępnymi minami. Wiedziałam, że mają mi za złe zachęcanie Jessie, żeby poszła do nowej pracy, ale liczyłam, że pewnego dnia zrozumieją, że powstrzymywanie jej nie byłoby słuszne.

Pewnego dnia zrozumieją. Ile razy ta fraza przebiega przez głowę matki?

– No, ale poważnie, chcę, żebyś wiedziała, że jestem ci nieskończenie wdzięczna za...

– Wiem, że jesteś. Ja też jestem ci wdzięczna. – Odgarnęła z twarzy kosmyk w połowie niebieski, w połowie jasnobrazy. Orientowałam się, że próbuje przybrać poważniejszy wygląd i wrócić do naturalnego koloru włosów. Chociaż

pomysł świadczył o rozwadze, nie mogłam się pozbyć obrazu barwnej papugi z podciętymi skrzydłami.

Jessie szeroko rozłożyła ręce i wezwała dzieci do siebie. Objęła je wszystkie i tak mocno ścisnęła, że pisnęły protestująco:

– Jessie, dusisz nas!

Z tyłu widziałam tylko wszystkie sześć dłoni wczepionych w plecy Jessie. Musiałam odwrócić wzrok.

Kiedy przyszła moja kolej, wzięłam z niej przykład i postarałam się załatwić to prosto.

– Kocham cię, Jessie.

– Kocham cię, Alice.

Uczucie było niezwykle podobne do tego, które mnie ogarnęło, kiedy zerwałam ze swoim pierwszym chłopakiem na parkingu przed restauracją: byłam załamana, ale i wdzięczna za wszystko, co doprowadziło do tego momentu. W obu przypadkach byłam przekonana, że pozostaniemy ze sobą blisko. W tym okazało się to prawdą.

Nicholas wrócił do domu późnym wieczorem w sobotę. Dzieci już spały, kiedy usłyszałam znajomy odgłos jego kroków na schodach. Powitałam go w drzwiach, ubrana w jego bluzę North Face, trzymając Corneliusa za obrożę, żeby nie zalizał go na śmierć. Taka byłam szczęśliwa, widząc jego szeroki uśmiech i ukochane, świadczące o serdeczności zmarszczki wokół oczu. Niezmiernie szczęśliwa.

– Witaj! Myślałam, że wracasz dopiero jutro!

Objął mnie dokładnie w tym samym miejscu, w którym dwanaście godzin wcześniej pożegnałam się z Jessie.

– Przegraliśmy mecz i nie miałem ochoty nigdzie iść. Jeden wieczór wystarczy. A poza tym miałem wrażenie, jakbyś...?

Jeszcze nie omówiliśmy szczegółowo mojej rozmowy z Gregiem, choć przekazałam mu najważniejsze informacje w esemesie.

– Jakbym co?

– Jakby twoja podróż do Clevelandu nie była zbyt udana.

– Nie powiedziałałabym, że nieudana. Raczej... stworzyła mi oczy.

– Pod jakim względem?

Siedzieliśmy na sofie ramię przy ramieniu, stopy opieraliśmy na stoliku, a koło nas na podłodze leżał zadowolony Cornelius. Wzięłam głęboki oddech.

– Właściwie to nawet nie wiem, od czego zacząć. Może od tego, że nienawidzę tej pracy. – Uznałam, że rozpocznę na neutralnym gruncie.

Roześmiał się i kiwnął głową.

– Wiesz, w drodze do Atlantic City uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem cię z książką. To nie jest normalne.

– Nie potrafię się skoncentrować. Powtarzałam sobie, że jestem smutna z powodu taty albo że się o ciebie martwię, ale to coś więcej.

– Wolałbym, żebyś się o mnie nie martwiła. Ja...

– Tylko jak mogę się nie martwić? – Dobra, więc jednak od razu skaczemy na głęboką wodę. Cornelius uniósł pysk i posłał mi spojrzenie spod przymkniętych powiek. Jego mina mówiła: „Mój Boże, kobieto! Znowu to?”. – Nicholas, rozumiem, że w twoim życiu zaszły poważne zmiany. W moim też. Ale ty z faceta, który wypija jedno, dwa piwa na imprezach albo szklaneczkę bourbona ze swoim tatą, zmieniłeś się w faceta pijącego mocny alkohol popołudniami. W naszej niewykończonej, obrzydliwej piwnicy! – Usiłowałam zachować lekki ton, naprawdę bardzo, bardzo nie chciałam się kłócić, ale ciężar, który dźwigałam, przypominał dyby, w których raz pozowaliśmy z Willem w Old Sturbridge Village.

– Alice, to nigdy więcej się nie powtórzy – odparł z naciskiem. – Ile to trwało? Trzy tygodnie? To zamknięty rozdział, przysięgam...

– Wiem. Wierzę ci. Ale nie rozumiem jednego: skoro potrafiłeś z tym skończyć z dnia na dzień, dlaczego nie zrobiłeś tego wiele miesięcy temu? A przede wszystkim dlaczego w ogóle zacząłeś? Kiedy cię poznałam, prawie wcale nie piłeś. W takim chłopaku się zakochałam! – Zawahałam się. Miałam nadzieję, że Nicholas mi nie wytknie, że dziewczyna, w której on się zakochał, ważyła pięćdziesiąt siedem kilogramów i udawała, że lubi reggae.

Nicholas patrzył przed siebie na rząd niebieskich i żółtych kafelków. Położyliśmy je sami, kiedy dzieci spały, potem zbudowaliśmy kominek i objęci zasnęliśmy na kanapie.

Zwrócił wzrok na mnie.

– Wyglądało to tak. Najpierw byłem rozczarowany swoją sytuacją zawodową, potem zestresowany, a kiedy zacząłem sobie uświadamiać, że podjąłem dobrą decyzję, może najlepszą, twój tata... – Urwał. Oczy miał zaczerwienione i szkliste; przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy nie jest na haju. Później jednak rozpoznałam wyraz jego twarzy: to było cierpienie. W oczach miał łzy.

– Zaraz, ale co ma do tego mój tata?

– Znowu zachorował i przyglądanie się, przez co przechodzisz, było straszne. Ale nie zapominaj, Alice, ja też go kochałem.

– Wiem o tym. – Umilkłam. Oczywiście, że kochał moją tatę w taki sam sposób, w jaki ja kochałam jego tatę. Znaliśmy wzajemnie swoich rodziców, odkąd sami ledwo osiągnęliśmy wiek dojrzały. Wyobraziłam sobie Elliotta, jak opowiada śmieszna historię, filuterne o jego ust, kiedy czeka, aż śmiech słuchaczy ucichnie. Nie był moim tatą, ale łączyły nas bliskie relacje. Jak bym się czuła, gdyby zachorował? (Odpukać w niemalowane milion razy).

– Dasz mi skończyć? Chodzi mi o to, że chciałem być przy tobie, próbowałem i myślę, że mi się udało. A picie było sposobem na zmniejszenie własnego brzemienia i chyba... wymknęło mi się spod kontroli. Czuję się z tego powodu okropnie i się wstydzę, zwłaszcza tej sprawy z Georgie. To był koniec.

Znałam Nicholasa od dwudziestu lat, od trzynastu byłam jego żoną. Na palcach dwóch rąk mogłam policzyć sytuacje, kiedy nie mogłam na niego liczyć albo zrobił coś nieprzewidywalnego, i co najmniej połowa z nich zdarzyła się w ciągu ostatniego półroczka. Już wcześniej byłam przygotowana na obdarzenie go kredytem zaufania, teraz jednak uświadomiłam sobie, że zasługuje na całkowite rozgrzeszenie. Wziąwszy pod uwagę cuda, których dokonywał jako zięć, niewykluczone nawet, że kwalifikuje się do kanonizacji.

– Nicholas, wierzę ci. I czuję się okropnie, że byłam taka zafiksowana na sobie. – Pogładziłam wciąż czarny pukiel jego włosów za uszami. – Nie pomyślałam, jak bardzo ty też tęsknisz za moim tatą.

Ujął moją dłoń, jakbyśmy my, para w średnim wieku, mieli teraz, późnym wieczorem, spontanicznie odnowić przysięgę małżeńską.

– Stać nas na więcej. Przrzeknijmy.

– Przrzekam.

– Ja też. – Pochylił się, żeby pogłaskać Corneliusa, który sprawiał wrażenie ucieszonego, że rozmowa nie przekształciła się w kłótnię. – Alice, a wracając do bardziej przyziemnych spraw: możemy porozmawiać o twojej pracy?

Jęknęłam.

– Tak. I co?

– Uważam, że powinnaś zacząć szukać innej.

– Problem w tym, że nie mam pojęcia, co chciałabym robić.

– W takim razie zrezygnuj i daj sobie czas na zastanowienie się.

Ta możliwość zakołysała się przede mną jak miraż.

– Ale czuję, że nie powinnam. Potrzebujemy pieniędzy. Tylko że to równanie nie wychodzi. To nie jest praca, dla której warto marnować życie.

– Wiem.

– Skąd?

Roześmiał się. Jego twarz cudownie wyglądała z miejsca, gdzie siedziałam: nadal był stuprocentowym chłopcem, w którym się zakochałam, ale też mężczyzną wspinającym się przez okno na dach domu teściów, żeby po drodze do pracy go odśnieżyć.

– Po prostu wiem. Nie chcę ci dokładać, ale ostatnio życie z tobą nie było sielanką.

Zwalczyłam ochotę, żeby się sprzeciwić.

– A co z naszymi finansami?

– Znajdziemy wyjście. Nasza sytuacja nie jest aż tak rozpaczliwa, jak ci się

wydaje. Buduję swoją pozycję. To musi potrwać, choć na razie idzie dobrze. A jeśli czegoś w tym roku się nauczyliśmy, to tego, że życie jest krótkie. Powinnaś być szczęśliwa.

– Wiem. Tylko że... taka byłam dumna, kiedy dostałam tę pracę. Smutno mi na myśl, że okazała się zupełnie niewłaściwa.

– Są inne miejsca.

– Wiem... Nicholas? Mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo cię uwielbiam.

Uśmiechnął się.

– Ja też cię uwielbiam.

Następne zdanie trudno mi było wypowiedzieć bez łez.

– I mam nadzieję, że nie trzeba mówić, że mój tato też cię kochał. Jak syna i drogiego przyjaciela.

– Wiem, Al. Nigdy w to nie wątpiłem.

Położyłam głowę na jego kolanach, a on łagodnie zsunął gumkę z mojego końskiego ogona.

Poniedziałkowy poranek był słoneczny i ciepły, krokusy rozkwitły. Konduktor wywoływał nazwę każdej stacji głębokim, niemal operowym barytonem. Kiedy kupiłam pojedynczy bilet, naliczył opłatę za zakup w pociągu i przypomniał mi, żebym w drodze powrotnej zaopatrzyła się w bilet miesięczny.

Genevieve spóźniła się na nasze spotkanie w cztery oczy. Mijając mój pokój w drodze do windy, gestem kazała mi iść za sobą. Kiedy zamknęłam za nami drzwi – szcęk – przystanąła z płaszczem w jednej i wieszakiem w drugiej ręce.

– Nie.

– Tak.

– Odchodzisz?

– Odchodzę.

– Nie.

– Genevieve, obie wiemy, że to nie działa. Nie jestem osobą, której potrzebujesz do tej pracy.

Westchnęła. Ostatnio stała się bardzo twarda – była przeciwieństwem rozgadanego mola książkowego, który mnie zauroczył w Union Square Café – chociaż nadal pełniła tylko obowiązki posłańca przekazującego wieści z Clevelandu.

– Wiem, jak trudno ci godzić pracę i rodzinę.

Ta odrobina sympatii, którą miałam dla Genevieve, zaczęła się rozplýwać. Już wiedziałam, że nigdy nie przełamiemy się etiopskim chlebem, i ta świadomość przyniosła mi ulgę.

– Nie chcę sprawiać wrażeń, że odchodzę, żeby spędzać więcej czasu z rodziną, jak jakiś skompromitowany polityk. Genevieve, odchodzę, ponieważ stanowisko, na które mnie zatrudniłaś, nie istnieje.

Już się nie bałam jej przeszywającego spojrzenia.

– I nie jestem do tego stopnia naiwna, żeby myśleć, że praca musi w stu procentach pasować do mojej osobowości. Nigdy tego w pracy nie miałam ani nie oczekiwałam. Ale wiem, na czym polegają moje talenty, a tutaj nie są potrzebne. Chciałabym znaleźć miejsce, gdzie będą. Tym miejscem nie jest Scroll.

Genevieve pokiwała głową.

– Wiesz, doskonale nadawałabyś się do sprzedaży, Alice. Świadczy o tym praca, którą u nas wykonałaś.

– Dziękuję. – Bez wykrzyknika. Zauważyłam, że paznokcie ma matowe, obgryzione do ciała, i zielonkawy odcień cery, jakby od tygodni nie wychodziła na dwór.

Rozmawialiśmy o kwestiach technicznych.

Oczywiście istniał protokół rozwiązania umowy. Skontaktuje się ze mną mój przedstawiciel z HR – niestety, nie Chris Pawlowski, który przyjął mnie do pracy, bo go tymczasem wyrzucili i teraz walczył w sądzie ze Scrolllem z powodu niesłusznego zwolnienia – i przeprowadzi ze mną rozmowę. Odbiorą mi laptopa i wyczyszczą do zera. Dostanę zwrot wydatków. Oddam niebieski identyfikator. Moje nazwisko zostanie przekazane do Centrum Zasobów Pracowniczych, jeśli w określonym terminie nie dostanę ostatniego wynagrodzenia.

W końcu podniosłam rękę, żeby przerwać litanie Genevieve, która zaczynała przypominać listę praw wygłaszanych przy aresztowaniu.

– Doceniam to. Jestem pewna, że wszystko potoczy się dobrze.

– Jeśli masz jakieś pytania, możesz poszukać odpowiedzi na GatheringPlace albo Wiki. I jeszcze jedno, Alice, żałuję, że nie wyszło. Chciałam, żeby nam się udało.

– Wiem.

W porze lunchu kupiłam na straganie gruszki i zjadłam je na marmurowej ławce koło pomnika LOVE na rogu Pięćdziesiątej Piątej Ulicy i Szóstej Alei. Wokoło turyści pozowali do fotografii – nieśmiało albo prowokacyjnie, jak facet, który wystawił język w literę V zrobioną z palca wskazującego i środkowego – a ja zadzwoniłam do Nicholasasa.

– Załatwione.

Usłyszałam jego śmiech.

– I co czujesz?

– Otepienie? Ulgę? Martwię się, że nigdy więcej nie znajdę pracy.

– Znajdziesz. Postąpiłaś słusznie. Nie mogłaś tam zostać. Przypomnij sobie pierwsze przykazanie: zwycięzcy zawsze mają rację.

Do: scrolleveryone@scroll.com

DW: humanresources@scroll.com, payroll@scroll.com, techser@scroll.com, scrollpublicity@scroll.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

17 kwietnia Alice Pearse kończy u nas pracę. Dziękujemy jej za zaangażowanie i życzymy powodzenia w przyszłych przedsięwzięciach. Wszelkie pytania proszę kierować do Centrum Zasobów Pracowniczych albo wypełnić kartę problemu.

Jeden po drugim nowojorscy koledzy przychodzili do mojego pokoju, zamykali drzwi i recytowali litanie swoich żalów. Zasadniczo popierali moją decyzję, zwłaszcza Matthew, który przysłał mi mejla: „Będzie tutaj Ciebie brakowało, Pearse”. Spojrzałam na niego, siedział zgarbiony na swoim wysokim krześle pół metra dalej, nie odrywając wzroku od laptopa. Przynajmniej odchodzę ze Scrolla, zyskawszy przyjaciela. Matthew i ja walczyliśmy po tej samej stronie i nie zapomnę o nim, kiedy wyląduję na ojczystej ziemi.

Z Clevelandu nikt się do mnie nie odezwał.

Z pociągu poszłam prosto do księgarni. Susanna siedziała na taborecie koło kasy i czytała. Słyszając dzwonek przy drzwiach, podniosła głowę i przez moment sprawiała wrażenie zaskoczonej moim widokiem. Może ja jej unikałam, może ona unikała mnie. Rozdźwięk między starszymi dziewczynkami pozostawał niewyjaśniony i usiłowałam nie dostrzegać tego, że urodziny Audrey minęły bez zaproszenia na coroczne przyjęcie w japońskiej restauracji Benihana ani się tym nie przejmować. Przyjaźnie się zawiązują i mijają, wiedziałam o tym. Nie chciałam być mamą inspicjentką, chociaż degradacja do roli drugoplanowej w życiu Margot była dla mnie trudniejsza, niż się spodziewałam.

Weszłam do księgarni i zatrzymałam się przy kontuarze pomiędzy wieszakiem z firmowymi zakładkami do książek a miską z cukierkami Werthera.

– Susanno, zwolniłam się.

– Co? – Pochyliła się i złapała mnie za ramiona, przewracając taboret. – Co takiego?

– To nie było miejsce dla mnie. Nie chcę być koniem na parkingu.

Nie mając pojęcia o zwrocie ani arkuszach kalkulacyjnych, Susanna objęła mnie i powiedziała:

– Byłaś dla nich za dobra.

Tym razem to ona się rozplakała. Ponad jej ramieniem patrzyłam, jak dwaj postawni mężczyźni wynoszą ladę ze sklepu Mercadantego.

Dzieci nie bardzo wiedziały, jak zareagować.

– Czy to znaczy, że nie wyremontujemy kuchni? – zapytała Margot.

– Nie, nie wyremontujemy kuchni. Ale na razie zostanę w domu, zacznę szukać nowej pracy i będę mogła przychodzić na spotkania klubów książek w waszych klasach... – Mamusiu, wiesz, że Cornelius potrafi sam zjechać ze zjeżdżalni?

– Nie, Georgie, nie miałam o tym pojęcia. Dziękuję, że mi o tym mówisz. Cieszysz się, że częściej będę cię odbierała ze szkoły?

- Chyba tak. Jessie też przyjdzie?
- Nie, wróbelku. Ale kiedy znajdę nową pracę, poszukamy nowej opiekunki.

Ona też będzie miła, zobaczysz.

Oliver podniósł wzrok znad zapiekanki z makaronu ziti.

– Mamusiu? Muszę w piątek przynieść do szkoły liczydło. Masz jakieś?

– Nie.

– Mamusiu, muszę jeść ten jarmuż? Jest taki... pomarszczony.

Szczęście, że nie spodziewałam się parady z konfetti.

Nazajutrz rano po przebudzeniu ogarnęło mnie cudowne uczucie ulgi. Odwróciłam się do Nicholasa, który także już nie spał i wpatrywał się w sufit.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Wiesz, że to pierwszy dzień reszty twojego życia? – Przetoczył się na bok i palcem uniósł mi brodę. Patrzyliśmy sobie w oczy z tak bliskiej odległości, że widziałam blade żółte cętki w jego tęczęwkach.

– Owszem. Nicholasie?

– Tak, Alice?

– Martwisz się o pieniądze?

Westchnął i potarł twarz.

– Nie. To znaczy tak. Czy na dłuższą metę mam nadzieję, że znajdziesz pracę z solidnym wynagrodzeniem? Tak. Ale na krótszą metę uważam, że powinnaś sobie dać trochę wytchnienia.

– Wytchnienia?

– Na miesiąc, może do końca wakacji. Po prostu się zastanów, na czym stoisz. Zasługujesz na to.

Georgie wsunęła się do naszej sypialni jak Kramer z *Seinfelda*. Rozpoczął się dzień.

Do: alicepearse@scroll.com

Od: genevieveandrews@scroll.com

Proszę, przekaż mi listę nazwisk i namiary na kontakty, z którymi współpracowałam. Będziemy to kontynuować, dziękuję.

Odebrałam z pralni partię sukienek i spódnic, zastanawiając się, kiedy będę miała okazję znowu je włożyć. Przeciągnęłam koński ogon Georgie przez otwór baseballówki i uświadomiłam sobie, że zobaczę, jak będzie robiła gwiazdy na boisku podczas rozgrywek softballu. Kiedy zaczęłam w biurze pakować rzeczy do pudeł, przyniesiono mi kwiaty od Susanny z liścikiem: „Gratulacje! Dość wygłupów”.

W niedzielę przed moim ostatnim dniem pojechaliśmy wszyscy do miasta po rzeczy. Nicholas i dzieci po raz pierwszy widzieli moje biuro i czułam dziwną dumę, oprowadzając ich po budynku: tu jest kuchnia, którą zalałam kawą, tu szyb windy, do którego upuściłam klucz od łazienki, tu toaleta, w której spuściłam brownie.

To było gorzko-słodkie doświadczenie. Ulga i poczucie klęski. Czułam się, jakbym wracała do domu po przerwanych studiach.

Kiedy z Nicholasem zwoziliśmy pudła do windy, dzieci zwędziły skądś markery i narysowały Marsjan na oknie koło moich drzwi.

– Mamusiu, możemy je zostawić? Bardzo prosimy.

– Dobrze – odparłam, przypominając sobie lekceważącą rozmowę, którą podsłuchałam w Clevelandzie. „Co mogę powiedzieć? Jest mamą”. Są gorsze sposoby na pozostanie w pamięci innych.

Do: scrolleveryone@scroll.com

Od: alicepearse@scroll.com

Odeszłam z „You” z okładką, na której moją twarz przyklejono do zdjęcia Marii Menounos. Odchodzę ze Scrolla, znając funkcjonowanie handlu detalicznego od podstaw. Dziękuję Wam za udzielanie odpowiedzi na moje pytania, rozwiązywanie moich problemów technicznych i okazywanie mi życzliwości, kiedy tu pracowałam. Niezależnie od tego, jak bardzo prywatnie możecie za mną

tęsknić, proszę, nie naciskajcie klawisza „odpowiedz wszystkim”, jeśli macie ochotę wysłać do mnie wiadomość. To może być Wasz prezent pożegnalny!

Do: alicepearse@scroll.com
Od: genevieveandrews@scroll.com
Temat: ostatni dzień
Masz ochotę na lunch?

Do: genevieveandrews@scroll.com
Od: alicepearse@scroll.com
Temat: Re: ostatni dzień
Jasne, z przyjemnością. O której?

Do: alicepearse@scroll.com
Od: genevieveandrews@scroll.com
Temat: Re: Re: ostatni dzień
Pasuje ci jedzenie w moim biurze?

Do: genevieveandrews@scroll.com
Od: alicepearse@scroll.com
Temat: Re: Re: Re: ostatni dzień
Oczywiście. O której mam przyjść?

Do: alicepearse@scroll.com
Od: genevieveandrews@scroll.com
Temat: Re: Re: Re: Re: ostatni dzień
O 13. Proszę o kanapkę z indykiem z pesto, jabłko, wodę gazowaną.

Kupiłam posiłek w Pret i wróciłam na górę.

Kiedy otworzyłam drzwi gabinetu Genevieve, kończyła rozmowę telefoniczną. Dała mi znak, że tak jest, wyciągając rękę i zakreślając kółko palcem wskazującym, co sprawiło, że poczułam się jak kelnerka, którą gość prosi o rachunek.

W tym samym duchu ustawiłam zamówienie na jej biurku: kanapka, jabłko,

butelka wody, słomka, serwetka złożona w pół. Chciałam się uklonić, jak robili to modni kelnerzy, ale zmieniłam zdanie. Zajęłam swoje zwykłe miejsce na sofie i ogarnęła mnie radość, kiedy sobie uświadomiłam, że nigdy więcej tu nie usiądę – nigdy, przenigdy, jak powiedziałaaby Georgie. Wyjęłam z plastikowego pojemnika swoją kanapkę z sałatką jajeczną i wdzięcznie zaczęłam skubać, podstawiając dłoń, żeby powstrzymać zabłąkane kawałki żółtka od wylądowania na podłodze.

Lunch w Union Square Café to nie był.

Alice Pearse biegnie równo, zostało jej ostatnie sto metrów. Wygląda na silną, głowę trzyma wysoko. Ma jeszcze jedną przeszkodę do pokonania przed...

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam. – Genevieve odłożyła słuchawkę na widelki z głośnym szczękiem. – Gadałam z Gregiem. Wczoraj wieczorem miałam wreszcie okazję zagrać w *Miejskiego zamachowca* i ludzie, co za rewelacja... – Urwała w połowie zdania, uświadamiając sobie, kogo ma przed sobą. – Przepraszam, zapomniałam, że jesteś anty...

W ustach miałam wielki kęs kanapki, machnięciem dłoni zbyłam więc jej zakłopotanie. Stosując marny wybieg, którego dzieciom zabraniałam przy stole, uniosłam rękę przed twarz i z pełnymi ustami powiedziałam:

– Proszę, żadnych ocen. Zamachowcy samobójcy to po prostu... nie w moim stylu.

Genevieve wzruszyła ramionami.

– I ja to rozumiem. Ale efekty dźwiękowe w tej grze są naprawdę fenomenalne. Masz wrażenie, jakbyś tam była.

Wyobraziłam ją sobie w ciemnym pokoju z twarzą oświetloną płomieniami z ekranu. A potem przypomniałam sobie mięciutki koc Georgie, kiedy rozłożona na moich kolanach słucha, jak czytam na głos książki *Officer Buckle and Gloria* i *A Bad Case of Stripes*. To najpiękniejszy moment mojego wieczoru. Albo kiedy Margot ogrywa mnie w wisielca, a może kiedy całuję Olivera w powieki, zanim sama położę się spać. To w gruncie rzeczy loteria.

– Więc tak. – Genevieve odchrząknęła. Jej kanapka leżała nietknięta na biurku. Wziąwszy pod uwagę, że było za późno, żebym mogła wpisać posiłek w koszty, mogła przynajmniej na tyle się wysilić, żeby zjeść go z apetytem. Nagle w uszach zabrzmiał mi młodzieńczy głos Genevieve śpiewnie mówiący: „Smacznego!”.

– Więc tak. To chyba wszystko. – Złożyłam serwetkę i włożyłam połowę kanapki do pojemnika, w myślach notując, żeby spakować ją jutro Margot na lunch, przepadała za sałatką jajeczną. Ale siarkowe wyziewy w stołówce gimnazjalnej? To chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Tak mi się wydaje. Alice... – Genevieve otworzyła butelkę i wzdrygnęła się, kiedy gazowana woda trysnęła, zalewając jej laptopa i przód bluzki. Oczywiście w windzie energicznie potrząsnęłam butelką. (Dojrzałe zachowanie?)

Nie. Satysfakcjonujące? Całkowicie. W końcu nie urodziłam się jako mama).

Odzyskała panowanie nad sobą i posłała mi ten pół uśmiech, pół grymas.

– Alice, naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę o twoich nowych przygodach.

– A ja nie mogę się doczekać, kiedy się dowiem, na czym będą polegać. – Odpowiedziałam uśmiechem, prawdziwym.

Genevieve Andrews nie jest partnerką dla Alice Pearse! Zawodniczka z Jersey zbliża się do mety śmiałym i zdecydowanym sprintem! Już widać koniec!

Genevieve odwróciła wzrok, jej zmęczone oczy uniosły się ku podwieszonemu sufitowi, który jednak nie był tak nieskazitelny jak wtedy, gdy zaczęłam tu pracować, biel znaczyła rdzawa plama. Może krew?

Zaczęło mi się kręcić w głowie. Wykrzykniki tańczyły w moich myślach!!!

Nagle Genevieve przyjęła rzeczowy ton.

– Alice, muszę odebrać twoją książkę.

Sięgnęłam do torby i wyjęłam *Własny pokój*, nadal uwięziony w folii. Zdjęłam ją tylko raz, dzisiaj rano, i do środka wsunęłam fiszkę z trzema słowami napisanymi ołówkiem, żeby nie uszkodzić tych cudownych starych stron: ALICE TU BYŁA. Nie obchodziło mnie, kto znajdzie ten dowód życia. Jak powiedziała moja Virginia: „Dzieje literatury usiane są szczątkami ludzi, którzy ponad rozumną miarę przejmowali się wypowiedzianymi o nich opiniami”¹¹.

Wiedziałam, że w przyszłości czeka mnie własny pokój, ale gdzie indziej, bardzo, bardzo daleko od Scrolla.

Spokojnie, z całym wdziękiem, na jaki było mnie stać, uściskałam Genevieve na pożegnanie. Nie jestem pewna, czy rzeczywiście się dotknęłyśmy, ale nasze ręce wykonały stosowne ruchy, a twarze przybrały właściwy neutralny wyraz. Położyłam na jej biurku swojego laptopa i identyfikator.

Z niektórymi się pożegnałam, z innymi nie. Wszystkim życzyłam powodzenia. A potem opuściłam budynek.

Kiedy wyszłam z drzwi obrotowych na wczesnowiosenny dzień, odwróciłam się i spojrzałam na to wysokie szklane pudło. Ciekawe, ile minie czasu, zanim znowu będę pracowała w drapaczu chmur, zanim napiję się kawy w cichej śródmiejskiej sali konferencyjnej. Czy będę miała gabinet? Widok? Wizytówkę? Pensję na koncie?

Mijałam pucybuta, koreańskie delikatesy, tyły teatru Winter Garden, restauracje Ray's Famiglia, Red Lobster, Ruby Tuesday, wszystkie te miejsca, koło których tyle razy przechodziłam rozgniewana albo smutnie przygarbiona w drodze do domu ze Scrolla. Teraz wyprostowałam plecy i wydłużyłam krok, uśmiechając się od ucha do ucha jak gwiazda komedii romantycznej po pierwszej randce z miłością swojego życia.

Kiedy jechałam pociągiem do domu, słońce zachodziło, oświetlając na różowo obłoki nad Meadowlands, stadionem Newark Bears i posesjami na krańcu śródmiejskiego Bloomfieldu.

Pociąg zbliżał się do Filament, a ja z iPhone'a usunęłam konto na Outlooku. Jedno dotknięcie czerwonego klawisza i już go nie było. Nigdy więcej wysyłanych do wszystkich odpowiedzi w sprawie żartu opowiedzianego w biurze wiele kilometrów dalej, nigdy więcej zgłoszeń PPB od nieznanego informującego mnie, że nie będzie go w biurze przez pół dnia, bo musi odnowić prawo jazdy, nigdy więcej wprawiających w oszołomienie kolumn liczb.

Przewinęłam do góry trwające rok rozmowy z tatą i także je usunęłam. Martwiłam się, czy nie będę tego żałowała, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić scenariusza, w którym nie będę się czuła okropnie z powodu wiadomości pozostawionych bez odpowiedzi, nigdy nieobejrzanych linków. A poza tym tak samo jak Buzz Astral nie były jego prawdziwym głosem. Ten głos miałam w głowie, z dnia na dzień przybierał na sile, kiedy wspomnienia o jego cierpieniach blakły. To był ten dobry aspekt straty.

Wyłączyłam aplikację „biały szum”, wyciągnęłam słuchawki z uszu i słuchałam gwizdu prawdziwego pociągu. Znałam każdy zawijas graffiti na każdej mijanej betonowej ścianie. Wypatrywałam ratowników palących papierosy przed pogotowiem i zaglądałam w okna biur, których rozkład, jak sobie wyobrażałam, znałam tak samo dobrze jak rozkład własnego. Kiedy przyszedł konduktor, żeby zebrać bilety, podałam mu swój, zanim jeszcze poprosił.

Nie planowaliśmy tego, ale nie byłam zaskoczona na widok dzieci czekających na mnie na peronie. Trzy rumiane buzie jaśniały od nadziei i podniecenia, trzy szerokie uśmiechy odsłaniały pierwsze zęby, nowe i wielkie stałe zęby oraz klamrę na górnej szczęce. Margot po cichu wsunęła dłoń w kieszeń mojego płaszcza, Oliver i Georgie złapali mnie za ręce.

– Gratulacje, mamusiu! Udało ci się.

– Dziękuję, moje wróbelki. Udało mi się.

Tak splątani poszliśmy do domu, mając w perspektywie spaghetti na stole i lody Choco Tacos w lodówce.

11 Virginia Woolf, *Własny pokój*, przeł. Ewa Krasieńska, Warszawa 2002.

EPILOG

Oczywiście musieliśmy odwołać remont. Marjorie przyjechała po swoją taśmę mierniczą z monogramem, którą u nas zostawiła. W drodze do wyjścia zatrzymała się i po raz ostatni powiodła wzrokiem po naszej zrujnowanej kuchni. Zebrałam się w sobie, tłumiąc potrzebę przeproszenia za pojemniki Tupperware ustawione byle jak na lodówce.

– Wiesz co, Alice, to jeden z najszcześniejszych domów, w jakich pracowałam.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

Zaszaleliśmy i wydaliśmy sporo na zmywarkę marzeń Nicholasa: Bosch, cicha, trzy półki. Dokonuje cudów z kieliszkami do wina (wszystkimi moimi).

Sporządziłam listę osób, z którymi powinnam porozmawiać o pracy: agenci, wydawcy, nawet koleżanka pisząca reklamy do katalogu peruk. Tym razem lista była dłuższa i przekonałam się, że dostaję odpowiedzi szybciej niż przed rokiem. Kilka osób chciało się dowiedzieć, co wydarzyło się w Scrollu – jak mogłam zrezygnować z takiego rewelacyjnego stanowiska? Ci ludzie pewnie byli gorzko rozczarowani, wysłuchując historii o moim objawieniu związanym z koniem na parkingu. W większości jednak z radością witali powrót jednej ze swoich. Ludzie książki trzymają się razem.

Dodałam do znajomych na Facebooku Bonnie zajmującą wysokie miejsce w świecie wydawniczym. Zaprosiła mnie na lunch do baru Grand Central Oyster. Napisała: „W 1995 roku szczytem mody były listy rzeczy do zrobienia przed śmiercią. Na naszych powinny się znaleźć ostrygi w stylu Rockefellera. Zróbmy to”.

Codziennie rano słucham pociągu o ósmej szesnaście. Najczęściej jestem szczęśliwa, że nim nie jadę.

Mama musiała się poddać transplantacji stawu biodrowego, wszystkie te lata wspinania się po marmurowych schodach w muzeum w końcu dały o sobie znać. Kiedy lekarz przedstawił nam diagnozę, siedziała na stole w papierowych szortach. W okularach do czytania na nosie starannie notowała plan leczenia: operacja, dwie

doby w szpitalu, cztery dni w ośrodku rehabilitacyjnym, sześć tygodni fizykoterapii.

Lekarz zwrócił się do mnie.

– Jak wygląda pani rozkład zajęć? Będzie pani mogła pomóc mamie?

Pomyślałam o tacie w szpitalnej koszuli leżącym na łóżku i łzach płynących strumieniem po jego policzkach. Bezgłośnie.

To się nigdy więcej nie powtórzy.

– Oczywiście. Mój brat także tu będzie. Jesteśmy zespołem.

W ostatni dzień szkoły studiowałam świadectwa, podziwiałam najnowsze prace plastyczne, podawałam prawdziwe oreo, nie te firmy Newman, a potem zapakowałam wszystkich do samochodu, żeby pojechać na basen.

Georgie i Oliver przez całą sześciominutową jazdę klócili się zażarcie, a Margot nie odrywała wzroku od komórki, niezależnie od tego, ile razy usiłowałam wciągnąć ją do rozmowy. Może tego popołudnia było wszystkiego za dużo, ale coś we mnie pękło.

– Hej, wy tam, możemy traktować się wzajemnie po ludzku?

Wrzasnęłam tak głośno, że ścięgnięta w szyi bolały mnie przez wiele dni. (Pokażcie mi matkę albo ojca, którzy nigdy nie cierpieli na tę dolegliwość, a ja pokażę wam kogoś, kto nie jest moim przyjacielem). Ten zwrot akcji mnie przygnębił, ale też oczyścił atmosferę i dobitnie przypomniał, że jeśli chodzi o dzieci, nie ma przepisu na zabawę. Trzeba być elastycznym.

Po kolacji, kiedy we czworo jedliśmy lodowe rożki w barku z przekąskami, Georgie powiedziała:

– To śmieszne, bo Jessie nigdy na nas nie krzyczała.

Po zamknięciu delikatesów do lokalu sąsiadującego z Niebieską Sową wprowadziła się czytelnia Christian Science. Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego Scroll zrezygnował, i nigdy nie powiedziałam Susannie, że planował tu swoje otwarcie. W witrynie czytelnicy stała sztaluga z cytatem z Mary Baker Eddy: „Dom jest najdroższym miejscem na ziemi i powinien być centrum, a nie granicą uczuć”.

Amen. Nawet ludzie, którzy są w połowie żydowscy, w połowie bożonarodzeniowi, mogą to przyjąć.

Zbierałam zamówienia na recenzje książek i pracowałam nad nimi w czasie porannych treningów pływackich. W jednym uchu słyszałam głos Genevieve: „Żadnych wykrzykników. Myśl jak menedżer. Gramy do jednej bramki, racja?”.

W drugim – donośny głos trenerki Margot, która z polskim akcentem krzyczała: „Dasz radę to zrobić! Staraj się! Raz, raz, raz!”. Zagrzewała tymi słowami basen pełen zmęczonych dzieciaków, ale na mnie wpłynęło to oczyszczająco, zagłuszyło litanie wątpliwości pod swoim adresem. Wrócę do gry. Muszę tylko ustalić, z jakiej bajki jestem, i dać sobie czas do końca wakacji na zastanowienie się, jak do niej wejść. Jak powiedział Thomas Edison, na wszystko jest czas.

Kochana Jessie!

Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! Pamiętam czasy, kiedy nie mogłaś kupić wina. Ani głosować! Ale zawsze byłaś mądra ponad wiek.

25! No, no. Zobaczmy... czy mam jakieś pożyteczne rady?

Po pierwsze, ciesz się swoimi prostymi, ciemnymi włosami, ponieważ niedługo będą przeplecione skręconą szorstką siwizną. I traktuj łagodnie brwi – zatęsknisz za nimi, kiedy staną się cienkimi cieniami siebie.

Jeśli zamierzasz spędzić z kimś życie, upewnij się, czy jest zabawny. Możesz się przekonać, że Twoja definicja seksowności zmienia się wraz z upływem czasu, ale to, co Cię rozśmiesza, pozostaje takie samo. Pieniądze, wygląd, ambicje, sukces – to też się zmienia. To, co zabawne, jest trwałe.

Proszę, nie marnuj czasu na rozważania, czy da się „mieć wszystko”. Wyrzuć ten zwrot ze swojego słownika, dopilnuj, żeby Twoje przyjaciółki też to zrobiły. Lepiej zapytaj siebie: „Czego naprawdę chcę?”. Rzucanie się na oślep w drugą ćwiartkę swojego życia bez zadania sobie tego pytania jest jak pójście na zakupy bez listy. Skończy się na tym, że będziesz miała pełny wózek, ale nie znajdzie się w nim nic, z czego można by ugotować obiad. Najpierw sobie odpowiedz, na co masz ochotę, a potem wymyśl własny przepis na chaotyczną, przepyszną enchiladę.

Co jeszcze? Wszyscy Ci przypominają, żebyś zadzwoniła do mamy. Do taty też zadzwoń. Nie ma dnia, żebym nie żałowała, że nie mogę zadzwonić do swojego.

Jesteś pięknym człowiekiem. Mieliśmy wielkie szczęście, że swoim płomieniem rozjaśniałaś nasze życie.

Z wyrazami miłości,

Alice

Chociaż kartka, na której to napisałam, kosztowała sześć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów, nigdy nie dałam jej Jessie. Zgniotłam ją i ukryłam na dnie kosza z papierami. W końcu wspólnie z Margot, Oliverem i Georgie ułożyłam akrostych na urodziny Jessie. Jestem pewna, że rozpoznała mój udział.

Jaśniejąca
Elektryzująca
Sprytna
Słodka
Inteligentna
Energiczna

W ciągu dwóch miesięcy Jessie z recepcjonistki awansowała na kierowniczkę biura, a potem na szefową działu finansowego nowej firmy. Była pierwszą osobą, która zobaczyła zdjęcie Georgie bez dwóch przednich zębów.

Greg obserwuje mnie na Twitterze.

Matthew jest nieszczęśliwy w Scrollu, ale przynajmniej ma własny gabinet. Wznieśliśmy toast za wytrwałość przy kolacji. W końcu to jedno z przykazań zwycięzców.

MainStreet wpłatał się w poważny proces sądowy z radą miasta Cleveland za nielegalne wyrzucanie śmieci i nieprzestrzeganie obowiązkowego programu recyklingu. W ramach obniżania kosztów Rockwellowie dopuszczali wyrzucanie butelek, puszek i kartonów do pojemnika za hipermarketem. Sfilmowała ich miejscowa grupa aktywistów ruchu „Zajmij Główną Ulicę”. Jako redaktorka pochwalalam ich przywiązanie do przerwy między wyrazami „główny” i „ulica”¹².

W chwili gdy to piszę, Scroll nie otworzył jeszcze sklepów w Nowym Jorku ani Chicago.

Po raz pierwszy zostawiliśmy dom pod opieką Margot i dzieci nie mogły się doczekać, kiedy wyjdziemy. Przy kolacji bawiliśmy się tak świetnie, że przegapiliśmy porę rozpoczęcia seansu w kinie.

Na początku sierpnia dwie zmagające się z trudnościami firmy papiernicze z Pensylwanii zwróciły się do tego samego banku z prośbą o radę w sprawie kredytu, który uratowałby je od bankructwa. Bankowi zaimponowała praca wykonana przez Nicholasa dla rodziny Mercadente’ów i zarekomendował go jako

zewnątrznego prawnika do prowadzenia negocjacji z wierzycielami.

– Nie będę wchodzić w szczegóły – powiedziałam – ale ten bank wygląda na obiecującego pośrednika, nie sądzisz?

Nicholas i ja siedzieliśmy na ganku, dzieci leżały już w łózkach. Nad naszymi głowami wisiała ostatnia praca plastyczna Georgie: płyty CD ozdobione markerami i kręcące się z zawrotną prędkością na żyłce wędkarskiej. Odbijała się w nich okolica: szkoła, wawrzyny, srebrne niebo. Zadrżałam na myśl o książkach stojących się równie zbędnymi jak płyty CD.

Nicholas napił się piwa bezalkoholowego.

– Bez dwóch zdań. Myślę, że naprawdę mogę powiedzieć, że idzie mi dobrze.

– Co za ulga.

– Wiesz, Alice, nigdy nie myślałem, że jesteśmy tak blisko przytułku dla ubogich, jak ty uważałaś, ale się cieszę, że się cieszysz. – Nicholas objął mnie od tyłu i pocałował w szyję. Odwróciłam się i zrewanżowałam tym samym. Wkrótce potem przenieśliśmy się na piętro, żeby oszczędzić sąsiadom przedstawienia.

Kiedy później leżeliśmy w łóżku, oparłam policzek na jego piersi i nabrałam powietrza w płuca.

– Nicholas?

– Tak?

– Wiesz o pieniądzach od mojego taty?

– Tak, a co?

– Już zdecydowałam, co chcę z nimi zrobić.

– To znaczy zamiast odłożyć do banku na college?

– No, to też. Ale chcę przekazać część Niebieskiej Sowie.

Nicholas oparł się na łokciu. Delikatnie usunęłam włosy spod jego ręki.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Wiem, że Susanna zalega z czynszem, i chcę jej pomóc. Jeśli czegoś w tym roku się nauczyłam, to tego, że bardzo mi zależy, żeby dzieci dorastały, znając takie księgarnie jak jej.

– Ona nigdy nie weźmie pieniędzy od ciebie, Alice. Wiesz o tym.

– Ale teraz jesteś jej prawnikiem. Nie mógłbyś tego załatwić tak, żeby pieniądze przekazał anonimowy darczyńca?

– Jak Magwitch? Wzięłaś to żywcem z *Wielkich nadziei*. Owszem, to się da załatwić. Problem w tym, jak zapłacisz mi honorarium.

Uśmiechnęłam się.

– Jestem pewna, że znajdziemy sposób.

To było lato Rainbow Loom. Dzieciaki rozciągnięte na każdej możliwej

powierzchni – brzuchy wystające spod tankini, cienkie opalone szyje pod baseballówkami – splatały gumowe nitki w bransoletki na przeguby i kostki. Odkryłam w sobie nowy talent rzemieślniczy – nauczyłam się wszystkich splotów i czekałam w kolejce z innymi mamami przed sklepem z zabawkami na dostawę nowych nitok. Zainwestowałam nawet w przezroczyste pudełko na narzędzia, dzięki czemu mogliśmy trzymać oddzielnie gumki wielobarwne, świecące w ciemności i połyskujące.

Susanna i ja byłyśmy na basenie, jedząc frytki z jednego opakowania, podczas gdy nasze dzieci pochylone nad gumkami czekały, aż dorośli skończą pływać. Margot i Audrey pracowały nad wzorem w haczyki, na zmianę wybierając kolory. Bez problemu się pogodziły, mnie co prawda wiele wysiłku kosztowało zapomnienie o tym podłym błysku w oku Audrey, ale wiedziałam, że trzeba iść do przodu.

– Alice, słuchaj...

– Poczekaj. Oliver! Musisz poczekać, aż dziecko przed tobą zeskończy z trampoliny, zanim zaczniesz wchodzić po drabinie! – Odwróciłam się do Susanny; rozcierała sobie ucho, w które wrzasnęłam. – Przepraszam, co mówiłaś?

– Czy w trakcie szukania nowej pracy miałabyś ochotę wziąć kilka godzin w księgarni? Zdarzyło się coś niezwykle dziwnego, jakaś szychka z Filament anonimowo przekazała pieniądze Niebieskiej Sowie! Uregulowałam zaległości w czynszu i uwierz albo nie, myślę, że stać mnie na zatrudnienie pracownika na godziny. Nie dostałabyś wiele...

– Kiedy mogę zacząć?

Omówiliśmy kwestie techniczne. Wynagrodzenie było godzinowe i zdumiewająco niskie. Miałam jednak pomysł na to, jak zarabiać więcej, nawet jeśli nigdy nie osiągnę pensji ze Scrolla, nie wspominając o inwestycjach giełdowych. Pochyliłam się.

– Susanno, czy mówiłam ci kiedyś o księgarce?

Zatrudniłszy nową opiekunkę. Kupiłam nowe buty i nowy notatnik.

Kiedy pierwszego dnia przyszedłam do pracy, w księgarni krzyżowały się promienie słoneczne, zamieniając półki w tęczę grzbietów: grubych, cienkich, lśniących, matowych, w paski, z małymi obrazkami i wzorami, ze złotymi literami. Efekt był olśniewający. Znałam zatłoczone wnętrza Niebieskiej Sowy w weekendowe popołudnie albo po zamknięciu, kiedy klienci w ubraniach do pracy marudzili przy tacach herbatników i sera pokrojonego w kostkę. Uświadomiłam sobie, że jestem tu po raz pierwszy przed otwarciem, i wiedziałam, że to najlepsza pora, która dla księgarza jest tym, czym dla matki oglądanie śpiących dzieci. Czułam przepełniający mnie spokój.

Mój tata wcale nie jest wszędzie, jak zapewniali ludzie. Nie ma go przy mnie, nieważne, ile razy szukam jego twarzy w tłumie na Penn Station czy nasłuchuję jego głosu w domu mamy, gdzie Buzz Astral powoli się wyladowuje w szufladzie ze skarpetkami. Mimo to przyłączam się do chóru utrwalającego ten mit u innych, którym grozi utrata ukochanej osoby. Mój tata jest wszędzie i nigdzie. Mój świat stoi na innej osi, okrąża słońce mojej rodziny, ale nadal czuję jego ciepło.

W sierpniu mama wynajęła dom na Long Beach Island. Ku zaskoczeniu i zachwytowi naszych dzieci wypożyczyliśmy rowerowy pojazd z baldachimem. Pedałowaliśmy ja i Nicholas; przejechaliśmy obok miejsca, gdzie stał nasz zeszłoroczny domek. Zniszczył go huragan, pozostała tylko połać piasku z czterema cedrowymi słupami na rogach. Chociaż widok był ponury i przygnębiający, otuchy dodał mi widok tych czterech solidnych kolumn.

Tamtej nocy obserwowaliśmy zachód słońca. Na dachu domku był mały kwadratowy taras – nic wielkiego, miejsca akurat tyle, żebyśmy usiedli pod chwiejną niebieską parasolką: moja rodzina, rodzina Willa, mama. Mieliśmy stopy oblepione piaskiem i byliśmy wilgotni od stojącego na dworze prysznic. Nie było dość krzesel ani czipsów, kukurydzę na kolację trzeba było wyłuskać. Dzieci chciały iść na wodne zjeżdżalnie, dorośli chcieli iść do latarni morskiej, mama chciała wiedzieć, kto zjadł ostatni kawałek krówki. To był typowy wieczór podczas typowych rodzinnych wakacji, takich samych, na jakich byliśmy wcześniej co najmniej dwadzieścia razy.

Kiedy ogniste słońce w końcu zsunęło się pod druty telefoniczne i wpadło do zatoki Barnegat jak do niebieskiej koperty, już go nie obserwowałam. Moje oczy zwrócone były na Nicholasa, który wyglądał teraz na odprężonego i dostatecznie młodego, żeby być zdobycznym mężem. Potem przeniosłam wzrok na nasze dzieci, we troje stłoczone na jednym krześle. Ich splecione kończyny były poznaczone świeżymi piegami.

Przyznaję, kiedy fantazjowałam o własnym pokoju, nie miałam na myśli tego porośniętego mchem tarasu na dachu małego domku przy czteropasmowym bulwarze na wybrzeżu Jersey, z dymem z węgla drzewnego unoszącym się z grilla na dziedzińcu. A mimo to w tamtym momencie byłam we właściwym miejscu i wiedziałam o tym.

Nicholas złapał mój wzrok i dłonią wskazał zatokę, różowe niebo i naszą rodzinę. Przy akompaniamencie piskliwej paplaniny dzieci zapytał cicho:

– Ładny widok, prawda?

Z uśmiechem kiwnęłam głową. Widok zapierał dech w piersiach.

12 Gra słów: angielska wersja tego hasła to „Occupy Main Street” (przyp.

red.).

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojemu mężowi, Ethanowi Amadeusowi Skerry'emu, który nie czytał wszystkich kolejnych wersji tej książki jak inni współmałżonkowie wymieniani na tych stronach. Wierzył natomiast, że pewnego dnia będę miała szansę tę książkę napisać, i to wystarczyło – prawdę mówiąc, było wszystkim. Louiso, Simonie i Frankie, dziękuję Wam, trojgu ekscentrycznym i pięknym ludziom, którzy zapoznaliście mnie ze słuchawkami tłumiącymi hałas i zrozumieliście los konia, zanim mnie się to udało. Dziękuję swojej mamie, Maurze Egan, i siostrze, Kate Egan, które są moimi najdroższymi przyjaciółkami. Dziękuję Jonathanowi Wayne'owi, Amy i Philowi Skerrym i Jessice Horvat, ukochanym członkom rodziny męża, którzy są jak szczęśliwy los na loterii.

Zanim zasiadłam do pisania tej książki, nieśmiało, z nadzieją zmieniłam hasło w komputerze na „daszradę”. Dziękuję wszystkim ludziom, którzy pomogli mi uwierzyć, że to prawda, zwłaszcza Rebecce Banerji, Tory i Williamowi Branghamom, Dinie Cagliostro i Davidowi Ganzowi, Abby i Kenowi Colenom, Stephanie Gore, Kate i Calebowi Epsteinom, Anyi Epstein, Claudine Coto Knautz, Molly Lyons, Harriet Marcus, Claire Martin, Wendy Naugle, Terri Trespicio oraz Jane i Ericowi Winstonom.

Za słowa zachęty, sugestie, powody do śmiechu i kolejne słowa zachęty dziękuję swojej agentce, Brettne Bloom, i swojej redaktorce, Marysue Rucci. Jesteście dwiema najbardziej utalentowanymi osobami, jakie znam, i z wielką wdzięcznością przyjmuję Waszą wiarę w tę powieść. Elizabeth Breeden, dzięki Twojej skuteczności i entuzjazmowi wszystko to sprawiło mi jeszcze większą frajdę.

Dziękuję współpasażerom i konduktorom na trasie Montclair–Boonton, gdzie napisałam większość tej książki. Niektórzy pisarze tworzą w Yaddo albo McDowell, ja w pociągach New Jersey Transit, których syreny są ścieżką dźwiękową domu.

Jacku Egan, Twoja spuścizna żyje. Mam nadzieję, że mnie czytasz.

Spis treści

WSTĘP	1
WIOSNA	2 3 4 5 6 7 8 9 10 11
LATO	12 13
JESIEŃ	14 15 16 17 18 19
ZIMA	20 21 22 23 24 25 26 27 28 29 30 31 32 33
WIOSNA	34 35 36 37 38 39 40
EPILOG	41 42 43